

Autor bestsellerowych *Kleryków*

Mariusz Sepioło

NARODOWCY

Z ulic na szczyty władzy



znak

Autor bestsellerowych *Kleryków*

Mariusz Sepioło

NARODOWCY

Z ulic na szczyty władzy





Mariusz Sepioło

NARODOWCY

Z ulic na szczyty władzy

Wydawnictwo Znak
Kraków 2023

Projekt okładki:

Roman Sidło

Zdjęcie na okładce:

© Michał Fludra/NurPhoto via Getty Images

Redaktorka prowadząca

Aleksandra Pietrzyńska

Redakcja

Karolina Macios

Opieka redakcyjna i adiustacja

Katarzyna Węglarczyk

Konsultacja merytoryczna

Jakub Woroncow

Korekta

Barbara Gąsiorowska

© Copyright by Mariusz Sepioło

Copyright © for this edition by Społeczny Instytut Wydawniczy Znak sp. z
o.o., 2023

ISBN 978-83-240-6531-8

znak

Książki z dobrej strony: www.znak.com.pl

Więcej o naszych autorach i książkach: www.wydawnictwoznak.pl
Społeczny Instytut Wydawniczy Znak, 30-105 Kraków, ul. Kościuszki 37
Dział sprzedaży: tel. (12) 61 99 569, e-mail: czytelnicy@znak.com.pl
Wydanie I, Kraków 2023.

Na zlecenie Woblink

woblink

woblink.com

plik przygotowała Weronika Panecka

Najstraszniejszą miną, jaką może przybrać bokser, jest uśmiech.

Szczepan Twardoch, Król

Michał, narodowiec:

– Robiłem kiedyś zbiórkę na leczenie chorego dziecka. Udała się, ale rodzice tego dziecka oskarżyli mnie o to, że część pieniędzy sobie przywłaszczyłem. Nikt nie chciał wiedzieć, jaka była prawda. W oczach ludzi stałem się przestępcą, złodziejem, popadłem w długi, w alkohol, w narkotyki. Zostałem sam.

Z łóżka nie wstawałem, tak byłem zniszczony.

Nie mogłem zrozumieć, za jakie grzechy cierpię, co w życiu zrobiłem źle. Działalem przecież, pomagałem, oddawałem się innym, a tu ludzie w sklepie wyzywają mnie od złodziei.

Było źle, tak źle, że dzisiaj moglibyśmy nie rozmawiać.

Zwisałem już prawie. Sznur miałem na głowie, stopy na krześle. Dzisiaj już wiem, że samobójcy to nie są słabi ludzie. Przeciwnie. Żeby zawiązać sznur na szyi i stanąć na krześle, trzeba mieć w sobie bardzo dużo siły.

Straciłem równowagę, zamiast do przodu poleciałem do tyłu, wyślizgnąłem się ze sznura, tylko w głowę się walnąłem, ale niezbyt mocno. Kiedy otrzeźwiałem, wziąłem telefon i wybrałem numer do kolegi z ONR-u.

Powiedział: „Pakuj się, jutro masz samolot do Londynu”.

Ludzie z ONR-u pomogli mi jeszcze raz, kiedy w Anglii znowu wpadłem w dołek, znowu byłem w ciężkiej depresji. Oszczędłem dla dziewczyny, a oni przyjęli mnie z powrotem. Powiedzieli: „Jesteś, Michał, jednym z nas, musimy się wspierać”.

Dlatego ONR to nie jest dla mnie tylko organizacja, narodowcy to nie są tylko moi koledzy. To moja rodzina.

Nigdy jej nie zdradzę.

Łukasz, narodowiec:

– Kiedyś po zakrapianej imprezie napisałem na Facebooku: „Żydzi do gazu”. Ale gdyby nie alkohol, tobym tak nie napisał.

– Bo?

– Bo tak nie myślę.

Partia, z której startował do rady powiatu, skreśliła go wtedy z listy.

– Dobrze zrobiła – mówi dzisiaj Łukasz, korepetytor. – Bo w polityce takich rzeczy nie można mówić.

– A w życiu?

– Powiem inaczej: nie powinno się takich rzeczy mówić. Ja się z tymi słowami dzisiaj nie identyfikuję, żałuję ich... Nie jestem antysemitą... Ale...

– To jest jakieś „ale”?

– Mamy chyba wolność słowa?

Miłosz, narodowiec:

– Nie będę przeproszał za swoje poglądy. Nie będę się tłumaczył. Wiem, że faszyzm nie był jakimś bardzo zbrodniczym systemem...

– Nie był?!

– Nie, to był włoski autorytaryzm. Śmieszy mnie, że na polskiej prawicy są ludzie, którzy uważają się za piłsudczyków, a bardzo boją się łatki faszysty. A niby dlaczego się tego boją, skoro sanacja i faszyzm były

do siebie bardzo podobne? Cenzura, bojówki, uliczne walki polityczne...
To wszystko było też u nas.

– Nazizm też tu był.

– Nigdy nie miałem ciepłego stosunku do wásacza. Bo po pierwsze, jestem Polakiem, a po drugie, facet pogrzebał Europę pod swoimi pangermańskimi mrzonkami, które nie miały prawa się ziścić, bo Niemcy byli za słabi. To pokutuje do dzisiaj. Wszystkie ruchy konserwatywne od razu kojarzą się z Hitlerem. Ale jeśli ktoś nazwie mnie nazistą, to też wzruszam ramionami.

– Nie protestujesz?

– Nie. Ktoś chce mnie nazwać nazistą? Niech nazywa. I co z tego?

BÓJCIE SIĘ

PIĘŚCI I GŁOWY

W namiocie cyrku Intersalto przy ulicy Targowej w Warszawie dudnią bębny i gitary. Na scenie zespoły: Armia, Karcer, Dezerter, Immanuel. Za kulisami Sławomir Rogowski i Robert Brylewski, organizatorzy piątej edycji kultowego dziś festiwalu Róbrege.

Tego dnia na Targowej jest ktoś jeszcze. Gdzieś za winklem, w zaułku między kamienicami, stoi kilkunastu skinów. Pod kurtkami trzymają kije, metalowe rurki i noże. Głęboko oddychają, zaciskają usta i pięści, aż bieleją im knykcie. Jeszcze chwila, wdech i wydech, bij brudasa, dawaj, kurwa, idziemy.

Wpadają do namiotu i okładają zdezorientowanych uczestników imprezy tym, co przynieśli ze sobą. W ruch idą też gołe pięści i czaszki. Bitwa trwa dłuższą chwilę, w końcu skini się wycofują. Są ranni, na szczęście nikt poważnie.

To pierwszy znany powszechnie, odnotowany przez Marcina Kornaka – założyciela Stowarzyszenia „Nigdy Więcej” i pierwszego twórcę *Brunatnej księgi* – przypadek fizycznego ataku skrajnych nacjonalistów na ideologicznych przeciwników.

Kornak mieszka w Bydgoszczy, pisze wiersze i teksty piosenek, między innymi dla zespołu Schizma. Fascynuje go kultura alternatywna, niepokoją coraz bardziej widoczne na ulicach agresja i nienawiść na tle rasistowskim i ksenofobicznym. Na murach kamienic widzi swastyki i gwiazdy Dawida na szubienicy. Słyszy o kolejnych przypadkach napaści, na przykład szturmie neonazistów na akademiki Akademii Muzycznej w jego rodzinnej Bydgoszczy i próbie podpalenia budynku, w którym mieszkają studenci obcokrajowcy.

Kornak, od piętnastego roku życia sparaliżowany, daje początek ruchowi społecznemu, którego nie ogranicza ani próg domu, ani bydgoskie rogatki. W 1992 roku zakłada Grupę Anty-Nazistowską (GAN) – sieć działaczy monitorujących odradzanie się radykalnej prawicowej ideologii w całej Polsce – a cztery lata później działające do dziś Stowarzyszenie „Nigdy Więcej”. Zostaje redaktorem naczelnym magazynu o tej samej nazwie (pierwszy numer ukazuje się w 1994 roku) i razem z rozsianymi po Polsce działaczami stowarzyszenia zbiera oraz dokumentuje wszelkie przypadki agresji na tle rasistowskim i ksenofobicznym. Tworzy *Brunatną księgę*, największą i najbardziej kompleksową kronikę rozwoju prawicowych ruchów ekstremistycznych w Polsce. Wkrótce odnotowanych w niej ataków będą setki.

W nowych czasach prawicowy radykalizm się rozrasta. W latach dziewięćdziesiątych kategoria „narodowca” nie jest popularna, dominuje raczej styl uliczno-stadionowy. Skin ze swastyką na plecach idzie w jednym marszu z odczytanym wielbicielem myśli Dmowskiego. Dziś wielu tych, którzy nazywają się narodowcami, wywodzi się z czasów łysych głów, glanów i kijów bejsbolowych.

Subkultura skinheadów powstaje w latach sześćdziesiątych w Wielkiej Brytanii wśród kontestujących rzeczywistość dzieci klasy robotniczej.

W kolejnej dekadzie w odpowiedzi na coraz popularniejszą wśród młodych subkulturę punka, kwestionującą autorytety, głoszącą anarchię, rodzi się druga fala ruchu skinheadów. Skini w przeciwieństwie do punkowców wielbią porządek i ład, a jednocześnie nie podobają im się imigranci o innym niż biały kolorze skóry. Trzecia fala ruchu to już lata osiemdziesiąte i dziewięćdziesiąte, kiedy po jednej stronie pojawiają się skini utożsamiający się z kulturą punka i muzyką ska, odwołujący się do proletariackich wartości, a z drugiej – zafascynowani ideologią neonazistowską i Adolfem Hitlerem.

W Polsce są obecni podobno już we wczesnych latach osiemdziesiątych, ale największa ich aktywność to przełom dziesięcioleci. Wysyp rasistowskich i ksenofobicznych ataków pod koniec dekady wskazuje, że polscy skini już wtedy muszą się czuć bardzo mocni.

Polacy pracują za grosze, żyją od pierwszego do pierwszego, chleb podrożał, benzyny brakuje – to są wtedy sprawy fundamentalne. Wchodzi w życie pakiet reform Balcerowicza, państwowe zakłady upadają albo zostają sprywatyzowane i zaczynają masowo zwalniać. Tylko w ciągu trzech lat, od 1990 do 1993 roku, bezrobocie wzrasta do ponad 16 procent. Kryzys spowodowany transformacją staje się jedną z przyczyn, dla których wielu młodych, sfrustrowanych beznadzieją życia i bezradnością pokolenia rodziców, przylgnie do grupy o jasno sprecyzowanym światopoglądzie.

Polskie elity polityczne żyją czym innym: upadającymi rządami, „nocnymi zmianami”, listami ubeckich agentów, lustracją, łapówkami dla prezydenckich ministrów, kłótniami dawnych elit Solidarności i powrotami postkomunistów do politycznego życia. Politycy i przedstawiciele służb przymykają oko na pozornie nieznaczące zjawisko: budzącą się brunatną nienawiść.

IDEOLOGIA

Po 1989 roku wraca demokracja i przestaje działać cenzura. Wtedy odradzają się nacjonalistyczne organizacje.

Student prawa Roman Giertych reaktywuje Młodzież Wszechpolską, odwołując się do tradycji przedwojennej endecji. Socjolog Bolesław Tejkowski, w czasach PRL współpracownik Służby Bezpieczeństwa, w 1990 roku zakłada głoszącą panslawizm partię o nazwie Polska Wspólnota Narodowa. Jan Ostojka Matłachowski powołuje Stronnictwo Narodowe (nie dożyje jego pierwszego zjazdu). To ostatnie – dla odróżnienia od formacji przedwojennej nazywane niekiedy senioralnym – inspirowane jest protoplastami: stawia na edukację i budowanie świadomości. Przyjmuje przedwojenne symbole narodowe: hymn Obozu Wielkiej Polski i mieczyk Chrobrego.

Organizacja Giertycha nawiązuje do przedwojennego Związku Akademickiego Młodzież Wszechpolska, który powstał w 1922 roku. Na jego honorowego prezesa studenci nacjonaści wybrali Romana Dmowskiego, przed pierwszą wojną światową lidera Ligi Narodowej, a potem twórcę Stronnictwa Narodowo-Demokratycznego (endecji) i jednego z architektów polskiej niepodległości. Przedwojenni wszechpolacy opowiadali się za ekonomiczną dyskryminacją Żydów i popierali wprowadzenie na uczelniach gett ławkowych dla żydowskich studentów. Jak pisze profesor Ireneusz Krzemiński, Dmowski był jednym z czołowych głosicieli „ideologii antyżydowskiej”, a za jedną z najważniejszych wartości uważał „interes narodowy”, z którym kolidował interes społeczności żydowskiej, przeważającej liczebnie i kulturowo w wielu polskich miastach. W rywalizacji tych dwóch interesów – uważał lider endecji – można opowiedzieć się tylko po jednej stronie. „Trzeba zmiany myślenia o wartościach tego świata – streszcza ideologię

Dmowskiego profesor Krzemiński – moralnym obowiązkiem jest realizować interes narodowy, a więc walczyć o przywrócenie narodowego państwa, i jest to możliwe tylko pod warunkiem, że historię będzie się traktować nie moralistycznie, ale jako arenę walki o przetrwanie i egoistycznego dążenia do zapewnienia sobie własnego miejsca w świecie. Polityka jest po prostu bezwzględną areną walki o władzę nad innymi i o wpływy wśród innych, korzystne dla własnego narodu”¹. Po 1989 roku nowi narodowcy mają więc na czym budować.

Po latach niebytu do politycznego dyskursu wracają postaci w PRL pozostające poza panteonem bohaterów narodowych. To nie tylko Roman Dmowski, związany z Obozem Wielkiej Polski nacjonalistyczny filozof Jan Mosdorf czy Bolesław Piasecki – po wojnie przywódca uznawanego przez komunistów PAX-u, przed wojną jeden z założycieli Obozu Narodowo-Radykalnego, a po rozłamie w 1935 roku przywódca Ruchu Narodowo-Radykalnego „Falanga”. To także na przykład ukrywający się za komuny pod innym nazwiskiem ksiądz Władysław Matus, który teraz, kiedy wieje wiatr politycznych zmian, liczy sobie ponad sto lat i z okien sanktuarium maryjnego w Ostrowąsie na Kujawach widzi jezioro o wodach błękitnych jak samo niebo.

Narodowcy w pośpiechu szukają autorytetów. Organizują się, spotykają, piszą statuty, zawiązują stowarzyszenia i nieformalne grupy. Jednym z pierwszych członków nowego Stronnictwa Narodowego zostaje właśnie staruszek ksiądz Matus – przedwojenny endek, najstarszy narodowiec w Polsce.

Jednak to nie seniorów, Młodzież Wszechpolską czy partie Tejkowskiego i Matłachowskiego współcześni narodowcy uważają za prawowitych spadkobierców przedwojennej endecji, ale powstające w 1989 roku Zjednoczenie Chrześcijańsko-Narodowe. Do ZChN-u Wiesława

Chrześcijańskiego wchodzi młode wilki, jak Artur Zawisza, późniejszy współtwórca Ruchu Narodowego. W szeregach partii znajdują się też między innymi ludzie związani wcześniej z radykalnym antysemitycznym Narodowym Odrodzeniem Polski, jak Michał Kamiński, dziś senator z ramienia Unii Europejskich Demokratów.

Na początku lat dziewięćdziesiątych świat partyjnych zebrań miesza się ze światem ulic i stadionów. Politycy i działacze skrajnie nacjonalistycznych organizacji nie mają oporów przed tym, by sięgać po podlaną adrenaliną dziką siłę „łysogłowych”. Mikstura ideologii i pięści gęstnieje. Liderzy Stronnictwa Narodowego czy Narodowego Odrodzenia Polski niespecjalnie szanują swoich młodszych, bardziej umięśnionych, lecz gorzej wykształconych kolegów, z rozmysłem używają ich jako mięsa armatniego. Tam gdzie pojawia się stary mędrzec Tejkowski, tam kroczy za nim obstawa osiłków w glanach i flyersach. Tam gdzie Gmurczyk woli walczyć długopisem, tam chętnie rzucają się z kijami i koktajlami Mołotowa jego podopieczni z ulicznej bojówki.

Narodowe Odrodzenie Polski zdobywa w tej dyscyplinie prawdziwe mistrzostwo.

KIJ

Spotykają się w kilku, na nogach glany, na kurtkach naszywki: „Krew i Honor”, „White Power”. W żyłach adrenalina. Atmosfera jest gęsta – ktoś zgwałcił dziewczynę jednego z nich. Sprawca ma ksywę Kefir i mieszka w Pabianicach. Tyle wiedzą. Tyle im wystarczy. Jest początek kwietnia 1996 roku.

Kumple oznajmiają: pojedziemy do Pabianic i znajdziemy go. Zemścimy się. Kefir nawet nie wie, z kim właśnie zadarł.

Wsiadają do poloneza: Piotr W., Robert S., Robert M., Damian O. Krążą po mieście, rozpytują. Zaczepiają tych, którzy ich zdaniem „wyglądają na anarchistów”. Czyli jak? Z pewnością inaczej niż oni.

Jednak nikt Kefira nie zna albo jeśli zna, boi się do tego przyznać. Bo każdy, kogo wtedy zaczepiają, widzi przed sobą dobrze zbudowanych i krótko ostrzyżonych chłopaków w kurtkach bomberkach, wąskich dżinsach i butach z grubą podeszwą. Robert S. ma ze sobą kij bejsbolowy, a Damian O. nóż, który trzyma pod kurtką.

Podjeżdżają na ulicę Mariańską. W oddali widzą szyld klubu bilardowego. Jest już ciemno, świecą się tylko uliczne latarnie. Pasażerowie samochodu dostrzegają dwóch idących żwawym krokiem chłopaków, którzy z jakiegoś powodu od razu zwracają ich uwagę. Damian O., Robert S. i Piotr W. wysiadają z poloneza. Robert M. odjeżdża, by za chwilę odebrać kumpli w umówionym miejscu.

Mariańską idą Wojtek i Piotrek, piętnastoletni chłopcy. Wojtek przyjechał odwiedzić kumpla, wyszli na miasto, żeby się zabawić. Z domniemanym gwałtem ani z polityką nie mają nic wspólnego, znaleźli się tu zupełnie przypadkowo. W pewnym momencie widzą zmierzających w ich kierunku trzech postawnych mężczyzn. Jeden z nich wyciąga kij bejsbolowy. Wojtek i Piotrek rzucają się do ucieczki.

To błąd. Robert S., Damian O. i Piotr W. uznają to za potwierdzenie, że wśród tych dwóch musi być Kefir. Albo przynajmniej ktoś, kto go zna i dlatego przed nimi ucieka.

Robert S. jest wysportowany. Biegnie szybko z ciężkim kijem w rękę. Uderza Wojtkę w głowę, ten upada na chodnik. Podbiega do nich Damian O., pochyła się nad Wojtkiem i pyta:

– Znasz Kefira?

Wojtek nie zna. Damian uderza go pięścią w twarz, potem wyjmując nóż i dźga w brzuch, klatkę piersiową oraz pośladki.

Piotrkowi uda się uciec. Goniący go Robert S. w końcu zawróci.

Wojtek podnosi się i idzie przed siebie mimo szoku, bólu i lejącej się z niego krwi. W pewnym momencie mijają go wracający z pościgu Robert S. Przez zaciśnięte zęby rzuca:

– Bójcie się.

OBOWIĄZEK

Za usiłowanie zabójstwa Damian O. dostaje osiem lat, Robert S. – rok i sześć miesięcy. Damian O. wychodzi chwilę przed terminem, z dozorem kuratorskim.

Zebrane w aktach informacje na jego temat tworzą obraz skina niemal „klasycznego”. Jest pochodzenie z niezamożnej rodziny gnieźdzącej się w ciasnym mieszkaniu w odrapanej kamienicy na łódzkich Bałutach. Jest wychowanie w podłych i szarych latach osiemdziesiątych, w dobie upadającego przemysłu dziewiarskiego. Są kłopoty na podwórku i w szkole, z czasem coraz częstsze konflikty z prawem. Dzielnicowy z Bałut notuje, że Damian O. często gości na tamtejszym posterunku, widywany jest w środowisku kiboli i drobnych dzielnicowych rzezimieszków, nierzadko zamroczony alkoholem. Zdemoralizowany, nie przestrzega podstawowych norm życia społecznego.

W więzieniu sprawia kłopoty, chce dominować nad innymi, wdaje się w bójki. Przez to zostaje zdegradowany: z odsiadki w warunkach zakładu półotwartego, gdzie za dnia mógł opuszczać celę i spotykać się z innymi więźniami, do zakładu zamkniętego. Kiedy dostaje dozór, nie stawia się na spotkania (właśnie jest na lokalnej siłowni). Dopiero po odsiadce i latach rozmów z kuratorem zapewnia, że się zmienił, wszedł na lepszą drogę

życia. Poznaje dziewczynę, robi prawo jazdy, szuka pracy. W końcu przysłała zaświadczenie, że stara się o posadę kierowcy w Wielkiej Brytanii. Tu jego historia się ucina.

Wydarzenia z Pabianic przechodzą do historii polskiego radykalizmu, bo oprawcy z Łodzi nie są przypadkowymi bandytami. Wszyscy należą do jednej z najbardziej brutalnych organizacji tamtych czasów, działającej nieprzerwanie do dziś: Narodowego Odrodzenia Polski.

Na stronie internetowej NOP-u czytamy, że jest „najdłużej istniejącą i działającą formacją narodową okresu powojennego”. Powstaje – jak głosi jej własna legenda – przed wprowadzeniem stanu wojennego, a jedenaście lat później zostaje zarejestrowana jako partia. Jej założycielem i prezesem jest Adam Gmurczyk, autor tekstów zatytułowanych *Obowiązek antysemityzmu* i *Antysemityzm – fundament Cywilizacji*.

Gmurczyk publicznie pochwała akty przemocy. Po ataku narodowców na squat we Wrocławiu w 2012 roku na Facebooku napisze: „Jako człowiek – dziękuję im za to. Nie ustawajcie!”. Kilka lat wcześniej działacze NOP-u niosą kukłę czarnoskórego człowieka i transparent: „Europa dla białych, Afryka dla HIV”. Gmurczyk reklamuje swoją partię hasłem: „Faszyzm? My jesteśmy gorsi!”. Po aresztowaniu Damiana O. i Roberta S. podpisuje się pod apelem do sądu o „zaprzestanie represji wobec członków Narodowego Odrodzenia Polski”. „Żądamy uwolnienia Roberta S. i Damiana O., przetrzymywanych w więzieniu bez żadnych dowodów winy, oraz ukarania inicjatorów wymierzonej w Narodowe Odrodzenie Polski prowokacji pabianickiej” – czytam w apelu dołączonym do akt sprawy.

Kiedy Damian O. zostanie wypuszczony na wolność po siedmiu i pół roku więzienia, NOP wita go jak bohatera: „Damian, witaj w domu, przyjacielu!”.

PATRIOCI

Narodowe Odrodzenie Polski można uznać za element łączący dwie epoki: tę dawną, subkulturowo-uliczną, i współczesną, marszowo-partyjną. Pomost między czasami, kiedy jedyną aktywnością radykałów było ganianie „brudasów” po osiedlach, a epoką zorganizowanych marszów narodowców goszczących w sejmie i milionów kasowanych z państwowych grantów.

W latach dziewięćdziesiątych NOP był najlepiej zorganizowaną nacjonalistyczną organizacją w Polsce. Jego działacze pojawiali się zawsze tam, gdzie można było zaznaczyć swoją obecność. Obok ludzi Tejkowskiego, neopogan i wszechpolaków to właśnie NOP-owcy stanowili o sile i tożsamości ruchu nacjonalistów. To wreszcie NOP organizował lub współorganizował jedne z pierwszych marszów 11 listopada, w rocznicę odzyskania przez Polskę niepodległości (przed nim robiły to Polska Wspólnota Narodowa i Narodowy Front Polski). Najpierw były to marsze lokalne, między innymi we Wrocławiu, potem przeniosły się do Warszawy, gdzie na placu Trzech Krzyży działacze palili flagi Unii Europejskiej. Przeciwno integracji z UE NOP-owcy protestowali zresztą już w 1997 roku, i robili to bardzo po swojemu, skandując: „Nasza święta rzecz, Żydzi z Polski precz!”.

Z dzisiejszymi narodowcami łączy ich potrzeba przynależności, bycia w grupie, poczucia siły kolektywu. Lata po tym jak Damian O., Robert S., Piotr W. i Robert M. pojechali polonezem do Pabianic bić domniemanego anarchistę, ich koledzy również całą bandą napadać będą na mieszkańców squatów we Wrocławiu.

Nawet jeśli z czasem organizacja straciła na znaczeniu, a jej lider Adam Gmurczyk stał się bohaterem internetowych memów, to właśnie NOP

zapoczątkował proces, który kończy się dziś dziesiątkami tysięcy nacjonalistów na ulicach Warszawy każdego 11 listopada. Można powiedzieć, że choć ogień do podpalenia drzemiącego pod powierzchnią ziemi ładunku współcześni narodowcy wzięli od Krzysztofa Bosaka, Roberta Winnickiego i Roberta Bąkiewicza, to Gmurczyk go pod Polską podłożył.

W NOP-ie i innych radykalnych organizacjach tamtego czasu jest jeszcze coś, co łączy je ze współczesnymi. Czytając akta spraw – protokoły zeznań oskarżonych i świadków, pisane odręcznie listy do sądu, wywiady środowiskowe – ma się wrażenie, jakby podobne frazy, zdania i argumenty gdzieś się już słyszało. Owszem, słyszało się i wciąż słyszy. Dziś, ponad dwie dekady od wydarzeń w Pabianicach, w opowieściach działaczy Ruchu Narodowego, Obozu Narodowo-Radykalnego i Młodzieży Wszechpolskiej.

Narodowcy od Gmurczyka przedstawiają się jako „młodzi patrioci”. Niczemu niewinni sumienni działacze walczący o słuszną sprawę, o naród! Pilni uczniowie, zdolni studenci, kochający synowie.

Kierownik klubu karate, który w sprawie jednego z oskarżonych przysłał do sądu pisemną opinię, twierdzi, że oskarżony „godnie reprezentuje” barwy klubu, jest „zdyscyplinowany” i „pracowity”. A że czci Hitlera, a Żydów chciałby pogonić z Polski? Przecież „człowiek to zagadka” – jak z empatią stwierdza wykładowczyni z Uniwersytetu Łódzkiego, która także przysłała sądowi długą opinię o skinie z Pabianic, niegdysiejszym studencie historii. Oskarżony, jak się dowiadujemy, wiedzę miał ponadprzeciętną, czym panią doktor wprowadził w niekłamaną podziw podczas jednego z egzaminów. No i pomógł przy organizacji studenckiej imprezy. Uprzejmy, pomocny, dusza człowiek. Widocznie prócz bejsbola miał także serce na dłoni.

Dziś narodowcy na wybryki ludzi ze swojego środowiska również patrzą przez palce. Bicie i opluwanie uczestników Marszu Równości? To tylko „margines”. Napadanie na działaczy lewicowych organizacji w biały dzień? To wyjątek od reguły. Oni są przecież normalnymi „młodymi patriotami”. Lubią powtarzać, że z kolegami od glanów i bejsboli nie mają nic wspólnego. Jakby lata dziewięćdziesiąte i wczesne dwutysięczne były wynaturzeniem, a napadający na ludzi z nożami skini – nowotworem na zdrowej tkance.

SZUBIENICA

„Najpierw wyczyścimy gównem, to, co zaśmieca nasz kraj” – mówi reporterce „Gazety Wyborczej” Irenie Morawskiej Maciek, osiemnastolatek z Narodowego Odrodzenia Polski. Co zaśmieca? Gmurczyk tłumaczy, że „zdrajcy”, a dla takich – dodaje – „jest tylko jedno: szubienica”. Bojowe nastroje dopisują też partyjnym dołom. Początkujący narodowiec Maciek twierdzi, że ma zadatki na „politycznego żołnierza”². „Akcje to treść życia – mówi Morawskiej. – Czyścimy ulice”³.

O kształtowaniu się radykalnej osobowości w latach dziewięćdziesiątych opowie Rafałowi Pankowskiemu w rozmowie dla magazynu „Nigdy Więcej” Paweł, mieszkaniec Dusznik na Dolnym Śląsku, były działacz NOP-u. Któregoś dnia znajduje pismo „Szczerbiec” – ot tak, w kiosku Ruchu, obok „Wyborczej” i „Życia”. Czyta i czuje, że autorzy opisują jego świat, jego codzienność. A życie Pawłowi daje w kość: bezrobocie, szarzyzna, zero perspektyw. „I w tym momencie słyszysz o rewolucji narodowej. To pociąga” – opowiada Paweł.

Rano idzie do liceum, po szkole organizuje spotkania, pogadanki, wypadki na piwo. Czasem wyjazdy: do Warszawy, Krakowa, może dalej. Skinów w NOP-ie widzi wielu, ale z czasem ruch się zmienia. Dołączają

ludzie odczytani, stroniący od bijatyki i bejsbola. Takich Adam Gmurczyk podobno ceni bardziej niż „łysych”.

Ostatecznie jednak strój i muskulatura nie mają znaczenia – wszyscy chcą „białej Europy” i „Polski dla Polaków”. Dogadują się z ekstremistami z zagranicy i do Dusznik-Zdroju na Dolnym Śląsku przyjeżdżają neonaziści z niemieckiej partii NPD (Nationaldemokratische Partei Deutschlands). NOP-owcy lubią się też z wygolonymi na zero Czechami, Słowakami, Anglikami, Rumunami. Paweł: „Z tego co pamiętam, jakieś tam utarczki były drobne, ale chodziło o to, że chłopaki pili piwo za Dmowskiego, a tamci za Hessa”⁴.

PORTRET

Skąd się biorą? Opowiada mi o tym pewien były skin, który po latach przeszedł polityczną przemianę.

Młody chłopak z porządnej rodziny – nazwijmy go Jankiem⁵ – na początku lat dziewięćdziesiątych mieszka w średniej wielkości mieście na zachodzie Polski. Kończy podstawówkę i idzie do liceum. Tam poznaje skina Marka. Starszy, pewny siebie chłopak nieśmiało koledze imponuje odwagą, luzem, bezczelnością. Niczego się nie boi, nikomu się nie kłania. Marek to skin wielbiący Trzecią Rzeszę i tępiący wszelką inność. Inność, której w Gorzowie prawie wtedy nie ma. Marek jest fajny. Z Markiem nigdy nie można się nudzić. Marek to chodzący bunt: wobec dorosłych, szkoły, mediów, polityki. Marek potrafi się bić i uciekać przed „psami”. Marek potrafi żyć.

Kiedy Janek przekracza próg gorzowskiego liceum, staje się uczniem klasy pierwszej i uczniem Marka skina. To on uczy Janka nienawiści do świata, tak jak na polskim uczy się *Bogurodzicy*.

Marek na walkmanie nie słucha Pearl Jamu, tylko Honoru i Konkwisty 88. Zespołów, których muzyką nakręcają się skini w całej Polsce. Podrzuca Jankowi nagrania. Janek zamyka się w pokoju, wkłada do walkmana kasetę, wciska *play* i kiwa głową do słów:

Rośnie w siłę Biały Front, duma całej Europy
Zbliża się ostatni sąd, białej rasy wielki triumf
Ziemia drży donośnym tonem, w oczach nienawiści błysk
To zły czas dla komunizmu, do zwycięstwa tylko dni⁶.

Ciarki chodzą mu po plecach, nigdy wcześniej czegoś takiego nie słyszał.

Marek podpowiada, co przeczytać, jak się ubrać. W końcu Janek ma już wszystko: bluzę z naszywkami, wojskowe spodnie, ciężkie buty. I zestaw czasopism dla młodych nazioli. Odpowiednio ubrany i nasiąknięty gniewem jak gąbka wychodzi na ulicę – nowy człowiek. Prostuje plecy, wyżej podnosi głowę, zuchwalej zagląda ludziom w oczy.

Widzi w nich strach.

– Nie szedłem do szkoły, tylko wychodziłem z domu i szukałem okazji, żeby się napić i narozrabiać – mówi Janek. – Siedzieliśmy w parkach, przed blokami, na stadionie. Pobicia, rozboje, niszczenie mienia. Głównie za to ganiała mnie policja.

W tym samym bloku, piętro wyżej, mieszka inny chłopak. Jest punkiem, dlatego Janek bardzo go nie lubi. Chłopak do domu nieraz wraca obity – przez Janka albo jego kumpli. Wkrótce nie wytrzyma, wyjedzie z rodzinnego miasta i już nigdy nie wróci.

Na obrzeżach miasta, w niepozornym budyneczku, działa popularny wśród skinów bar M. Pije się tu wszystko, w ilościach takich, że niejednego zwala z nóg. Janek też w nim bywa i uczestniczy w specyficznych

impresach: pod wiszącym na ścianie portretem Adolfa Hitlera. Dla gości baru ten portret to nie zgrywa, nie żart.

Adolf – myślą chłopaki – to był spoko gość, bo zniszczone wojną państwo podniósł z gruzów, a ludziom dał godność, nadzieję, trochę chleba z masłem. Powiedział: nie musicie przepraszać za wojnę, bądźcie dumni z Niemiec, głoście wielkość Rzeszy. Prawie jakby mówił: bądźcie dumni z Polski, moi drodzy polscy skini.

Nie mają oporów, żeby się dogadywać z członkami neonazistowskiej międzynarodówki Krew i Honor (Blood and Honour), neonazistami z Niemiec. Ci przyjeżdżają na organizowane przez Polaków koncerty, razem z nimi hajlują pod sceną. A że obozy, komory gazowe, Warszawa zrównana z ziemią? O tym przy piwie głośno się nie mówi. Liczy się potęga Rzeszy, siła munduru, czołgu i karabinu.

MAGAZYN

Rafał Pankowski jest w tych czasach uczniem liceum na warszawskim Mariensztacie. Ma kolczyk w uchu, skórzaną kurtkę i spodnie w kratkę. W niektórych miejscach w centrum Warszawy nie czuje się najbezpieczniej. Nie zapuszcza się zbyt często na Starówkę, bo w bramach, przy kolumnie Zygmunta albo przy Barbakanie siedzą skini i szukają okazji do pobicia takich jak on. Któregoś dnia idzie z kolegami ulicą Chmielną. Nagle jak spod ziemi wyrasta wokół nich kilku łysych. Grożą, że żyłkami wytną im na skórze krzyże celtyckie, rasistowskie symbole noszone przez nacjonalistów w całej Europie. Na szczęście obok przypadkowo przechodzi policyjny patrol, skini się płoszą, znikają za rogiem.

Pankowski widzi rosnącą nienawiść. Pisze list do Marcina Kornaka. Ten odpisuje – posługując się jedynie długopisem trzymanym w ustach. Tak nawiązują kontakt. W 1993 roku uznają, że magazyn, w którym chcą pisać

o coraz częstszych w Polsce przejawach rasizmu, ksenofobii i antysemityzmu, musi się nazywać „Nigdy Więcej”. Ma być nie tylko kroniką, ale też wyrzutem sumienia, tkwiącą pod skórą opinii publicznej zadrą, przypominającą, że do Holokaustu nie doszło przypadkowo, że to szaleństwo było zwieńczeniem pewnego procesu. I że nie może do niego znów dojść, nigdy więcej.

Żeby pismo docierało do szerszego grona odbiorców, muszą założyć stowarzyszenie. Inspirują się między innymi szwedzkim „Expo”, założonym przez Stiega Larssona, zmarłego w 2004 roku dziennikarza śledczego, później znanego jako autor bestsellerowych kryminałów.

W 1993 roku Pankowski wydaje przełomową dla zrozumienia ewolucji polskiego nacjonalizmu książkę *Gdzie kończy się patriotyzm. Z dziejów polskich grup faszystujących 1922–1992*. Będzie pierwszym polskim stypendystą prestiżowej Eton College, jednej z najstarszych szkół w Wielkiej Brytanii, której absolwentami byli między innymi pisarze Ian Flemming i George Orwell. W 1996 roku zostanie zastępcą redaktora naczelnego magazynu „Nigdy Więcej”, a po śmierci Marcina Kornaka stanie na czele stowarzyszenia. Rasizmem i skrajną prawicą zajmuje się naukowo w Collegium Civitas. Razem z Kornakiem będą przez lata symbolami walki z rasizmem, ksenofobią i antysemityzmem. A dla skrajnych nacjonalistów – wrogami numer jeden.

ARTYKUŁ

Dzień po ataku NOP-owców w Pabianicach do roboty biorą się też skini spod znaku Polskiej Wspólnoty Narodowej Bolesława Tejkowskiego. Zjeżdżają do Oświęcimia i idą prosto do Muzeum Auschwitz-Birkenau, by razem ze swoim liderem wyrazić poparcie dla budowy supermarketu w tak zwanej strefie ochronnej obozu, czyli na jego dawnych terenach. Przeciwno

budowie protestowały wcześniej środowiska żydowskie. Obecni na miejscu dziennikarze wyciągają mikrofony i słuchają, jak Tejkowski peroruje: „W Auschwitz na pewno zginęło więcej prawdziwych Polaków. To Żydzi starają się sfalszować historię, to oni ratowani przez naszych patriotów wstępowali potem do UB i tam ich mordowali”.

W 1996 roku wychodzi trzeci, ponury w wydźwięku numer „Nigdy Więcej”. Na okładce dwóch skinów: jeden ze strzelbą i w mundurze SS, drugi w tradycyjnym białym T-shircie, szelkach i wysoko podciągniętych spodniach. Łysy, wytatuowany, straszny, bo prawdziwy. We wstępie Marcin Kornak pisze o „chorym sabacie” urządzonym przez Bolesława Tejkowskiego w Muzeum Auschwitz-Birkenau, o liście napisanym w proteście wobec działań Tejkowskiego do ówczesnego premiera Włodzimierza Cimoszewicza i o braku odpowiedzi. Pisze także o powstającej konstytucji i o tym, że musi się w niej znaleźć zakaz podżegania do nienawiści i dyskryminacji na tle narodowościowym i rasowym. O reportażu Ireny Morawskiej w „Gazecie Wyborczej”, który zwrócił uwagę Jacka Kuronia na działalność „Nigdy Więcej”, o *Brunatnej księdze* i swojej misji: „Naszym zadaniem jest wywieranie skutecznej presji na organa ścigania i wymiar sprawiedliwości, by robiły z nazistowskimi bandytami wreszcie to, co nakazuje im prawo – po to w końcu są powołani i za to im płacimy”².

W numerze tym znajduje się też tekst Mariusza Ślubowskiego o neofaszystach na Uniwersytecie Warszawskim, którym marzy się zorganizowanie spotkania z francuskim nacjonalistą Le Penem – odważny i demaskatorski, wskazuje negatywnych bohaterów tej opowieści z imienia nazwiska. Ślubowski pisze, że na uniwersytecie powstaje faszyzujące pismo „Auditorium”, a w nim znaleźć można tekst o Ianie Stuarcie Donaldsonie, zmarłym w 1993 roku założycielu zespołu Skrewdriver,

znanym neonaziście i twórcy międzynarodowej, uznawanej za terrorystyczną organizacji Krew i Honor. Autor – również student Uniwersytetu Warszawskiego – pisze, że „pragnie przybliżyć jego postać oraz w rocznicę śmierci oddać mu hołd”⁸.

Po publikacji numeru „Nigdy Więcej” opisani narodowcy grożą, że jeśli numer trafi do dystrybucji, to z jego redakcją „będzie źle”. Ta jednak nie daje się zastraszyć. Chce być niezależna, także od gróźb.

Politycy nie doceniają działalności „Nigdy Więcej”. Wyjątkiem jest Jacek Kuroń, wówczas przewodniczący sejmowej Komisji Mniejszości Narodowych i Etnicznych. Legenda opozycji w PRL, niepodważalny autorytet, naprawdę przejmuje się problemem rosnącej radykalizacji. Nawiązuje kontakt z działaczami, zaprasza na posiedzenie komisji poświęcone problemowi neofaszyzmu.

Z magazynem „Nigdy Więcej” współpracuje też Adam Bodnar, późniejszy rzecznik praw obywatelskich, wówczas student prawa. Wykazuje, że w nowo tworzonych konstytucjach europejskich państw zwykle znajduje się przepis, który zabrania działalności rasistowskiej i faszystowskiej. W przygotowywanym projekcie polskiej konstytucji takiego zapisu nie ma.

Kornak, Pankowski i Bodnar przekonują Kuronia, że warto o tym pomyśleć. Dogadują się z Polską Unią Studentów Żydowskich i razem rozkręcają kampanię na rzecz wpisania do tekstu konstytucji zakazu działalności organizacji promujących szkodliwe ideologie. Na ostatniej prostej udaje im się dopiąć swego – Jacek Kuroń doprowadza do spotkania z cieszącym się dużym autorytetem Tadeuszem Mazowieckim, pierwszym premierem Trzeciej Rzeczypospolitej, współprzewodniczącym Komisji Konstytucyjnej Zgromadzenia Narodowego. Mariusz Ślubowski, Adam

Bodnar i Rafał Pankowski przekonują Mazowieckiego, że taki przepis w konstytucji jest potrzebny.

W przyjętej w 1997 roku Konstytucji RP umieszczony zostaje artykuł 13: „Zakazane jest istnienie partii politycznych i innych organizacji odwołujących się w swoich programach do totalitarnych metod i praktyk działania nazizmu, faszyzmu i komunizmu, a także tych, których program lub działalność zakłada lub dopuszcza nienawiść rasową i narodowościową, stosowanie przemocy w celu zdobycia władzy lub wpływu na politykę państwa albo przewiduje utajnienie struktur lub członkostwa”. Zapis jednak w praktyce niewiele jeszcze zmienia. Systemy polityczny i prawny są niewydolne, a politycy uważają, że prawicowy radykalizm nie jest problemem znaczącym społecznie.

Działacze „Nigdy Więcej” prowadzą w tej sprawie wiele rozmów, podczas których słyszą, że chodzi „tylko o subkultury”, co tak naprawdę „nikogo nie interesuje”. Teraz najważniejsze jest „doganianie Zachodu” – odnalezienie się w kapitalizmie, wzrost gospodarczy i indywidualny sukces. Skupiamy się na ekonomii, zapominamy o kulturze, a przede wszystkim edukacji. Tymczasem „Nigdy Więcej” konsekwentnie przestrzega: jeśli teraz zaniedbamy pewne zagrożenia, później możemy nie mieć sił, żeby sobie z nimi poradzić.

Przepowiednia się spełnia: naszywki z logo neonazistowskiego zespołu Skrewdriver widzę na kurtkach uczestników Marszu Niepodległości w roku 2021. Dwadzieścia cztery lata po wpisaniu artykułu 13 do konstytucji.

PARTIA

W latach dziewięćdziesiątych Polska funkcjonuje jeszcze mimo wszystko jako przykład kraju, w którym nie ma znaczących, oficjalnych ruchów radykalnie prawicowych czy nacjonalistycznych. Zmienia się to, kiedy do

polskiej polityki wchodzi Liga Polskich Rodzin Romana Giertycha. To właśnie ona staje się kolebką generacji, która dzisiaj stoi na czele Konfederacji i Ruchu Narodowego.

Latem 2001 roku z drukarni do sztabu wyborczego LPR jadą samochody wyładowane plakatami. Na nich główne hasło: „Żeby Polska Polską była”. Do struktur partii Giertycha wchodzi działacze organizacji, którą odnowił – Młodzieży Wszechpolskiej. W wyborach parlamentarnych LPR dostaje ponad milion głosów, co daje wynik 7,87 procent poparcia, trzydzieści sześć mandatów poselskich i dwa senatorskie.

W wyborach startuje też Radosław Parda, rocznik 1979, czołowy działacz Młodzieży Wszechpolskiej z Dolnego Śląska. Spotykam się z nim w centrum Warszawy, w kawiarni sąsiadującej z budynkiem, do którego należy fragment muru pamiętającego czasy warszawskiego getta – jedyny zachowany do dzisiaj.

Młodzież Wszechpolska, do której Parda wstępuje w czasach polskiej transformacji, chce wychować młodych na narodowców i stąd cały system endeckiej edukacji: obowiązkowe lektury, testy wiedzy, kolejne etapy rozwoju. Te założenia nie zmieniają się do dziś, podobnie jak ściśle określona pionowa hierarchia. Parda do Młodzieży Wszechpolskiej trafia jako nastolatek i dobry uczeń z patriotycznej rodziny.

– Był to patriotyzm pod pewnymi względami podobny do amerykańskiego. W domu ważne były symbole, hymn. Jak gra reprezentacja i śpiewa hymn, to się wstaje i śpiewa razem z nią. Dla mnie to oczywiste do dziś – opowiada.

Należał wówczas do harcerstwa, gdzie też pielęgnowało się patriotyczne wartości. Kiedy publicznie grano *Rotę*, stawał na baczność i śpiewał.

W kształtowaniu się jego poglądów ważny jest wkład dziadka.

– Wtedy wielu nastolatków czerpało poglądy od swoich dziadków. Tak też było ze mną – mówi. – A światopogląd tamtego pokolenia był dość klarowny. Dlaczego? To naturalne: bo byli to ludzie, którzy pamiętali wojnę. Wróg był dla nich jeden: Niemcy. Dziadek opowiadał mi, jak jego brata Niemcy rozstrzelali. Dla niego Niemcy to było zło. Po prostu. Nieważne, czy ze swastyką na ramieniu, czy bez.

Radosław chce wiedzieć więcej o historii i polityce. We Wrocławiu zagląda do antykwariatu, który prowadzi syn przedwojennego narodowca. Antykwariusz podsuwa lektury, podpowiada, na co zwrócić uwagę. Od książki do książki, od rozmowy do rozmowy – tak Parda trafia na kogoś z reaktywowanej po komunie Młodzieży Wszechpolskiej. Ten proponuje: przyjdź na konferencję, posłuchaj. Parda przychodzi. Referaty wygłaszają doktorzy i profesorowie. Poważne tematy, poważne środowisko, które mówi o obozie narodowym – na młodym chłopaku robi to wrażenie.

– Potem poszedłem na spotkanie Młodzieży Wszechpolskiej, bo ona tę konferencję organizowała. I wsiąknęłam – mówi.

Nad politycznymi przeciwnikami czuje „intelektualną przewagę”.

– Dla nas partnerem do rozmowy mógł być, przykładowo, Bogdan Zdrojewski, prezydent Wrocławia. Ale kolega z lewicowej młodzieżówki? No, nie. My byliśmy lepiej przygotowani.

Ma dwadzieścia trzy lata, kiedy zostaje radnym sejmiku wojewódzkiego. Twierdzi jednak, że nie o karierę chodziło, a Młodzież Wszechpolska nie była partyjną młodzieżówką.

– Do młodzieżówek ludzie przychodzili robić kariery, nosić teczkę za posłem. Myśmy byli nakierowani na wychowywanie. A partia, z którą na pewnym etapie współpracowali nasi liderzy? Ona była dla nas trzeciorzędna.

Dlaczego właśnie Młodzież Wszechpolska, a nie prężny we Wrocławiu NOP?

– Do NOP-u nigdy nie było mi blisko. Powiedzmy, że inaczej postrzegałem kwestię stosunków międzynarodowych – mówi Parda. – Radykalizm może się wydawać nęcący, ale później staje się ślepą uliczką, do niczego nie prowadzi. W polityce międzynarodowej chodzi o to, żeby nasz kraj był silny, żeby Polska była silna. A czy dojdziemy do tego radykalizmem, takim, jaki głosi NOP? Nie sądzę.

Fakt, że w NOP-ie odnajdują się skinheadzi i kibole, młodemu wszechpolakowi nie przeszkadza?

– Wtedy tak wyglądała Polska – stwierdza po latach. – Było też wiele lewackich radykalnych organizacji. Kibole? Oni zawsze byli, są i będą. Pod tym względem Polska nie różniła się od reszty świata.

Szybko pnie się w organizacyjnej hierarchii. Najpierw zostaje liderem w regionie, wkrótce potem prezesem centrali.

Właśnie idą nowe czasy. Skompromitowana prawica przegrywa wybory, do władzy dochodzą socjaldemokraci, którzy chcą wprowadzić Polskę do Unii Europejskiej. Wszechpolacy mają cel: przekonać głosujących, by w referendum akcesyjnym postawili krzyżyk przy słowie „nie”. Ruszają w Polskę.

GÓRA

W Białymstoku krzyczą: „Ani Moskwa, ani Zachód, tylko Polska dla Polaków!”. W Stalowej Woli podczas festynu popierającego integrację ustawiają własne stoisko z antyunijnymi materiałami. Wywieszają też transparenty z krzyżem celtyckim. We Wrocławiu palą publicznie unijną flagę. Nie działają samotnie – wstąpienie Polski do UE jest paliwem napędzającym wszystkie nacjonalistyczne organizacje.

Członkowie NOP-u w kilkuset miejscach publicznych w Łodzi umieszczają napisy „UE – NIE”. Antyunijne pikiety organizuje Polska Wspólnota Narodowa Bolesława Tejkowskiego, ale też nieznanie szerzej stowarzyszenie Narodowy Ruch Antyunijny. Działacze Ligi Polskich Rodzin w całej Polsce zakłócają spotkania z urzędnikami państwowymi odpowiedzialnymi za integrację z UE. Działacze Stowarzyszenia Narodowego podczas manifestacji w Rzeszowie wykrzykują: „Żydzi, Żydzi, Żydzi, cała Polska was się wstydy!” W Opolu działacze Młodzieży Wszechpolskiej i ONR-u krzyczą do premiera Leszka Millera: „Miller won z polskich stron!”, plują na unijną flagę i wycierają w nią buty.

Starania nacjonalistów i eurosceptyków z LPR, populistów z Samoobrony Rzeczypospolitej Polskiej i pomniejszych prawicowych partii nie przynoszą jednak skutków. Na pytanie: „Czy wyraża Pani/Pan zgodę na przystąpienie Rzeczypospolitej Polskiej do Unii Europejskiej?”, odpowiedzi „tak” udzieliła 77,45 procent głosujących.

Od 1996 roku na Górę Świętej Anny i do znajdującej się tam bazyliki pielgrzymują mniejszości narodowe i etniczne. Dla Ślązaków z Opolszczyzny góra jest symbolem triumfu nad Niemcami podczas trzeciego powstania śląskiego (powstańcy zajmowali górę przez kilka majowych dni 1921 roku). Stał tu Pomnik Czynu Powstańczego. Na początku lat dwutysięcznych podczas pielgrzymek zaczęli się pojawiać lokalni samorządowcy razem z przedstawicielami mniejszości niemieckiej. Ówczesny wojewoda opolski nazwał to miejsce „górami pojednania”.

W maju 2004 roku, kilka dni po wstąpieniu Polski do UE, pojawiają się tam nacjonałiści. Swoje poglądy postanawia zmanifestować Młodzież Wszechpolska. „Przyszłym pokoleniom przekazemy to wielkie hasło: Śląsk na zawsze polski!” – woła Radosław Parda. Słuchają go duchowni, samorządowcy i przerażeni urzędnicy z mniejszości niemieckiej.

A jednak Polska wchodzi do Unii i można sądzić, że podobne głosy są niegroźnym marginesem. Elity kraju są przekonane, że teraz droga jest tylko jedna: demokracja. Wydaje się, że frustracja spowodowana prywatyzacją, bezrobociem, upadającą ochroną zdrowia i powszechną korupcją ustąpi powszechnej nadziei. Uśpione demony nigdy się nie zbudzą, zapanują wolność, równość i braterstwo.

Będzie inaczej.

W 2004 roku Rafał Pankowski w rozmowie z „Tygodnikiem Powszechnym” wygłasza gorzką, w tamtych czasach nie dla każdego zrozumiałą obserwację: „Krajobraz brunatnieje”⁹.

MINISTROWIE

Na początku 2005 roku „Gazeta Wyborcza” ujawnia: działacze Ligi Polskiej Rodzin sprzedawali w sklepie internetowym antysemityczne książki, między innymi *O przyczynach szkodliwości Żydów* Stanisława Staszica czy *Międzynarodowego Żyda* Henry’ego Forda. Kupić można było też broszurę *O organizacji, celach i zadaniach Młodzieży Wszechpolskiej* z tekstami innego działacza Wojciecha Wierzejskiego, który pisał (pisownia oryginalna): „Musimy wiedzieć kto jest naszym wrogiem (...). Wroga poznajemy w historii: zawsze był nim Niemiec (...), masoneria, sprzyśnięte z nim prawie zawsze niewdzięczne żydostwo i rodzimi sprzedawczycy”¹⁰. Jeden ze sprzedawców zostaje zawieszony, ale tylko na tydzień.

Ludzie związani z Młodzieżą Wszechpolską i LPR atakują uczestników manifestacji z okazji zbliżającego się Dnia Kobiet w Trójmieście. Wykrzykują: „Zrobimy z wami, co Hitler zrobił z Żydami!”, „Narodowy radykalizm” i „Sopot miastem bez pedałów”. Kilka dni później, podczas Manify w Trójmieście, wracają i krzyczą: „Lesbijki do gazu!”.

Czy odstrasza ją tym swoich wyborców? Narażają się na społeczny ostracyzm? Przeciwnie: narodowy, tradycjonalistyczny elektorat jest zjednoczony jak nigdy. Jednocześnie zjawisko rosnącego nacjonalizmu jest przez większą część opinii publicznej bagatelizowane albo nawet negowane, wypierane. Nieliczne środowiska – na czele ze Stowarzyszeniem „Nigdy Więcej” – mówią o tym głośno, bo już wtedy wiedzą, że mają do czynienia nie z subkulturą ulic i stadionów, ale ze skrajną prawicą zorganizowaną w różnych grupach politycznych, choć jeszcze mocno rozproszonych. Mimo to prawie nikt problemu nie traktuje poważnie. Brunatna fala zabiera głównie ludzi młodych. Do reprodukcji nacjonalizmu w kolejnych pokoleniach dochodzi stopniowo, krok po kroku.

Fala wzbiera, rozsadza brzegi. Setki dopływów zmieniają się w jedną potężną rzekę.

W 2005 roku LPR ponownie wchodzi do sejmu, a władze partii na czele z Romanem Giertychem coraz bardziej zbliżają się do środowiska Radia Maryja i samego ojca Tadeusza Rydzyka. To na antenie stacji z Torunia swobodnie i bez sprzeciwu prowadzących audycje prezentują najbardziej krzywdzące, dyskryminujące mniejszości poglądy. W antysemityzmie przewodzi kandydat LPR do senatu – a dziś czołowy prawicowy publicysta – Stanisław Michalkiewicz, który na przykład o „Gazecie Wyborczej” mówi, że jest „osobliwym przykładem żydowskiej piątej kolumny na terenie Polski”, działającym na rzecz „przedsiębiorstwa Holokaust”. Sojusz z ojcem Tadeuszem Rydzykiem sprawi, że narodowcy trafią z przekazem do tysięcy słuchaczy i widzów mediów redemptorysty.

W roku 2006 wszechpolak Roman Giertych zostaje ministrem edukacji. Zasłynie między innymi wprowadzeniem do szkół obowiązkowych mundurków, zmianami na liście lektur (na przykład usunięciem z niej książek Witolda Gombrowicza) oraz amnestią dla absolwentów, którzy nie

zdali matury z matematyki, i usunięciem jej z listy przedmiotów obowiązkowych na egzaminie dojrzałości. Wiceminister w jego resorcie publicznie zaprzecza teorii ewolucji, a na antenie radia Tok FM ogłasza, iż „nauczyciele, którzy ujawnią, że są homoseksualistami, będą zwalniani z pracy”¹¹.

Wszechpolak Radosław Parda pracuje w sześciu sejmowych komisjach. Na mównicę wchodzi szesnaście razy, składa trzynaście interpelacji. Polityka go jednak rozczarowuje i Parda stopniowo wycofuje się z jej głównego, partyjnego nurtu. Rok przepracowuje jako sekretarz stanu w Ministerstwie Sportu. Ten epizod wspomina najlepiej. O reszcie pewnie wolałby zapomnieć.

– W 2007 roku modliłem się, żeby się do sejmu nie dostać – mówi. – W ogóle nie chciałem startować, ale z różnych względów się na to zdecydowałem. Na szczęście bez skutku.

– Tak się pan na polityce sparzył? – dopytuję.

– Sparzył nie. Rozczarował. Ciekawy czas był w ministerstwie, bo świat sportu był zupełnie apolityczny. A ja po doświadczeniu sejmowym politykę generalnie oceniam źle.

– Bo?

– Bo jej główna zasada jest dokładnie odwrotna niż w życiu. W życiu bardzo ważne jest, żeby dotrzymywać umów. W polityce jest na opak: korzyść z niedotrzymania umowy bywa większa niż z dotrzymania. Tam słowo nic nie znaczy.

W 2007 roku po serii ujawnionych przez dziennikarzy afer koalicja rządowa zaczyna się chwiać. Politycy współpracujących partii wylewają wzajemne żale na sali sejmowej. Zła passa nie omija LPR. Kiedy wypływa skandal z hajlującymi działaczami Młodzieży Wszechpolskiej (więcej o tym w rozdziale *Zbliżenie trzecie*), Roman Giertych ogłasza zerwanie

współpracy ze swoim matecznikiem. Dla wielu działaczy to jak nóż w plecy.

– Ja nie miałem do tego stosunku osobistego – zarzeka się Parda. – Jasne, uważałem to za błąd, ale taktyczny. Trzeba było zejść z ciosu, a nie dać się zagonić do narożnika. Afera „pięciu piw”? Przy późniejszych występkach polityków tamta afera to igraszka. Za tym gestem nie szła żadna negatywna historia.

– Żadna?!

– Wie pan, to skomplikowane. Europejska prawica witała się w ten sposób przed wojną. A Hiszpania Franco? A Portugalia Salazara?

– Tak witali się hitlerowcy. Panie Radosławie, my teraz siedzimy obok muru getta!

– Zgadzam się – mówi. – Ale ważna jest intencja, z jaką ten gest był przez tych działaczy wykonywany. W aferze „pięciu piw” tej intencji nie było – ucina.

W Młodzieży Wszechpolskiej takie poglądy to nie wyjątek. Robert Winnicki, twórca Ruchu Narodowego, w wywiadzie dla „Polityki”: „Heilowanie było głupie i niepotrzebne, ale to margines. Zetknąłem się z nim wyłącznie w żartach, w dużej mierze jako z reakcją na nagonkę wyzywającą od »faszystów i nazistów«”¹².

W 2007 roku rząd podaje się do dymisji, a LPR nie dostaje się do sejmu.

– I to był dla nas jeden z najważniejszych momentów – twierdzi Radosław Parda.

Choć czas spędzony w sejmie wspomina źle, wiele się dzięki niemu nauczył – razem ze współlnikiem prowadzi w Warszawie firmę lobbingową. Według niego przegrane wybory sprawiają, że środowisko narodowców pozbywa się ciężącego na nim balastu: partyjnych konotacji.

– Marsz Niepodległości organizowany w czasach rządów z PiS-em był wydarzeniem partyjnym i wielu ludziom ze środowiska nie było z nim po drodze – mówi. – Po upadku rządu, kiedy zniknęła partia odpowiedzialna za cały narodowy przekaz, zrobiło się miejsce na coś nowego. Na wspólne wydarzenie, na które przyjadą wszystkie środowiska.

CZYSZCZENIE

– Rozmawiałeś z panem Parda? To ciekawe. Widziałem go niedawno. Za to, jak dziś się prezentuje: te garnitury, modne sweterki, ułożone włoski, jego dawni koledzy pewnie by go wyśmiali, a może i oklepali – mówi mi doktor Przemysław Witkowski, wrocławianin, politolog, dziennikarz, który od lat bada rozmaite ekstremizmy.

Rozmawiamy o ewolucji środowiska narodowców i ich drodze od subkultury do ruchu politycznego. Witkowski opublikował na ten temat dziesiątki artykułów w największych tytułach prasowych, na stałe współpracuje z „Polityką” i „Krytyką Polityczną”.

– Pan Parda w okresie młodocianym intensywnie działał w środowisku kibiców piłkarskich. Wtedy Młodzież Wszechpolska nie była taką grzeczną i ułożoną organizacją, na jaką dziś się kreuje. W jej szeregach było też sporo skinheadów – dodaje.

Czy uliczni bojówkarze z kijami bejsbolowymi i dzisiejsi narodowcy w eleganckich garniturach to dwa oddzielne zbiory, osobne środowiska, które – jak chcieliby sami narodowcy – nie mają ze sobą nic wspólnego? Według politologa jest przeciwnie: są ze sobą nierozzerwalnie związane.

– Skini pływali między różnymi organizacjami: NOP-em, Młodzieżą Wszechpolską, Stronnictwem Narodowym „Szczerbiec”¹³ i podobnymi – tłumaczy. – Ich cechą naczelną było wkurwienie i dążenie do starć fizycznych. Kiedy okazało się, że te organizacje robią z nich głównie mięso

armatnie, jedni poszli w klimaty nacjopogańskie, do rodzimowierców, a inni stworzyli Obóz Narodowo-Radykalny.

Można więc powiedzieć, że są z grubsza trzy rodzaje skinheadów: neonazistowscy, neopogańscy i narodowo-katoliccy. Kto zostanie tym pierwszym, pewnie będzie nim do końca życia. Drudzy zakładają zespoły metalowe, zaczynają się pogrążyć w niszy: czcić Wielką Lechię albo Światowida. Ci trzeci z wiekiem i przyływem pieniądza – który pojawia się po wejściu do wielkiej polityki – zaczynają się zamieniać w ultrareligijnych konserwatystów.

Kiedy wszechpolacy zostają nieformalną młodzieżówką LPR, zaczyna się „wielkie czyszczenie”. Przyszłe elity polityczne nie chcą mieć w swoim otoczeniu kogoś, kto swoją niedawną przeszłością i kłopotliwymi nawykami naraziłby ich reputację na szwank.

Jednak „czyszczenie” jest tylko pod publiczność i pod sondaże poparcia. W rzeczywistości środowiska neonazistowskie nadal miesza się z tymi, które oficjalnie potępiają hajlowanie i czczenie swastyki. Więcej: według Witkowskiego polska prawica nigdy nie odcięła się od związków z najbardziej radykalnymi środowiskami.

– Tak jak na przykład w Niemczech, gdzie możesz sobie być konserwatystą, ale na pewno nie będziesz się zadawał z ludźmi z neofaszystowskiej NPD. W Polsce ci, którzy mieli fantazje o politycznych karierach, zaczęli się ugrzeczniać, co nie znaczy, że przestali chodzić na koncerty Honoru, Konkwisty 88, Szwadronu 97. Bo chodzili. Ani że nie mieli kolegów ze swastykami na skórze. Bo mieli.

Długo po rozmowie z Radosławem Pardą jeszcze raz szukam informacji o działalności narodowców na Dolnym Śląsku. W wyszukiwarce z grafiką znajduję zdjęcie opublikowane lata temu przez jeden z tabloidów. Na nim

Parda w towarzystwie postawnego jegomościa. Obaj roześmiani. Obaj hajlują.

1 Ireneusz Krzemiński, *Dmowski i antysemityzm narodowo-katolicki*, magazyn „Nigdy Więcej” 2016, nr 22.

2 Odwołanie do koncepcji „nowego człowieka”, występującej w ideologii „trzeciej drogi” i w ruchu brytyjskich neofaszystów.

3 Irena Morawska, *Kiedyś odrosną nam włosy*, „Gazeta Wyborcza”, 12 sierpnia 1995.

4 Rafał Pankowski, *Myślałem wtedy: Dawniej Polacy walczyli w zbrojach, dzisiaj walczą w glanach*, magazyn „Nigdy Więcej” 2009, nr 17.

5 Imię i nazwisko znane wydawcy.

6 Honor, *Biały Front*, 1991.

7 Marcin Kornak, *Drodzy czytelnicy*, magazyn „Nigdy Więcej” 1996, nr 3.

8 Mariusz Ślubowski, *Wielbiciele nazizmu na Uniwersytecie Warszawskim*, magazyn „Nigdy Więcej” 1996, nr 3.

9 *Krajobraz brunatnieje*, Andrzej Brzeziecki rozmawia z Rafałem Pankowskim, „Tygodnik Powszechny” 2004, nr 9.

10 Cyt. za: Joanna Cieśla, *Wszecpolacy*, www.polityka.pl, 29 czerwca 2007.

11 Potem wiceminister wycofywał się z tego rakiem i tłumaczył, że nie takie było znaczenie jego wypowiedzi. Miało chodzić mu o nauczycieli, którzy będą promować homoseksualizm wśród uczniów.

12 Wojciech Szacki, *Wieczny student obala republikę*, „Polityka” 2012, nr 47.

13 Organizacja niezależna od Stronnictwa Narodowego „senioralnego”.

ZBLIŻENIE PIERWSZE

ZESZMACENIE

Marzy o państwie wyłącznie dla białych. Tych o pochodzeniu nieeuropejskim chciałby z Polski deportować. O historii i społeczeństwie wie sporo, bo właśnie uczy się do matury.

Znajduję go na internetowej grupie dyskusyjnej dla młodych nacjonalistów. Wojtek ukrywa się tam pod pseudonimem. Na propozycję rozmowy reaguje szybko, chętnie odpowie na kilka pytań. Pod jednym warunkiem: wyłącznie za pomocą klawiatury.

Jego życie kręci się obecnie wokół nauki, polityki i treningów. Jest nie tylko zwolennikiem dominacji rasy białej, ale także zawodnikiem mieszanych sztuk walki z umiejętnością łamania szczęk i duszenia.

Dwa razy w tygodniu trenuje MMA, do tego dochodzą dwa lub trzy treningi siłowe, stara się żyć zdrowo (tylko czasem zdarza mu się wypić), nie tyka syfu, jakim są narkotyki, bo za bardzo się napatrzył, jak dragi zmieniły kilku jego znajomych w chodzące zombie.

Skąd fantazja o państwie tylko dla białych? Bo – wywodzi maturzysta – biała rasa europejska jest obecnie najmniej liczna na świecie. Jest też zdaniem Wojtka najbardziej narażona na „wyginięcie” z powodu „niskiej dzietności”, „szkodliwych wzorców”, „degeneracji”. Wojtek uważa, że nie

możemy sobie pozwolić na mieszanie się z „niebiałymi”, bo będzie to kolejny krok do wymarcia. Do „żółtych” czy „czarnych” – jak do mnie pisze – nie ma nic, sądzi jednak, że „powinni żyć oddzielnie”. Nie z uprzedzeń, ale z konieczności. Logika narodowca jest jak równanie z matematyki – dla Wojtka „wymarcie rasy białej” równa się wymarciowi narodu polskiego. Oczywiście jest więc, że nacjoniści powinni się starać zapobiec wynikowi tego równania.

Inne marzenia maturzysty? Usunięcie „degeneracji typu LGBT” i narkomanii. Jak? Przez „przymusowe leczenie”. Zachęcenie młodych do posiadania jak największej liczby dzieci, na przykład za pomocą programów socjalnych. Militaryzacja kraju.

Wojtek jest za tym, żeby „każdy zdrowy, dorosły Polak” nie tylko odbył przeszkolenie wojskowe, ale regularnie uczestniczył w ćwiczeniach i umiał się posługiwać bronią palną. W razie zagrożenia kraju wystarczyłoby ogłosić pobór i nie trzeba byłoby uczyć ludzi wszystkiego od podstaw.

Nie, wcale nie uważa, że dostęp do broni może spowodować wzrost liczby aktów przemocy, strzelanin, jak na przykład w Stanach Zjednoczonych. Winna nie jest sama broń, wywodzi Wojtek, tylko „napięcia społeczne, absurdalne przepisy i system, który w Stanach spycha wielu ludzi na margines” i „tworzy desperatów zdolnych do chorych czynów”. Do tragedii by nie dochodziło, gdyby broń była w rękach „normalnych obywateli”, a nie „gangsterów” czy „rozchwianych psychicznie kretynów”. Istnienie tych ostatnich w narodzie polskim jest według niego wykluczone – ten składa się wyłącznie z normalnych.

Wojtek utożsamia się z doktryną „trzeciej drogi”, według której powinna nadejść narodowa rewolucja, światem winny rządzić korporacje, a socjalizm jest tak samo zły jak kapitalizm. Nie było w jego życiu żadnego szczególnego wydarzenia – było za to zainteresowanie historią Polski,

patriotyzm, przekonanie o tym, że „tradycje są warte tego, by ich bronić”. Doszedł do tego sprzeciw wobec wszechobecnego w jego pokoleniu „zeszmacenia”, a konkretnie używania narkotyków, poparcia dla LGBT (co Wojtek pisze małymi literami: lgbt), „tolerancji wobec kolorowych”. Z czasem jego poglądy zaczęły się jeszcze bardziej radykalizować. Trafił na podobnie myślących ludzi i razem zaczęli chodzić na Marsz Niepodległości, angażować się w uliczną propagandę: tworzyć plakaty, wlepki, graffiti.

Wysłała mi serię zdjęć zrobionych podczas akcji na osiedlu. Na nich wlepki na znakach drogowych, skrzynkach elektrycznych i pocztowych, ścianach budynków, przystankach autobusowych i słupach telegraficznych. W większości promują nacjonalistyczny portal 3droga.pl. Grafiki przedstawiają narodowców z zasłoniętymi twarzami, z krzyżami celtyckimi i napisami: „Biały honor, biała duma”, „Strażnicy białej rasy”, „Polska – pride of Europe”, „Zmień życie na lepsze – zostań nacjonalistą”, „White Power”, „Jebać antife”. Na jednej z wlepek zakapturzony mężczyzna w jednej ręce trzyma miecz lub maczetę, w drugiej – odciętą głowę. Podpis: „Chase your local antifascist gang” (z ang.: Ścigaj swój lokalny antyfaszystowski gang).

Jako dzieciak rozumiał nacjonalizm w kategoriach „wszystko albo nic”, wierzył, że narodowa partia dojdzie do władzy i „zrobi porządek”. Jako maturzysta myśli, że to nierealne, bo w Polsce ludzie nie pozwolą radykalnym nacjonalistom na dojście do władzy i stworzenie rządu, ale trzeba działać dalej, nieustannie. Każda przekonana osoba, każda akcja, każdy marsz są zwycięstwem Wojtka i jego kompanów. Walka toczy się dalej. Walka jest sensem. Walka jest wszystkim.

Jego walka.

DERATYZACJA

Nie wierzy, nie ufa, pyta: dla kogo piszesz, z kim gadałeś, mów. Otwiera się dopiero po spotkaniu w cztery oczy i pisze wiadomości, prawie codziennie. Nawiązuje do aktualnych newsów, opowiada anegdoty, pyta o zdanie na różne tematy. Jest wylewny i niepoohamowany, jakby to pisanie zajmowało mu większość dnia.

Kiedyś napisał artykuł. W „Szturmie” – czasopiśmie radykalnych nacjonalistów prowadzonym przez Grzegorza Ćwika – w 2016 roku opublikował tekst pod tytułem *Deratyzacja*. „Drobnoustroje traktuje się środkami chemicznymi i kończy ich przykrą egzystencję, niestety, w naszym kraju owe szkodniki rozrosły się do tak wielkich rozmiarów, że powinniśmy chyba raczej mówić o konieczności deratyzacji. Pora odszczurzyć polskie życie publiczne”.

Michał, z zawodu prawnik, rocznik 1993, niepozorny chłopak o uroku szkolnego prymusa. Kogo chciałby potraktować jak szkodników zasługujących jedynie na wytępienie? „Czyste, obrzydliwe lewactwo”, „liberalno-lewackie struktury wsparte przez media, demoliberalne fundacje i organizacje przeróżnych spekulantów” i „całą tą lemingowo-bankstersko-lewacką hołotę” (pisownia oryginalna), lewicową partię Razem i Komitet Obrony Demokracji – ruch protestu powstały za czasów rządów PiS. „Należy opracować plan deratyzacji i zacząć go wcielać w czyn. Niech nadchodzący rok będzie dla nas pracowity, ale i niezmiernie efektywny” – kończy Michał.

Pytam go, czy dziś swoich słów żałuje.

– Tego fragmentu, który został zinterpretowany na opak? Oczywiście – odpowiada. – A czytałeś całość? To wiesz, że kontekst był zupełnie inny.

– To znaczy jaki?

– Lewica ogłasza, że trzeba zorganizować „protesty studenckie”. Jest to też okres, kiedy KOD jest na samym szczycie popularności i generalnie tworzy się szeroka antypisowska koalicja. No i pamiętam, że wówczas dość logiczne, przynajmniej w moim odczuciu, było, że jeżeli polityka przenosi się na ulice, to środowisko narodowe również powinno się zaangażować. I teraz tak: tekst ma iść do „Szturmu”, prawda? Cała estetyka i retoryka „Szturmu” jest dość radykalna. Pomyślałem: jakoś trzeba to ugryźć. I wtedy zorientowałem się, że jak sobie weźmiemy słowo „szkodnik”, to w środku masz „KOD”. Wiesz: „szKODnik”. A że szczury największe, to padło na szczury.

– I deratyzację.

– Ale co? Mam przeproszać? – Lekko się oburza. – Forma była fatalna, natomiast ja nacjonalistą byłem, jestem i będę. Jasne, można powiedzieć, że nie przeproszałbym za poglądy, tylko za ich formę wyartykułowania, ale... Dla wielu byłyby to i tak pusty gest. Zupełnie niewiarygodny.

– Z lewakami rozmawiasz?

– Piłem kiedyś wódkę z trockistami.

Przy Nowym Świecie trwa typowa sobota: restauracje pełne ludzi, rodzinne spacerki. Widziałem go w tłumie już z daleka: dzinsy, bluza z kapturem, pod spodem czarny T-shirt marki European Brotherhood popularnej wśród europejskich nacjonalistów. Malowidło przedstawiające umięśnionych mężczyzn: robotnika, żołnierza i kogoś jeszcze. Po stroju trudno określić.

– Nawet się zastanawiałem, czy ubrać się jak „typowy prawnik”, czy na luzie. Wybrałem luz – mówi. – Śmiesz mnie to, jak ludzie sobie wyobrażają strój narodowca.

– Jak?

– Gruba bluza, militarne buty i takie same spodnie. W czasie marszów można po tym rozpoznać policyjnych tajniaków, którzy myślą, że dzięki temu „wtopią się w tłum”, a od razu od niego odstają. Nie ma czegoś takiego jak strój narodowca.

Są za to knajpy, do których narodowiec za skarby świata nie wejdzie – Michał na przykład do lokalu z tęczą przy drzwiach. Nawet nie dlatego, że ten symbol szczególnie działa mu na nerwy.

– Nie pcham się tam, gdzie mnie nie chcą – mówi i szybkim krokiem prowadzi mnie dalej.

Znajduje pub wciśnięty między kamienice. Siadamy, Michał zaczyna mówić. Głos ma tak donośny, że przekrzykuje wszystkich w knajpie. Mężczyzna ze stolika obok podchodzi i pyta: „Panowie, macie problem ze słuchem, że tak krzyczycie?”.

Michał pochodzi z Mazowsza, do Warszawy wrócił po studiach w Krakowie, pracuje jako prawnik.

Jego nacjonalizm zaczął się od Wałęsy.

– Nie przesłyszałeś się, od Wałęsy – potwierdza. – Miałem sześć lat, jak znalazłem monetę z napisem „Solidarność” i pomnikiem stoczniovców. Poszedłem do mamy, zapytałem: co to jest ta Solidarność? Jak tu sześciolatkowi wytłumaczyć, czym był komunizm i czym była Solidarność?

Mama jednak tłumaczy. Niedługo potem są wybory prezydenckie, w których startuje Lech Wałęsa. Michał maluje plakat z hasłem ówczesnego prezydenta: „Czarne jest czarne, białe jest białe”, i wywiesza go w oknie. Mieszkają wtedy przy ruchliwej ulicy.

Znajomi pytają ojca, czy nagle się jakoś zaangażował politycznie. A to był on, siedmiolatek Michał, portrecista Wałęsy.

Trochę się dziwi, że pytam go o dzieciństwo. Bo co w dzieciństwie narodowca jest takiego ciekawego?

– Pamiętam dużo dobrego. Wakacje, wyjazdy. Sukcesy i sukcesiki. Najgorsze? Co mam ci powiedzieć, że nie lubiłem przedszkola? Pamiętam raz, jak płakałem strasznie, bo nie chciałem w nim zostać. Ponoć z rodzicami bawiłem się w odrabianie lekcji (mam jakieś przebłęski wspomnień związane z czytaniem elementarza, pisaniem literek, tego typu rzeczy) i nawet w niedziele czy w Boże Narodzenie uważałem, że trzeba się uczyć, więc tym bardziej przedszkole uznawałem za bezsensowne.

W młodości z domu wychodzi rzadko. Woli komputer, gry, fora internetowe. Czyta książki, dobrze się uczy, startuje w olimpiadach, niektóre kończy na wysokich miejscach.

Rodzice posyłają go do szkoły integracyjnej. Zdrowy, sprawny prymus Michał chodzi do klasy z niepełnosprawnymi dziećmi.

– Jak widzisz, nie sprawiło to, że stałem się wrażliwym na różnorodność lewakiem lub innym tęczowym aktywistą – mówi, a raczej wygłasza jak mówca na wiecu. Facet przy stoliku obok z nerwów zaciska szczęki. – Jedyne, czego się nauczyłem, to że „nie śmiejemy się z niepełnosprawności, bo to brzydko”.

W jego klasie jest kilka osób z niepełnosprawnościami, większość jest zdrowa. Jeden z jego najlepszych kumpli choruje na zanik mięśni. Po kilku latach przyjaźń się kończy.

– W dniu, w którym zachował się wobec mnie wybitnie, ale to wybitnie nie w porządku, nasza relacja z dnia na dzień się skończyła. I jego niepełnosprawność nie miała tu nic do rzeczy – podkreśla Michał. – Ja się z niepełnosprawnych nie śmieję. Nie kręcę też beki z biednych, bo tak mnie nauczyli rodzice. Ale to cecha jak każda inna. Jak umiejętność jazdy na nartach czy przyzwyczajenie do chodzenia co tydzień na mszę. To są po prostu rzeczy naturalne. Znowu wracamy do mitu o tym, że nacjonaści są nieczuli na ludzką krzywdę.

– A ty?

– Pytasz, czy ja jestem wrażliwy? Nie wiem. No, wkurwia mnie bieda i ludzka krzywda. Na cele charytatywne daję często i chyba dużo.

– Polakom pomagasz chętnie, ale za pomocą dla uchodźców to już nie jesteś.

– No, oczywiście, że nie.

– Bo?

– Bo pomagać na przykład ofiarom konfliktów na Bliskim Wschodzie trzeba tam, na miejscu. Jak jestem na dworcu Warszawa Wschodnia, to podbijam do datkomatu Caritasu i chociaż pięć dyszek przelewem puszczam.

Potem dodaje:

– Wiesz, jaki jest problem waszego środowiska? Że patrząc na nas, widzicie tylko tłum. Zbudowaliście sobie ten obraz na przebitkach TVN-u z Marszu Niepodległości. Dobrze ci radzę: unikaj narracji, że wszyscy jesteśmy z biednych rodzin, jesteśmy nienawidzącymi kobiet prawiczkami albo nasze poglądy wzięły się z jakiejś traumy w dzieciństwie. Traktujmy się poważnie, dobra?

EKSTERMINACJA

Warszawa, knajpa na świeżym powietrzu, wakacje, słońce, życie. I on – czołowy polski narodowiec starszego pokolenia, z zawodu historyk, kontynuator myśli przedwojennego filozofa Jana Stachniuka.

Tomasz Szczepański, rocznik 1964, to doktor nauk humanistycznych, historyk, pisarz i publicysta, kiedyś nauczyciel. W czasach PRL pisał do opozycyjnych pism. Pracuje w państwowym Muzeum Katyńskim. Przeszedł ewolucję: w latach osiemdziesiątych działał w ruchach

robotniczych, był w redakcji podziemnego „Frontu Robotniczego”, w 1987 roku współtworzył Polską Partię Socjalistyczną. Pod koniec dekady zainteresował się ideologią Zadrugi – nacjonalistycznego ruchu stworzonego w latach trzydziestych przez Jana Stachniuka, a w 1998 roku założył Stowarzyszenie na rzecz Tradycji i Kultury „Niklot”, które dziś jest najbardziej znaną organizacją promującą te idee. Potem związany był z rekrutującymi się spośród narodowców partiami Ruch Odbudowy Polski i Liga Polskich Rodzin, a ostatnio ze środowiskiem „Szturmu” i Grzegorza Ćwika.

Niklotowcy są najczęściej rodzimowiercami wyznającymi pradawne religie słowiańskie. Zgodnie z założeniami Zadrugi przyjmują słowiańskie pseudonimy – Stachniuk był Stoigniewem, pseudonim literacki Szczepańskiego to Barnim Regalica. Od lat jest autorytetem wśród narodowców. Kiedy jednego z nich pytam o trzy postaci, które jego zdaniem definiują ruch narodowy, wymienia Romana Dmowskiego, Bolesława Piaseckiego i właśnie Tomasza Szczepańskiego.

W 2017 roku pisze o nim stołeczna „Gazeta Wyborcza”. „Swastyka nie przeszkadza? – pyta w tytule redakcja. – Pracownik muzeum kieruje nacjonalistyczną organizacją”. W artykule Szczepański przyznaje, że broni Janusza Walusia, polskiego nacjonalisty i mordercy Chrisa Haniego – działacza komunistycznego z RPA, który dzięki swojej przeszłości w organizacji terrorystycznej był w stanie wpływać na czarnoskórych radykałów i przez to przyczynił się do przeprowadzenia pokojowych zmian w kraju. Według Szczepańskiego Waluś „cierpi niewinnie”. „Zabijanie komunistów jest czymś dobrym. Jeżeli nie będzie się ich likwidować, komuniści będą likwidować nas”¹⁴.

Rok później w przeddzień Marszu Niepodległości „Niklot” organizuje koncert „Ku Niepodległej”. Kiedy zapowiedź wydarzenia pojawia się

w mediach społecznościowych, wybucha skandal, bo na liście wykonawców są kapele z wyraźnymi nazistowskimi sympatiami. Wokalista jednej z nich – Szwed Joakim Karlsson – ma na piersiach tatuaż ze swastyką. Zagrać mają też polskie zespoły, między innymi Obłęd, który w piosence *Banda świń* śpiewa:

Chciałeś mej śmierci, lewacki psie, że w multi-kulti nie wierzyłem?
Ja nie zamierzam dzielić swego losu, gdy padnie rozkaz, złapię za broń.
Mam swoją ojczyznę i czystą krew. Nie dam się ścierwom zagnać na rzeź.
A ty wśród krzyków „Allah akbar” klęknij na piachu i nadstaw kark.

A także Legion Twierdzy Wrocław, który w kawałku *Plaga* ma tekst:

Czarne chmury nad Europą. Masa obcych, brudnych ras.
Musisz stawić temu czoła. Musisz walczyć, nadszedł czas!
Stań w szeregach białej armii. Broń czystości swojej krwi.

Po interwencji Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego, która zatrzymuje organizatorów, impreza zostaje odwołana. W rozmowie ze mną Szczepański twierdzi, że to nie on organizował ten koncert, tylko jego koledzy, którzy się tym zajmują i słuchają takiej muzyki. On najczęściej słucha folku lub neofolku. Zresztą uważa, że muzyka nie niesie ze sobą żadnych znaczeń – równie dobrze *Etiudę rewolucyjną* można byłoby nazwać monarchistyczną, prawda?

– Ale jeśli już tak się stało, że pewien rodzaj muzyki został związany ze środowiskami narodowymi, trzeba to przyjąć z dobrodziejstwem inwentarza.

Słyszał, że wokalista jednego z zespołów miał wytatuowaną swastykę, ale to było trzydzieści lat temu i potem ją jednak zakrył, co według Szczepańskiego dowodzi „pewnej przemiany poglądów”.

Tubalny głos, teatralna dykcja.

W dzieciństwie wychowuje go dziadek, ortodoksyjny katolik, weteran Armii Krajowej i sybirak, który zdaniem wnuka w sferze poglądów pozostaje „pierwotnym poganinem”. Szczepański pamięta: są lata siedemdziesiąte, dziadek zabiera go na obchody beatyfikacji Maksymiliana Kolbego do Niepokalanowa, a kiedy wracają, mówi mu, że „Kolbe poświęcił życie dla swojej instytucji”. Na małym Tomaszu robi to wrażenie. Jak dzisiaj sądzi, dziadek chciał mu w ten sposób dać do zrozumienia, że podmiotem nie jest jednostka, lecz wspólnota. Dobrze to sobie zapamiętał. Od młodości było dla niego oczywiste, że ma „obowiązek wobec wspólnoty narodowej”.

Najpierw jest anarchistą, działa w antykomunistycznej lewicy. Współzakłada odrodzoną Polską Partię Socjalistyczną, pisze do lewicowych podziemnych pism, ale gdy w 1990 roku trafi do wojska, gdzie będzie miał dużo czasu na rozważania, uzna, że socjalistą jednak nie jest (anarchistą, jak mówi, przestaje się być, kiedy zostaje się socjalistą). Interesuje się polityką wschodnią, zakłada podziemne pismo „Międzymorze” i nawiązujące do jego idei Towarzystwo „Pomost” (po ataku Rosji na Ukrainę w 2022 roku środowisko skupione wokół „Niklotu” jednoznacznie opowie się po stronie Ukraińców). Po Okrągłym Stole wstępuje do Konfederacji Polski Niepodległej, gdzie nadal zajmuje się głównie Wschodem. Utwierdza się w przekonaniu, że nie ma człowieka jako takiego, są narody. Ludzkość istnieje tylko w liczbie mnogiej.

Kolejne ważne doświadczenie to polityczna transformacja i to, jak uzasadniono oddanie komunistom „majątku narodowego”. Jak uzasadniono? Ano koniecznością chrześcijańskiego miłosierdzia i pojednania. Dla niego brzmi to fałszywie, jednak inni ludzie w to uwierzą. Tutaj, jego zdaniem, objawia się polski charakter narodowy, który jest charakterem „unikającym rozwiązań radykalnych” i którego „jedynym

czynnikiem kształtującym” jest „pewien związek wyznaniowy z siedzibą w Watykanie”. W 1989 roku – prawi Szczepański – komuniści mieli w ręku broń i struktury państwa, dlatego rozmowa z nimi była „koniecznością”. Ale „przestępstwem”, jak twierdzi, było dotrzymanie najważniejszego punktu „układu z Magdalenki”: zgoda, aby nowa elita wyłoniła się z tej komunistycznej. To jest, proszę pana, systemowe prężródło patologii Trzeciej RP.

Chrześcijaństwo nie odpowiada mu jako „system etyczny” od czasu licealnej lektury Nietzschego. Dlatego czuje się „neopoganinem” i „rodzimowiercą”. Dużo czyta o Stachniuku, głównym rodzimowierczym ideologu. Szybko okazuje się, że myślących podobnie jest więcej. Zastanawia się nawet nad stworzeniem partii, ale nie wszystkim ten pomysł się podoba. Ideowo pomagają mu zadrużanie starszego pokolenia – podrzucają książki, czasopisma, dokumenty.

Upija łyk i zaczyna wykład.

Otóż „wspakultura” to wszystko, z czym powinno się walczyć. To, co nietwórcze, co sprowadza człowieka do bytu jednostkowego i co pozbawione jest wątku walki. „Wspakulturą” jest na przykład buddyzm, islam, katolicyzm, ale też oświecenie ze swoim indywidualizmem, hedonizmem. Przeciwnieństwem „wspakultury” jest dla Szczepańskiego kultura, której cechy są „odciskane” na jednostce ludzkiej przez „ideomatrycę”. To forma, w jakiej społeczeństwo „odciska na kolejnych pokoleniach swój system wartości”. A może odciskać wartości twórcze lub nietwórcze. Narzędziem tego odciskania jest szkoła, popkultura, literatura, kiedyś teatr, teraz film. Naród musi być wspólnotą twórczą, a nie pasywną, nie może pozostawać w zależności od kogokolwiek ani czegokolwiek. Tylko taki naród jest panem historii, twórcą swojego losu.

Na stronie stowarzyszenia można znaleźć stwierdzenie, że członkowie „Niklotu” nigdy nie umierają. Dlaczego? Bo zostają w pamięci i w dziełach, które tworzą. Tak, przyznaje Szczepański, można tam również przeczytać, że „zemsta jest podstawowym prawem człowieka”. Bo „nie ma porządku bez sprawiedliwości”. Długo utrzymywały się porządki niesprawiedliwe, Polska długo nie miała niepodległości. Jedną z przyczyn załamania się tego ogólnego porządku była pierwsza wojna światowa, która dla nas, Polaków, stała się „błogosławieństwem”. Zagłada poprzedniego świata była naszym życiem, naszą racją stanu było rewolucyjne rozwalenie starego porządku! Dlatego niklotowcy mówią, że nie ma sprawiedliwości bez zemsty, a narzędziem sprawiedliwości jest kara, także kara śmierci.

Suchość w gardle, mokre ręce.

Należy przywrócić siłę państwa, wyklada dalej Szczepański nad kuflem pszenicznego piwa, więc także jego zdolność do zabijania. Że to niemoralne? Wie pan, katechizmy chrześcijańskie karę śmierci dopuszczały. W opisie Chrystusa wiszącego na krzyżu nie ma nic o tym, że złoczyńcy zawisli obok niego niesprawiedliwie, czyż nie?

Rodzima wiara, którą wyznaje, dopuszcza karę śmierci. Są, rzecz jasna, sytuacje, w których zabijanie nie ma uzasadnienia, ale są też takie, w których ma. Szczepański chętnie podaje przykład. Mam sobie wyobrazić, że stoję przed wrogiem, człowiekiem, który chce mnie zabić. Co zrobię? Ustąpię? Dam się zabić? Czy podejmę walkę? Życie jest walką, stwierdza mój rozmówca. A jeśli to neguję, to neguję samego siebie.

Drugie piwo? Jasne, stawiam, może teraz pomówmy o życiu?

Po drugiej wojnie światowej, nie przestaje Szczepański, społeczność żydowska postanowiła tak przeformatować kulturę Zachodu, żeby już nigdy żadne państwo nie ośmieliło się sięgnąć do pojęcia „interesu narodowego”, tradycji, silnej tożsamości – są jej wrogami, bo ta silna tożsamość im

zagroza. Trzecia RP jest więc krajem rządzonym przez postkomunistyczną oligarchię z dodatkiem „obcych lobby”: niemieckiego, rosyjskiego i „oczywiście” żydowskiego.

Że nie używa słowa „Holokaust”? A tak, robi to celowo. Dlatego, że eksterminację Żydów – która zdaniem Szczepańskiego była faktem, choć „możemy się spierać o liczby” – sami Żydzi uczynili „faktem teologicznym”. To zakłada, że są kimś wyjątkowym i przysługują im jakieś szczególne prawa. To jest istota tego – mówi – co nazwano kiedyś „religią Holokaustu”, która ma jeszcze sens czysto wewnątrzżydowski: pomaga to środowisko integrować. Dziś, zżyma się Szczepański, Holokaust jest „przedmiotem wiary, nie opisu”.

Warszawa, słońce, niedaleko Umschlagplatz.

Nie będzie jeździł do Brazylii, żeby tam Żydów zabijać, bądźmy poważni – Szczepański na chwilę się unosi. Zresztą, jaka siła miałaby przeprowadzić eksterminację Żydów w dwudziestym pierwszym wieku? No, na pewno nie Polacy. W interesie narodowym Polaków jest przede wszystkim „ograniczenie wpływu kulturowego Żydów”, czego można dokonać głównie „pracą kulturową”. A nie jakimś tam masowym zabijaniem. Są też rozwiązania na poziomie prawnym, dodaje. Można wzorem Węgier ograniczyć wpływy organizacji George’a Sorosa, węgierskiego miliardera żydowskiego pochodzenia. Natomiast eksterminacja, gdyby była możliwa, przecież nic nie da. Taka choćby zagadka logiczna: kto odważy się Żydów eksterminować, jeśli państwo Izrael posiada dwieście bomb atomowych?

Suchość w gardle, nie przez upał.

Optymalne – dodaje – byłoby „usunięcie poprzez wymuszenie emigracji”. Eksterminacji Szczepański by „nie zalecał”. Z bardzo prostego powodu: takie rzeczy raz wprowadzone do porządku międzynarodowego

mogłyby zaszkodzić wszystkim, także Polakom. Trzeba jednak przyznać, zauważa, że tak zwany zwykły lud również Żydów nie uważa za „wybranych”. Do zwykłego ludu dochodzą skutki malowania Polaków jako oprawców podczas drugiej wojny światowej, co jest nie tyle krzywdzące, ile „po prostu obraźliwe”. I jeżeli przyczynia się do tego kultura masowa, która kształtuje wyobrażenia o przeszłości, i jeżeli wiemy, ile na tym tracimy, to trudno, żebyśmy mieli sympatię do „głównego beneficjenta tych kłamstw”, czyli do Żydów, zgadza się?

Polacy – wywodzi – zorientowali się, że są przez Żydów „opluwani” od co najmniej czterdziestu lat, od filmu *Shoah* Claude’a Lanzmanna. W stosunku do Polski i Polaków środowiska żydowskie prowadzą świadomą kampanię „opluskwienia”, czego przykładem jest dla Szczepańskiego choćby fraza o „polskich obozach koncentracyjnych” czy obraz Polaka w filmach Hollywood. Czy wynika to stąd, że wobec porozumienia Izraela z Niemcami potrzebny był jakiś inny „sprawca Zagłady”, czy może z tego, że łatwiej będzie uzyskać od Polaków „rzeczy Żydom się nienależące”?

Oczywiście – zaznacza – uczestniczą w tej „akcji” także Polacy. Jedni „z powodów merkantylnych” (na przykład przez wzgląd na karierę zawodową w USA), drudzy, bo są „pożytecznymi idiotami religii Holokaustu”, jak Szczepański odbiera katolicką część redakcji „Tygodnika Powszechnego”, z którym autor tej książki przez wiele lat współpracował.

Skutki tej kampanii to nie tylko strata wizerunkowa, wykląda Szczepański, można się więc zastanawiać: czy społeczeństwo USA zechce pomóc narodowi „współwinnemu Holokaustu” na przykład w chwili zagrożenia wojną? A wiemy przecież dobrze, podkreśla narodowiec, że w demokracjach politycy zależą od opinii publicznej.

Przez lata rządy polskie były wobec państwa Izrael oraz całej społeczności żydowskiej „miękkie” i postępowały z nimi „w rękawiczkach”. Dlaczego? Ano, przez wzgląd na „siłę żydowskiego lobby” w USA, z którym dobre relacje są „sprawą racji stanu”. Szczepański nie wierzy w przyjaźń polsko-żydowską, choć możliwe są – zastanawia się głośno – przyjaźnie indywidualne. Przyjaźni z Żydami w Polsce nie będzie. A dlaczego, panie Tomaszu? – zapyta naiwny dziennikarz. Z takich powodów, dla których nie będzie przyjaźni z Rosjanami. Oba narody uważają się za wybrane, lepsze od innych, a przyjaźń jest możliwa jedynie między równymi sobie. U Rosjan odpowiednikiem idei narodu wybranego jest koncepcja Trzeciego Rzymu, a więc oni, podkreśla narodowiec, nigdy nie uznają nas za równych sobie bez zaprzeczenia własnej tożsamości.

To z kolei prowadzi Szczepańskiego do postawienia pytania natury fundamentalnej: co z tym faktem zrobić?

Dajmy na to, tacy Cyganie. Jasną sprawą jest, że albo zostaną obywatelami i będą żyli według naszych zasad, albo nie, nie ma bowiem stanu pośredniego, uważa mój rozmówca. Rozwiązań problemu jest zatem kilka. Można ich na przykład asymilować, ale asymilować to znaczy wynarodowić. A Szczepański doskonale rozumie, że tak jak on chce być Polakiem, tak Cygan chce pozostać Cyganem. Można „zmusić do emigracji”, ale to tym bardziej nierealne, bo Cyganie „nie chcą wracać do Pendżabu, skoro z niego wyszli”. Rozwiązaniem problemu byłoby „przywrócenie getta” lub „stworzenie Cyganom państwa, w którym można byłoby ich wszystkich osiedlić”, oświadcza narodowiec. To jednak byłoby możliwe po odejściu od systemu demoliberalnego, a w tę stronę Zachód nie pójdzie.

Czy stworzenie getta mieściłoby się w systemie moralnym Szczepańskiego?

Tak, mieściłoby się, i niby dlaczego to takie dziwne? Przecież dzisiaj w krajach Zachodu muzułmanie zamykają się w gettach dobrowolnie.

A co by na to wszystko powiedział jego dziadek?

To pytanie Szczepańskiego nieco zaskakuje. Przecież dziadek, choć katolik, rozumiał, że każdy swój rozum ma, więc podobałoby mu się to, że wnuk ma w sobie taką „niezgodę na rzeczywistość”. Niezgodę, którą dziadek też w sobie miał.

Dziadek zawsze myślał, że dożyje chwili, gdy komuniści będą wieszani na latarniach, opowiada Szczepański. A dożył, niestety, Okrągłego Stołu.

Podanie rąk, pożegnanie i odwrót – każdy w swoją stronę.

Kilka miesięcy później Szczepański pisze mi w mailu, że „zastanawiał się, czy w ogóle się do mnie odzywać”. Nie spodobał mu się reportaż o Marszu Niepodległości w 2021 roku opublikowany na Frontstory.pl. Razem z zespołem reporterów piszemy w tekście, że w tłumie demonstrujących widzieliśmy nazistowskie symbole. Szczepański twierdzi, że on swastyk nie widział. Za to „znaki solarne, runy, krzyże celtyckie” to przecież „symbole indoeuropejskiego dziedzictwa”, które trzeba eksponować i którego trzeba bronić. „Bo przecież wasza strona atakuje je nie dlatego, że może jakiś związek z jednostką SS da się wykazać, ale dlatego, że oznaczają one tożsamość” – pisze. I wyjaśnia: „To was naprawdę boli”.

¹⁴ Wojciech Karpieszuk, *Swastyka nie przeszkadza? Pracownik muzeum kieruje nacjonalistyczną organizacją*, <https://warszawa.wyborcza.pl/warszawa/7,54420,21745145,swastyka-nie-przeszkadza-pracownik-muzeum-kieruje-nacjonalistyczna.html> (dostęp: 20 czerwca 2023).

NA STOLICĘ

PANORAMA

W wagonie metra siedzi kilka osób, w tym dziewczyna ubrana jak na front¹⁵. Militarne spodnie, grube buty, kurtka z napisem PRESS. Na szyi aparat fotograficzny z długim obiektywem, na głowie kask rowerowy. Kask jest raczej dla kamuflażu. Taki życia nie uratuje, gdy na głowę spadnie cegła.

Jest 11 listopada 2021 roku. Przyjeżdżam do Warszawy, by dla Frontstory.pl relacjonować Marsz Niepodległości. Zabieram notes, dyktafon i kamerę: chcę sfilmować moment, w którym wszystko się rozpocznie i uczestnicy ruszą w kierunku błoni Stadionu Narodowego. Z morza flag, banerów i symboli na ubraniach chcę wyłowić te najważniejsze. Sprawdzić, kto tak naprawdę oprócz „patriotów” i „rodzin z dziećmi” – o których mówią organizatorzy – idzie w Marszu Niepodległości.

Razem z zespołem dziennikarzy obserwujemy wszystko z bliska. Analizujemy własne zdjęcia, zdjęcia fotoreporterów, a także te zamieszczane przez uczestników w mediach społecznościowych. Z dachu biurowca całą imprezę dokumentuje zaprzyjaźniony fotograf – jego zadaniem jest uchwycenie w jednym kadrze jak najszerszej panoramy. Na tej podstawie tworzymy mapę ekstremistycznych organizacji

i nieformalnych grup, które 11 listopada 2021 roku przechodzą z ronda Dmowskiego na błonia Stadionu Narodowego. Odtwarzamy siatkę powiązań i zależności grup, najczęściej szerzej nieznaną. Są wśród nich organizacje prawicowych ekstremistów, neofaszystów i neonazistów – z Polski i Europy – dla których marsz jest ważną, być może najważniejszą imprezą w roku.

COMBAT

Tuż po zmroku zapalają pochodnie. Idą w równym szyku i miarowym tempie. Tupot butów: lewa, prawa, lewa, prawa. Przyjechali do Warszawy z Wrocławia. W Święto Niepodległości, które ciągle pozostaje apolityczne, chcą skandować hasła o „Polsce dla Polaków”. Kierują się do Grobu Nieznanego Żołnierza, tam pochodnie gasną i przemarsz się kończy.

Tak wygląda jeden z pierwszych Marszów Niepodległości w stolicy, zorganizowany przez działaczy Narodowego Odrodzenia Polski 11 listopada 1996 roku.

W latach dziewięćdziesiątych marsze urządza najczęściej wrocławski NOP. Dopiero z czasem stają się one liczniejsze i bardziej zróżnicowane. Do Warszawy narodowców zwołuje też marzący o zbudowaniu politycznego ruchu, ale coraz głębiej zapadający się w niszę Bolesław Tejkowski.

W 2001 roku NOP nie dostaje na przemarsz pozwolenia od władz miasta, ale i tak maszeruje, a dwa lata później za organizację odpowiedzialna jest Młodzież Wszechpolska. Pochody przejdą wewnętrzną ewolucję, zrodzą nowych liderów środowiska, a starych odsuną na margines. Epoka subkultur lat dziewięćdziesiątych odejdzie do przeszłości, a dla narodowców na zawsze stanie czymś niewygodnym, uwierającym jak kamień w bucie.

W 2005 roku działacze Młodzieży Wszechpolskiej razem z ONR-em organizują w Warszawie „marsz normalności”, w którym bierze udział – jeśli wierzyć oficjalnej stronie internetowej – dwa tysiące osób. Ma to być kontrmanifestacja wobec Marszu Równości przechodzącego tego dnia przez Warszawę. Podobnie dzieje się w Poznaniu, gdzie „marsz normalności” odbywa się mimo zakazu prezydenta miasta Ryszarda Grobelnego. Jak czytamy na stronie Amnesty International, nacjonaści (w tym wszechpolacy) mają krzyczeć: „Pedały do gazu!” i „Zrobimy z wami, co Hitler zrobił z Żydami!”¹⁶.

Marsz Niepodległości z 2007 roku Radosław Parda wspomina jako pierwszy duży sukces i kamień milowy.

– Z samego Lublina przyjechało trzysta osób. Mnóstwo ludzi! – mówi. – To się udało z jednego powodu: bo nie było już partyjnego parasola.

W marszu uczestniczą ONR-owcy. Młodzi, wysportowani chłopcy w piaskowych koszulkach i zielonych przepaskach mają ze sobą płonące pochodnie. Niosą hasła: „Polska cała tylko biała”, „Precz z żydowską okupacją”. Do Warszawy przyjeżdżają też koledzy z brytyjskiej neonazistowskiej organizacji C18. Litera „C” w ich skróconej nazwie oznacza „Combat”. Cyfry 1 i 8 odpowiadają literom alfabetu: A i H. Jak Adolf Hitler.

TAJFUN

W 2009 roku Marsz Niepodległości to wciąż zaledwie kilkaset osób, które skandują: „Precz z żydowskim szowinizmem”, „Precz z żydowską okupacją”, „Wielka Polska katolicka”. Na trasie ustawia się kilkusetosobowa kontrmanifestacja. Antyfaszyści mają transparenty: „Faszyzm nie przejdzie”, „No pasarán!”. Dochodzi do zamieszek. Kto je

rozpoczyna, gdzie jest zarzewie – trudno dziś rozstrzygnąć. Wiadomo, że w wyniku starć z policjantami ochraniającymi marsz nacjonalistów zostaje zatrzymanych czternaścioro antyfaszystów.

Do narodowców przemawia Artur Zienkiewicz, ówczesny lider ONR-u. Wygłasza słowa, które dziś brzmią jak samospełniająca się przepowiednia: „Miejmy nadzieję, że za rok w Polsce nie będzie dwóch, trzech czy czterech manifestacji narodowych 11 listopada, że będzie jedna, która wstrząśnie posadami tego demoliberalnego syfu. Jedna porządna, która zmiecie to wszystko jak tajfun”.

I rzeczywiście, rok 2010 okazuje się przełomowy.

– To był jeszcze okres marazmu w środowisku narodowym, nikt z nas wcześniej nie uczestniczył w tak dużej manifestacji – mówi Adam, wszechpolak. – W 2010 roku byliśmy mocno zaskoczeni, że przyszło tyle osób. Pokazaliśmy, że istniejemy.

Marsz organizują wspólnie Młodzież Wszechpolska i ONR. Środowisko jest zjednoczone, a do maszerujących przemawiają znane osobistości. Dla wielu polityków odsuniętych na margines życia publicznego marsz to szansa, by dotrzeć do kilku tysięcy ludzi z jasnym komunikatem. Pojawiają się między innymi Janusz Korwin-Mikke, początkujący polityk Paweł Kukiz, dziennikarze Jan Pospieszalski i Rafał Ziemkiewicz. Jednym z tematów przewodnich jest katastrofa smoleńska, wydarzenie, które pogłębiło od dawna narastające podziały, a dla wielu narodowców stało się przełomem, powodem do większego zaangażowania.

Efekty politycznego sporu, który wybucha po katastrofie smoleńskiej, na marszach widać dopiero rok później. W 2011 roku do centrum Warszawy zjeżdżają kamery telewizyjne – dziennikarze wiedzą już, że „będzie się działo”. Nie mylą się, emocje buzują.

Uczestnicy marszu chwytają za kosze na śmieci, barierki, kostki brukowe, race, petardy i rzucają nimi w oddziały policji. Maszerujący obrzucają też petardami ambasadę Rosji, pod którą zaczyna się palić niewielka budka ochroniarzy. Policja odpowiada użyciem armatek wodnych i pałek. Starcia z nią stają się naczelnym elementem narracji narodowców, według których agresja została przez policję sprowokowana, a gdyby nie zachowanie policjantów, marsz byłby spokojny. Kilku osiłków wskakuje na wóz transmisyjny telewizji TVN i próbuje go przewrócić – w końcu podpalają samochód, a ten płonie na oczach tysięcy widzów. Wieczorem na ogólnopolskiej antenie prezydent Bronisław Komorowski potępia zachowanie narodowców i pseudokibiców, ale dla nich to tylko potwierdzenie: władza to wróg, którego trzeba zniszczyć.

– W 2011 roku zatrzymali nas w drodze na marsz, gdzieś przy drodze w Ostrowcu Świętokrzyskim – mówi mi pewien członek ONR-u. – Wtedy przeszukali mnie tak, że poczułem, co znaczy władza Platformy Obywatelskiej. Rok później poczułem to już na własnej skórze: było pałowanie, gazowanie, ataki policjantów...

– Policjantów? – nie dowierzam.

– No tak, bo niektórzy byli w środku marszu, w oliwkowych kominiarkach. Wmieszali się w tłum, zaczęli rzucać racami w kordon policji po drugiej stronie, no a tamci odpowiedzieli pałami i gazem. Oliwkowe kominiarki są słynne do dziś.

W 2011 roku powstaje Stowarzyszenie Marsz Niepodległości, które odtąd przyjmuje na siebie rolę organizatora wydarzeń odbywających się co roku 11 listopada. Pierwszym prezesem zostaje Witold Tumanowicz (dziś wiceprezes stowarzyszenia i jeden z liderów partii Ruch Narodowy). Wśród założycieli jest też Krzysztof Bosak, były wszechpolak i polityk LPR, a coraz silniejszą pozycję zdobywa związany wcześniej z ONR-em Robert

Bąkiewicz, były przedsiębiorca z Pruszkowa. W końcu zostanie prezesem i jednym z najważniejszych narodowców w kraju.

Kolejne marsze są jeszcze liczniejsze, głośniejsze i brutalniejsze.

– W głowie miałem szal, to była po prostu walka z systemem – mówi ONR-owiec. Zawsze w centrum wydarzeń, zawsze chętny do bitwy. Kilka razy za burdy na marszu trafi na policyjny dołek. – Dlaczego wtedy walczyliśmy z systemem? Bo „rudy” mówił... to znaczy Tusk mówił, że ludzie z emigracji będą wracać, a za jego rządów dopiero zaczęli wyjeżdżać. Kumple ze stadionu byli zatrzymywani tylko za prowadzenie dopingu, nic złego nie robili. Do tego ogromne podziały po katastrofie smoleńskiej, protesty i bicie górników, bezrobocie... Sam nie byłem na marszu w 2013, bo wyjechałem na Wyspy za chlebem.

W 2013 roku uczestnicy pochodu podpalają tęczę na placu Zbawiciela, wywołują zamieszki pod ambasadą Rosji i atakują mieszkańców squatu Przychodnia przy ulicy Skorupki. Rannych zostaje dziewiętnaście osób, w tym dwunastu policjantów. Politycznie prawica jest słaba: LPR upadła, Młodzież Wszechpolska boryka się z medialnymi skandalami, reaktywowany na południu Polski ONR dopiero rośnie, lecz od tego momentu marsz staje się platformą współdziałania różnych grup, które do tej pory funkcjonowały obok lub wręcz w opozycji do siebie, a teraz mogą wspólnie zobaczyć swoją siłę.

Prawnik Michał, autor teorii „deratyzacji” polityki, na marsze chodzić lubi, choć raczej trzyma się z boku. Na ostatnim był w towarzystwie kolegów konserwatystów.

– Na początku to był taki „Woodstock prawicy” – mówi. – Można się było spotkać ze znajomymi w fajnej atmosferze. Marsze, wbrew stereotypowi, nie składały się wtedy wyłącznie z zadym. Nie wszyscy uczestnicy brali udział w walkach z policją, podpalaniu tęczy na placu

Zbawiciela i tak dalej. Ale mogłeś mieć pecha i znaleźć się w złym miejscu w niewłaściwym czasie.

– Raczej pchać się tam, gdzie może być zadyma – zauważam.

– Sęk w tym, że w takim tłumie zwać się czasami nie da. Nawet jeśli widzisz, że coś zaczyna być nie tak. Wyobraź sobie, że na takim Woodstocku musisz przejść przez tłum z jednego miejsca na drugie. Powodzenia.

Tak jak podczas Marszu Niepodległości w 2012 roku, gdy policja zaczyna strzelać do narodowców z broni gładkolufowej.

– Zaczęliśmy uciekać do Novotelu – opowiada Michał. – Zorientowałem się, że policjanci nawołują do rozejścia się, jednocześnie ustawiając kordony w taki sposób, żeby zablokować ulice. Nie było możliwości wyjścia ze zgromadzenia. Wtedy zrozumiałem, że jeśli będą chcieli, to naprawdę zrobią nam pacyfikację, a nad nami i tak nikt nie zapłaci. Już widzę te komentarze: „Bardzo dobrze, że rozprawiono się z tą faszystowską hołotą”, „Kibole i bandyci rozpierdalający stolicę, trzeba z nimi krótko”, „Sam bym takiemu naziolowi przyjechał pałą”, i tak dalej. Strzelanie w 2012 roku utwierdziło mnie w przekonaniu, że państwo liberalne traktuje nas jak wroga, którego trzeba zniszczyć, i że należy się po nim spodziewać absolutnie wszystkiego.

Narodowcy długo nie wiedzą, jak przełożyć popularność Marszu Niepodległości na efekt wyborczy, ale i to w końcu się udaje. W 2012 roku zapowiadają stworzenie Ruchu Narodowego. Gdy w następnym roku partia zostaje zarejestrowana, jej trzon stanowią działacze Młodzieży Wszechpolskiej i ONR-u, który później z niej wystąpi.

Przełom następuje w roku 2015. Wcześniej Ruch Narodowy miałby duży problem, żeby przekroczyć próg wyborczy, ale wtedy rękę do narodowców wyciąga Paweł Kukiz, piosenkarz, a od pewnego czasu trybun

ludowy, antysystemowiec, który deklaruje, że jak tylko wejdzie do sejmu, to posprząta polityczny syf. Dziś wielu twierdzi, że to właśnie on ponosi wielką część odpowiedzialności za wprowadzenie skrajnego nacjonalizmu do politycznego głównego nurtu. Narodowcy wnoszą do ruchu Kukiz'15 swoje struktury. Pojawiają się na listach partii, a czterech z nich – w tym wyrastający na lidera Robert Winnicki – zdobywa poselski mandat. Wychodzą na powierzchnię z głębokiego podziemia, podłych knajp i piwnic. Przez dekady budowali zaplecze, uzupełniali kadry, uczyli się przemawiać, tworzyli własne media i zacieśniali kontakty. Wyrośli na glebie, którą przygotowali im przedstawiciele subkultur – neonazistowskiej, skinheadowskiej i kibicowskiej – mieszających się ze sobą i uzupełniających, czerpiących nawzajem ze swojej siły. Nacjonalizm emocji, mięśni i adrenaliny został zastąpiony przez nacjonalizm rozumu.

Teraz przyszedł czas, by totalnie zaskoczonym politykom pokazać, że w narodowcach mają równoprawnego przeciwnika, a dla niektórych nawet – przyszłego partnera. Dotąd rozproszeni po całej Polsce, teraz potrafili się skrzyknąć i zjechać do „zgniłej” Warszawy.

Stolica została zdobyta.

MUSZTRA

– Praca nad marszem zaczyna się już kilka miesięcy przed 11 listopada – mówi mi Mateusz z małopolskiego okręgu Młodzieży Wszechpolskiej.

W organizacji jest od ośmiu lat, ostatnio z kamerą i aparatem dokumentuje przebieg pochodu dla mediów Młodzieży Wszechpolskiej. Wcześniej był w „obstawie” – specjalnie tworzonych co roku oddziałach, których zadaniem jest ochrona uczestników marszu i dbanie o porządek.

Pracował kiedyś jako ochroniarz, więc trochę o tym wie. Osoby, które mają być w służbie porządkowej, przechodzą kilka szkoleń:

z podstawowych zasad zachowania, podstaw prawnych, czyli co mogą zrobić, a czego lepiej nie, kiedy wezwać policję. A także z musztry. Kto je prowadzi? Koledzy lub sympatycy Młodzieży Wszechpolskiej, którzy znają się na takiej robocie, czasem „osoby związane z wojskiem”. Mateusz sam prowadził takie szkolenie.

Po co ochroniarzom marszu musztra? Chodzi o porządek. Mogłoby się wydawać, że przemarsz trzydziestu roślących mężczyzn z punktu A do punktu B to pestka, ale jest przeciwnie.

– Zwłaszcza że miasto jest oblegane, tłum liczy sto tysięcy ludzi – mówi Mateusz. – Wtedy przemarsz musi być skoordynowany i szybki. Musztra jest potrzebna, bo nie każdy zna rygor, więc trzeba go tego nauczyć, a robi to dowódca. Kiedy działacz usłyszy: „W lewo zwrot!”, to od razu ma wiedzieć, co ma zrobić, a nie być jak dziecko we mgle.

Musztra, zupełnie jak w strukturach wojskowych, wszechpolakom strzegącym marszu ułatwia koordynację.

– Dzięki musztrze wiemy, że dany kolega jest dwa kroki od nas, a nie dwadzieścia metrów dalej. Jeśli idziemy w rzędzie, trzymając rozciągniętą linię, to wiemy, że musimy iść równo, a nie każdy sobie – tłumaczy Mateusz. – A jak dowódca mówi, że mamy zamknąć gęby, to mamy je zamknąć. Bo on jest od wydawania poleceń, a my od tego, żeby ich słuchać.

Kim jest dowódca? Człowiekiem, który bywa na marszach od lat, najlepiej z autorytetem u młodszych stażem kolegów. Dowódcę wyznacza dany okręg, bo to władze okręgu wiedzą, kto najlepiej wywiąże się z tej funkcji. Mateusz sam był kiedyś zastępcą dowódcy i wie, że to nie jest łatwa robota. Podczas odprawy musiał zapanować nad „całą wesołą gromadką”. Dopilnować, żeby się nie rozeszła, nie zgubiła, bo potem szukaj wiatru w polu.

Za „główny łańcuch dowodzenia”, jak nazywa go Mateusz, odpowiada organizator: Stowarzyszenie Marsz Niepodległości, a sztabowi podlegają wszystkie grupy, które zgłosiły się do ochrony marszu, w tym także te delegowane przez inne organizacje: ONR albo Trzecią Drogę. W praktyce oznacza to, że narodowcy z ONR-u „w akcji” muszą bezwzględnie współpracować z narodowcami Młodzieży Wszechpolskiej. A nie jest to wcale takie oczywiste. Środowisko jest podzielone.

– Tak zwany czarny blok [o którym więcej w dalszej części książki – przyp. MS] został z marszu wykopany. I chłopcy szli sobie za marszem albo obok – opowiada Mateusz. – Nie chcieli zdjąć kontrowersyjnych banerów, więc organizator stwierdził, że nie życzy sobie ich obecności i wyprasza ze swojego zgromadzenia.

Narodowcy współpracują nie tylko ze sobą, ale także z policją.

– Nieoficjalnie, bo żadnego pisma w tej sprawie nie było. – Puszczą oko. – Ale wiemy, że jeśli w pewnej sytuacji nie jesteśmy w stanie zareagować, a nie możemy nikogo zatrzymać, to wzywamy policję i ona reaguje. Niestety, zdarzały się też prowokacje.

Jakie? Na przykład słynna bitwa pod empikiem kilka lat temu. Starcie dziesiątek narodowców wymieszanych z kibolami w bramie jednej z warszawskich kamienic, akurat przed wejściem do znanego sklepu. Wspominając to, Mateusz powtarza znaną mi dobrze, klepaną przez narodowców jak pacierz formułkę: to policjanci „prowokowali” narodowców do „różnych zachowań”.

Strażnicy marszu są szkoleni także z tego, jak powinni się ubrać i co ze sobą zabrać.

– Podstawą ekwipunku są krótkofalówki, ale mają je głównie dowódcy, bo i tak „na radiu” jest dużo osób: sztab, patrole medyczne, ludzie od

logistyki. Szeregowi nie powinni krótkofalówek nadużywać, bo na łączach zrobiłby się niepotrzebny chaos – tłumaczy wszechpolak.

Strój musi być wygodny i ognioodporny. Dresy odpadają – w kontakcie z odpaloną racą zamieniają się w pochodnię. Dżinsy są wygodne, ale też się nie nadają: zajmą się ogniem równie szybko. Rekomenduje się więc bojówki albo spodnie z demobilu. Ubrania wojskowe stworzone zostały po to, żeby wytrzymać dużą aktywność fizyczną, kontakt, są odporne na przetarcia. Mają też dużo kieszeni, czyli jest miejsce na wodę, batoniki energetyczne, opatrunek. Plecak? Niemile widziany. Może go mieć dowódca, ale tylko, jeśli niesie w nim apteczkę, sprzęt do komunikacji, linę pomagającą zabezpieczyć cały obszar albo wodę dla swoich podwładnych.

– Zabieramy zwykle jakieś bandaże i nawilżane chusteczki, żeby przemyć oczy, kiedy ktoś oberwie gazem – mówi Mateusz.

Nieobowiązkowe („bo sztab nie jest w stanie sfinansować ich wszystkim”), tylko rekomendowane, są okulary: budowlane albo do paintballu. Uchronią przed urazem, jaki podczas Marszu Niepodległości spotkał jednego z fotoreporterów, który stracił oko od strzału gumowym pociskiem.

– Okulary chronią też przed wszelkimi odłamkami, elementami latającymi po wybuchu petardy, gruzem – wylicza Mateusz. – Warto mieć również hełm. Choć zazwyczaj się nie przydaje, bo mamy grupę błyskawicznego reagowania, której zadaniem jest gasić rozróby i opanowywać wszelkie sytuacje, że tak powiem, „bliskokontaktowe”.

W grupie specjalnej są osoby z przeszkoleniem do pierwszej pomocy. Ale też do obezwładniania.

– Żebyś sobie nie pomyślał: to nie są jacyś siepacze, którzy wpadają, dają ludziom po mordach i odchodzą – zaznacza wszechpolak. – To osoby z umiejętnością radzenia sobie w sytuacjach stresowych, znające techniki

samoobrony, często bardzo sprawne fizycznie. Tak zwanych środków przymusu bezpośredniego stosować nie mogą. Nie mówiąc o używaniu gazu czy pałek teleskopowych.

– Znam narodowca, który bez pałki teleskopowej nie rusza się po bułki do sklepu – wtrącam.

– Nie wnikiem. Mówię ci o tym, czego my jesteśmy uczeni – odpowiada Mateusz. – Gaz w tłumie to samobójstwo. Robisz krzywdę innym, a jak wiatr zawieje, to i sobie. Uderzenie pałką w mięśnie boli i zostawia tylko siniak, ale jak walniesz w kość, to możesz komuś połamać rękę. W tłumie jest ciasno, jest chaos, działa adrenalina. Nie daj Boże, ktoś by oberwał i...

– I co?

– I byłyby nieprzyjemności. Zakazane jest też posiadanie noży. Nie chcemy się tłumaczyć za gamonia, który na marsz zabrał scyzoryk.

PROWOKATORKI

W Święto Niepodległości w 2021 roku od rana na każdym zjeździe z autostrady stoją radiowozy. W radiowozach siedzą policjanci. Obserwują. Wyrywkowo zatrzymują samochody, sprawdzają trzeźwość kierowców i zawartość bagażników. Kontrolują busy i autokary. Pilnują, żeby do stolicy nie przedarł się ktoś niepożądany. Ktoś, kto mógłby popsuć tę starannie zaplanowaną uroczystość państwową, na którą zgodę wydał sam wojewoda mazowiecki.

Warszawa jest przygotowana. W kilku miejscach w centrum trwa remont, na ulicach stały więc bloki kostki brukowej i inne materiały budowlane. Miasto je usunęło, tak jak śmietniki, ławki i stojaki na rowery. Wszystko, co dałoby się podnieść.

Wysiadam w centrum, wychodzę z podziemi i widzę spory tłum na placu Defilad. Atmosfera piknikowa. Na ustawionych wokół kilkunastu

stoiskach można kupić czapki, szaliki, koszulki w narodowych barwach, plastikowe flagi i biało-czerwone kotyliony. Sam kupuję jeden i wpinam w kurtkę na wysokości serca.

Wtedy obok mnie przechodzi grupa kilku, może kilkunastu potężnie zbudowanych, wytatuowanych mężczyzn w dżinsach i ciemnych skórzanych kurtkach. Rozpoznaję dwie osoby. Pierwszą jest lider grupy motocyklistów z Trójmiasta, związany ze światem przestępczym, wielokrotnie skazywany neonazista. Druga postać to bardzo popularny w Polsce, występujący na wielkich galach zawodnik mieszanych sztuk walki. Łatwo go poznać.

Przed barierki wokół ronda Dmowskiego wychodzą dwie dziewczyny z tęczową flagą. Są odważne. Od razu zostają otoczone przez straż marszu w kaskach, kominiarkach i całym militarnym rynsztunku. Widzą to inni uczestnicy. Podchodzą bliżej, wykrzykują:

– Prowokatorki! Prowokatorki!

Jedna z dziewczyn odpowiada:

– Możemy tu stać, wszyscy jesteśmy Polakami.

Stojąca w tłumie starsza pani woła do strażników marszu:

– Nie ruszać, nie ruszać, nawet kijem!

Przy budynku Rotundy grupują się oddziały policji. Pięć minut przed rozpoczęciem marszu podchodzą do protestujących przeciw niemu działacze Obywateli RP i po kolei wynoszą ich do podziemi. Chwytają za ręce i nogi, niosą jak worki kartofli.

Podchodzę bliżej i podsłuchuję: z rozmów między policjantami wynika, że protestujących trzeba „odstawić do strefy buforowej przy hotelu Novotel”. Potem kordon policyjny jeszcze kilkanaście minut pilnuje działaczy. Jakaś starsza kobieta siedzi na betonie i płacze. Młoda policjantka nie odchodzi od niej na krok. Stoi i milczy.

– Stałem obok i wszystko filmowałem. A od kolegów wiem, że Obywatele RP zostali usunięci przez policję na wyraźną prośbę organizatorów – mówi mi jeden z uczestników marszu.

– Dlaczego? – pytam.

– Różne grupy idą w marszu. Jeśli Obywateli RP zobaczyłaby grupa, która bardzo ich nie lubi, mogłoby się to skończyć źle. Policjanci zostali poproszeni o usunięcie ich spod Rotundy. Przyszli, poprosili o odejście. Obywatele się nie zgodzili, więc policjantom nie zostało nic, tylko zachować się po staroświecku. Wziąć pod pachy i wynieść.

Przedpole czyste, można zaczynać.

Na scenę wychodzi organizator marszu, szef Stowarzyszenia Marsz Niepodległości i lider środowiska Robert Bąkiewicz. Człowiek, który wymyślił siebie na nowo.

DŁUG

Cofnijmy się do 20 stycznia 2016 roku. Robert Bąkiewicz snuje opowieść o sobie przed sądem upadłościowym w Warszawie. „Nie jestem nigdzie zatrudniony. (...) Z dorywczych prac uzyskuję średnio środki w wysokości 500–800 złotych miesięcznie”¹⁷ – zeznaje przysły organizator Marszu Niepodległości.

Powodem, dla którego czterdziestoletni Bąkiewicz stoi przed sądem, nie jest jego działalność polityczna. W 2011 roku jego firma obróciła się w ruinę, a on zostawił blisko siedmiomilionowy dług. Pięć lat później, w styczniu 2016 roku, kończy się proces, którego finałem ma być umorzenie długów. To dlatego Bąkiewicz musi wypaść na rozprawie przekonująco – sąd zdecyduje, czy od teraz będzie żył z czystą kartą. Z jego opowieści wyłania się obraz przegranego biznesmena: mieszka z rodzicami, łąpie się dorywczych prac. Po tym jak położył biznes, rozwiodła się z nim

żona. „Zarzucała mi nieudolność w prowadzeniu działalności” – mówi w sądzie.

Razem z moim kolegą z portalu Frontstory.pl dziennikarzem śledczym Konradem Szczygłem idziemy tropem tych zeznań.

Robert Bąkiewicz to dziś jeden z liderów środowiska nacjonalistów w Polsce. Co roku organizuje marsz, który przyciąga dziesiątki lub setki tysięcy osób. Organizacje, którym przewodzi, biorą wielomilionowe dotacje od państwa. Jest prezesem stowarzyszeń Marsz Niepodległości, Roty Niepodległości i Straż Narodowa. Każda jego wypowiedź odbija się szerokim echem nie tylko w Polsce, ale w całej Europie. Obrazy z marszu, któremu przewodzi, rozchodzą się po całym świecie, wystawiając Polsce świadectwo.

Bąkiewicz od lat podkreśla przywiązanie do wartości chrześcijańskich. Opowiada, jak ważną rolę w jego życiu odgrywa rodzina. Okazuje się, że opowieść o rozpadzie związku kłóci się nie tylko z tym, co będzie mówił w mediach, ale i z faktami.

TWARDA RĘKA

Młody Robert uwielbia piłkę i niektórzy twierdzą, że zapowiada się na dobrego napastnika, ale według innych jego talent nie jest aż tak duży. Sam przyzna, że trochę „łobuzował”, że był „dresiarzem”, mimo to skończył prestiżowe pruszkowskie Liceum Ogólnokształcące im. Tomasza Zana.

Nikt z naszych rozmówców nie pamięta, by Bąkiewicz w młodości miał prawicowe poglądy. Nikt nie przypomina sobie, żeby był szczególnie religijny. Podobno „niczym się nie wyróżniał”, był „normalnym kolegą z klasy, tak samo przestraszonym jak każdy”.

Koleżeństwo i jasne moralne zasady – to jest ważne dla młodego Roberta. „Wyszedłem ze świata, gdzie prawda była prawdą, a fałsz fałszem.

Jak mój dziadek umowy zawierał i ustalał warunki, to to było wiążące, a teraz trzeba pisać tomy, żeby pewne rzeczy zrobić” – powie w wywiadzie dla Mediów Narodowych.

W latach dziewięćdziesiątych w Pruszkowie na ulicach słyhać strzały, miastem trzęsie lokalna mafia. Bąkiewicz, pochodzący z Gąsina – dzielnicy sąsiadującej ze Żbikowem, skąd wywodzi się część słynnych mafiozów – dorasta w cieniu gangów. „To mnie pokaleczyło” – wyzna w jednym z wywiadów. Do podstawówki na pruszkowskim Żbikowie chodzi z przyszłą żoną Sylwią. Po maturze idzie do Wyższej Szkoły Handlu i Prawa w Warszawie (dziś Uczelni Łazarskiego), studiów jednak nie skończy. Pracuje najpierw w firmie ojca, potem we własnej. Prowadzi ją od 1998 roku aż do upadku w 2011. Branża: budowlanka.

Od dawnego współpracownika dowiadujemy się, że Robert miał zarządzać „twardą ręką” i „byli tacy, którzy po rozmowie z nim wychodzili z pokoju z płaczem”. W pewnym okresie zatrudnia około sześćdziesięciu osób, w tym Ukraińców, choć – jak pamięta jego wspólnik – Bąkiewicz już wtedy nie pała sympatią do innych narodowości.

Firma rośnie w siłę, ma kilka składów budowlanych, bierze duże prace wykończeniowe, jest podwykonawcą dla międzynarodowych firm. Bąkiewicz buduje nieduży biurowiec w Pruszkowie, jednak zanim zdąży się wprowadzić, musi go sprzedać.

Z lektury dziesiątek stron dokumentów wynika, że każde z małżonków prowadzi działalność gospodarczą osobno, ale obie firmy są zarejestrowane pod tym samym adresem w mieszkaniu na warszawskiej Pradze. Obie zajmują się tym samym.

W 2007 roku Bąkiewiczowie podpisują intercyzę – adres będą mieli wspólny, ale majątek oddzielny.

Kryzys przychodzi dwa lata później. „Pierwsze problemy finansowe zacząłem mieć w 2009 roku, pewne zobowiązania zacząłem regulować z opóźnieniem” – opowie przed sądem Bąkiewicz. I dalej: „Kumulowały się zobowiązania w stosunku do mnie z powodu niepłacenia mi należności oraz problemów finansowych firm, z którymi współpracowałem (...)”. Likwiduje hurtownie i składy budowlane, zwalnia część pracowników, skupia się na usługach. W 2010 roku przychodzi największy kryzys – mrozy powodują przestoje, a leasingi, raty kredytów, wynagrodzenia i podatki trzeba płacić. „Nieuregulowane pozostają przede wszystkim zobowiązania wobec banków, nie pamiętam kwoty. Narastały odsetki. Myślę, że kwota z kredytów wynosi około pięciu milionów złotych”.

Z akt upadłościowych wynika, że jego długi wyniosą w sumie prawie siedem milionów złotych.

Między grudniem 2010 a latem 2011 roku bieg wypadków przyspiesza. 30 grudnia do sądu trafia pozew rozwodowy, a w lutym Bąkiewicz składa w sądzie wniosek o upadłość firmy. W kwietniu jeden sąd zatwierdzi wniosek o upadłość, inny orzeknie o rozwodzie. Jeszcze w marcu Bąkiewicz przepisuje na córkę (wówczas ośmioletnią) nieruchomość w Pruszkowie. Na rozprawie zezna, że zrobił to na prośbę żony. Po rozwodzie, do czasu gdy córka stanie się pełnoletnia, to rodzice – wspólnie lub jedno z nich, w zależności od orzeczenia sądu – będą decydować o losach nieruchomości. W późniejszych latach to właśnie tam Robert będzie rejestrował narodowe stowarzyszenia.

Mimo rozwodu Sylwia i Robert utrzymują nadzwyczaj dobre relacje. Jego bliżsi i dalsi współpracownicy o rozstaniu pary nic nie słyszeli.

– Nie, nie jest po rozwodzie – mówi z przekonaniem narodowiec blisko współpracujący z Bąkiewiczem. – Chyba że kiedyś miał ślub cywilny z jakąś, a potem kościelny z inną, ale wątpię...

Wychodzi na to, że Bąkiewiczowie rodzinę tworzyli wtedy i tworzą ją nadal.

WARTOŚCI

„Od kiedy pan jest narodowcem?” – pyta go w 2016 roku Magdalena Rigamonti z „Gazety Prawnej”.

„Od kiedy to, co się dzieje wokół mnie, przestało mi się podobać”.

„Kiedy?” – drąży dziennikarka.

„Kiedy urodziły się moje dzieci i zacząłem dostrzegać zmiany nastawienia medialnego i politycznego na przykład do kwestii rodziny”. I dalej: „Kiedy zacząłem mieć rodzinę, zauważyłem, że niepodważalne wartości są podważalne, że rodzina jest marginalizowana, zobaczyłem nadreprezentatywność homoseksualistów”.

Gdzie?

„W debacie publicznej, w serialach (...) zawsze jakieś wątki homoseksualne się pojawiały, jakiś pederasta był”¹⁸.

DUSZA RYCERSKA

„Pederastów” z pewnością nie ma w Obozie Narodowo-Radykalnym, w którym Robert Bąkiewicz zaczyna działać mniej więcej w tym samym czasie, kiedy ważą się losy jego firmy. To w szeregach skrajnych nacjonalistów, noszących na ramionach falangę i sławiących „białą Europę”, odnajduje bezpieczne miejsce na ziemi. „Że kocham ojczyznę, to ja wiedziałem, ale byłem mocno zaorany” – wspomina w jednym z wywiadów. W innym dodaje, że zawsze pasjonował się polską historią, podziwiał polską husarię i sam chciał mieć właśnie taką duszę: rycerską.

Duszę rycerską postanawia kształtować jako narodowiec. Nie w opozycyjnym wówczas PiS-ie, który „walczy półśrodkami, tu się układa, tu się układa”. Zaczyna działać w nieformalnej grupie Narodowy Pruszków. Tymczasem jednak coraz silniejszy staje się ONR – coraz częściej słyhać go na ulicach i to on kształtuje w Polsce nacjonalistyczną narrację. Obok Młodzieży Wszechpolskiej jest najsilniejszą organizacją na skrajnej prawicy.

Bąkiewicz wstępuje do brygady mazowieckiej. Dostaje „materiały do nauki”. Czyta o myśli narodowej i jej najważniejszych przedstawicielach: Dmowskim, Mosdorfie, Piaseckim. Teraz jest już pewny – to jest to.

Czyta też Tomasza z Akwinu, podoba mu się idea *ordo caritatis*, „porządku miłosierdzia”. Według niej w pierwszej kolejności trzeba pomagać najbliższym, dopiero potem innym. Dla Bąkiewicza najbliżsi to rodzina i naród, inni to na przykład imigranci. Niechęć do obcokrajowców nie kłóci się jednak z przykazaniem miłości bliźniego. Dawny współpracownik opowiada, że religijność Bąkiewicza „nie jest na pokaz”, tylko bardzo „gorąca”. Zdarza się, że w siedzibie Mediów Narodowych o godzinie dwunastej odbywa się modlitwa, także za wrogów.

– Czyli za kogo? – pytamy.

– Kiedyś odmawialiśmy modlitwę za masonów.

W ONR-ze szybko zyskuje reputację człowieka zaangażowanego, wręcz fanatycznie oddanego sprawie. To dlatego pnie się w hierarchii, dostaje ważne zadania. Coraz częściej pokazuje się na ulicznych manifestacjach, pełni funkcję „zapiewajły”, podaje tłumowi hasła do skandowania – ryczy na cały głos, czasem do megafonu, choć nie widać, by wystąpienia publicznie szczególnie lubił. Bywa spięty, zdenerwowany.

Do kariery w środowisku narodowców przystępuje z czystą kartą. 20 stycznia 2016 roku sąd orzeka w jego sprawie – umarza w całości

niewypełnione zobowiązania.

W kwietniu Bąkiewicz przyjeżdża do Białegostoku. ONR idzie przez miasto z okazji swojej osiemdziesiątej drugiej rocznicy (chodzi o wspomnienie 14 kwietnia 1934 roku – daty powstania rozwiązanego trzy miesiące później przedwojennego ONR-u). Bąkiewicz pilnuje, żeby szereg był równy, a krok miarowy. Wrzeszczy do uczestników pochodu: „Równać szyk! Równać szyk!”.

Z zeznań narodowców wynika, że jeszcze w 2016 roku jest szeregowym działaczem, niczym się nie wyróżnia, ale na rozprawy w sprawie nawoływania do nienawiści przez członków ONR-u przyjeżdża już jako osoba publiczna, członek zarządu tej organizacji i szef Stowarzyszenia Marsz Niepodległości. Zarzutom zaprzecza. „To jakiś żart, oczywiście nie przyznaję się do winy” – oświadcza. W procesie skazanych zostaje dwóch członków obozu – jeden podawał hasło tłumowi (rok więzienia i grzywna), a skandowanie drugiego zostało nagrane przez policjantów (sześć miesięcy w zawieszeniu na dwa lata i grzywna). Bąkiewicz zostaje uniewinniony.

Jak wynika z opowieści współpracowników, to „taki człowiek, że jak wszyscy mówią »nie da się«, to on przychodzi i mówi, że się da”. To on tworzy projekt Mediów Narodowych – redakcji prowadzącej portal internetowy i kanały w mediach społecznościowych, składającej się z samych narodowców. To on wpada na pomysł zbiórki środków na działalność stowarzyszenia. Chętni mogą przy przelewie podać numer telefonu – w ten sposób buduje się bazę kontaktów do dziesiątek tysięcy ludzi.

NAPASTNIK

Jak w ciągu kilku lat z szeregowego działacza staje się liderem?

Według byłego współnika, kiedy Robert „na czymś się zafiksował, to nie było zmiłuj”; gdy po latach znowu zaczął grać w piłkę, „to by na tym boisku spał”. Taki obrazek powtarza się w opowieściach znajomych: człowiek, który z jednej „zajawki” płynnie wpada w drugą – na całego i bez względu na konsekwencje. Jeśli skandowanie na wiecach, to do zdartego gardła.

Bąkiewicz wiele razy pokazuje, że dla swojego środowiska gotów jest zrobić wiele. Po wyroku Trybunału Konstytucyjnego zaostrzającego prawo aborcyjne w Polsce odbywają się masowe protesty. W telewizyjnym wystąpieniu Jarosław Kaczyński apeluje, by przede wszystkim „bronić kościołów”. Na apel odpowiada Bąkiewicz: organizuje Straż Narodową, która ma bronić katolickich świątyń przed domniemanymi atakami. I broni – blokuje wejścia.

Do dziś przed warszawskim sądem toczy się proces o naruszenie przez Bąkiewicza nietykalności jednej z protestujących. Lider narodowców miał szarpać, a w końcu nawet zrzucić kobietę ze schodów przed jednym z warszawskich kościołów. Grozi mu za to do dwóch lat więzienia.

Gdy na placu Zamkowym w Warszawie zbiera się manifestacja poparcia dla pozostania Polski w Unii Europejskiej, Bąkiewicz, wówczas już silny wsparciem z Funduszu Patriotycznego, organizuje kontrmanifestację. „Rzućcie te niebieskie szmaty, pójdźcie do domu i zaczynajcie myśleć! – krzyczy z prowizorycznej sceny. – Folksdojczyce was prowadzą. Za dziesięć lat będziecie krzyčili: »Deutschland«! Czy chcecie homomałżeństw? Czy chcecie adopcji przez homoseksualistów? Czy chcecie migrantów, którzy będą w metrze wysadzali się w powietrze? Tego chcecie?” Przemawiająca w tym czasie powstanka warszawska Wanda Traczyk-Stawska karci go słowami: „Milcz, głupi chłopie! Milcz! Milcz, chamie skończony! Bo ja jestem żołnierzem, który pamięta, jak krew się lała, jak moi koledzy ginęli”.

Nie może go też zabraknąć, kiedy na granicy z Białorusią w 2021 roku rozpoczyna się kryzys uchodźczy. Kiedy na pasie ziemi niczyjej przepychana przez strażników z dwóch stron koczuje grupa kilkudziesięciu wyczerpanych migrantów, Bąkiewicz jedzie na Podlasie. „Żądamy muru na granicy, który zabezpieczy nas przed nachodźcami, którzy stali się elementem wojny hybrydowej Rosji z Polską” – tweetuje z Usnarza Górnego. Rozwijający się kryzys stanie się paliwem dla polskich nacjonalistów, na czele z Bąkiewiczem, który do sytuacji na granicy nawiąże już w pierwszych słowach przemówienia na Marszu Niepodległości: „(...) odnosimy się również dzisiaj do tych wydarzeń, które się dzieją na naszych oczach, gdzie Polska jest atakowana ze wschodniej granicy przez Moskwę, która wykorzystuje Białoruś”. I dalej: „Trwa wojna. Ta wojna jest nie tylko tą na granicy i tą, może mniej widoczną, z Niemcami, z Unią Europejską, ale trwa wojna cywilizacji”.

Jego dawny współpracownik mówi, że lider Marszu Niepodległości „odsiewa ludzi, którzy nie wiedzą, czego chcą”. Wiele osób chciałoby coś zmienić, lecz bez poświęcania się. Piszą, że mają pomysły, mówią, że mają całe programy, ale co z tego, skoro to „inni” mają robić? A Bąkiewicz ma swoje cele i je realizuje.

Zimą 2021 roku razem z Konradem Szczygłem zjawiamy się niezapowiedziani na piątym piętrze wieżowca przy ulicy Słomińskiego na Muranowie. To tutaj mieszczą się biura Stowarzyszenia Marsz Niepodległości i Mediów Narodowych. W środku schludnie i nowocześnie. Przeszklone pokoje, w oddali studio z green screenem. W poczekalni mała biblioteczka. Kilka tytułów: *Obława na Wyklętych*, *O wychowaniu narodowym*, *Cywilizacja żydowska*. Roberta Bąkiewicza nie zastajemy – podobno ostatnio często pracuje z domu. Wychodzi do nas Tomasz Kalinowski, dyrektor zarządzający i redaktor naczelny Mediów

Narodowych. Zna się z Bąkiewiczem jeszcze z czasów ONR-u. Gdy pytamy o historię jego szefa, ma dla nas propagandowy materiał – wywiad Bąkiewicza dla Mediów Narodowych.

Od siebie dodaje:

– Ma naturalny zmysł menedżerski. Wcześniej był przedsiębiorcą, naturalnie wychodziły więc te cechy charakteru. Ma charyzmę.

Czy Kalinowski wie, dlaczego biznes Bąkiewicza upadł?

– Było to związane z kryzysem, wiadomo – mówi. – Kto nie ryzykuje, ten nie pije szampana.

Dziś jako prezes stowarzyszenia i działacz narodowy Bąkiewicz buduje znaczące zasięgi w mediach, także społecznościowych. Na Twitterze obserwuje go ponad 34 tysiące osób. Na Facebooku prawie 47 tysięcy. Kanał Mediów Narodowych ma 246 tysięcy subskrybentów na YouTube. A zasięgi przekładają się na datki. Jak wynika z oficjalnego sprawozdania, w 2020 roku Stowarzyszenie Marsz Niepodległości ma 1,4 miliona złotych przychodu. 308,8 tysięcy złotych pochodzi z jednego procenta podatku, ponad 733 tysiące złotych z darowizn, a 95 tysięcy złotych – ze zbiórek. Z innych źródeł pochodzi 262 tysiące złotych.

W 2021 roku stowarzyszenia Marsz Niepodległości i Straż Narodowa otrzymują trzy miliony złotych dotacji z rządowego Funduszu Patriotycznego¹⁹. Narodowcy, którzy znają Bąkiewicza, mówią, że w pewnym momencie działalność „stała się dla niego pracą”.

Chcemy zapytać go o wszystko, co udało nam się ustalić. Umawiamy się w pruszkowskiej restauracji. Pojawia się – ale zanim cokolwiek powie, podnosi rękę ze smartfonem i oświadcza, że nagrywa nasze spotkanie. Dlaczego? Nie ma do nas zaufania.

Jest uprzejmy, ale zdenerwowany. Raz mówi, że nie zna naszych intencji, za chwilę przekonuje, że wie, do czego służą media. Do czego?

Twierdzi, że na pewno nie do tego, żeby przekazywać prawdę, ale żeby stworzyć pewną narrację. Ma pretensje, że pytamy znajomych o jego sprawy rodzinne, o żonę. W końcu oświadcza: dziś żadnego wywiadu nie udzieli. Stawia warunek: będziemy mogli zadawać pytania, ale tylko jeśli on też będzie mógł pytać. O co? O nasze rzekome związki z zagranicznymi organizacjami, o pompowanie przez nie pieniędzy tylko po to, żeby dziennikarze mogli go pokazać jako negatywnego bohatera.

Pytamy go o powody upadku firmy, o rozwód, o ambicje polityczne i relacje z władzą – za każdym razem Bąkiewicz wymiguje się od odpowiedzi. W końcu robi wyjątek, gdy poruszamy sprawę rozdźwięku między wartościami chrześcijańskimi a rozwodem. Odpowiada: jak sądzimy, jaki związek mają sakramenty z kwestiami prawnymi? W tym pytaniu lidera narodowców ma się kryć odpowiedź na nasze wątpliwości.

– Pana rozwód był tylko na papierze? – dopytujemy.

Milczy. Szeroko się uśmiecha i mierzy nas wzrokiem.

BRYGADY

W roku 2021 Bąkiewicz stoi na czele marszu. Obok niego w równym rzędzie bliscy współpracownicy oraz ochrona w kominiarkach i militarnych strojach. Co chwilę ktoś próbuje do niego podejść, o coś zapytać, jednak narodowiec jest niewzruszony. Tylko po swojemu lekko się uśmiecha.

Za nim płynie rzeka ludzi. Na rondzie Dmowskiego tłum skanduje: „Raz sierpem, raz młotem czerwoną hołotę!”. Obok kolumny, schowani za metalowymi barierkami, pracują fotoreporterzy. W jednym z kadrów uchwycą następującą scenę: Węgrzy z organizacji czczącej pamięć hitlerowskiej formacji wojskowej Waffen SS, Polacy ze znakiem Polski Walczącej na opaskach i mężczyzna z symbolami neonazistowskich kapel na kurtce. Ramię w ramię, flaga obok flagi.

W centrum marszu stoi wielotysięczna grupa, zwarta kolumna radykalnych nacjonalistów, jak mówią o sobie jej członkowie. Od lat grupuje się pod hotelem Metropol – dawniej pod nazwą „czarny blok”, w ostatnim pochodzie po prostu jako „nacjonalistyczna kolumna”.

Gospodarzem oficjalnego wydarzenia na Facebooku promującego tegoroczny wymarsz „nacjonalistycznej kolumny” są Brygady Narodowe. Powstają, kiedy w Polsce trwają masowe, często brutalnie tłumione przez policję protesty przeciw wyrokowi Trybunału Konstytucyjnego Julii Przyłębskiej, który tak naprawdę oznacza niemal całkowitą delegalizację aborcji. ONR ogłasza, że tworzy „strukturę zajmującą się ochroną społeczeństwa polskiego, obiektów religijnych i wydarzeń patriotycznych przed bojówkarskimi atakami oraz prowokacjami ze strony neomarksistów, będących kolejnym wcieleniem bolszewizmu”. I dalej: „Pragniemy również krzewić poszanowanie dla kultury fizycznej, dbać o rozwój sprawności i hart ducha poprzez systematyczne treningi oraz szkolenia w zakresie sztuk walki, sportów siłowych, strzelectwa, survivalu i innych dyscyplin”. Brygady mają formować „Politycznych Żołnierzy – świadomych Polaków, ideowych i uduchowionych, a jednocześnie dbających o rozwój tężyzny fizycznej, którzy będą gotowi do obrony wartości narodowych oraz katolickich na drodze akcji bezpośredniej”²⁰.

– Wyłącznie, jak pan mówi, do samoobrony? – pytam kierownika głównego ONR-u Adriana Kaczmarkiewicza.

– Nie ma możliwości, żebyśmy kogoś zaatakowali – odpowiada. – Bo nie ma sensu, nie ma po co, nie ma kogo. Co mam zrobić, jak zobaczę siwą panią z tęczową flagą? Pobić, poszarpać, wynieść? Nie warto. Jeden działacz uderzy, a media pokażą: oto cały schemat łysogłowych, potrafią tylko bić.

Obóz Narodowo-Radykalny z lat trzydziestych – ugrupowanie, do którego nawiązuje dzisiejszy ONR – powstał po tym, jak młodzi działacze Stronnictwa Narodowego zaczęli kwestionować politykę starszych, odwołujących się do myśli Dmowskiego. Nie podobał im się ich „konserwatyzm”, chcieli być jeszcze bardziej radykalni. Ważną częścią programu „starych” był antysemityzm, ale młodzi narodowcy zamierzali iść dalej i mocniej: całkowicie zablokować możliwość edukacji i kształcenia wyższego młodzieży żydowskiej, żydowskich przedsiębiorców pozbawiać majątku. Zręby nowego programu tworzyli przede wszystkim Jan Mosdorf i Bolesław Piasecki. Po zdelegalizowaniu obozu przez władze sanacyjne rozpadł się on na ONR ABC i Ruch Narodowo-Radykalny „Falanga”, na którego czele stanął właśnie Piasecki, po wojnie „koncesjonowany” przez władze PRL narodowiec i lider uznawanego przez komunistów katolickiego Stowarzyszenia PAX.

Do tradycji przedwojennego ONR-u w różnym stopniu odwoływali się działacze narodowi w latach dziewięćdziesiątych i wczesnych dwutysięcznych. Nazwa i logo – biały symbol falangi na zielonym tle – zaczęły coraz częściej pojawiać się na organizowanych w Warszawie demonstracjach z okazji 11 Listopada. Marsze organizowane wspólnie z Młodzieżą Wszechpolską od 2010 roku będą rosły w siłę, a ONR – kilka lat po tym jak sąd zdelegalizuje jego oddział w Brzegu – w 2012 roku zostanie zarejestrowany jako stowarzyszenie (początkowo z siedzibą w Częstochowie, dziś w Krakowie). Działacze obozu będą współtworzyć Ruch Narodowy – najpierw jako ruch oddolny, potem partię. W jego organizacji swoje kariery zaczną czołowi dzisiaj narodowcy, między innymi Robert Bąkiewicz czy Przemysław Holocher.

Maszerujący w kolumnie niosą długie banery. Widać, że jądro marszu tworzą także regionalne organizacje narodowe. Jest ich w sumie

kilkanaście, w każdym średniej wielkości mieście, w każdym województwie. Liczą od kilkunastu do kilkudziesięciu zaangażowanych członków, którzy na 11 listopada zjeżdżają do Warszawy.

O oddzielenie „nacjonalistycznej kolumny” od reszty marszu dbają rośli mężczyźni w żółto-czarnych kominiarkach: to przedstawiciele Stowarzyszenia „Trzecia Droga”, w którym działa Wojtek, maturzysta marzący o państwie dla białych.

Chwilę po wymarszu kolumny z Alei Jerozolimskich dołączają do niej nacjonaści z Węgier, Estonii i Włoch. Tuż za nimi krocą przedstawiciele innych organizacji: Ruchu Narodowego, Młodzieży Wszechpolskiej i nieformalnej grupy pod nazwą Polscy Konserwatyści. Stali bywalcy marszu. Ramię w ramię z ONR-em idą też autonomiczni nacjonaści, czyli konglomerat różnych nieformalnych grup działających w Polsce i w Europie. Podczas manifestacji stosują taktykę „czarnego bloku” zaczerpniętą od grup anarchistycznych – ubierają się na czarno, zakładają maski i kominiarki, żeby uniknąć zidentyfikowania przez służby. Nie przebierają w środkach, bywają uzbrojeni. W Warszawie w 2017 roku zasłynieł banerem „Europa będzie biała albo bezludna”.

W kilku bramach mijam grupki mężczyzn. Nie idą w marszu, stoją i rozmawiają. Podchodzę bliżej, patrzę na symbole na ich strojach, na tatuaże. Z łatwością zauważam znane mi symbole: 88, 18, swastyki, nazistowskie trupie czaszki, krzyże celtyckie.

Tuż po godzinie czternastej tłum zbliża się do mostu Poniatowskiego. Za mną i przede mną jak okiem sięgnąć ludzie, flagi i odpalone race. Po prawej narodowcy skandują „Polska dla Polaków!”, po lewej ludzie w restauracjach siedzą nad obiadem i patrzą na marsz przez okna. W wielu spojrzeniach niedowierzenie.

W samym środku tłumu, tuż przed delegacją narodowców z Węgier, idzie facet w kurtce khaki z naszywką „Ian Stuart Donaldson”. Przypomnijmy: to nazwisko słynnego neonazisty, założyciela kultowego wśród skinheadów zespołu Skrewdriver i międzynarodówki Krew i Honor.

ZDJĘCIE

Mateusz, wszechpolak:

– Najbardziej lubię filmować ludzi, którzy razem z narodowcami przyszli świętować niepodległość, uśmiechniętych, pozytywnych. Lubię ten moment, kiedy powiewają biało-czerwone flagi, kiedy odpalane są race i śpiewany jest hymn. Razem z kolegami z pionu medialnego staramy się być w wielu miejscach, pokazywać marsz z różnych stron. Niedaleko mostu na balkon jednej z kamienic wychodzi starsza pani, macha do nas, uśmiechnięta, szczęśliwa. Wtedy tłum skanduje: „Babcia fajna jest”.

– Nazistów też byś nagrał? – przerywam.

– Zgłosiłbym do organizatorów. Jesteśmy szkoleni, że neonazistowskie symbole są zakazane.

BRATANKI

„Polska dla Polaków!”, „Biała Europa!” – krzyczy ktoś za moimi plecami. A krzyczy tak, jakby chciał, by go usłyszano po drugiej stronie Wisły.

Na horyzoncie widać już Stadion Narodowy. Po lewej stronie strażacy leją wodę prosto w oczy krzyczącego z bólu narodowca – oczyszczają mu oczodoły z gazu pieprzowego. Facet klnie jak szewc, ale czystą polszczyzną. Kilka metrów dalej nacjonalista z Węgier łamaną polszczyzną, za to na całe gardło krzyczy: „Raś sierpem, raś młociem cierwoną

hołocię!”. W centrum idą działacze włoskiej partii Forza Nuova, jej młodzieżówki Lotta Studentesca oraz węgierscy nacjonaści.

Kim są?

Forza Nuova (z wł. Nowa Siła) to uznawana za neofaszystowską partia jednego z najbardziej znanych i najbardziej kontrowersyjnych europejskich nacjonalistów Roberto Fiorego, skazanego za tworzenie organizacji przestępczej i powiązanego ze sprawcami zamachu na dworzec kolejowy w Bolonii w 1980 roku. FN powstała w 1997 roku, głosi ksenofobiczne, antyimigranckie, rasistowskie i homofobiczne poglądy. Chce zakazać aborcji i związków homoseksualnych, a przy okazji przywrócić partię faszystowską i znieść ustawy zabraniające promocji faszyzmu oraz kryminalizujące przestępstwa z nienawiści. W latach 2003–2006 była częścią szerszej koalicji kierowanej przez wnuczkę Benito Mussoliniego, Alessandrę.

Włosi od lat pojawiają się w Warszawie 11 listopada. „Mamy te same poglądy co ONR. Oczywiście Forza Nuova jest partią, a ONR stowarzyszeniem, ale walczymy o to samo”²¹ – mówił w 2019 roku Andrea di Cosimo. Rok później do Polski przyjechał sam Roberto Fiore. Podczas spotkania z posłem Konfederacji Grzegorzem Braunem podkreślał swoje rodzinne związki z partią Mussoliniego: „Jestem synem faszysty (...). Benito to moje szóste imię”²².

W 2018 roku działacze ONR-u wizytowali Rimini. „To właśnie tam, dokładnie rok temu, horda imigrantów brutalnie zaatakowała polskie małżeństwo”²³ – pisali w relacji z wyjazdu. Po zmroku wspólnie z działaczami Forza Nuova brali udział w „patrowaniu” plaż w kurorcie. Wygłosili też prelekcję na konferencji organizowanej przez włoską partię.

Razem z Forza Nuova do Warszawy przyjeżdżają przedstawiciele młodzieżówki Lotta Studentesca, pierwszej organizacji współtworzonej

przez Roberto Fiorego (w 1978 roku). Jedna z jej działaczek udzieliła wywiadu portalowi 3droga.pl. Na pytanie o faszyzm odpowiedziała: „Faszyzm nie pozwoliłby na całkowite załamanie się systemu społecznego ani na całkowite zniszczenie praw pracowniczych” (w domyśle: na to, na co pozwala liberalna demokracja). Zwróciła się też do polskich nacjonalistów: „Jesteście dla nas przykładem”²⁴.

Przedstawiciele węgierskiej partii Mi Hazánk Mozgalom (z węg. Ruch Naszej Ojczyzny) mają w marszu swój własny blok. Maszerują pod ogromną węgierską flagą i krzyżem dwuramiennym, z ogromnym banerem. Na czele idzie ich lider László Toroczkai. Jest burmistrzem Ásotthalom, miejscowości położonej w pobliżu granicy z Serbią, i otwarcie głosi agresywne wobec sąsiadów Węgier poglądy. Był pierwszym politykiem, który w trakcie kryzysu migracyjnego w 2015 roku poparł ideę budowy ogrodzenia na węgierskiej granicy. Propagował pomysł, by państwo konfiskowało pieniądze uchodźców nielegalnie wjeżdżających na Węgry.

Flaga we flagę z Forza Nuova i ONR-em maszerują działacze ruchu HVIM – Hatvannégy Vármegye Ifjúsági Mozgalom (z węg. Ruch Młodzieży Sześćdziesięciu Czterech Powiatów – nazwa nawiązuje do idei Wielkich Węgier, bo tyle powiatów istniało przed traktatem z Trianon ustalającym granice po pierwszej wojnie światowej). W 2001 roku powołał go do życia Toroczkai, zanim jeszcze założył Mi Hazánk. HVIM organizuje też pochody upamiętniające obronę Budapesztu przez Waffen SS w 1945 roku – te same hitlerowskie oddziały odpowiedzialne były między innymi za brutalne pacyfikowanie powstania warszawskiego.

Ludzie Toroczkaia mają ogromne ambicje i niewiele skrupułów. W 2011 roku członkowie HVIM w Serbii zaatakowali pięciu serbskojęzycznych mężczyzn, bijąc ich metalowymi prętami. Cztery lata później przedstawiciele ruchu zostali aresztowani w Rumunii za próbę

zamachu bombowego w mieście Târgu Secuiesc podczas tamtejszego święta niepodległości, za co skazano ich na pięć lat więzienia.

O obecność Włochów i Węgrów tuż obok działaczy ONR-u pytam Adriana Kaczmarkiewicza. Kierownik główny organizacji zapewnia, że obóz nie współpracuje już z Forza Nuova „tak blisko jak kiedyś”, a w partii nastąpił podział na część faszystującą, związaną z założycielem Roberto Fiorem, i część odcinającą się od faszyzmu, ale ciągle radykalnie narodową.

– A marsz jest wydarzeniem otwartym, każdy może w nim uczestniczyć – mówi Kaczmarkiewicz. – Idą w nim konserwatyści, organizacje katolickie. Jestem pewien, że lewicowe też. Jeśli ktoś chce nieść swoją flagę, to ją niesie.

Ta „otwartość” powoduje jednak, że obok katolików z klubów „Gazety Polskiej” idą ludzie, którzy w hajlowaniu nie widzą nic złego.

– No tak, Włochom zostało zamiłowanie do pewnych gestów – ironizuje Kaczmarkiewicz. – Jako nacjonałiści musimy zrozumieć, że znak używany przed wojną przez nacjonalistów, czyli tak zwany salut rzymski, został przejęty i zohydzony przez Hitlera. I dzisiaj jest z nim kojarzony.

Napady na uchodźców to coś więcej niż zamiłowanie do gestów – to faszyzm w praktyce. Kaczmarkiewicz powtarza, że ONR nie odpowiada za poglądy kolegów z innych krajów, ale kiedy uzna to za słuszne, pokazuje swoją odrębność:

– Niedawno byliśmy w Budapeszcie na uroczystości organizowanej przez HVIM. Pojawiła się tam grupa z zetką na banerach. To miał być symbol poparcia dla agresji Rosji na Ukrainę, jako że literą „Z” oznaczone są czołgi i pojazdy rosyjskiej armii. Podeszliśmy do organizatorów i powiedzieliśmy, że nie weźmiemy udziału w wydarzeniu, na którym obecni są ci ludzie. Zwinęliśmy się i poszliśmy zwiedzać Budapeszt.

W Warszawie są też nacjonaści z Białorusi, Francji, Hiszpanii, Serbii i Estonii. Przechodzę przez barierki i staję razem z innymi reporterami w odciętej od tłumy strefie buforowej. Jeszcze kilka dni temu trwał tutaj remont nawierzchni. Miasto miało zabrać całą kostkę brukową, ale widać, że zostało kilkanaście sztuk. Tylko brać i rzucać.

BÓG

Na drugi dzień organizator marszu ogłasza, że pochód był „bezdyskusyjnym sukcesem”. Że odbył się legalnie, zgodnie z przepisami, a przez stolicę przeszło sto pięćdziesiąt tysięcy osób (według policji około stu tysięcy). Podkreśli, że „polski patriotyzm ma się dobrze” i że „nic go nie zmoże”. Ani słowem nie wspomni o tym, że po raz pierwszy od kilku lat w całej Polsce odbyły się też inne marsze – konkurencyjne wobec tego warszawskiego.

Dlaczego nie wszyscy przyjechali solidarnie do Warszawy, by wysłuchać mowy Bąkiewicza? Dla sporej części narodowców to człowiek PiS-u, a przynajmniej działający na korzyść tej partii. Skrajni nacjonaści zarzucają mu złagodzenie retoryki marszu, a przede wszystkim oddanie imprezy pod skrzydła państwa i korzystanie z milionów złotych dofinansowania z Funduszu Patriotycznego – programu stworzonego przez Instytut Dziedzictwa i Myśli Narodowej podległy ministrowi Piotrowi Glińskiemu.

Bąkiewicz pojawia się na scenie punktualnie o trzynastej. Przed sobą ma gęsty tłum ludzi z flagami, transparentami, racami i megafonami – wśród nich kpiących z jego uległości wobec PiS-u członków nacjonalistycznej kolumny i ich kolegów ze świata.

Za sobą ma politycznych popleczników: posłów Janusza Kowalskiego i Annę Marię Siarkowską.

Kowalski to polityk Solidarnej Polski, bliski ministrowi sprawiedliwości Zbigniewowi Ziobrze, były członek rządu Zjednoczonej Prawicy, w pierwszym szeregu w konflikcie Polski z Unią Europejską. Autor prowokacyjnego hasła „Veto albo śmierć!”, odnoszącego się do uzależnienia unijnych mechanizmów finansowych od praworządności w państwie członkowskim. Siarkowska to założycielka Parlamentarnego Zespołu do spraw Sanitaryzmu i przeciwniczka powszechnych obowiązkowych szczepień przeciw COVID-19. Jednocześnie zwolenniczka zwiększenia dostępu do broni palnej i autorka pomysłu z 2017 roku, by w obliczu rosnącej agresji uczniów „uzbroić nauczycieli”.

Posłowie w wielobarwnym nacjonalistycznym tłumie słuchają słów Bąkiewicza: „Jedyną ostoją i fundamentem, na którym może powstać pokój, dobrobyt, porządek, jest ład chrześcijański. Musimy go odbudować. Jeśli Bóg z nami, któż przeciwko nam?”.

¹⁵ W rozdziale *Na stolicę* wykorzystuję fragmenty artykułów, które ukazały się na Frontstory.pl. Ich współautorami są reporterzy Frontstory.pl i Vsquare.org: Konrad Szczygieł, Julia Dauksza.

¹⁶ *Polska: prawa mniejszości seksualnych zagrożone*, www.amnesty.org.pl (dostęp: 3 lipca 2023).

¹⁷ Tu i dalej cytaty z akt sprawy (przyp. red.).

¹⁸ Magdalena Rigamonti, *Robert Bąkiewicz: Demokracja to jeden z najgłupszych systemów*, <https://www.gazetaprawna.pl/wiadomosci/artykuly/1016579,robert-bakiewicz-onr-homoseksualizm-demokracja-rigamonti.html> (dostęp: 20 czerwca 2023).

¹⁹ W następnych latach kwota ta jeszcze wzrośnie. W 2022 roku „Gazeta Wyborcza” doliczy się łącznie pięciu milionów złotych publicznego wsparcia dla organizacji Bąkiewicza. W 2023 roku kolejne setki tysięcy trafiają do ludzi blisko związanych z narodowcem z Pruszkowa.

20 Artur Bartkiewicz, *ONR powołuje Brygady Narodowe do obrony kościołów*, www.rp.pl, 28 października 2020.

21 Maria Mikołajewska, *Naśladują ataki, którymi szczyli się faszyci Mussoliniego. Liderzy Forza Nuova aresztowani po ataku na siedzibę związków zawodowych*, www.tvn24.pl, 13 października 2021.

22 Anna Mierzyńska, *Neofaszysta Roberto Fiore w Warszawie zagrzewał Grzegorza Brauna do walki o nacjonalistyczną Europę*, OKO.press, 2 września 2020.

23 *Reprezentacja ONR-u z wizytą w Rimini*, <https://www.onr.com.pl/2018/07/12/reprezentacja-onr-u-z-wizyta-w-rimini/> (dostęp: 3 lipca 2023).

24 Krzysztof Kwaśny, *„Droga wciąż wydaje się długa, dlatego proszę Was, nie poddawajcie się!” Wywiad z Vittorią z Lotta Studentesca*, <https://3droga.pl/wywiady/droga-wciaz-wydaje-sie-dluga-dlatego-prosze-was-nie-poddawajcie-sie-wywiad-z-vittoria-z-lotta-studentesca/> (dostęp: 20 czerwca 2023).

ZBLIŻENIE DRUGIE

WIERCHUSZKA

P. w Antifie działa od dwudziestu lat. Znam tylko jego twarz, ksywkę i numer telefonu. Nie wiem, gdzie mieszka ani czym się zajmuje zawodowo. W jego świecie im mniej informacji o życiu prywatnym, tym mniejsza szansa na wpadkę. A ta dla niego mogłaby oznaczać fizyczne niebezpieczeństwo.

Kontakt do niego dostaję od koleżanki dziennikarki, która dobrze zna ruch antyfaszystowski. Najpierw to ona mnie przedstawia, ręczy za mnie własnym nazwiskiem, opowiada o książce, którą piszę. Wtedy P. zgadza się na wywiad.

To z Antifą najczęściej ścierają się najbardziej krewkie grupy radykalnych nacjonalistów. I tylko Antifa nie cofa się przed używaniem przemocy w tej konfrontacji.

Pytam P., jak jego zdaniem zmienili się narodowcy.

– Wystarczy posłuchać, co mówią prywatnie. Wtedy widać, że od czasów skinów niewiele się zmieniło: większość z nich to kolesie, którzy chętnie stanęliby na obozowej wieżyczce. To często goście, którzy są bardzo niedowartościowani, gnębieni w szkole. Tacy ludzie trafiają albo do policji, albo do narodowców. Bycie w takich grupach daje im jakiś rodzaj

„braterstwa”, a także poczucie władzy nad innym człowiekiem i w pewnym stopniu poczucie bezkarności.

Inny częsty wśród narodowców typ osobowości: ci, którzy lubią kierować innymi.

– Podgrupa ludzi bardzo inteligentnych, domorosłych hitlerków na skalę lokalną, krajową, a czasem nawet międzynarodową – mówi P. – To kolesie, którzy w organizacji budują jakieś swoje małe imperium albo przynajmniej tak im się wydaje.

Mają też z tego wymierne korzyści. Trafi się polityczna posadka, miejsce w rządzie albo radzie nadzorczej.

– W moim rodzinnym mieście cała naziolska wierchuszka zaszła bardzo wysoko. Pootwierali legalne, wielomilionowe biznesy. Żyją tak dobrze, że już nie muszą się angażować w przestępczość zorganizowaną. W pewnym momencie po prostu poszli po rozum do głowy. Otworzyli firmy, w które włożyli hajs zarobiony na narkotykach i burdelach. Teraz kręcą taki koks, że są nie do ruszenia.

Ideologia to dla wielu z nich tylko środek do celu, narzędzie, dzięki któremu mogli się wybić „na mieście”. Przejście z przestępczości do legalu nie oznacza jednak, że odcięli się od przeszłości i dawnych kolegów. Nadal, twierdzi P., chodzą na koncerty nacjonalistycznych kapel, wspierają finansowo swoje organizacje, spotykają się z dawnymi kompanami.

Zmienili nie tylko uniformy, ale też styl życia. Stali się normalsami, żyją jak większość społeczeństwa – mają kredyty, pracę w korpo, rodziny na utrzymaniu. A więc też więcej do stracenia.

– Takich kolesi dużo trudniej namierzyć i... zneutralizować. Im można jedynie zagrozić, na przykład poinformowaniem pracodawcy o tym, że jego pracownik ma tatuaż z dwiema ósemkami i lubi atakować Marsze Równości. Kiedyś narodowców było łatwiej kontrolować. Jasne, więcej

było agresji, ale ich nisza była bardziej skupiona, łatwiej było trzymać na niej łapę. Czasami udawało się ich mocno zredukować, a czasem całkowicie likwidowało się taki ruch w mieście.

– Likwidowało? – pytam.

– Blokowało jakąkolwiek możliwość działania. Chodziło po prostu o to, żeby dobrze wiedzieli: każda próba akcji zostanie udaremniona.

AWANGARDA

Potężna sylwetka, broda, okulary na nosie. W plecaku pałka teleskopowa. Przyrząd sporo waży, a jego część – ta, która służy do bicia – jest twarda jak kamień. Taką bronią można pogruchotać kości.

Ale pałka jest do obrony, zapewnia właściciel. Na wszelki wypadek. Przeciwnicy znają jego wygląd i mogą to wykorzystać. Niedawno wykorzystali. Wiedzieli, gdzie mieszka, podjechali samochodem. Wysiedli w kilku, zastąpili mu drogę, skopali, obili pałkami i cegłami. Sprawa trafiła na policję, tożsamości sprawców nie ustalono, a prokuratura umorzyła postępowanie.

– W Warszawie są dwa squaty: przy ulicy Wilczej i przy ulicy Skorupki. Gdybym przechodził obok, to ich mieszkańcy mogliby urządzić na mnie polowanie i próbować zabić. Kiedyś za usiłowanie morderstwa z pobudek politycznych zatrzymano kilku antifiarzy – mówi Grzegorz Ćwik, rocznik 1986, redaktor naczelny radykalnego narodowego pisma „Szturm”.

Do idei miesięcznika nawiązywała nieistniejąca już, niezależna od jego redakcji grupa „szturmowców”. Z czasem zakończyła działalność i dziś to środowisko współtworzy tak zwaną kolumnę nacjonalistyczną wraz z autonomicznymi nacjonalistami. Mowa tu o szerszym ruchu, obecnym też w Europie, a w Polsce w postaci sieci grup i organizacji również o charakterze oddolnym, sportowym i „metapolitycznym”. Kształtował się

w Europie Zachodniej w drugiej połowie dwudziestego wieku (na przykład w Niemczech pod koniec lat dziewięćdziesiątych jako odłam subkultury skinheadowskiej), a do Polski dotarł w połowie lat dwutysięcznych. Najpopularniejsze polskie medium związane z tym ruchem, czyli portal Autonom.pl, działa od 2009 roku. Środowisko to łączy skrajnie prawicowe poglądy z taktykami, ubiorem, a nawet symboliką kojarzoną z reguły z lewicą. Autonomiczni nie lubią kapitalizmu, krytykują globalizację, współczesny liberalizm, imperializm (którego wcieleniem ma być polityka Stanów Zjednoczonych, Izraela i Rosji) oraz „marksizm kulturowy” (reprezentowany według nich przez Unię Europejską). Propagują ideę „czystego życia”, unikania używek i utrzymywania tężyzny fizycznej.

Największy rozgłos zyskali razem ze szturmowcami, organizując wspomniany wyżej „czarny blok” na Marszu Niepodległości w 2017 roku. Obecnie autonomiczni są w sojuszu między innymi z ONR-em, Stowarzyszeniem „Trzecia Droga” i z kilkunastoma regionalnymi grupami nieformalnymi.

W internecie ciągle można znaleźć deklarację środowiska szturmowców. „Z całym dostępnym nam arsenałem duchowej energii, intelektualnej ambicji i niezłomnej woli pędzimy, by szturmem właśnie – nie inaczej – wziąć i zburzyć wzniesioną na upokorzeniu europejskich narodów i krzywdzie milionów cytadelę kłamstwa i hipokryzji oraz nudy i nijakości – czytamy w tekście z 2014 roku. – Bez strachu czy kompleksów stajemy wobec fałszywej współczesności, bo jesteśmy współczesnością autentyczną – pełnią nacjonalistycznej piersi zaciągamy się rzeczywistością, by naprawdę ją zrozumieć i realnie zmienić”. I dalej: „Jesteśmy tu razem, by budzić serca, umysły i sumienia. Jesteśmy wiosną polskiego nacjonalizmu XXI wieku. My to awangarda i przewrót”²⁵.

Na łamach czasopisma *Ćwika* można znaleźć pochwały dla Léona Degrelle'a, belgijskiego faszysty i kolaboranta Trzeciej Rzeszy w czasie drugiej wojny światowej; cytaty z Juliusa Evoli, włoskiego filozofa i ideologa skrajnej prawicy; ciepłe słowa dla Eligiusza Niewiadomskiego i jego „chwalebnego zamachu” na prezydenta Gabriela Narutowicza; elaboraty o „prawdziwym” (a w domyśle: nie tak strasznym) znaczeniu swastyki, salutu rzymskiego czy krzyży celtyckich.

„Oskarżeniom o homofobię zbyt wiele miejsca nie będę poświęcał – martwiłbym się, gdyby takich zarzutów nie było”²⁶ – przyznaje w „Szturmie” Tomasz Dryjański. Rasizm? Proszę bardzo, to Dryjański w tym samym tekście (pisownia oryginalna): „(...) nie bójmy się powiedzieć, że murzyn czy Arab Polakiem być nie może, bo po pierwsze naród jest wspólnotą krwi (jest to jeden z czynników, ale absolutnie konieczny), a po drugie Polacy są po prostu biali”. Kwestia żydowska? Pisze Adam Busse: „Holokaust stał się nie tylko głównym wyznacznikiem izraelskiej polityki historycznej po 1945 roku, ale i sposobem uzyskiwania przez państwo Izrael oraz żydowskie lobby w Stanach Zjednoczonych Ameryki olbrzymich korzyści finansowych (czego skutkiem są choćby roszczenia finansowe wobec Polski)”²⁷. Naczelny wróg? „Lewicowość jest ideologią śmierci i musimy stawić jej czoła oraz ją pokonać”²⁸ – przekonuje Miłosz Jezierski w ślad za Richardem Spencerem. Aleksander Szczygłowski dorzuca jeszcze trochę rozważań o rasie: „Rasa czarna nie zastąpi nigdy Europejczyków, nie ucywilizuje się w łańskim zakątku świata”²⁹.

Nic dziwnego, że dla Antify to właśnie szturmowcy – albo szerzej: autonomiczni nacjonałiści – stają się głównymi przeciwnikami.

Naczelny „Szturmu” przyznaje, że nawet wyrzucić śmieci nie wychodzi „z gołymi łapami”.

– Są miejsca w stolicy, gdzie osoby udzielające się publicznie po prostu muszą uważać. Ja sam jestem bardzo „elektryczny”. Oglądam się za siebie. Nie chodzę dwa razy tą samą drogą. Wiem, że jestem rozpoznawalny. Na manifestacjach noszę kominiarkę, a i tak co chwilę słyszę: „O, zobacz, to ten od »Szturmu« idzie”.

– Nie chce mi się wierzyć – mówię. Widzę przed sobą postawnego faceta, którego inni mogą się raczej bać. – Podobno kiedyś trenował pan kick-boxing, a w plecaku ma pan pałkę i gaz. Przeciwnicy z Antify chyba nie są aż tak groźni?

– A nie słyszał pan o tym, jak mnie ostatnio dojechali?

Skąd wie, że to ludzie z Antify?

– Bo następnego dnia na stronie internetowej pochwalili się flagami, które mi wtedy skroili.

– A co to były za flagi?

– Jedna „Szturmu”, dwie z toporłami.

Toporzeł – obosieczny topór z głową orła – to symbol stowarzyszenia „Niklot”. Tego, które podkreśla przywiązanie do słowiańszczyzny, neopogaństwa i rodzimowierstwa.

– Będzie odwet na Antifie? – pytam Ćwika.

– Nie będzie. Muszę się po prostu lepiej pilnować. I wrócić do treningów.

Przedstawiciele nacjonalistycznej kolumny podnoszą ciężary i ćwiczą sporty walki. Rozwijają umysł i wzmacniają ciało. Plecak wypełniony książkami na ulicy nie pomoże, jeśli za rogiem spotka się kogoś z Antify.

Twarde pięści już tak.

STARCIE

P. z Antify:

– Zwykle wiedziało się, który z nich nosi kosę. Kilku naszych kolegów dostało nożem. Coraz częściej zdarzały się takie ataki. Przypadki, że ktoś wyciągał pistolet, były sporadyczne. Ale były.

Przemoc rośnie i staje się czymś naturalnym. Narodowcy z młodszego pokolenia, zjeżdżający na najbardziej masowy i najlepiej nagłośniony Marsz Niepodległości w 2018 roku, to już ludzie, dla których broń – nóż za paskiem, pałka teleskopowa w plecaku, gaz pieprzowy w kieszeni – była czymś naturalnym.

Kiedyś do środowiska narodowego wchodziło się dzięki zdolnościom do bitki i wyłącznie z czyjegoś polecenia. Wprowadzenie przez członków z dłuższym stażem było elementem rytuału. Dziś, mówi P., działa przede wszystkim wszechobecna, szeroko dostępna w internecie propaganda największych nacjonalistycznych organizacji.

– Wytwarzają poczucie zagrożenia i ludzie, najczęściej młodzi, naprawdę zaczynają myśleć: „Kurwa, za chwilę będzie najazd islamistów, a pedały będą nam gwałcić dzieci”. Co kilka lat zmienia się tylko temat przewodni i negatywny bohater ich opowieści, wymyślony „wróg” – mówi P. – Ludzie są przestraszeni, chcą to zablokować, więc zaczynają szukać. I znajdują. Od trafienia na stronę organizacji na Facebooku do wysłania zgłoszenia droga jest bardzo krótka.

Zmieniło się również to, że miejscem rekrutacji nie jest już tak często jak kiedyś stadion piłkarski.

– Trybuny weszły w interesy tak głęboko, że kibolka przestała być środowiskiem dobrym do łowienia nowego narybku. Teraz panuje tam cynizm, biznes. Aktywistów tam nie znajdziesz.

Zdaniem P. niezmiennie jest coś innego: zawsze na drodze potencjalnego działacza pojawia się jakiś charyzmatyczny lider.

– W silnej organizacji musi być jedna taka osoba, czasem dwie, trzy. Ktoś, kto odpowie ci na maila, umówi się z tobą na spotkanie. Jego zadaniem jest cię wysondować i przekonać do wstąpienia. Ekipy bez mocnych, charyzmatycznych liderów zawsze cienko przędły. Za to jeśli w organizacji był taki „führer”, który miał głowę na karku, umiał się bić albo dobrze mówić, to były sukcesy. Albo powinna być charyzma w ekipie, albo lider musi być takim wojownikiem, dobrym na ulicy, żeby wszyscy, co na niego patrzą, mówili: „Ten typ to się nikogo nie boi”.

Zdaniem P. dzisiejsi narodowcy nie lubią i nie potrafią się bić.

– To nie są goście, którzy by sobie poradzili w starciu ulicznym.

ZAJAWKA

Z Miłozem umówił mnie Grzegorz Ćwik. Znają się ze „Szturmu”. Spotykamy się w Gdyni, w knajpie przy plaży.

Wysoki, dobrze zbudowany, na rękach i nogach tatuaże. Podwija rękawy i pokazuje kilka najciekawszych.

– Na przykład kołowrót. Symbol panslawizmu, bardzo nowoczesny, wymyślony całkiem niedawno. Nie ma żadnych konotacji z nazizmem – mówi Miłoz, rocznik 1986.

– Mnie się kojarzy ze swastyką – zauważam.

– Symbole solarne są w Europie obecne od dawna. Nawet strzelcy podhalańscy mieli swastyki³⁰. Różne rodzaje swastyk są wykorzystywane do dzisiaj przez grupy rekonstrukcyjne. Też się trochę bawię w rekonstrukcje. Odtwarzam Bałta i noszę na palcu pierścień z czternastego wieku, taki z wygrawerowaną swastyką.

– I to ci nie przeszkadza?

– A czemu mamy się pozbawiać symboliki tylko dlatego, że wykorzystał ją jakiś wariat? Niech każdy nosi, co chce.

– A ten tatuaż? – Wskazuję na malowidła pokrywające jego przedramiona.

– W hołdzie sztyletnikom. To była taka zbrojna grupa wywodząca się z warszawskiego plebsu, która robiła dywersję podczas powstania styczniowego. Sztyletnicy likwidowali carskich urzędników, stąd ich nazwa. Dzisiaj są uważani za jedną z pierwszych organizacji terrorystycznych w Europie. Ciekawe, prawda?

Zaczynał w Młodzieży Wszechpolskiej. Dzisiaj ten okres nazywa czasem „młodzieżowej zajawki”.

– Wczesne lata dwutysięczne, końcówka wojen subkultur na ulicach. Na osiedlach skinheadzi, punki, metalowcy. Na początku sam miałem długie włosy, później zgoliłem – mówi Miłosz i dodaje, że wówczas każdy naparzał się z każdym. Nie było tak, że „skini naparzali punków”, a „punki hipisów”. – Wszyscy lubili się bić. Punkowcy nie po to nosili przy sobie łańcuchy, żeby bawić się w pacyfistów.

Twierdzi, że „wtedy przemoc była czymś normalnym”. Walczyło się w szkole, na ulicy. Czasy były inne, bez smartfonów i komputerów, ludzie szukali wrażeń. Jego i kumpli nauczyło to „męskości”.

– Bo czasem było po prostu tak, że ludzie popili się na jakimś koncercie i zaczynała się awantura.

Kiedy subkultury słabną, na sile zyskują nowe środowiska z dwóch skrajów politycznego sporu: narodowcy i lewacy.

– Antifa? Dla mnie to są ludzie, którzy odrzucili jakiegokolwiek normy moralne. Dla nich zupełnie nie jest ważny kodeks honorowy, który z kolei my staramy się podtrzymywać – mówi.

Przykład? Napady kilku na jednego, atakowanie rodzin politycznych wrogów, chodzenie ze skargą na policję – w kodeksie chuligana na takie rzeczy nie ma miejsca.

– Takimi zachowaniami antyfiarze wykluczyli się z grona chuliganów – twierdzi Miłosz. – Bo chuligaństwo w Polsce to bicie się z równymi sobie i na ustalonych zasadach. Środowiska lewackie stworzyły bojówki, żeby zaprowadzać swoje porządki, ale robią to w sposób, który wykracza poza wszelkie zasady honorowego postępowania.

– Może robią tak, żeby się obronić przed silniejszymi? – drązę.

– To lewacka propaganda! – odcina się, ale przyznaje: narodowcy to nie aniołki. Na pewno nie pacyfiści. – Męskie zasady powinny być zachowane. Facet powinien trenować sporty walki i umieć się bronić, a kiedy dostanie w dziąsło, nie lecieć na policję ani ze skargą do pani nauczycielki. Nie będę mówił, że nasze środowisko nie robi akcji, które można uznać za agresywne. Ale też nie jest tak, że ci drudzy tylko się bronią.

W jego rodzinnych Suwałkach swego czasu nacjonaści okazali się skuteczniejsi – jak sam mówi, miasto zostało „oczyszczone z Antify”, a jej członkowie rozpierzchli się po kraju.

– Antifa to bojówka, która używa przemocy. Naszym zadaniem jest pokazanie, że przemoc działa też w drugą stronę. Trochę na zasadzie: my albo oni. I nie mówię tu o całym społeczeństwie. Przemocy nie używamy wobec każdego, kto ma liberalne poglądy. Jak na przykład ty. Widzisz, nie biję cię, tylko z tobą rozmawiam – mówi Miłosz, a potem wraca jeszcze do przeszłości: – Subkultury były dla zabawy, nie dla idei. Chodziło o to, żeby się schlać i ponaparzać. Robić coś dla pozy, nie dla narodu. Kiedyś trzeba było z tego wyrosnąć. Ja wyrosłem.

MORALE

W Antifie jest święta zasada: nie traktuj wroga jak idioty.

– Zawsze wychodzimy z założenia, że mamy do czynienia z niebezpiecznym przeciwnikiem – mówi P. – Jeśli się okaże, że jakaś ekipa jest rzeczywiście głupia, to dobrze, ale jeśli zachowa zasady bezpieczeństwa, my będziemy na to przygotowani. Ci, którzy potrafią te zasady zachować, są niebezpieczni.

A co znaczy „zachowywać zasady bezpieczeństwa”?

P. tłumaczy: nie rozmawiać z obcymi, postronnymi osobami, nie przechwalać się.

– Uważne słuchanie było metodą, którą zawsze zdobywaliśmy dużo informacji – mówi. – Pamiętasz te plakaty z czasów drugiej wojny światowej, z hasłami w stylu: „Bądź cicho, wróg słucha”? To jest prawda. Mieliśmy bardzo dobrą siatkę informatorów: barmani, ludzie pracujący w szatniach, bramkarze w klubach. Słyszeli pewne rzeczy, zapisywali, dzwoniли do nas i opowiadali, że coś się szykuje. Była też sytuacja, że goście jechali autobusem i głośno rozmawiali, jak to jadą na akcję tu i tu. Ktoś z naszych podsłuchał, dał nam znać. Wiedzieliśmy wszystko.

Dziś wiele informacji ląduje w sieci.

– Czasem pojawiała się ekipa bardziej kumata. Nie wiem, czy to dlatego, że miała dobre szefostwo, czy wahała się z Blood and Honour, ale skutek był taki, że trudniej było tych ludzi podejść. Dzisiaj, w czasach internetu, często wszystko mamy podane na tacy.

Skrajni narodowcy potrafią zrobić krzywdę. Nie tylko przeciwnikowi, ale także jego najbliższym. Nie tylko antyfaszyście, ale też komuś przypadkowemu. Potrafią spuścić łomot, bić się jeden na jednego. Potrafią też zaplanować i wykonać większą operację. Tak jak ci, z którymi P. miał do czynienia w swoim rodzinnym mieście.

– Byli bardzo aktywni, napadali ludzi, a jednocześnie byli niesamowicie głupi. Mieli niskie morale. Klasyczna gromada tchórzy: jednego kołosa dojechać to każdy chętny, ale wyjść na pięciu to już nie – opowiada. – I oni nas uśpili. Tymczasem pojawiła się inna, bardzo mocna grupa, ale ta nie była już głupia. Nauczeni kontaktem z tymi pierwszymi, wyszliśmy kiedyś do tych drugich przekonani, że uciekną jak tamci. Nie uciekli. Było grubo. Szczegółów nie mogę podać, ale... Ludzie ucierpieli.

MARGINES

Przemoc? „Była, jest i będzie” – twierdzi naczelny „Szturmu”. Bo czasem na ulicy działa prawo tłumu.

Pytam, co to znaczy.

– Niski próg wyzwalania agresji – odpowiada bez wahania Ćwik. – Dawniej w subkulturze skinów czy punkowców nie trzeba było wiele, wystarczył moment, żeby rzucili się do bitwy na pięćdziesiąt, sto osób. Jak słuchałem kiedyś starszego działacza, który opowiadał o tym, co się działo w latach dziewięćdziesiątych, to oczy wychodziły mi z orbit. To były walki grup latających po mieście z gazurkami. Kiedy odbywał się wykład nacjonalisty, to jedni próbowali wyważyć drzwi do sali, drudzy usiłowali ich bronić i wywiązywała się regularna bitwa. W moich czasach stało się to nie do pomyślenia: wszędzie monitoring, ochrona, policja. Chociaż pewne mechanizmy psychologiczne pozostały.

– Jakie?

– Człowiek, który normalnie takich rzeczy nie robi, nagle potrafi znaleźć w sobie wolę, żeby użyć siły fizycznej. Są tacy, co reagują emocjonalnie, bez refleksji.

A fizyczne ataki na lewicowych działaczy, często nawet na przypadkowe osoby?

Według Ćwika to margines. Naczelny „Szturmu” podaje przykład ataku na działaczy organizacji Food Not Bombs (z ang. Jedzenie Zamiast Bomb), którzy w 2019 roku w centrum Warszawy rozdawali głodnym ciepłe posiłki. Trzech wyrostków użyło wobec działaczy gazu. Zatrzymano szesnasto- i dwudziestodwulatka, któremu postawiono zarzuty propagowania faszyzmu. Komentarz Ćwika? Byli to ludzie, „którzy najpierw zadziałali, najwyraźniej zresztą pod wpływem alkoholu, dopiero potem zrozumieli, co się stało”.

– Tacy agresorzy to często osoby z problemami alkoholowymi. Tamci zobaczyli lewaków z Food Not Bombs i postanowili najpierw zrobić awanturę, a potem jeszcze wrócić i zabrać im baner. Główny nurt nacjonalizmu nie identyfikuje się z takimi działaniami.

– To gdzie się u was kończy główny nurt, a zaczyna margines? – chcę wiedzieć.

– Zawsze patrzymy, czy dane działanie odbywa się w ramach określonej, zaplanowanej działalności organizacji, czy jest alkoholowym albo emocjonalnym wybrykiem bez związku z czymkolwiek.

– A bicie i szarpanie ludzi? – dopytuję.

– Co najwyżej w ramach samoobrony. Bywają momenty, kiedy środowisko uznaje: będziemy stawać w kontrze.

– Na przykład?

– Strajk Kobiet i ataki na kościoły. Nie jestem katolikiem, ale wtedy wyszedłem na ulice. Sprzątałem leżące na ulicach wieszaki i razem ze znajomi, którzy też nie są wierzący, osłaniaлиśmy kościoły.

WYWIAD

W sieci zostawiają po sobie mnóstwo śladów.

– Dziś niesamowicie skuteczny jest też OSINT³¹, biały wywiad – mówi P. – Trzeba tylko dużo czasu i pracy. Czasem musimy się przekopać przez setki stron i dokumentów. Znajdujemy różne informacje: gdzie kto pracuje, gdzie się uczy, gdzie bywa, co czyta, jakie ogląda filmy. Wystarczy dodać jedno do drugiego i trochę poanalizować. Czasem to łatwe. Kiedy zbieraliśmy materiały o jednej z organizacji, okazało się, że goście w mediach społecznościowych umieszczają dosłownie wszystko o sobie. Innym razem trzeba pokombinować. Kiedyś patrzę: koleś na zdjęciu trzyma identyfikator. Robię przybliżenie i okazuje się, że to przepustka z pracy. Wiem, gdzie typ pracuje, a to już jest bardzo cenna informacja.

Niekończącym się źródłem informacji są zamknięte, ale zinfiltrowane przez Antifę grupki dyskusyjne w internecie.

– Dużo tego czytam. Muszę to sobie dozować, bo to nie jest łatwa lektura – mówi P. – Ciekawe są szczególnie grupki dla autonomów [autonomicznych nacjonalistów – przyp. MS]. Oni potrafią robić niestworzone logiczne fikołki, żeby usprawiedliwić jakieś swoje działanie. Na przykład ataki na uczestniczki czarnych protestów kilka lat temu. Wtedy wyszło, że przez całe to „bronienie kościołów” zostali uznani za „ormowców” – jakieś zbrojne oddziały na usługach władzy. Ta ich akcja skończyła się całkowitą porażką, a dodatkowo zawinięciem kilku z nich przez policję. Widziałem, że morale wśród nich jest fatalne.

Pytam, czy narodowcy piszą też o ludziach z Antify.

– Oczywiście. Czytają każdy nasz tekst i wpis. Teraz próbują nas „podciągnąć” pod Putina.

– Jak to?

– Bo oni Putina bardzo nie lubią, a on powiedział, że agresja na Ukrainę jest po to, żeby „wyzwolić” kraj spod władzy „faszystów”. A że my

walczyliśmy z prawdziwym faszyzmem, to jesteśmy uznani za stronników Putina.

Czasem informacje płyną szerokim strumieniem wprost od samych narodowców – skłóconych z grupą, wypchniętych na margines, zdradzonych przez dawnych kompanów. Poczucie krzywdy i niesprawiedliwości sprawia, że „honor”, który wcześniej nie schodził im z ust i klawiatury, staje się tylko pozbawionym wagi propagandowym hasłem.

– Goście się łamią, i to bardzo często. Wtedy chętnie sprzedają swoich kolegów – opowiada P. – Sposobów na to jest kilka. Zawsze staramy się identyfikować takich, którzy są w tym ruchu w jakimś sensie na peryferiach. Stosujemy taką mieszankę: trochę straszymy, trochę apelujemy do zdrowego rozsądku. W zagranicznym ruchu antyfaszystowskim były przypadki przekupywania ludzi, żeby porzucili narodowców, ale my tego nie robimy.

Mają zasadę: nigdy nie grożą czyimś bliskim, czasem jednak żona czy rodzice nie wiedzą, czym zajmuje się ich mąż lub syn. Taka informacja, przekazana w dyskretny sposób, może sprawić, że na niego wpłyną.

– Najczęściej po prostu mówiliśmy gościowi, że nie będzie miał możliwości ruchu, że każdy jego krok jest obserwowany i na pewno wywoła odpowiednią reakcję. I to działało. Niektórzy śpiewali jak na przesłuchaniu. Czasem taka wizja to był dla typa pierwszy impuls, żeby pomyśleć: może coś zmienię. Może zerwę kilka znajomości, może trochę się wycofam? Znam przypadek, że jeden chłopak zaczął jeździć na oazy i śpiewać dzieciom z gitarą. Jestem dość antyreligijny, ale wolę, żeby im śpiewał, niż żeby chciał je gazować w obozie.

RAJ

Miłosz studiował w Lublinie. Potem był Białystok, a potem powrót do Suwałk. To tam wstąpił jako młody chłopak do Młodzieży Wszechpolskiej. W momencie, kiedy ta oderwała się od Ligi Polskich Rodzin.

– Wydawała mi się ugruntowana ideowo – tłumaczy. – Poznałem w niej masę ciekawych ludzi. Intelktualnie i ideowo mi to przypasowało.

Pracował już w czasie studiów. Gdy wyjechał na zarobek do Niemiec, zobaczył inny etos pracy, inne podejście do pracownika, który w Polsce – jak mówi – jest tylko trybikiem.

– Tam też zrozumiałem, że my w Polsce za bardzo zachłysłaliśmy się kapitalizmem, a zapomnieliśmy o człowieku. To zresztą nasza cecha narodowa: chcemy być jeszcze bardziej amerykańscy niż Amerykanie. Jeśli kapitalizm, to na całego. Nie potrafimy działać dla wspólnoty, bardziej zależy nam na tym, żeby pokazać się przed sąsiadem, stać się obiektem podziwu i zazdrości. Na Zachodzie jest inaczej. Tam każdy robi swoje, ale dla dobra wspólnego.

Kilka miesięcy przed naszą rozmową wrócił do Polski ze Szwecji, gdzie pracował przez kilka lat. Tam się przekonał – jak twierdzi – że związki zawodowe są raczej „źródłem prestiżu dla firm”, podczas gdy w Polsce oznaczają wyłącznie „źródło kłopotów i konfliktów”. Dlatego popiera związki zawodowe i prawa pracownicze.

– Na podstawie takich doświadczeń kształtowały się moje poglądy gospodarcze i społeczne. Szły w stronę narodowo-socjalną. Nie mylić z narodowo-socjalistyczną – dodaje. – Ja po prostu uważam, że dla społeczeństwa najlepsza jest tak zwana trzecia droga, czyli taki system, który promuje silnych, ale pomaga też słabszym.

Mówi, że Szwecja, kiedy w niej mieszkał, „nie chyliła się ku upadkowi, nie była też rajem”. Pytam o tę drugą część zdania.

– Szwecja nie jest rajem socjalnym, jak często się to przedstawia. Tam nawet świadczenie na dziecko jest mniejsze niż w Polsce – odpowiada. – Już po szkole zaczyna się wyścig szczurów. Polacy, którzy jadą tam do pracy po raz pierwszy, nie mogą liczyć na żadne zabezpieczenia socjalne. Jeśli pracujesz na tak zwanej umowie A1, szef może ci nie zapłacić, a ty tego nie wyegzekwujesz, bo nie masz podstaw prawnych. Mówi się, że Szwedzi lubią minimalizm. Co z tego, jeśli większość z nich ten minimalizm ma na kredyt. Tam kredyt na samochód dostaje się na dowód i świadectwo, że przepracowało się ostatni rok. Bez wkładu własnego.

No i jest jeszcze, jak mówi Miłosz, „problem z gangami”.

– Są tak zwane strefy *no-go*, gdzie policja wjeżdża wyłącznie solidnie uzbrojona. Bywałem w takich dzielnicach – twierdzi.

Za dnia, mówi, wszystko jest w porządku, ale wieczorem atmosfera się zmienia. Dużo naćpanych, pijanych – „oczywiście” z „krajów Trzeciego Świata”. Pewnego razu w nocy budzi go hałas. Brzmi jak huk petard, ale okazuje się, że w dzielnicy *no-go* ktoś został zastrzelony.

Według niego imigranci z takich dzielnic wcale nie chcą się asymilować. Nie porzucają własnych wartości nawet wtedy, gdy skłania ich do tego opiekuńcze państwo.

– Bo niby dlaczego dla socjalnych benefitów imigrant z Pakistanu miałby przestać żyć, jak żył do tej pory? – pyta Miłosz.

– Choćby dlatego, żeby zaliczyć awans społeczny – odpowiadam. – Wyrwać się z *no-go* i zamiast pracownikiem małej gastronomii zostać dobrze opłacanym fachowcem.

– Ale po co mu to, skoro po pracy w knajpie może dorabiać sprzedażą narkotyków?

A w Polsce? Przybysze ze Wschodu, twierdzi Miłosz, „zostawiają po sobie syf” i „tworzą gangi”.

– Spójrzmy na Czeczenów, Ormian – ciągnie. – W Warszawie widzę coraz więcej czarnych, którzy próbują wyglądać jak „czarni z getta”, a nie jak „czarni z Polski”.

A jak się czuł jako Polak w obcej Szwecji? Jasne, że bezpiecznie. W końcu mieszkał z tamtejszymi nacjonalistami.

– Bardzo w porządku chłopaki – mówi. – Jeden pomógł z mieszkaniem, drugi znalazł mi pracę. Wcale nie patrzyli na nas, na Polaków, jak na jakichś obcych, którzy przyjdą i zabiorą im chleb. Wręcz przeciwnie: ich nacjonalizm jest paneuropejski. Oni uważają, że mamy podobną kulturę, podobne podejście.

Miłosz pochodzi z Suwałk – z regionu, w którym od wieków żyją obok siebie katolicy, prawosławni, Żydzi i Tatarzy. Tych ostatnich „uważa za godnych statusu obywatela państwa polskiego”, ale zaznacza:

– Młodsze pokolenia tatarskie popłynęły w stronę fundamentalizmu.

Z pasją tłumaczy, że przecież Tatarzy sponsorowani są przez Arabię Saudyjską³², a na dodatek do „swoich ubojni halal” sprowadzali do pracy Czeczenów, co Miłoszowi też się nie podoba.

– Mniejszości mają to do siebie, że w pewnych okresach, zwłaszcza osłabienia państwa, mogą popłynąć w fundamentalizm. Choćby po to, żeby zachować własną odrębność. Tak jak we Francji, gdzie pierwsze pokolenia imigrantów z Algierii były bardziej francuskie od Francuzów, a ich dzieci i wnuki wracają do swoich korzeni i uważają społeczeństwo francuskie za wrogie.

– Polscy Tatarzy też „popłyną w fundamentalizm”? – dopytuję.

– To nie ta skala, ich jest o wiele mniej – wyjaśnia Miłosz. – My pewnych rzeczy nie zauważamy. Żyjemy w bajce liberalnej demokracji, gdzie wszyscy są równi, wojen nie będzie, a my jesteśmy szczęśliwi, że możemy wypić kraftowe piwko i obejrzeć Netfliksa. To tak nie działa. –

I zaraz zastrzega: – Nie mówię, że łysi panowie powinni zaraz pojechać do Białegostoku i spalić jakiś meczet.

CZYSTOŚĆ

Nie pije alkoholu, nie bierze narkotyków. Z używek tylko kawa, za to w dużych ilościach. Tego samego – czystości – wymaga również od ludzi ze swojego środowiska.

– Nie mówię, że ktoś nie może sobie wypić piwa czy whisky, to byłaby przesada – mówi Grzegorz Ćwik. – Chodzi o to, żeby uniknąć sytuacji, że ktoś się nawali i narobi siary.

– Czyli dbacie o PR.

– Nie. Chodzi o to, że każdy z nas reprezentuje nacjonalizm przed znajomymi, rodziną, kolegami z pracy. I nie może dawać złego przykładu. Poza tym chodzi po prostu o to, kim się jest. Człowiekiem twórczym i świadomym czy ćpunem albo pijakiem.

– A jeśli ktoś już da ten zły przykład?

– Staramy się pomagać takim ludziom, tłumaczyć im, że to i to powinno wyglądać inaczej. Jeśli nie działa, zwykle od takiej osoby odsuwają się znajomi.

– Jak ktoś kogoś pobije, też pomagacie?

– Tak, solidarność to ważna sprawa w środowisku.

HONOR

„Być honorowym to również być autentycznym. Być prawdziwym. Związanym z przestrzenią nadprzyrodzonej prawdy – immanentnej jednak dla naszej tożsamości. Każdy z Nas to mieszanka tych cnót. A przynajmniej tak być powinno”³³ – pisze Michał Walkowski na stronie „Szturmu”.

P. z Antify:

– Oni bardzo lubią mówić o honorze. Jednak ludzie „charakterni” to u nich absolutna mniejszość. Honor? To propaganda, w którą sami uwierzyli. Wszędzie mówią: „honor”, „charakterność”, „z policją nie gadamy”, ale podać „na protokół” jakiegoś lewaka to już bardzo chętnie. Dla nas to jest mocna karta przetargowa, bo jak przychodzi co do czego, wyciągamy kwity i mówimy: „Patrzcie, wasz koleś rozpruł się na policji”.

Pokazuje zdjęcia zrobione przez działaczy Antify w dużym mieście w Polsce. Widać na nich napisy wykonane przez skłóconych narodowców. W wulgarnym graffiti ktoś podaje nazwisko swojego wroga i dodaje (pisownia oryginalna): „To konfident i pogoniony cwel pochodzący z Ż., siada na butle po ruskim szampanie odwróconą do góry nogami”.

– Na siebie też donoszą? – pytam.

– Cały czas. Kiedyś napisaliśmy tekst o jednym koleś. Po publikacji zgłosiło się do nas niezależnie dwóch gości z jego miasta. Typowi naziolki, czarne słońca na zdjęciach profilowych. Bardzo chcieli dać nam informacje o tym opisanym koleś. Jednego z nich zapytałem: „Stary, dlaczego ty ze mną gadasz? Wiesz, że jesteśmy po dwóch stronach barykady”. Odpowiedział: „A, bo to konfident i parówa, a tak w ogóle to ukradł mi pieniądze”.

²⁵ *Szturm!*, <https://szturm.com.pl/index.php> (dostęp: 3 lipca 2023).

²⁶ Tomasz Dryjański, *Nie przepraszam! Za nic!*, <https://szturm.com.pl/index.php/miesiecznik/item/592-tomasz-dryjanski-nie-przepraszam-za-nic> (dostęp: 20 czerwca 2023).

²⁷ Adam Busse, *Co dalej z tą ideologią Holokaustu?*, <https://szturm.com.pl/index.php/miesiecznik/item/687-adam-busse-co-dalej-z-ta-religia->

holokaustu (dostęp: 20 czerwca 2023).

28 Miłosz Jeziński, *Co oznacza być Alt Right? – tłumaczenie tekstu Richarda Spencera*, <https://szturm.com.pl/index.php/miesiecznik/item/593-milosz-jezierski-co-oznacza-byc-alt-right-tlumaczenie-tekstu-richarda-spencera> (dostęp: 20 czerwca 2023).

29 Aleksander Szczygłowski, *Rasa a tożsamość narodowa*, <https://szturm.com.pl/index.php/miesiecznik/item/859-aleksander-szczyglowski-rasa-a-tozsamosc-narodowa> (dostęp: 20 czerwca 2023).

30 Swastyka pojawiała się na emblematkach noszonych przed drugą wojną światową przez 1. Pułk Strzelców Podhalańskich.

31 OSINT – ang. *open-source intelligence*, zbieranie informacji o grupie lub jednostce z wykorzystaniem publicznie dostępnych danych.

32 W styczniu 2018 roku tatarski mufti w Polsce Tomasz Miśkiewicz ogłosił, że król Arabii Saudyjskiej wesprze finansowo budowę Muzułmańskiego Centrum Kultury i Edukacji w Białymstoku. Sam Bronisław Talkowski, przewodniczący Muzułmańskiej Gminy Wyznaniowej w Kruszynianach, ostrzegł wtedy, że „nie wiadomo, co się kryje pod płaszczkiem islamu”, a kontrolę nad projektem objęło Ministerstwo Spraw Wewnętrznych i Administracji, kierowane wówczas przez Joachima Brudzińskiego z PiS-u.

33 Michał Walkowski, *Źródła moralności Szturmowego Nacjonalisty*, <https://www.szturm.com.pl/index.php/miesiecznik/item/845-michal-walkowski-zrodla-moralnosci-szturmowego-nacjonalisty> (dostęp: 3 lipca 2023).

WYKLĘCI

PICIE I CHULIGANKA

Dorasta w Płocku, mieście Petry. Tak się wtedy mówi na tutejszy klub. Kibole mają szaliki w barwach niebiesko-białych, do tego noszą swastyki, a ostatnio kotwice Polski Walczącej.

Radek od dziecka interesuje się piłką, chodzi na mecze, sam przez kilka lat gra w juniorach Petrochemii Płock. Z bliska widzi, jak skupieni na mordobiciu kibole-skini zmieniają się w maszerujących z narodowcami w Warszawie pogromców uchodźców, lewaków i rządu Donalda Tuska.

– W PRL-u trybuny były wolne od polityki. W latach osiemdziesiątych kibolstwo to było głównie picie i chuliganka – opowiada Radosław Kossakowski, dziś ceniony socjolog z Uniwersytetu Gdańskiego, który ostatnie kilkanaście lat poświęcił badaniu kultury kibiców. – Kibole nigdy nie lubili władzy, bo władza biła pałami i zamykała na dołkach, ale prawicowość kibiców nie zaczęła się za komuny.

STADIONY

Związki skrajnej prawicy z ruchem kibicowskim zaczynają się tam, gdzie narodziła się sama piłka nożna. Pod koniec lat sześćdziesiątych w Londynie powstaje National Front (Front Narodowy). Na jego czele staje Arthur

Kenneth Chesterton, który działalność w brytyjskim ruchu faszystowskim zaczynał jeszcze w latach trzydziestych. Pod jego rządami ruch rozrasta się na całe Wyspy, zdobywa zwolenników i członków w kolejnych hrabstwach, w końcu wystawia kandydatów w wyborach do parlamentu.

W następnej dekadzie stery w partii przejmuje jawny neonazista John Tyndall i to za jego przyczyną niszowa partia staje się niemal bojówką, regularnie ścierającą się na ulicach z policją i antyfaszystami. Wkrótce działacze Frontu pojawiają się pod stadionami piłkarskimi, na których coraz częściej widać sfrustrowanych warunkami życia w kraju, odurzonych alkoholem i gotowych na wszystko skinów. National Front przestaje być tylko partią. Odtąd jest również ruchem agresywnych i skorych do użycia pięści bojówkarzy.

Działający w nim kibole są nie tylko fanatykami swoich klubów – Liverpoolu, Leeds United, Chelsea czy Arsenalu Londyn. Kiedy trzeba, jednoczą się pod flagą państwową i stają się po prostu angielskimi szowinistami. Kiedy w 1995 roku piłkarska reprezentacja Anglii rozgrywa spotkanie z Irlandią, mecz staje się okazją do starcia między nacjonalistami z obu krajów. Najpierw bramkę strzela Irlandia, potem gol dla Anglii nie zostaje uznany. Angielscy kibole, a w ślad za nimi irlandzcy, wdzierają się na boisko i zaczyna się regularna bitwa. Pękają kości, leje się krew, w ruch idą policyjne pałki. Śledztwo służb wykaże, że pseudokibice z Anglii mają przy sobie symbole Combat 18 – neonazistowskiej organizacji terrorystycznej.

Ruch kiboli w Wielkiej Brytanii ewoluuje, ale radykalnie prawicowe poglądy nie znikają. National Front odżywa w drugiej dekadzie dwudziestego pierwszego wieku, kiedy na jego czele staje wieloletni stadionowy chuligan Tony Martin. W 2009 roku na prawicowej scenie pojawia się kolejny podmiot: English Defence League (EDL). Tym razem

to nie polityka zgłasza się po siłę kiboli – to kibole tworzą własny ruch polityczny. Tak samo jest z brytyjskim Football Lads Alliance (FLA), który również głosi skrajnie ksenofobiczne, antyislamskie poglądy – i również rekrutuje się spośród stadionowych chuliganów.

Brytyjskimi kibolami inspirują się ich koledzy z innych krajów. We Włoszech fani klubu Lazio Rzym znani są z otwarcie faszystowskich poglądów – na stadionie regularnie pojawiają się wizerunki Benito Mussoliniego, napastnik Paolo Di Canio hajluje w kierunku grupy kiboli swojej drużyny i otwarcie przyznaje w mediach, że czuje się faszystą, a postać Mussoliniego go inspiruje. Nacjonalizm i szowinizm to do dziś nieodłączne cechy kiboli serbskiej Crveny Zvezdy Belgrad, uznawanych za jednych z najbrutalniejszych i najbardziej radykalnych w Europie.

Radosław Kossakowski podkreśla, że rasiści i nacjonaści byli wśród kibiców w wielu krajach na świecie: we Włoszech, w Hiszpanii, Niemczech czy Rosji. Wykrzykiwane przez nich hasła zawsze wiązały się z „obroną narodu” i konkretnego kontekstu kultury. Pod tym względem polscy kibice nie różnią się od innych.

WRÓG

Krzyże celtyckie, łyse głowy i wysokie buty z białymi sznurówkami – to wszystko pojawia się na stadionach w Polsce, kiedy zmienia się ustrój i pogarszają się warunki życia.

– Początek nowej dekady to upadające zakłady pracy, pauperyzacja całych grup społecznych, bezrobocie i związana z tym frustracja nie tyle młodych ludzi, ile pokolenia ich rodziców – mówi Radosław Kossakowski. – A kiedy w domach się nie przelewa, pojawia się żyzne podglebie dla radykalnych poglądów.

Młodzi szukają swojej tożsamości. Jeden system się wywrócił, drugi dopiero się rodzi. W niepewnych czasach rodzaj bezpieczeństwa i ciągłości daje subkultura.

– Sam należałem do metali. Kiedy skini tłukli się z punkami, a my punkom pomagaliśmy się bronić, sami trochę obrywaliśmy – opowiada Kossakowski. – W małym Płocku tych subkultur było dużo. Niektóre czysto muzyczne, inne odpowiadały na dość naturalną u młodzieży potrzebę utożsamienia się z czymś większym. Ideologia, w której wszystko jest czarno-białe, istnieje jasny podział na dobro i zło oraz wskazany jest wróg: Żyd, mason albo komunista, w prosty sposób wyjaśniała skomplikowaną rzeczywistość.

I tłumaczy:

– Dla skinów ważna jest kultura przemocy, siły, ale też wyraźna hierarchia i jednolitość. To kultura żołniersko-mafijna, w której nie ma miejsca na demokrację i zdania odrębne, bo kiedy atakuje nas wróg, to bronimy się razem, jeden za drugiego. W oddziale żołnierzy nie ma miejsca na indywidualność, różnorodność jest tłamszona. Liczy się „czystość”.

SSSSS

Przez wiele lat chodzi na mecze, patrzy i słucha z coraz większym niepokojem. Dziś wspomina:

– Przyśpiewki, grafiki z hasłem: „Śmierć garbatym nosom”, flaga z rycerzem Ku Klux Klanu mierzącym z pistoletu do osoby czarnoskórej albo z wizerunkiem Rudolfa Hessa, napisy: „W świecie baranów wolimy być wilkami”, i do tego syczenie naśladujące wydobywanie się gazu, cyklonu B. Wyobraź to sobie: nagle parę tysięcy osób robi wielkie „sssss”, aż ciarki chodzą po plecach. Albo śpiewają *Raus, raus, zu den gas*. Swastyki, celtyki i inna symbolika neonazistowska. Ludzie, którzy mieli na

szalikach lub ubraniach symbole SS, a jednocześnie kotwicę Polski Walczącej – absurd.

Jacek Purski to dziennikarz, politolog i działacz społeczny, prezes Instytutu Bezpieczeństwa Społecznego. Przed laty zajmował się przeciwdziałaniem rasizmowi i ksenofobii na polskich i europejskich stadionach w ramach działalności Stowarzyszenia „Nigdy Więcej”. Podczas mundialu w Niemczech w 2006 roku współpracował z FIFA jako konsultant do spraw bezpieczeństwa. Był także jednym z konsultantów odpowiedzialnych za kampanię antyrasistowską UEFA poprzedzającą organizację w Polsce i Ukrainie Euro 2012. Współtworzył antyrasistowskie pismo dla kibiców „Stadion”, którego pomysłodawcą i redaktorem był Marcin Kornak. W rozmowie ze mną Purski opowiada, jak stadiony piłkarskie stały się inkubatorami nacjonalizmu, ksenofobii, rasizmu i antysemityzmu.

Skrajni prawicowcy szybko odnajdują się na stadionach. Dziedzina dotąd pozbawiona politycznej ideologii błyskawicznie zaczyna nią nasiąkać. Ktoś rozdaje ulotki o spisku Żydów, ktoś poleca gazetę antysemity Leszka Bubla. Na stadionie Śląska Wrocław pojawia się godło Narodowego Odrodzenia Polski, na stadionie Wisły Kraków – wezwania, by „zajebać Cracovię, żydowską kurwę”. Chwilę później na meczach polskiej ligi całe trybuny wznoszą ręce w hitlerowskim pozdrowieniu.

Purski:

– A wkrótce okazało się, że całe trybuny są pomarańczowe, bo wszyscy byli w kurtkach typu flyers odwróconych na lewo: pomarańczową podszewką na wierzch.

ŻYDZEW

Jacek Purski wychowuje się na warszawskich Jelonkach, na wielkim blokowisku.

– Mieszkał u nas chłopak o ciemniejszym kolorze skóry. Pamiętam, że ze szkoły wracał bardzo szybko. No wiesz, żeby jak najszybciej zniknąć z zasięgu wzroku. Takie rzeczy kształtują na całe życie. W takim otoczeniu szybko łapiesz to, czy odwagą jest pobić kogoś z kumplami w imię wyższości białej rasy, czy stanąć w obronie kogoś bitego – opowiada.

Kiedy pytam go, czy należał do jakiejś grupy, uśmiecha się i przyznaje, że blisko mu było do subkultury hardcore punk.

– Ludzie chcieli wolności, a przynależność do subkultury stanowiła jej element. Możliwość identyfikowania się z czymś to było wtedy coś wyjątkowego. Ludzie wreszcie czuli, że coś może być tylko ich, ich własne.

W przypadku środowisk nacjonalistycznych dochodzi do tego frustracja spowodowana wykluczeniem.

– Bo niby nastąpiła wolność, niby mamy nieskończone możliwości, niby „mogę wszystko”, a jednak nie do końca. Bo nie mamy dostępu do edukacji, panuje bezrobocie, a bogacą się tylko niektórzy – tłumaczy. – Do takich sfrustrowanych młodych ludzi, poszukujących przynależności, przychodził w końcu oczytany, dobrze zorganizowany ideologiczny lider jakiejś organizacji i wkładał im do głowy radykalną propagandę. Każdy byłby ekstremista mówi, że w pewnym momencie „przyszedł do niego ktoś, powiedział to i to”. Do pewnego człowieka, z którym rozmawiałem, przyszedł kolega z liceum i powiedział: „Za komunę odpowiedzialni byli Żydzi. Teraz mamy kapitalizm, za który też odpowiedzialni są Żydzi. Dlatego trzeba z nimi walczyć”. Dał mu prostą odpowiedź na trudne pytania. Tyle wystarczyło, by tacy jak on i jemu podobni dołączyli do radykałów.

Nabuzowane plemiennymi emocjami trybuny dają poczucie siły. Przejmowane przez ekstremistów stadiony stają się miejscem, w którym nienawiść znajduje ujście, wybucha jak gejzer.

– Pierwszy raz na meczu byłem chyba z sąsiadem, rodzicem mojego kumpla. Miałem piętnaście lat – opowiada Purski. – Mecz średnio kojarzę, za to doskonale pamiętam, że wszyscy śpiewali: „Żydzi, Żydzi, cała Polska się was wstydzi!” i „Zrobimy z wami, co Hitler z Żydami!”.

To dlatego najgorsze w ustach kiboli wyzwiska mają zwykle zabarwienie antysemityczne: zamiast „Widzew” kibice wrogiego mu ŁKS-u krzyczą „Żydzew”.

– Pewien kibic Widzewa opowiadał mi, jak to z grupą kolegów stali gdzieś w bramie i czekali na kibiców ŁKS-u, żeby spuścić im łomot – opowiada socjolog Radosław Kossakowski. – Jeden się wychylił i powiedział: „Żydzi idą!”. Grupa wypadła na ulicę, gotowa do bitwy i... zobaczyła chasydów. Inny z kolegów rzucił: „A, to nie Żydzi”. Bo dla niego to słowo oznaczało wyłącznie kibiców ŁKS-u.

ZGODA

Według socjologa skinowanie z lat dziewięćdziesiątych kończy się w pewnym momencie na stadionach w sposób naturalny, gdy ten model uprawiania kibolki się wyczerpuje i ustępuje kulturze ultrasów. Z czasem stadiony stają się miejscem rekrutacji nie tylko nacjonalistycznych bojówek, ale także grup przestępczych.

– Wielu liderów środowisk pseudokibicowskich to byli ludzie zaangażowani w działalność przestępczą – tłumaczy Purski. – Wiesz, na czym polegają „zgody” kibicowskie? Nie na żadnej ideologii, wierności barwom klubu czy tym podobnych. Każdy to powie, kto wie, jak te układy powstawały. Chodziło o system dystrybucji narkotyków i inne formy

działalności przestępczej. Wszystkie najważniejsze klubowe „zgody” w Polsce zawsze obejmowały miasto portowe, bo w latach dziewięćdziesiątych większość narkotyków trafiała do nas drogą morską. Przykłady? Arka Gdynia lubiła się z Cracovią i Lechem Poznań, Lechia Gdańsk z Wisłą Kraków i Śląskiem Wrocław. Trzy najważniejsze „zgody” stworzone tak, żeby skutecznie dystrybuować wszelkiego rodzaju kontrabandę na cały kraj.

Dla Purskiego to kolejny dowód na to, że kibice są także ofiarami wyrachowania – raz ideologów spod znaku swastyki, innym razem pospolitych gangsterów.

– Pamiętasz „pokój” między kibicami Cracovii i Wisły po śmierci papieża? Skończył się po czterech dniach, bo trzeba było podzielić interesy w mieście. Kibice jednego klubu są odpowiedzialni za sutenerstwo, drugiego za narkotyki – opowiada. – W Instytucie Bezpieczeństwa Wewnętrznego przez wiele lat tłumaczyliśmy policjantom, że rozwiązanie problemu pseudokibiców na stadionie rozwiąże też problem innego rodzaju przestępczości w mieście: wymuszeń, rozbojów, narkotyków. Na początku nam nie wierzyli, ale z czasem przekonali się, że tak właśnie jest. Zwłaszcza w średnich i mniejszych miastach. Tam każdy policjant ci powie, że człowiek, który jest na meczu i ma wpływ na kiboli, zajmuje się jednocześnie narkotykami, rozbojami i wymuszeniami. I przy okazji organizuje wyjazdy do Warszawy na Marsz Niepodległości.

Na studiach Purski trafia na praktyki do Stowarzyszenia „Nigdy Więcej”. Jedno z pierwszych zadań: przygotowanie *Brunatnej księgi* do publikacji w internecie.

– Jeśli czytasz kilkaset stron o przestępstwach motywowanych nienawiścią, w tym kilku zabójstwach, to albo spieprzasz od razu, albo zostajesz na lata. Ja zostałem – opowiada.

Stowarzyszenie „Nigdy Więcej” od 1996 roku prowadzi kampanię „Wykopmy rasizm ze stadionów”. Chodzi o to, żeby uwrażliwić ludzi sportu na rasistowską symbolikę, a w efekcie usunąć ją ze stadionów. Dlatego powstaje magazyn „Stadion”, a w nim kronika rasizmu, ksenofobii i antysemityzmu na meczach piłkarskich. W stowarzyszeniu sport to działka Purskiego – szybko staje się on fachowcem w swojej dziedzinie. Stowarzyszenie „Nigdy Więcej” współpracuje z siecią FARE (ang. Football Against Racism in Europe), a przed mundialem w Niemczech w 2006 roku ostrzega, że na stadionach rasizm może pojawić się ze zdwojoną siłą. Jego wypowiedź cytuje między innymi „Der Spiegel”.

Purski:

– Wydrukowali to w wersji: „na mundialu możemy się spodziewać najgorszego”. Ten cytat został przetłumaczony na wiele języków i w ten sposób z dnia na dzień naraziłem się ekstremistom z całej Europy. Zaczęli do mnie dzwonić kibole z całego kontynentu: „Co ty żeś, kurwa, nagadał tym Niemcom?!”.

ŚNIEG

Na kilka lat przed polsko-ukraińskim Euro 2012 startuje stworzona przez „Nigdy Więcej”, koordynowana przez FARE kampania „Respect Diversity – Football Unites” (z ang. Szanuj Różnorodność – Futbol Łączy). Za jego realizację odpowiada Stowarzyszenie „Nigdy Więcej”. W Polsce i Ukrainie trwają konferencje naukowe, szkolenia poświęcone różnorodności dla nauczycieli szkół, antydyskryminacyjne warsztaty dla pracowników obsługi stadionów, na których odbywać się będą mecze, wystawy, koncerty i wydarzenia sportowe.

Później Jacek Purski zostanie współautorem systemu, który dzięki współpracy delegatów i obserwatorów FARE pomaga raportować do UEFA

wszystkie incydenty o podłożu rasistowskim. Pozwala to uruchomić dalszą procedurę: dochodzenie, przedstawienie dowodów, nałożenie kar. Od pieniędzy po zamknięcie dla kibiców stadionu, a nawet wyrzucenie klubu z rozgrywek. System, który z powodzeniem ruguje rasizm ze stadionów w Europie, w Polsce przynosi problemy... jego twórcom.

Już kilka lat po Euro polski klub piłkarski Lech Poznań dostaje karę za tolerowanie rasistowskich transparentów na swoich trybunach. W obronie klubu staje Zbigniew Boniek, wówczas prezes Polskiego Związku Piłki Nożnej. Na Twitterze publikuje wpis, w którym działania Purskiego nazywa „donoszeniem” na polskie kluby do UEFA.

– Po tweecie Bońka rozpętała się prawdziwa burza, dziennikarze zaprzyjaźnieni z prezesem PZPN zaczęli atakować mnie i kolegów. Jednego dnia pisali, że są przeciwko rasizmowi, by drugiego atakować Stowarzyszenie „Nigdy Więcej”. Uruchomili falę nienawiści, której skali nie znają do dziś. Ideologicznie umotywowani kibole z całej Polski rzucili się na osoby odpowiedzialne za antyrasistowską kampanię – opowiada Purski.

W rozmowie z reporterem „Dużego Formatu” cytuje wiadomości, które wtedy dostał:

„Purski, tropicielu faszyzmu w słoiku po ogórkach. Krew naszej rasy, kapusiu!”

„Ty cwelu, będziesz ruchany przez Polaków! Sprzedajny cwelu! Ile ci dali, szmato? Zemsta będzie boleć sto razy bardziej. Szykuj się, cwelu”.

„Purski, cwelu. Wszędzie widzicie rasizm i nazizm, ale komuchów to już nie. Jebać lewactwo, White Power!”

„Ty czerwony szmaciarzu, powinienes zgnić we więzieniu”.

„Won z Polski!”

„Nie czerwona, nie tęczowa, tylko Polska narodowa”³⁴.

„Gazeta Wyborcza” publikuje list otwarty do Zbigniewa Bońka. Pod treścią podpisuje się czterdzieści sześć organizacji działających na rzecz otwartego społeczeństwa. Autorzy zarzucają Bońkowi „nieuzasadnione i niesprawiedliwe” oskarżenia wobec Stowarzyszenia „Nigdy Więcej”. Apelują, żeby Polski Związek Piłki Nożnej „właściwie zareagował” na przejawy rasizmu i ksenofobii na stadionach oraz by Zbigniew Boniek „opowiedział się po stronie rzeczników stadionów wolnych od nienawiści, rasizmu i ksenofobii”. O sprawie piszą też zagraniczne media.

Purski:

– Od lat wszyscy olewali małpie odgłosy i krzyże celtyckie pojawiające się na trybunach, ale kiedy w końcu jakiś klub zagrał w europejskich rozgrywkach i dostał karę za rasizm, to kto był winny? Nie ci, którzy skandowali hasła, nie ci, którzy je tolerowali, lecz ci, którzy szukali systemowych rozwiązań, by treści rasistowskie w takim kraju jak Polska nie pojawiały się na stadionach, by stadiony nie były miejscem szerzenia nienawiści. To jest chore. Problem rasizmu na trybunach nie jest rozwiązany do dziś i z imienia i nazwiska mogę wskazać osoby za to odpowiedzialne. Kibole powtarzali w zeznaniach farmazony tak głupie, że w głowie się nie mieści: „Wysoki sędzie, ja nie hajlowałem, ja tylko pokazywałem, ile śniegu napadało”.

Działaczom piłkarskim nie zależy na tym, żeby nienawiść zniknęła ze stadionów.

– Wystarczy porównać aktywność innych organizacji i związków piłkarskich w Europie – tłumaczy Radosław Kossakowski. – W angielskiej Premier League przykład idzie z góry. Regularnie odbywa się tam *pride week*, czyli tydzień dumy, w czasie którego wszystkie chorągiewki w narożnikach boisk mają kolory tęczy. A w Polsce? Polski Związek Piłki

Nożnej nie wykazał się własną inicjatywą ani nie wspierał akcji UEFA. Najczęściej udaje, jakby w ogóle tych przedsięwzięć nie było.

Dlaczego?

– Może to wynikać z obawy, że środowisko kibicowskie się zbuntuje, bo w większości jest prawicowe. Mimo że PZPN potrafi świetnie organizować wydarzenia piłkarskie i „sprzedawać” piłkę tak, jak robi to, promując reprezentację Polski, w gruncie rzeczy jest organizacją bardzo konserwatywną. Tam nawet piłka nożna kobiet zarządzana jest przez mężczyzn. Może nie chcą konfliktu z kibicami? A może *status quo* odpowiada wszystkim: działaczom, klubom i kibicom?

WOJNA

Radosław Kossakowski:

– Polscy kibice nigdy nie mieli ambicji, by wykorzystać swój potencjał i stworzyć jednolity ruch polityczny. Przeciwnie: oni byli i są antypolityczni, antysystemowi. W pewnym momencie przykleili się do narodowców, część ma poglądy zgodne z tym, co głosi Konfederacja i Korwin-Mikke, niewielka część wywodzi się z ruchu neonazistowskiego, ale tym, co ich określa, jest bycie w ciągłej opozycji do systemu. W ostatnich latach najgłośniej wybrzmiało to, kiedy Donald Tusk wypowiedział wojnę kibolom.

W maju 2011 roku na jeden mecz w polskiej ekstraklasie zostaje zamknięty stadion Jagiellonii Białystok – to kara za agresywne zachowanie kiboli, ale ci się z decyzją nie zgadzają, czują się przez władzę nękani i represjonowani. Przy następnej okazji skandują: „Donald, matole, twój rząd obalą kibole”. Wkrótce na większości stadionów rozbrzmiewają te same okrzyki. Przodują w nich pseudokibice Legii Warszawa, na czele z Piotrem S., pseudonim Staruch, hersztem warszawskich kiboli, który

zasłynie ze spoliczkowania piłkarza Legii Jakuba Rzeźniczaka. We wrześniu *Superwizjer* TVN-u publikuje szokujące nagrania z miejskiego monitoringu w Krakowie – widać na nich, jak po krótkim pościgu kibole Wisły biją i tną maczetami Tomasza C., pseudonim Człowiek, kibola Cracovii. Mężczyzna umiera³⁵.

To kibole są w tych latach jedną z najaktywniejszych grup w Marszu Niepodległości. Narodowcy i pseudokibice tworzą jeden organizm, zjednoczony w walce z wrogiem – polską władzą. Wyposażeni w szaliki ulubionych klubów, a także race, kastety i kostki brukowe, toczą na marszach regularne bitwy z policją, którą potem organizatorzy wydarzenia oskarżają o „prowokacje”. To kibole podpalają w 2011 roku wóz transmisyjny TVN-u. To kibole stoją za serią podpaień mieszkań uchodźców w Białymstoku dwa lata później.

Ich agresja staje się jednym z głównych tematów kampanii wyborczych. W 2011 roku przedstawiciele rządu zapowiadają, że z przestępczością pseudokibiców będą się rozprawiać bez skrupułów, szczególnie że zbliżają się organizowane w Polsce i Ukrainie piłkarskie mistrzostwa Europy. Agresywni kibole dostają więc zakazy stadionowe i mandaty za głoszenie wulgarnych haseł. Przekonani, że właśnie stali się kolejnymi „wyklętymi”, jeszcze częściej skandują hasło z „Donaldem matołem”.

W końcu dochodzi do bezpośredniej konfrontacji: objeżdżający Polskę w ramach kampanii premier spotyka się oko w oko z grupą kibiców w niewielkiej Wrześni w Wielkopolsce.

– Nie po to, jak byłem mały, miałem siedem lat, drukowałem ulotki Solidarności, aby w tej chwili cierpieć za jakieś dziwne posunięcia – mówi jeden z kibiców, do których wychodzi Tusk.

– Przez ładnych parę lat robiłem w tej samej branży co wy – odpowiada premier. – Jak miałem piętnaście czy dwadzieścia lat i byłem kibolem

Lechii, to wiedziałem, jaka jest moja rola. Dzisiaj mam pięćdziesiąt cztery lata, jestem premierem i wiem, jaka jest moja rola.

W odpowiedzi słyszy:

– Jeżeli trzydzieści lat temu pan kolportował ulotki, które były przeciwko ówczesnej milicji, to wtedy było okej, a w tej chwili cokolwiek się powie pod pańskim adresem czy rządu, to jesteśmy represjonowani, mamy zakazy stadionowe, jesteśmy traktowani jak zwykli bandyci?

Radosław Kossakowski:

– Kibole wyszli na ulice w ramach buntu wobec rządu Tuska. Wtedy odbył się Marsz Niepodległości. Duża impreza, dużo rac i dużo policji, z którą można się bić. A trzeba wiedzieć, że w tych czasach kibole nie prowadzili już życia ulicznego jak w latach dziewięćdziesiątych, kiedy policja sobie z nimi nie radziła, a prawo nie było wobec nich tak restrykcyjne. Na Marszach Niepodległości, pod osłoną nocy i płonących rac, kibolska partyzantka sprawdzała się świetnie.

WIĘZIEN

Konflikt premiera z kibicami staje się pożywką dla ówczesnej opozycji. Prawo i Sprawiedliwość i przychylne mu media podłapują temat, a kiboli aresztowanych w sprawach kryminalnych przedstawiają jako męczenników.

– To było całkowicie cyniczne zagranie, strategia prawicowych polityków. Bo chwilę później, kiedy kibice nie byli im już potrzebni, wsparcie dla nich jakoś rozeszło się po kościach – uważa Radosław Kossakowski.

PiS mówił językiem, którym mówiły trybuny.

– To ta partia promowała tak zwane strefy wolne od LGBT, używając języka, którym szczuje się mniejszości. W ten sposób z niszy przeszedł on do mainstreamowej polityki. To już nie był jeden ONR-owiec

z przekreśloną tęczą na fladze, ale główny nurt, który wpływa na myślenie zwykłych ludzi – mówi socjolog.

Jednym z bohaterów prawicy staje się wtedy wspomniany Staruch, zatrzymany w 2011 roku pod zarzutem handlu narkotykami. Portal Niezależna.pl cytuje księdza Jarosława Wąsowicza, organizatora pielgrzymek kibiców na Jasną Górę, który nazywa go „więźniem sumienia Trzeciej RP”. W 2013 roku, kiedy Staruch jest już na wolności, na kanale YouTube należącym do „Gazety Polskiej” pojawia się z nim wywiad. Kibol żali się: „Jestem wrogiem publicznym numer jeden. Wszelkie represje, jakie mnie dotknęły, te procesy, to kara za realizowanie swojej pasji i miłości”. Spędza w areszcie wiele miesięcy, ale ostatecznie zostaje uniewinniony, co dla prawicowych mediów staje się dowodem na nieczne intencje rządu Tuska. Wtedy od roku rządzi już PiS.

Przez lata łącznikiem między środowiskiem narodowców a stadionowymi chuliganami jest Roman Zieliński, kibol Śląska Wrocław, a przy tym radykalny nacjonalista i antysemita. Najpierw znany głównie z burd na stadionach, z czasem zyskuje niemałą sławę przez nienawistne wypowiedzi i coraz częściej pojawia się na wiecach narodowców w centrum Wrocławia. Współpracuje z NOP-owcami, jest jednym z tych, którzy w 2013 roku atakują wykład profesora Zygmunta Baumana (więcej o tym w rozdziale *Mapa nienawiści*). Na okładce swojej książki *Jak pokochałem Adolfa Hitlera* opisuje siebie tak: „Nawiedzony antysemita, przynajmniej od momentu, kiedy policzył znanych sobie Żydów. Rasista z doświadczenia, nie był nim, dopóki siedział w Polsce i nie wyściubiał z niej nosa. Nacjonalista, bo tak wyszło. Antykomunista, gdyż zaznał »dobrodziejstw« tego systemu. Wróg gejów i panoszącego się pedalstwa. Miłośnik dyktatury”.

Za nawoływanie do nienawiści w książce w 2015 roku sąd skazuje go na pół roku prac społecznych. Zieliński wypowiada się w prawicowych mediach, w niektórych uchodzi za eksperta od polityki, publikuje w sprzyjającej PiS-owi „Gazecie Polskiej Codziennie”, a portal narodowca Jacka Międlara nazywa go „człowiekiem zasad”.

We Wrocławiu słyszę, że według dawnych kolegów ze stadionu Zieliński robi wokół siebie zbyt wiele szumu, a interesom, które prowadzą, najlepiej służy cisza. W 2020 roku narodowiec zostaje pobity i trafia do szpitala z połamanyimi nogami. Nie odzyskuje zdrowia i umiera półtora roku później. Sprawców nie ustalono.

WIZERUNEK

W ostatnich latach prawicowy radykalizm na trybunach zyskuje nieco inny odcień.

– W wypowiedziach narodowców dużo jest patologizowania subkultury kibiców, wielu opowiada o nich jak o ludziach mało inteligentnych, wyraźnie z pozycji moralnej wyższości – mówi doktor Justyna Kajta, socjolożka z Uniwersytetu SWPS. – Odrzucenie subkultury kibiców, ale też subkultury skinheadów to próba konstruowania tożsamości ruchu narodowego jako bardziej „pozytywnego”. Narodowcy mówią: „Gdy trzeba się bić, to od tego są kibice, a nie my”.

Radosław Kossakowski regularnie czyta miesięcznik „To My Kibice!”. Redakcja co roku publikuje relacje z Marszu Niepodległości. W ostatnich latach reportaże są coraz krótsze.

– Organizacje i partie nacjonalistyczne są już tak sprofesjonalizowane, że nie potrzebują tej niepokornej, nie do końca możliwej do skontrolowania energii kibicowskiej – tłumaczy socjolog. – Polityka wymaga pewnej formy, a kibole tej formy nie lubią. Nimi nie da się zarządzać, w tym sensie

są wręcz anarchystyczni. Kibice, z którymi rozmawiam, od lat powtarzają, że świat instytucjonalnej polityki ich nie interesuje, oni się nim brzydzą. Kiedy próbowali się do nich przykleić jacyś prawicowi politycy, to kibice zawsze trzymali dystans. Nawet jeśli ideologicznie się z nimi zgadzali.

Ideologia na trybunach została, choć mniej widoczna, już nie tak oczywista jak w czasach swastyk i antysemitycznych haseł. Nacjonalizm na stadionach ma bardzo różne oblicza.

Kossakowski:

– Wśród kibiców są patrioci pielęgnujący pamięć o żołnierzach wyklętych. Wielu jest korwinistów, którzy lubią wolny rynek, niskie podatki, a nie lubią państwa. Są też oczywiście przypadki ekstremalne, ale tych jest dużo mniej. Rozmawiałem z kibicem Lechii Gdańsk, który skinheadem jest od lat, nie kryje się ze swoim rasizmem. Twierdzi, że skini na stadionach to grupka starych kumpli, którzy kiedyś poznali się na meczu i do dzisiaj trzymają się razem. Ale to zaledwie garstka.

Złagodzenie przekazu płynącego z trybun to także efekt nowej strategii.

– Osoby decyzyjne dla środowiska kibiców wyciszają ekstremalne, radykalne postawy – twierdzi socjolog. – Oczywiście nie są w stanie zapobiec pojedynczym wybrykom, jak niedawno, kiedy na stadionie Cracovii kibice wydawali z siebie głośne „sssss”, nawiązując do odgłosów komory gazowej... Być może sami mają radykalne poglądy, ale w grupie kibiców próbują je ukrywać. Wiedzą, że im się to PR-owo nie opłaca, bo dziennikarze napiszą i znowu będzie skandal.

POWRÓT

Zdaniem doktor Anny Tatar ze Stowarzyszenia „Nigdy Więcej” problem antysemityzmu wciąż nie znika jednak z trybun polskich stadionów. Choć rozumienie kategorii wroga ewoluuje, wróg naczelny pozostaje ten sam.

„Antysemickie flagi, symbole, okrzyki i przyśpiewki są od lat bezkarnie propagowane w środowisku pseudokibiców. Uderzający jest brak reakcji na te zdarzenia ze strony władz piłkarskich, klubowych oraz władz miasta, które udzielają wsparcia finansowego klubom i wynajmują im obiekty sportowe” – mówi Tatar w 2021 roku w trakcie organizowanej przez stowarzyszenie debaty o antysemityzmie na stadionach. Podaje konkretne przykłady antysemickich haseł z ostatnich kilku lat: nazywanie kibiców Resovii Rzeszów „pejsovią” czy piłkarskiej Cracovii „żydowską kurwą”.

Od lat nieustającą popularnością na trybunach cieszy się mit Janusza Walusia, emigranta i nacjonalisty wychowanego w rodzinie o antykomunistycznych tradycjach na konserwatywnym Podhalu. Na początku lat osiemdziesiątych Waluś – już wtedy zażarty antykomunista – wyjechał za chlebem z Polski do Republiki Południowej Afryki. Tam nawiązał współpracę z neonazistami (jego mentorem był Clive Derby-Lewis), którzy opowiadali się za utrzymaniem apartheidu, czyli systemu segregacji rasowej. Z czasem jego poglądy coraz bardziej się radykalizowały. W 1993 roku w biały dzień zastrzelił czarnoskórego działacza Południowoafrykańskiej Partii Komunistycznej Chrisa Haniego. Został skazany na dożywocie.

Dla polskich nacjonalistów stał się prześladowanym przez liberałów męczennikiem, „więźniem sumienia”, „ostatnim żołnierzem wyklętym”. Hasła popierające Walusia pojawiały się na trybunach polskich stadionów już w pierwszej połowie lat dziewięćdziesiątych, wkrótce po morderstwie Haniego i wyroku skazującym. Prymitywna analogia – między powojennymi „wyklętymi” walczącymi z komunistyczną władzą a Walusiem strzelającym do komunisty Haniego – służyła pseudo- kibicom jako idealny propagandowy przekaz. W 2018 roku kibole z Jastrzębia unosili

ręce w hitlerowskim pozdrowieniu, mając przed sobą baner z hasłem: „Uwolnić Janusza Walusia!”.

To uwielbienie dla mordercy próbowali wykorzystać politycy. Kiedy w 2016 roku sąd w Pretorii zdecydował, że wypuści Polaka warunkowo na wolność, a minister sprawiedliwości RPA zaskarżył tę decyzję, o podjęcie działań do polskiego resortu sprawiedliwości apelował poseł Kukiz'15 i działacz nacjonalistycznego stowarzyszenia Endecja Tomasz Rzymkowski (dziś związany z PiS-em, od 2021 roku sekretarz stanu w Ministerstwie Edukacji i Nauki). Ministerstwo zapewniało, że zwróciło się do władz RPA z prośbą o przekazanie dokumentacji potrzebnej do postępowania sądowego, które miałyby doprowadzić do przeniesienia Walusia do więzienia w Polsce.

To nie będzie już potrzebne. W listopadzie 2022 roku sąd w RPA zdecydował ostatecznie: Waluś ma wyjść na wolność. Jako że stracił swoje południowoafrykańskie obywatelstwo, będzie musiał wrócić do Polski. „Niech żyje Janusz Waluś! – ogłaszają w internecie kibice z Warszawy. – Polska czeka na twój powrót do ojczystej ziemi!”

³⁴ Grzegorz Szymanik, *Boniek, to było nie fair*, rozmowa z Jackiem Purskim, „Duży Format” (dodatek do „Gazety Wyborczej”), 20 sierpnia 2015.

³⁵ Jarosław Sidorowicz, Paweł Figurski, „*Misiek*” o śmierci kibola Cracovii: *Mieliśmy go tylko pociąć. Nikt nie planował zabójstwa*, www.krakow.wyborcza.pl, 6 października 2020.

ZBLIŻENIE TRZECIE

PRZEROBIEŃ

Trwa pandemia, łączymy się przez internet. Krystian siada przed kamerką. Solidna postura, okulary na nosie. Co chwilę do pokoju wbiega jego córka. Chciałaby się bawić, ale tata chwilowo nie ma czasu. Bo właśnie głosi:

Oto przychodzi rok 1989, polski naród odzyskuje niepodległość. Z powodów takich, że przez długi czas były braki na półkach, a teraz wolny rynek się otwiera, wszyscy Polacy, jak jedna rodzina, naraz się tą wolnością zachłystują. Efekt jest taki, że dzisiaj dla młodzieży jest ważne, jaki model smartfona kupić, ile alkoholu załatwić na imprezę. Kompletny upadek, uważa Krystian – mąż, ojciec, narodowiec i fan papieża Piusa X, który dopuszcza przemoc wtedy, gdy jest człowiekowi potrzebna.

Nasze społeczeństwo lubi jeść, pić, kupować i nie zastanawia się, jakie to może mieć skutki – takie jest zdanie Krystiana. Ludzie wolą mieć, niż być, powtarza z uporem przed kamerką z obrazem HD. Szczególnie kiedy otworzyły się granice i można było zarobić pieniądze, których przecież wiecznie brakowało. Polacy jako naród nie wykorzystali tej dziejowej szansy, by zamiast płaskich telewizorów pragnąć, dajmy na to, patriotyzmu.

W latach dziewięćdziesiątych wiele rodzin się rozpadło. Brano rozwody, przypomina Krystian, i był to dla narodu bardzo poważny błąd.

Bo z niepełnych rodzin nic dobrego się nie wyniesie.

W jego domu obyło się bez rozwodu, ale kiedy duże zakłady pracy w mieście upadły i zaczęły się masowe zwolnienia, ojciec musiał wybrać: klepać biedę czy jechać za granicę i przywieźć trochę grosza. Wyjechał. Na szczęście – tu Krystian nieco się rozjaśnia – w domu został dziadek. Rocznik 1923, dużo w życiu przeżył. Opowiadał wnukowi, jak rodzina była prześladowana najpierw przez hitlerowców, potem przez komunę.

– Trochę wartości zostało we mnie zaszczepionych – przyznaje Krystian. – Wielu rzeczy człowiek w młodym wieku nie rozumie, ale po jakimś czasie do tego wraca i wtedy to może eksplodować.

W Krystianie eksplodował patriotyzm.

– Fascynowało mnie, jak dziadek opowiadał o historii, o partyzantce, o tym, jak został prawie zawieszony do obozu. A wiedział, co mówi, bo do końca życia był zdrowy na umyśle.

Dziadek zaszczepia w nim patriotyzm lokalny. Dużo osób z okolicy wyjeżdża za granicę, a wtedy rodzina przestaje działać niczym rozkręcony zegarek: jeden trybik wyskakuje i mechanizm siada. Krystian to wie, więc nie wyjeżdża. Zostaje w Małopolsce, a lata później założy tu rodzinę.

Jako chłopiec fascynuje się historią, ale nie tą ze szkolnych podręczników. Interesuje go historia „wyklęta”: partyzanci z lasu, Narodowe Siły Zbrojne, spisek w Magdalence, zdrada przy Okrągłym Stole, rządy postkomuchów.

Towarzystwo? Bywa różnie, jak to w życiu. Czasem, mówi Krystian, mają na nas wpływ różne grupy i sami nie wiemy, że mają. Spotykamy ludzi, rozmawiamy, chłoniemy poglądy jak gąbka.

On chłonie świat historycznych rekonstrukcji. Wkłada mundur, hełm, razem z kolegami zbiera się nocą w lesie, robią „inscenizację walk partyzanckich” („By odbiorcy mogli się przenieść w zamierzchłe czasy

i choć w jakiejś części poczuć na żywo tamte wydarzenia” – tłumaczy Krystian).

– Każdego człowieka można przerobić w zupełnie coś innego – mówi.

On zostaje przerobiony w roku 2011, dokładnie 11 listopada.

Nie bierze udziału w marszu – nie ma na to czasu ani ochoty, nie jest powiązany z żadną narodową organizacją, słowem: nie musi.

– Ale gdy człowiek oglądał Marsz Niepodległości na ekranie telewizora i słyszał, że w Warszawie policja tłucze się z faszystami, to sam miał ochotę wyjść i pomóc policji w spacyfikowaniu ludzi depreczających po święcie państwowym i godnym obchodzeniu tego dnia przez tysiące Polaków – tłumaczy Krystian. – Niestety okazało się jednak, że to media zaczęły przekłamywać fakty, gdyż właśnie zwykłych Polaków chcących dumnie i w spokoju obchodzić to godne święto nazwano faszystami, a cały bajzel z tego dnia, wszystkie negatywne dokonania zostały nam, Polakom, przypisane. Czułem wtedy moralną niesprawiedliwość.

Miną jednak dwa długie lata, zanim Krystian coś z tą niesprawiedliwością zrobi. W roku 2013 idzie na spotkanie partyjnej młodzieżówki – zespołu młodych działaczy Prawa i Sprawiedliwości.

– Myślałem, że jest to partia *stricte* konserwatywna – opowiada dzisiaj. – Myślałem, że jako człowiek z natury moralny będę mieć jakiś wpływ na rzeczywistość, ale PiS nie organizuje nawet szkoleń dla młodych, dla swoich pociech, że tak to nazwę. PiS indoktrynuje pod siebie, a nie daje nic w zamian, nie ma tam miejsca na samodzielne myślenie. Dlatego poszedłem do Młodzieży Wszechpolskiej, bo chciałem zmieniać byt kulturowy, chciałem coś po sobie zostawić.

W Młodzieży każdy ma swój przydział, każdy za coś odpowiada. Jest kanon lektur, członkowie mają obowiązek zdać z nich egzamin, a ktoś musi go przeprowadzić. Jedni są odpowiedzialni za grafiki, akcje społeczne, inni

za przygotowanie referatów tematycznych. Spotkanie co tydzień prowadzi ktoś inny, tematy zadawane są z góry bądź losowane, więc rozrzut jest duży: od biologii, przez technikę, po historię.

– Stawiamy na wielozadaniowość – podkreśla Krystian. – Po ogólnych referatach omawiamy to, co się wydarzyło przez ostatni tydzień w kraju i na świecie. Następnie sprawy związane z partiami, pomoc społeczną, akcje propagandowe, sondy uliczne, roznoszenie ulotek, spotkania z prelegentami.

Krystian nie jest narodowcem neofitą, przy świątecznym stole nie nawraca kuzynów na nacjonalizm. Nie musi.

– Rodzina to na szczęście akceptowała – mówi. – Rodzice mnie chwalili, cieszyli się z tego, co robię. Młodzież Wszechpolska starała się być organizacją elitarną, a nie chodzić i się tłuc jak skini w latach dziewięćdziesiątych.

Biorąc pod uwagę ataki narodowców na Marsze Równości, można mieć w tej kwestii pewne wątpliwości.

Marsz Równości? To jest „agenda narzucona z góry”, którą jakaś grupa próbuje w Polsce „zainstalować”. A kiedy ta agenda nie podoba się ludziom mieszkającym na miejscu, to wtedy „puszczają im nerwy”. Ludzie, tłumaczy Krystian narodowiec, nie życzą sobie takich „prowokacji”.

– Tak jak u mnie w Nowym Sączu – mówi. – W ubiegłym roku odbyła się demonstracja ludzi szeroko pojętego LGBT. Wśród nich nie było nikogo z miasta, wszystko było przyjezdne, dowożone autobusami.

Wszystko nie zostało pobite ani oplute, wszystko na szczęście usłyszało tylko parę wyzwisk.

A czy człowiek z natury moralny akceptuje przemoc, nawet przy założeniu, że została „sprowokowana”?

Przemoc była, jest i będzie, tłumaczy Krystian. Przemocą jest też wciskanie komuś na siłę pewnych idei, przemocą można zmusić ludzi na przykład do szczepień przeciwko COVID-19. Jak to Krystian wyjaśnia? Osoby, które chcą odwiedzić swoich bliskich w szpitalach, a nie są antyszczepionkowcami, „tylko po prostu nie chcą się szczepić”, zmusza się, żeby jednak się zaszczepiły.

Krystian generalnie nie popiera przemocy, ale ona jest wszędzie. Przede wszystkim należy ją kontrolować. Jeśli ktoś idzie ulicą i coś tam sobie gada, nie jest to powód, żeby zaraz dostał w twarz. Są jednak w życiu pewne wyjątki.

Spójrzmy na katechizm Piusa X – mówi Krystian – wyciąga książkę i zaczyna czytać:

„Piąte przykazanie (...) zakazuje nam zabijać, bić, ranić i w inny sposób wyrządzać krzywdę naszym bliźnim – czy to osobiście, czy za pośrednictwem kogoś innego. Zakazuje życzyć bliźniemu zła i znieważać go słownie. W przykazaniu tym Bóg zakazuje nam odbierać także samemu sobie życie (...). Zabójstwo bliźniego jest ciężkim grzechem, gdyż morderca przywłaszcza sobie niegodnie prawo samego Boga, który ma wyłączną władzę nad życiem człowieka. Ponadto narusza bezpieczeństwo w społeczności cywilnej, a swego bliźniego pozbawia życia, które jest najcenniejszym dobrem naturalnym na ziemi. (...) W pewnych przypadkach godzi się zabijać, a mianowicie walcząc w wojnie sprawiedliwej, wykonując wyrok śmierci na zbrodniarzu (...), a także w słusznej obronie koniecznej swego własnego życia przed niesprawiedliwym napastnikiem”³⁶.

Dla Krystiana jest to dowód, że czasem można użyć siły, a w niektórych przypadkach nawet trzeba.

Sam z wiarą katolicką długo się mociuje. Czyta encykliki, czyta, czyta, ale coś mu się nie zgadza, nie brzmi. Na przykład w *Nostra aetate* napisane jest, że Żydzi są naszymi starszymi braćmi w wierze i nie muszą się nawracać, co Krystianowi wydaje się absurdalne, bo w takim razie po co nam Kościół, jeśli nie trzeba się nawracać i każdy może sobie być, kim chce, na przykład Żydem?

Niektórzy katolicy, mówi, sami nie wiedzą, po co chodzą do kościoła. On lawirował, szukał wyjścia, nikt nie potrafił mu wytłumaczyć, czym tak naprawdę jest wolna wola, czyli to, że człowiek oddaje się woli Boga.

– I w pewnym momencie kolega mnie namówił, żebym poszedł na mszę trydencką. Doświadczyłem czegoś niezwykłego – opowiada.

Bo na mszy trydenckiej ksiądz mówi po łacinie, co brzmi dostojniej i jakoś bardziej po bożemu niż jakieś tam współczesne polskie „Ojciec nasz”.

Wszystko to, mówi Krystian, nacjonalizm i katolicyzm, to życiowa droga, niełatwa droga, wyboista droga, droga pełna wyrzeczeń, bo na przykład czasem trzeba gdzieś wyjechać, a w domu żona zostaje sama z małymi dziećmi, i co? I nie każdy cię lubi, nie każdy się z tobą zgadza. Nic to jednak! Z raz wybranej drogi się nie schodzi, trzeba iść i głosić. Ludzie myślą, że wszystko spada z nieba, nastąpiło rozluźnienie moralne, zwłaszcza wśród młodych, którym nie ma kto pokazać wartości wyższych niż materialne – i to jest jeden z wielu celów w życiu Krystiana.

Dlatego dołączył do Ruchu Narodowego, a nawet w Nowym Sączu został jego prezesem. Ruch należy do Konfederacji, co nie jest łatwe, bo – jak wyjaśnia Krystian – koalicja to ciężki byt, to harówka. Trzeba być silnym. Zmiany kulturowe niszczą moralność i obecnie bardzo go to niepokoi.

– Mam dwie małe córki, a trzecią w drodze – mówi. – Boję się, że ktoś mi je zniszczy.

ZNALEZIENI

– Do czego narodowcom potrzebny jest wróg? – pytam doktor Justynę Kajtę.

– Przeciwnik jest potrzebny każdemu ruchowi społecznemu. To może być człowiek, system, ideologia. W przypadku nacjonalistów kategoria jest rzeczywiście dość ważna: to jest zawsze ktoś, kogo nie uważają za członka narodu. W okresie międzywojennym byli to Żydzi, dziś są to homoseksualiści, migranci albo feministki. Dla całego ruchu jako tworzącego kolektywnego to ważne, bo tak się tworzy jego tożsamość. Dzięki wrogowi jest mocniejsza, bardziej określona, klarowna.

Socjolożka na co dzień zajmuje się ruchami społecznymi. W 2020 roku opublikowała książkę *Młodzi radykalni? O tożsamości polskiego ruchu nacjonalistycznego i jego uczestników*, efekt pogłębionych socjologicznych wywiadów z kilkudziesięcioma narodowcami. W opowieściach osób, z którymi rozmawiała Kajta, powtarzały się dwa scenariusze. Pierwszy: rodzina narodowca miała silne ideały antykomunistyczne, była przywiązana do tradycji, katolicka, a dziadkowie mieli w życiu doświadczenia wojenne. Drugi: rodzice to ludzie bez poglądów lub osoby rozczarowane polityką, w którą nie chcą się angażować.

– W tym drugim przypadku następował rodzaj odwróconej socjalizacji. Młody narodowiec czuł dumę, że w przeciwieństwie do rodziców angażuje się politycznie, namawia ich do głosowania na partie narodowe. Wśród narodowców, z którymi rozmawiałam, nie było takiego, którego rodzice mieliby zupełnie przeciwstawne, skrajnie lewicowe poglądy – mówi Kajta.

Z jej badań wynika, że młodzi ludzie stają się nacjonalistami najczęściej na dwa sposoby: pierwszy to poszukiwanie, drugi – bycie znalezionym. Poszukiwacze docierają do nacjonalistycznej ideologii samodzielnie, nieco po omacku. Szukają innych, podobnych sobie i podobnie myślących, dzięki czemu trafiają na odpowiednie strony internetowe i profile w portalach społecznościowych, a w końcu do organizacji. Często bywa, że na tym etapie mają już ugruntowane poglądy i pomysł na to, jak je wcielić w życie. Do znalezionych z kolei ideologia sama „przychodzi” – nagle w ich otoczeniu pojawia się ktoś, kto staje się dla nich przekąźnikiem nacjonalistycznych wartości: podpowiada, podsuwa artykuły, zaprasza na spotkania i uliczne demonstracje. Kiedy trafiają do organizacji, nie mają tak klarownych poglądów jak poszukiwacze, za to bardzo szybko nadrabiają zaangażowaniem. Prędko przejmują ważne funkcje i żeby się wykazać, biorą na siebie odpowiedzialność za działanie organizacji. Wsiąkają w nią tak bardzo, że ta staje się dla nich całym życiem.

Osobowość autorytarna może mieć swój początek w dzieciństwie i wynikać ze sztywnego stylu wychowania – przyznaje doktor habilitowana Magdalena Żemojtel-Piotrowska, psycholog, profesor Uniwersytetu Kardynała Stefana Wyszyńskiego w Warszawie zajmująca się zjawiskiem narcyzmu kolektywnego. Zjawisko to polega na tym, że jednostki należące do określonych grup społecznych mają silne poczucie wyjątkowości, przy czym, paradoksalnie, wynika ono właśnie z poczucia przynależności do danej grupy oraz jej różnie rozumianej „siły”. Narcyz kolektywny jest przekonany o wyższości swojej grupy (na przykład narodu) nad innymi, ale nie dlatego, że sam czuje się wyjątkowy jako pojedynczy człowiek. To stanie ramię w ramię z takimi samymi jak on daje mu poczucie potęgi. Jednocześnie narcyz kolektywny ma ciągoty do autorytaryzmu.

– O kształtowaniu się osobowości autorytarnej wiemy dużo między innymi dzięki koncepcjom socjologów i psychologów (choćby Ericha Fromma), którzy mieli nieszczęście żyć w czasach Trzeciej Rzeszy i rozwoju ideologii nazizmu – tłumaczy Żemojtel-Piotrowska. – Wówczas podatne na wykształcenie się tego typu osobowości były osoby ze środowisk ubogich materialnie i w tak zwany kapitał społeczny: te, które za bardzo świata i jego złożoności nie rozumiały, a jednocześnie w ich domach się nie przelewało.

Wówczas autorytaryzm prawicowy wiązał się bardzo mocno z rolą rodziców. Dziecko wychowywano „twardą ręką”, uczono bezwzględного posłuszeństwa. Ojciec był najczęściej osobą dominującą, przekazującą wartości i polityczne przekonania, a matka zajmowała się tak zwanym ogniskiem domowym. Dochodziło do tego poczucie deprivacji ekonomicznej, materialnych niedostatków. W Niemczech lat dwudziestych ubiegłego wieku grupą szczególnie znienawidzoną byli oczywiście Żydzi, ponieważ stereotypowo postrzegano ich jako grupę obcą, a jednocześnie zamożną. W społeczeństwie pojawiały się pytania: czemu nasza porządna chrześcijańska rodzina jest taka biedna, a rodzina żydowska bogata? Ano dlatego, że „bankierzy żydowscy rządzą światem”. Tak rodził się nacjonalizm, a także faszyzm i nazizm.

To historia. Jak jest dziś?

Według psycholożki kluczowe są dwa czynniki. Niezmienne od lat pozostaje poczucie zagrożenia: nacjonałści boją się obcości, inności, bywa, że reagują na nią agresją. Druga rzecz to „instykt stadny”. Autorytaryzm jest z natury rzeczy grupowy. Trudno rozwijać w sobie autorytarne skłonności, jeżeli otoczenie tego nie potwierdza, dlatego osoby podatne na radykalne ideologie szukają przynależności w silnych grupach, a w życiu dorosłym poszukują kogoś w rodzaju „ojca”, kto powie, co mają robić, jak

myśleć, jak się ubierać. Lubią charyzmatycznych liderów, za którymi będą mogły podążać.

Dlaczego? Bo podejmowanie własnych wyborów, decydowanie o swoim życiu jest zbyt trudne. Według niemieckiego socjologa Ulricha Becka żyjemy dziś w szybko zmieniających się czasach, w społeczeństwie ryzyka. Świat jest coraz bardziej skomplikowany, nie ma prostych recept. Populiści prawicowi i lewicowi mówią coś zupełnie przeciwnego: że rzeczywistość jest bardzo prosta, a odpowiedź na nią stanowi skrajna ideologia, która dla młodych okazuje się kusząca. Bez względu na to, czy jest brunatna czy czerwona.

Psychologia – tłumaczy Żemojtel-Piotrowska – ma specjalne terminy na opisanie tego zjawiska. To na przykład potrzeba domknięcia poznawczego. Każdy ma w sobie potrzebę „bycia pewnym”. Niektórzy wykazują się większą tolerancją wobec wieloznaczności, rozumieją, że ludzie są różni, mają różne preferencje seksualne i wyznają różne religie. Inni z kolei bardzo potrzebują tego, by świat był w pełni wytłumaczalny i kontrolowalny. Skrajne ideologie dostarczają prostego wytłumaczenia: „oni” są zli, „my” jesteśmy dobrzy.

– Czy w domu, w którym figura matki jest silniejsza i bardziej wpływa na wychowanie, maleje szansa na „stworzenie” radykała? – pytam.

– Nie, to nie jest takie zero-jedynkowe. Ważne są style wychowawcze funkcjonujące w rodzinie. Ciepły, kochający i tolerancyjny dom, który zapewnia duże poczucie bezpieczeństwa i otwartości na innych, nie wychowa radykała. Ważny jest kapitał społeczny i kulturowy: spotkanie się z osobami różnych religii i różnych ras w pewnym stopniu chroni przed czarno-białą wizją świata w życiu dorosłym. Ważny jest wreszcie stosunek rodziców do dziecka: jeśli wychowuje się w sposób autonomiczny, jest szanowane, ma prawo wyrażać swoje zdanie, to w dorosłym życiu również

będzie szanować zdanie innych. Sztywny styl wychowawczy daje drzemiącym w młodym człowieku skłonnościom autorytarnym pożywkę.

Znaczenie ma też szkoła. Istotne jest to, w jakim środowisku dziecko przebywa i co robi z tym kadra nauczycielska. Podstawa programowa stanowi tylko jeden z elementów procesu kształcenia, pozostaje jeszcze sposób, w jaki nauczyciele traktują uczniów, to, jakie wartości przemycają między wierszami i czy wierzą w program nauczania tolerancji, o ile w ogóle jest obecny w danej szkole, oraz czy w klasach uczą się dzieci z różnych grup etnicznych, czy też kładzie się bardzo silny nacisk na wartości narodowe i mówi się wyłącznie o jednej dominującej kulturze lub religii.

– Stereotyp głosi, że radykałowie byli w przeszłości dziećmi odrzuconymi przez grupę rówieśniczą – mówię. – Ile w tym prawdy?

– Tutaj psychologia znów odpowiada: to zależy – tłumaczy Żemojtel-Piotrowska. – Rzeczywiście outsiderzy i pogubione dzieciaki szukają osób, wśród których znajdą akceptację. Są łatwym łupem dla wszelkich radykałów. Jeszcze kilkanaście lat temu dużym problemem w Polsce były sekty, grupy poszukujące niepewnych siebie młodych ludzi.

– Radykalna organizacja może być dla młodego człowieka czymś, czym kiedyś była sekta?

– Takie organizacje mają wiele wspólnego z sektami. Teoria narcyzmu kolektywnego, którą zajmuję się w swoich badaniach, tłumaczy, dlaczego grupa o bardzo silnej tożsamości jest dla ludzi atrakcyjna.

Dlaczego? Osoba, która ma problem ze swoją samooceną, podłącza się do danej grupy, żeby coś sobie rekompensować. Często jest to podszyte lękiem: takie osoby żyją w poczuciu ciągłego zagrożenia i dopiero w silnej grupie odnajdują szczęście i bezpieczeństwo. U podłoża narcyzmu grupowego leży przekonanie, że „jesteśmy skrzywdzeni”, a poczucie

krzywdy daje nam prawo moralne, żeby komuś za tę krzywdę „odpłacić”. W praktyce to na przykład wiara, że nasz naród jest lepszy moralnie niż inne, bo przecież tak wiele wycierpiał. Żołnierze wyklęci byli przez poprzedni system atakowani, więc dziś w ramach rewizjonizmu i „wstawania z kolan” twierdzimy, że nie było żadnych bandytów, tylko niezłomni, a Polacy w czasie wojny robili wyłącznie dobre rzeczy. Nie jest to zjawisko tylko polskie. Występuje też między innymi w Turcji i w Rosji, państwach, które kiedyś były wielkie, a teraz nie są. Jeśli nie ma sukcesów realnych, znajduje się „sukcesy moralne”. W końcu musimy sobie jakoś wytłumaczyć, dlaczego jesteśmy biedniejsi niż inni. Narcyzi kolektywni nieustannie porównują się z innymi i wobec tych, którym powodzi się lepiej, reagują wrogością. Zawsze muszą mieć wroga.

– Czyli kogo? – dopytuję.

– Nie bez powodu grupami najbardziej znienawidzonymi są dziś uchodźcy, ale też mniejszości seksualne czy osoby innego wyznania niż katolickie. Wynika to z tego, że narcyz jest wyczulony zwłaszcza na zagrożenia symboliczne, czyli dotyczące świata wartości. Ma wyidealizowaną wizję własnej grupy i przekonanie, że jego pogląd czy styl życia jest jedynym słusznym. Jeżeli ktoś ma inny, to znaczy, że może narcyza „zaatakować”, zabrać mu to, co dla niego święte. Dochodzi do tego silna i ślepa religijność, która daje poczucie „sojuszu z siłą wyższą”. Grupy autorytarne święcie wierzą, że zostały w jakiś sposób wybrane, że są wyjątkowe.

– Ma to związek z religią?

– Religia wiąże się też ze ściśle zdefiniowanym zestawem wartości, które dostarczają wskazówek na temat tego, jak żyć. Dlatego osoby o autorytarnej osobowości szczególnie lgną do religii, zwłaszcza do tych, które są mocno zinstytucjonalizowane. Wartości religijne dają narcyzom

grupowym usprawiedliwienie: przecież nie robią nic złego, a agresja skierowana wobec mniejszości jest moralnie uzasadniona, bo to „walka o dobrą sprawę”.

Według doktor Żemojtel-Piotrowskiej zjawisko narcyzmu kolektywnego staje się coraz szersze. Żyjemy w czasach wzmożonego lęku. Najpierw pandemia, potem wojna, coraz to nowe „strachy”, a jak pokazują badania socjologiczne i psychologiczne, w momencie zagrożenia odpowiedzią na lęk zbiorowy jest często zwrócenie się do tych, którzy obiecują nam, że sobie z tym lękiem poradzą.

– Centrowy polityk nigdy nie powie, że wie, co zrobić, żeby Polska nie zbankrutowała, ale populistą zrobi to bez wahania – tłumaczy psycholożka. – Kiedy pojawia się coś, co zaburza nam poczucie kontroli, instynktownie odwołujemy się do czegoś „większego”: grupy, narodu, Boga. Albo partii.

Doktor Justyna Kajta:

– Często organizacja jest dla członków jak rodzina. Daje im poczucie, że są „razem przeciwko straszniemu światu”.

WYUCZENI

Skończył studia we Wrocławiu, do Warszawy przyjechał za pracą. I nie narzeka. Wprost przeciwnie: pracuje jako programista, zarabia trzydzieści tysięcy złotych na rękę. Z dumą podkreśla, że na wiele go stać, po mieście porusza się przeważnie taksówkami.

Do Młodzieży Wszechpolskiej wstąpił w 2004 roku. Najpierw czekała go „formacja”. Zestaw lektur do przeczytania, a potem egzamin – seria pytań z treści. I ocena. Znasz Dmowskiego, Mosdorfa, Jana Rybarskiego? Jesteś nasz. Nie znasz? Doucz się i wróć. Trzeba chodzić na spotkania, wykłady, konferencje, z czasem samemu wykładać i głosić prelekcje. Być

aktywnym: zadawać pytania (mile widziane są te podchwytliwe), do akcji zgłaszać się na ochotnika, promować Młodzież Wszechpolską w szkole, w domu, w pracy, na podwórku. Być na Facebooku, wchodzić w dyskusje, udzielać się w grupach dyskusyjnych.

Adam, dziś lat trzydzieści pięć, jako nastolatek jest w tym wszystkim dobry. Szybko awansuje. Jak?

– Trzeba zapytać tych, którzy mnie awansowali. Na pewno odznaczałem się dużą wiedzą, szczególnie na temat idei narodowej, którą posiadałem w dużym stopniu jeszcze przed wstąpieniem do organizacji. Byłem obowiązkowy i sumienny.

Jego formacja to czytanie klasycznych dla narodowców książek – Romana Dmowskiego, Zygmunta Balickiego, Feliksa Konecznego, artykułów Adama Wielomskiego i Jacka Bartyzela, Oswalda Spenglera, Rogera Scrutona – oraz coś w rodzaju „egzaminu wstępnego”, czyli testu ze znajomości lektur. Łatwo go zdaje – książki Dmowskiego ma w małym palcu. Wkrótce sam zasiada w wydziale szkolenia, organizuje warsztaty, wygłasza referaty.

Podczas obozów – mówi z dumą, gdy siedzimy w kawiarni, a on siorbie caffè latte – poznaje późniejszych polityków, między innymi Roberta Winnickiego studiującego wtedy we Wrocławiu. Sam egzaminuje też kandydatów.

– Jak ktoś nie znał materiału, tłumaczyłem mu tak długo, aż się nauczył – wyjaśnia.

– A zdarzało ci się kogoś odrzucić? – pytam.

– Bardzo rzadko.

– Pewnie jeśli ktoś chwalił Mussoliniego albo Hitlera?

– Nikt nie chwalił. Młodzież Wszechpolska w takich kręgach nigdy nie była popularna.

– Wśród tych, którzy „zamawiali pić piw”, też nie?

Trochę go prowokuję, bo wiem, jak ta sprawa działa na wszechpolaków. Kiedy Roman Giertych, ich ówczesny lider, a od 2006 roku minister edukacji narodowej w koalicyjnym rządzie z PiS-em i Samoobroną, jest u szczytu władzy, media (najpierw Dziennik.pl, później także „Fakt” i „Gazeta Wyborcza”) ujawniają, że prominentni członkowie Młodzieży Wszechpolskiej brali udział w imprezach, na których hajlowali i pozowali do zdjęć na tle neonazistowskiej symboliki. Sprawa sięga wysokich szczebli, bo wśród opisanych jest Piotr Farfał, wiceprezes Telewizji Polskiej. Jeden z działaczy LPR tłumaczy dziennikarzom, że wykonując gest uniesionej ręki, wszechpolacy mogli po prostu „zamawiać pić piw”.

– To była raczej kwestia młodzieńczego wygłupu niż czegoś poważnego – upiera się Adam. – Zdarza się, że osoby, które nie mają nic wspólnego z Młodzieżą Wszechpolską ani jakkolwiek pojętym nacjonalizmem, śpiewają piosenki Honoru i wykonują salut rzymski.

– Czyli hajlują – prostuję.

– Osobom postronnym ten gest może kojarzyć się z nazizmem, ale do niego nie nawiązuje i nie był wykonywany w tym kontekście. Oczywiście kiedy wyrwie się go z całego kontekstu, mogą się nasuwać takie konotacje. Z tego powodu było to zachowanie nieroztropne i generalnie nie powinno mieć miejsca. Na imprezach ludzie robią różne rzeczy, szczególnie z przekory. Nie należy takich rzeczy robić... Ale ja bym ich aż tak nie wyolbrzymiał.

ZAPRZYSIĘŻENI

– To nie jest tak, że musisz znać supertajny znak, żeby do nas przystąpić. Nie musisz znać ludzi, o dołączeniu nie decydują znajomości z działaczami – mówi Mateusz, wszechpolak z Krakowa. – W każdym

większym mieście działa koło Młodzieży Wszechpolskiej. Zwykle po Marszu Niepodległości, kiedy zainteresowanie nami jest wysokie, organizujemy spotkania otwarte.

Zapewnia, że przyjść może każdy i że mile widziane są wszystkie pytania, nawet negatywne skojarzenia, plotki i opinie.

– Bardzo często myli się nas z innymi organizacjami, na przykład z ONR-em. Chcemy, żeby osoba, która do nas przychodzi, miała jasno nakreślone, kim jesteśmy, a kim nie jesteśmy. Wtedy nie czuje się oszukiwana, wykorzystywana, tak jak w partyjnych młodzieżówkach – mówi.

Mateusz – lat dwadzieścia osiem, z zawodu dziennikarz – szlify zdobywa na portalu poświęconym życiu młodych mężczyzn, gdzie pisze głównie o grach komputerowych.

Twierdzi, że Młodzież Wszechpolska chce tworzyć elitę, a nie działaczy, małych politycznych klakierów od „przynieś, podaj, pozamiataj”. Wie, że tak jest w młodzieżówkach, bo przewinęło się przez nie wielu jego znajomych. Przez pierwsze dwa lata mieli zapał, potem było wypalenie, bo ile człowiek może nosić plakaty albo teczkę za posłem i zastanawiać się, dlaczego jeszcze nie jest w sejmie?

– Nam zależy na tym, żeby każdy działacz był świadomy, czego może się spodziewać i czego się od niego oczekuje – mówi Mateusz.

Dlatego, jak twierdzi, wszechpolacy odpowiadają nawet na pytania o medialne skandale i afery, także o słynne „pięć pów”. Jak? Prosto: że faszyzm, nazizm i polski nacjonalizm to zupełnie różne rzeczy. W organizacji „mają ludzi” od tłumaczenia takich spraw, a także od reagowania na problemy i afery medialne. Są od tego specjalne działy.

– Od 2010 roku do dziś organizacja przeszła diametralną zmianę. Weszliśmy na poziom profesjonalizmu.

– Partyjnego? – pytam.

– My jesteśmy apartyjni. Z Konfederacją czy Ruchem Narodowym łączą nas relacje czysto koleżeńskie. Koledzy Winnicki i Bosak to są przecież nasi wychowankowie, kontakt z nimi jest silny.

– Ale tak jak w partii macie hierarchię i pionową strukturę.

– Tak, u nas hierarchia jest ścisła. Prywatnie prezes koła może być twoim kolegą, jednak jak działacie publicznie, to nie jesteście na „ty”, tylko na „kolego prezesa”. Zasady muszą być zachowane, dyscyplina jest niezbędna.

Dlaczego? Żeby z organizacji, tłumaczy wszechpolak, nie zrobiło się „kółko towarzyskie”. Niedawno widział zapowiedź filmu o miłości lewicowej działaczki i narodowca pokazanego w krzywym zwierciadle: jako kolesia, który robi po lasach imprezy i szuka okazji, żeby napić się piwa z kumplami. A od tego wszechpolacy chcą uciec. Przecież nie może być tak, że spotykają się raz na jakiś czas, pomówią o idei Wielkiej Polski i szybko pójdą na imprezę.

– A może chodzi o to, żeby jak najściślej kontrolować swoich działaczy? – prowokuję.

– My chcemy ich kształtować. Mieliśmy wiele przypadków, że osoba, powiedzmy, „nadaktywna” dzięki organizacji stawała się lepszym człowiekiem. I to jest nasz naczelny cel.

Kandydat do Młodzieży Wszechpolskiej musi wiedzieć, że na pewno chce do niej przystąpić. Zbyt duże wątpliwości i odstępstwa od światopoglądowej normy nie wyjdą mu na dobre, choć podobno kiedy przyjdzie do nich „fan Korwina”, nie powiedzą mu: tam są drzwi, ogarnij się i wróć. Raczej pozwolą się powoli dostosować.

A jak podchodzą do kwestii wiary?

– Nikogo nie zmusimy, żeby został praktykującym katolikiem – mówi Mateusz. – Nie sprawdzamy, kto ma chrzest, a kto nie miał bierzmowania. Nie strugamy ludzi według własnego wzoru, nie tworzymy żołnierzy.

– Można nie chodzić do kościoła, ale szanować katolicyzm już trzeba?

– Są u nas osoby wyznające inną wiarę, ale respektują te podstawy, wartości chrześcijańskie, jak na przykład szacunek do życia czy uznawanie narodu za najważniejsze ziemskie dobro.

Nie wierzę, mówię, by wszechpolakiem mógł zostać ktoś, według kogo aborcja powinna być dozwolona w każdym przypadku. Mateusz przyznaje, że „to się gryzie”. Bo jak można przyjmować, że dobro narodu jest najważniejsze, i domagać się liberalizacji prawa aborcyjnego? No, wiadomo, bez przesady, organizacja „nie będzie robić wyjątków”.

– Nie będziemy robić akcji *pro-life* i mówić: ty nie musisz uczestniczyć, bo ty jesteś za aborcją. Poza tym my nie chcemy przyciągać ludzi na siłę, żeby tylko u nas byli, i na siłę ich tu trzymać. Tworzymy elitę, a nie masy – deklaruje Mateusz.

Egzamin z lektur jest ustny.

– To bardziej rozmowa o tekstach, żeby działacz był w stanie rozpoznać i rozróżnić najważniejszych autorów i ich poglądy – mówi Mateusz. – Nie na zasadzie, że „piąteczka i witaj w klubie” albo „zakuj, zdaj, zapomnij”. Do egzaminu można też podejść drugi raz.

Mateusz egzamin zdawał osiem lat temu. Dostał pytania o teksty Mosdorfa, Dmowskiego i nieco starszych od siebie kolegów z Młodzieży Wszechpolskiej o nacjonalizmie w dwudziestym pierwszym wieku. Momentami było jak w szkole przy tablicy: słowa leciały, ale nie do końca o tym, o czym powinny.

– Już wtedy byłem bardzo zaangażowany – dodaje. – Działiałem u siebie w Limanowej i mój prezes, który przeprowadzał egzamin, starał się mnie

naprowadzić.

Po egzaminie jest już zaprzysiężenie – według Mateusza to kluczowy moment.

– Do dziś jest tak, że jak jestem na zaprzysiężeniu, to słowa przysięgi powtarzam razem z kandydatami pod nosem. Złożenie przysięgi jest bardzo ważne. Bo Młodzież Wszechpolska to nie organizacja, która przychodzi do ciebie. To ty przychodzisz do niej. Jeśli już składasz przysięgę na sztandar, to znaczy, że dobrowolnie i świadomie dołączasz do organizacji.

Zaprzysiężenia – zwykle odbywające się przy okazji dużych zjazdów lub pielgrzymek na Jasną Górę – mają być organizowane z największą pompą. Program wygląda tak: powitanie, oficjalne przemowy, podziękowania. Działacze wprowadzają sztandar – mieczyk Chrobrego na zielonym tle między złotymi literami „M” i „W”. Kandydaci na członków wyczytywani są kolejno z nazwiska i ustawiają się w rzędach. W tej pozycji składają przysięgę na sztandar. W momencie wpięcia symbolu mieczyka w klapę marynarki stają się członkami organizacji „w pełni mocy sprawczej i decyzyjnej”.

A potem impreza? Nie, „integracja”. W Młodzieży Wszechpolskiej jest święta, niepisana zasada: w trakcie uroczystości nie spożywa się posiłków, dozwolona jest tylko woda – jeśli jest gorąco. Jeśli ktoś musi, może przyjmować potrzebne leki, ale nie podczas zaprzysiężenia.

– Dlaczego? – pytam wszechpolaka.

– Bo to uczy dyscypliny.

– I znowu dyscyplina...

– Jeśli nastąpiłoby rozluźnienie – tłumaczy – a przecież jesteśmy młodzi i piękni, krew w nas żywa, to potem trudno byłoby nad towarzystwem zapanować. Generalnie jednak utrzymanie porządku nie jest u nas problemem. Za swoich ludzi odpowiadają prezesi kół.

– A co z integracją?

– Po uroczystości dyscyplina może zostać poluzowana. Można się spotykać w gronie znajomych, przyjaciół, można się bawić, ale nie upić. Upicie się grozi nawet wydaleniem z organizacji.

– Ale spożywanie alkoholu nie jest zabronione? – dopytuję.

– Zależy od okazji. Podczas pielgrzymki środowisk narodowych na Jasną Górę alkohol jest kategorycznie zakazany.

A prywatnie?

– Jesteśmy przeciw używkom, ja też. Ale nie popadajmy w skrajności. Wypicie piwa czy dwóch nie oznacza, że człowiek musi się nawalić do nieprzytomności, a potem, chodząc pijackim krokiem, wykrzykiwać: „Czołem Wielkiej Polsce!”. Mamy wyznaczoną granicę, gdzie kończy się dobra zabawa, a zaczyna pijacka burda. Sztywnych ram nie ma, lecz wyraźnie i wielokrotnie podkreśla się, że działanie „pod wpływem” będzie bardzo mocno potępiane, a uczestników wydarzeń spotkają nieprzyjemne konsekwencje.

– Jakie?

– W rozmowie z prezesem okręgu kończy się przyjacielska atmosfera i zaczyna relacja podwładny–szef. Winny dostaje burę oraz wskazówki, co musi zrobić, żeby zadośćuczynić za wyrządzone szkody. Także moralne, bo na przykład po alkoholu pokłócił się z kolegą. W najgorszym razie sprawa idzie do sądu koleżeńkiego. Sąd się spotyka, sprawa jest rozpatrywana, a wszystkie kontrowersyjne przypadki są szczegółowo spisywane. Koleżeństwo roztrząsa sprawę na wszystkie sposoby i decyduje, czy sprawca zostanie wykluczony czy nie.

Najgorsze przypadki?

– Tego powiedzieć nie mogę, to są już sprawy wewnętrzne, które na szczęście nie wypłynęły... To znaczy, jeśli mam być szczery, zdarzało się

na przykład zniszczenie mienia – przyznaje Mateusz. – Sprawca musiał wszystko opłacić z własnej kieszeni. Ale takie rzeczy dzieją się rzadko, u nas jest naprawdę duża dyscyplina. Jeśli ktoś robi głupoty, koleżeństwo bierze delikwenta pod pachy i go wyprowadza. A taka pielgrzymka to przecież uroczystość duchowa, podniosła i bardzo publiczna. Co roku media muszą coś o niej napisać. To chyba ty w „Polityce” napisałeś o „ciemnych siłach Jasnej Góry”, prawda?

– Ja.

– No właśnie.

³⁶ Katechizm opracowany przez kardynała Gasperriego, potocznie nazywany katechizmem Piusa X, dostępny jest powszechnie w różnych wersjach i tłumaczeniach. Cytowany fragment można znaleźć w wydaniu: *Katechizm Katolicki Piusa X*, tłum. Marcin Karas, Sandomierz 2020, audiobook dostępny tu: <https://www.youtube.com/watch?v=tnJ7UWSDGzU> (dostęp: 27 lipca 2023) (przyp. red.).

MAPA NIENAWIŚCI

PRYZSTANEK PIERWSZY

– Czego stoisz?! Spierdalamy! – Ktoś łapie Katarzynę za rękaw i zdecydowanym gestem odciąga na bok. W tym samym momencie kilka metrów od nich wybuchają hukowe granaty, w powietrzu unosi się gaz łzawiący.

Jest lato 2019 roku. Sytuacja podczas Marszu Równości w Białymstoku³⁷ właśnie wymknęła się spod kontroli. Katarzyna przyjechała tu po to, by za pomocą aparatu fotograficznego dokumentować wiecującą ulicę. W Warszawie, Wrocławiu, Lublinie, Gdańsku, Częstochowie, Białymstoku i mniejszych miastach ścierają się ze sobą dwie Polski: tęczowa i narodowa. W ludziach, w większości młodych, widać moralne i ideologiczne wzmożenie. Czują, że mogą zabrać głos. Robią to, krzycząc, wyzywając innych, rzucając się na nich z pięściami i wymierzając kopniaki. „Zakazują pedałowania”, ogłaszają „Polskę dla Polaków” i „białą Europę”. Mają swój czas i nie zamierzają go zmarnować.

Znajduję tych, którzy na zdjęciach dokumentują demonstracje narodowców. Katarzynę, Aleksandrę i Roberta pytam o obserwacje, ich własne emocje i ocenę tego, co zobaczyli przez obiektyw aparatu.

Katarzyna mówi, że zawsze chce podejść jak najbliżej, zajrzeć w oczy, w fotograficznym zbliżeniu uchwycić emocję, która kazała ludziom włożyć koszulki z Polską Walczącą, wyjść z domu i krzyczyć, że „raz sierpem, raz młotem czerwoną hołotę”. Chce zrozumieć, dlaczego jedni drugim – sąsiedzi sąsiadom – odmawiają prawa do życia w jednym państwie. Dlaczego 1 sierpnia, w rocznicę wybuchu powstania warszawskiego, na ulicę stolicy wychodzą ludzie z nazistowskimi symbolami wytatuowanymi na skórze. Dlaczego 11 listopada rzucają race w kierunku balkonu z wywieszoną tęczową flagą.

Najpierw zgodę na Marsz Równości musi podpisać prezydent Białegostoku Tadeusz Truskolaski, związany z Platformą Obywatelską. Kiedy data wydarzenia zostaje ogłoszona, narodowe organizacje zwierają szyki i planują odpowiedź, a ta ma być ostra, głośna i zdecydowana.

Dzień przed marszem arcybiskup podlaski Tadeusz Wojda publikuje odezwę czytaną w białostockich kościołach, w której pisze tak: „Marsz, chociaż zakłada przeciwdziałanie domniemanej dyskryminacji wspomnianych środowisk, w rzeczywistości sprzyja dyskryminacji innych – tych, których sumienie jest wyczułone na dobro społeczne, chrześcijańskie i obyczajowe, a także jest miejscem obrażania i robienia parodii z treści, które są dla wierzących najwyższą wartością”. Cytuje kardynała Stefana Wyszyńskiego, który ateistom z partii komunistycznej mówił *non possumus*. Tę samą odezwę, tyle że do uczestników planowanego Marszu Równości, powtarza teraz arcybiskup Wojda.

Marszałek województwa podlaskiego Artur Kosicki, związany z Prawem i Sprawiedliwością, tego samego dnia organizuje alternatywne wydarzenie: marsz rodzin z dziećmi. Tą decyzją na pewno nie poprawia sytuacji uczestników Marszu Równości, a prawdopodobnie zwiększa

liczebność jego przeciwników, wśród których będzie widać rodziców z małymi dziećmi.

Jeszcze przed startem Marszu Równości dziennikarze OKO.press słyszą, jak jego przeciwnicy – narodowcy, kibice Jagiellonii Białostok i zwykli chuligani – skandują hasła: „Wypierdalać z pedałami!”, „Białostok wolny od pedałów”, „Bóg, honor i ojczyzna”, a w przerwach wspólnie odmawiają modlitwy. Zanim rusza marsz, w kierunku uczestników lecą pierwsze petardy.

Katarzyna przyjechała tu z czterema koleżankami. Parkują samochód trzysta metrów od placu, z którego ma ruszyć marsz.

– Miałam przekonanie, że to bezpieczna odległość. Okazało się, że jesteśmy bardzo blisko – mówi Katarzyna. – Sam plac był już zatłoczony przeciwnikami marszu. Kilkaset ludzi czekało, co będzie. Widziałyśmy to wyraźnie: byli pijani, głośni, rozjuszeni. Zaczęłam biegać po pobliskim wzgórzu i robić zdjęcia. Zrozumiałam, że uczestnikom marszu będzie bardzo trudno, że będzie bardzo niebezpiecznie. Bojówkarze ustawiali się przed czołem marszu, by go zablokować. Po bokach stał po prostu Białostok, zwykli ludzie. Widać, że czuli się ośmieleni siłą narodowców. Jednocześnie ci ośmieleni byli obecnością mieszkańców miasta. Krąg agresji się napędzał.

Najczęstsze pozy, jakie Katarzyna uchwyci w kadrach: wyprostowany środkowy palec, dumnie uniesiona głowa, szeroko rozłożone ramiona, nogi twardo stojące na ziemi. W zbliżeniach zmarszczone brwi, szeroko otwarte usta, krzyczące i śpiewające. Stroje sportowe, na koszulkach napisy: „Bandycki Klub Sportowy”, „Białostok przeciw zbrodźcom”, symbol Polski Walczącej.

W okolicach przejścia dla pieszych Katarzyna podchodzi najbliżej, jak się da, bo akurat z uśmiechami na twarzach podpalają tam tęczę flagę.

Co widzi w twarzach, które fotografuje?

– To czysty gniew, czysta agresja – mówi. – Czerwień wpadająca niemal w purpurę, żyły wychodzące spod skóry. A jednocześnie wyraźne przekonanie, że „jestem lepszy”, że „mam prawo”, że „ja tu jestem panem i niech ktoś podskoczy”. Widzę też niezwykłą siłę. Szeregi narodowców robią wrażenie.

Aleksandra zazwyczaj ma plan działania. Im dokładniejszy, tym lepsze wychodzą zdjęcia. Ale w Białymstoku plan się sypie. Bardzo wczesnie Aleksandra orientuje się, że sytuacja jest wyjątkowa. Stoi w grupie kilku fotografów, naprzeciwko grupy kiboli, którzy zaczynają się rozkręcać. Nabuzowani, czerwoni ze złości i według świadków pijani, zaczynają im słać przekleństwa i wyzwiska, pokazują obraźliwe gesty. Kiedy się zbliżają, jeden z fotografów wychodzi do nich z aparatem. Także po to, by ewentualna agresja skupiła się na nim.

– Zachował się bohatersko – mówi Aleksandra. – To on zebrał ciosy i kopniaki, to jemu chcieli wyrwać z ręki telefon. Zdążyłam to udokumentować, ale moim odruchem było wycofanie się. Widziałam, że na mnie patrzą, nie chcą, żebym robiła im zdjęcia. Że jeszcze trochę i ruszą w moim kierunku.

Już na początku sytuacja jest tak zła, że policja musi użyć gazu i granatów hukowych. Aleksandra w scenerii niemal wojennej robi dwa zdjęcia i chce uciekać. Widzi fotoreportera, który zdejmuje plecak i wyciąga z niego bojową kamizelkę. Taką, jaką noszą korespondenci podczas konfliktów zbrojnych.

– Wtedy poczułam, że jestem w miejscu, w którym dzieje się coś, co nie powinno się wydarzyć. Zastanawiałam się, czy może ten dziennikarz był kiedyś w Syrii i dlatego wie, jak się zachować – mówi. – W twarzach tych, którzy atakowali uczestników marszu, widziałam chęć mordowania. A jeśli

nie mordowania, to pobicia, dania nauczki, popisania się przed kolegami ludzkim „trofeum”: kolejnym człowiekiem z limem pod okiem.

Katarzyna traci instynkt samozachowawczy. To wtedy kolega Robert gwałtownie odciąga ją na bok. Ktoś nagrywa ten moment z boku: na filmie widać, jak fotoreporter ciągnie Katarzynę w kierunku parku – tylko po to, by nie znaleźć się w samym środku. Ale i tak oboje obrywają gazem.

– Nie myślałam już o zdjęciach. Zastanawiałam się raczej nad tym, jak uciec. Nie wiedziałam, że za mną jest ściana, a krąg ludzi się zawęży – opowiada fotografka. – Pomyślałam potem, że mogłabym mieć lepsze kadry. Nie poniosłam wielkich strat. Nabiłam sobie tylko siniaka, bo dostałam racą w kolano, ale musiałam uciekać. Na głowy leciał gruz, leciały granaty, petardy. Bałam się o siebie.

Choć wokół niej unosi się gaz, choć spadają kopniaki i pięści, Aleksandra nie wypuszcza z rąk aparatu. Nie dowierza, kiedy za plecami słyszy, że protestujących jest akurat tyle, by zmieścili się w stodole. Słyszy też okrzyk, którego długo nie może zrozumieć: „Amen, wypierdalać!”, a chwilę później robi zdjęcia młodej dziewczynie o delikatnej urodzie, niosącej różaniec w wysoko wyciągniętej ręce. Na jednej z fotografii widać mężczyznę z dzieckiem w spacerowym wózku, stojącego pośrodku zamieszania, jakby niewzruszonego sytuacją. Na innym – postawnego chłopaka w krótkich spodenkach i czarnej koszulce z napisem „Jestem twoim koszmarem”.

– Idąc przez Białystok, czułam się jak zaszczute, zagonione zwierzę – mówi Katarzyna.

Jej bezpieczeństwo zależy od tego, jak zachowa się policja. Kiedy policjanci reagują, agresorzy czują się mniej bezkarni. W Częstochowie, kiedy narodowcy pielgrzymowali na Jasną Górę, policjanci pilnowali, by nikt nie zaatakował Katarzyny. Sami przyznawali, że narodowcy ją

namierzyli. W Białymstoku stoją daleko od epicentrum wydarzeń i brakuje tylko sekundy, iskry, żeby sytuacja stała się jeszcze groźniejsza.

Zanim zacznie się marsz, Aleksandra usłyszy bluzgi i wyzwiska („zdrajca narodu”, „wypierdalaj do Izraela”). Potem będą chcieli jej wyrwać aparat, zepchnąć na bok. Atak zaczyna się wtedy, kiedy tłum uznaje, że fotoreporter „nie jest od nich”: nie krzyczy tych samych przyśpiewek, nie rzuca tak jak oni obelgami.

Robert doświadczył już wielu różnych sytuacji, ale nie spodziewał się tego, co zastał w Białymstoku:

– Plucie, bicie, obrażanie, modlitwa przemieszana z bluzgami. Tego w takiej skali jeszcze nie widziałem.

Na początku, jak zawsze, zbliża się do narodowców, zagaduje, wdaje się w dyskusję. Ostrzega: panowie, odsuńcie się, to poważna sytuacja, komuś może stać się krzywda. Biorą go za swojego, za sprzymierzeńca. Robert integruje się zawsze z dwiema stronami konfliktu. Stara się być obiektywny.

– Nie robię tego z powodów ideowych. Czuję się przede wszystkim dokumentalistą. W dzisiejszych czasach to ważne, by ktoś był na miejscu i zdawał relację z tego, co się stało. Także po to, by ci, którzy biją, poszli po rozum do głowy, by pomyśleli: czy warto tu być? – mówi.

Nie wychodzi z roli reportera nawet wtedy, gdy pod swoim adresem słyszy obelgi, gdy ktoś na niego pluje, próbuje go bić. Widzi, że niektórych obiektyw rajcuje, chcą być zapisani w historii jako bohaterowie tych wydarzeń. Nawet w roli tych, którzy rzucają w innych kostką brukową.

– Wtedy pozują, wykonują gesty, robią miny, krzyczą – opowiada. – Chcą być w gazecie lub na Facebooku i żeby kolesie z osiedla podziwiali: jaki on mocny, jaki chojrak.

Robert przyznaje: lubi adrenalinę i także dla niej fotografuje narodowe demonstracje.

– Dopiero później, po fakcie, wszystko z człowieka schodzi. Po marszu żona mówi do mnie: „Stary, ty przecież przez sen mówiłeś »Białystok«”.

DYM

Szeroko otwiera oczy, ale widzi tylko ciemność.

Pół godziny po północy w mieszkaniu, w którym uchodźca z Czeczenii żyje z żoną i pięciorgiem dzieci, pojawia się gęsty dym. Sultan zrywa się z łóżka, chwyta wiadro, napełnia je wodą i wylewa na płomień rosnący pod sufit w przedpokoju. Tyle na szczęście wystarczy, by ocalić rodzinę od śmierci.

Jest kwiecień 2013 roku, ksenofobiczne nastroje coraz bardziej się nasilają. Do głosu dochodzi nowe pokolenie narodowców. Liga Polskich Rodzin to już historia, teraz liczą się ONR-owcy i wszechpolacy. Zawiązał się Ruch Narodowy, który wystawia kandydatów w wyborach, a już niedługo z list Kukiz’15 dostanie się do sejmu. Narodowcy coraz częściej zapraszani są do telewizji, tworzą też własne media i zdobywają ogromne zasięgi w mediach społecznościowych.

Ogień pod drzwiami Sultana podkładają pseudokibice Jagiellonii, radykalni narodowcy. To oni próbują też podpalić drzwi mieszkania Elizy i Khumida, uchodźców mieszkających na Leśnej Dolinie, w tym samym blokowisku, w którym w jednym z wieżowców policjanci odkrywają siłownię z krzyżami celtyckimi, swastykami, gwiazdami Dawida na szubienicy i napisami „White Power” na ścianach.

– Katecheta białostocki, którego poznałem, dał dzieciom taki wykład, że potem rysowały czołgi z gwiazdami Dawida i symbolami UE najeżdżające katolicką Polskę – opowiada mi Marcin Kącki, autor książki

Białystok. Biała siła, czarna pamięć, w wywiadzie dla „Tygodnika Powszechnego”. – Zanim w Białymstoku swastyki namalowano na murach, ich rysunki były w zeszytach. Widziałem je. Plan lekcji jednego z nastolatków wyglądał tak: matma, polak, anglik, historia, Młodzież Wszechpolska, White Power, swastyki. Nauczyciele nie zwracali uwagi, wkrótce swastyki pojawiły się na macewach, a na końcu płonęły mieszkania z cudzoziemcami.

Z książki Kąckiego wyłania się obraz miasta, które nie radzi sobie ze skrajnymi środowiskami, ale przede wszystkim z własną pamięcią. W 1921 roku Żydzi stanowili 51 procent ludności miasta, po wojnie wróciło ich niewiele ponad tysiąc, a dziś to zaledwie garstka. Kącki pokazuje, że pamięć o żydowskiej społeczności budującej siłę miasta przed drugą wojną światową dziś nie tylko nie istnieje – dla wielu ten czas jest wręcz problemem zamiatanym pod dywan, kłopotliwym epizodem w historii miasta. Polskiej wersji historii.

Miejscy urzędnicy próbują jakoś sobie poradzić z nadszarpniętym wizerunkiem Białegostoku. W 2013 roku Fundacja Laboratorium Badań i Działań Społecznych SocLab na zlecenie ratusza przeprowadza badania nad postawami mieszkańców w kontekście tolerancji. „Aż 84 procent badanych odpowiedziało, że Białystok jest miastem wielokulturowym. Kiedy jednak zapytaliśmy o to, czy białostoczanie byli kiedykolwiek w synagodze, okazało się, że twierdząco odpowiedziało tylko 53 procent. Co ciekawe, największy odsetek wśród nich stanowią młodzi ludzie. W przedziale wiekowym od 15 do 24 lat to 47 procent, a 25–34 – tylko 43 procent”³⁸ – mówi potem w „Kurierze Porannym” doktor Katarzyna Sztop-Rutkowska z SocLab. Okazuje się, że na wykształcenie postawy otwartości wobec mniejszości w Białymstoku może wpływać sytuacja materialna.

Jeden z głównych wniosków z badania brzmi: im większa bieda, tym mniej tolerancji.

Reporterowi „Dużego Formatu” doktor Sztop-Rutkowska powie, że w Białymstoku są trzy rodzaje obcych: „Pierwsi to obcy swojscy. Nasi: Białorusini, Tatarzy. Z nimi nawet chętnie piosenkę się zaśpiewa. Pokazuje się ich, że o: Białystok wielokulturowy. Potem są Żydzi. Pamięć o nich niby wraca, ale ciągle nieswoja, z kwaśną miną. I są jeszcze ci trzeci, obcy nowi: Czeczeni, Hindusi, Pakistańczycy. Źli obcy, którzy chcą nam Białystok zmienić, wziąć zasiłek, zmienić religię. Zupełnie nie tacy jak ci dobrzy, nasi obcy”³⁹.

Na białostockiej ulicy dochodzi do najbardziej brutalnych zachowań wobec mniejszości, jakie odnotowano w najnowszej historii.

Latem 2019 roku zostają tutaj zaatakowani uczestnicy Marszu Równości.

TEATR

Białystok, który mociuje się z własną tożsamością, oglądają z bliska Rafał Gawęł i Konrad Dulkowski.

Wiosną 2017 roku spotykam się z nimi w Warszawie po raz pierwszy, piszę o Gawle reportaż dla „Tygodnika Powszechnego”. Założyciele Teatru TrzyRzeczce i działacze społeczni, prywatnie przyjaciele, opowiadają mi, jak dekadę temu postawili wszystko na jedną kartę. Sprzedali samochody, znaleźli drewniany pożydowski budynek w Białymstoku przy ulicy Młynowej i założyli tu teatr. Zawsze o nim marzyli.

Już wiele lat wcześniej jako jedni z pierwszych wyczuwają nastroje narastające w Polsce. Zauważają język nienawiści przemawiający z murów do zwykłych ludzi. Na własnej skórze dobitnie się przekonują, jak głęboko

w białostoczanach tkwią uprzedzenia i jak łatwo narodowcy zdobywają tu swoją publiczność.

TrzyRzeczce, przyglądające się aktualnej sytuacji społecznej i problemom trawiącym Białystok, staje się miejscem, które te nastroje komentuje, jest niewygodne. Musi takie być, skoro po kilku spektaklach po bilety na następny ustawiają się kolejki.

– Powoli stawaliśmy się też pupilkami władzy – mówi mi Konrad Dulkowski. – Trudno w to dziś uwierzyć, ale tak było. Byliśmy atrakcyjni, robiliśmy ferment i przede wszystkim potwierdzaliśmy to, czym Białystok chciał się promować: otwartość tego miasta, wielokulturowość.

Zaczynają od spektaklu *4.48 Psychosis*⁴⁰, w którym na żywo gra zespół rockowy. Dla widzów to szok, coś zupełnie nowego. TrzyRzeczce nie trafia do masowego odbiorcy; w Białymstoku takiego nie ma. Znajduje jednak swoją widownię, głównie młodych, którzy po raz pierwszy w życiu stykają się z teatrem mówiącym do nich, o ich problemach, ich językiem.

– W mieście była grupa trzystu osób, które chodziły na wszystkie wydarzenia kulturalne, także do nas – mówi Dulkowski. – Z perspektywy czasu muszę jednak przyznać, że wychowaliśmy sobie własną publiczność. To się udało, przyciągnęliśmy do siebie ludzi. Także tych, z którymi potem zaczęliśmy współpracować. To była grupa młodych „wyrzutków”: dziewczyna po próbie samobójczej, chłopak z epizodem bezdomności, gej.

W ramach warsztatów dla młodzieży TrzyRzeczce przygotowuje dwie jednoaktówki: jedną o ateistach, drugą o gejach.

– Obie na podstawie doświadczeń tych młodych ludzi. Mieliśmy w grupie młodego geja, który sporo opowiadał, jak wygląda jego życie. Później zresztą wyniósł się z Polski – wspomina Dulkowski. – I kiedy wystawiliśmy te spektakle, szybko usłyszeliśmy: „Róbcie więcej takich

rzeczy, a żadnych dotacji już tu nie dostaniecie”. Później się dowiedziałem, jakie legendy krążą o TrzyRzeczu.

– Jakie?

– Że w spektaklach jest golizna. A w żadnym spektaklu nie było nagiego aktora czy aktorki. Że są homoseksualne wątki, plucie na świętości polskie. No i pytania, dlaczego „dostaliśmy” lokal od miasta. To bzdura – nic nie dostaliśmy, wynajmowaliśmy go za własne pieniądze. Pierwszą dotację dostaliśmy po roku: dwanaście tysięcy złotych, za które zrobiliśmy spektakl. Pięć tysięcy kosztowały prawa autorskie do dramatu, kolejne pięć wynagrodzenie reżysera, dwa dla aktorki. Za całą resztę – zespół muzyczny, scenografię, czynsz, promocję, wynajem sprzętu nagłaśniającego – musieliśmy zapłacić z własnej kieszeni. A i tak usłyszeliśmy, że wyciągnęliśmy od miasta dotację, a nic za to nie robiliśmy i żyliśmy jak pączki w maśle.

Część młodych ludzi, z którymi TrzyRzeczce robi spektakle, do dzisiaj żyje w Białymstoku. Część wyjechała albo raczej: uciekła.

– Pamiętam jeden z naszych wspólnych spektakli. Był o tym, że Białystok to miasto, z którego ludzie chcą uciekać, jednak z jakiegoś powodu zostają – mówi Konrad Dulkowski. – Chcieliby do większego miasta, ale ten Białystok ich „trzyma”. Jedną z warstw tego tekstu była opowieść o tym, jak bohater chce ruszyć w podróż, siedzi w pociągu, czeka. Wkrótce okazuje się jednak, że pociąg nie jedzie, tylko stoi gdzieś na bocznicu. Ten spektakl nie „grał” u starszych odbiorców, za to młodzi go świetnie czytali.

GOLGOTA

– W Białymstoku naziol siedział na bramce w każdej knajpie, nawet prowadzonej przez punkowca. Bo jak punkowiec dostał kosę w brzuch, to

pod takim przymusem musiał naziola zatrudnić – wspomina Dulkowski. – Na siłowni, do której czasem chodziliśmy, zdarzało nam się widzieć typów, którzy mieli tatuaże z małym powstańcem, a zaraz obok ze swastyką.

Kult Polski Walczącej i swastyka w jednym? Dla narodowców z Białegostoku te symbole się ze sobą nie kłócą – reporter Marcin Kącki na własne oczy widzi takie kombinacje. Dochodzą do tego kolejne symbole ważne dla lokalsów: herb Jagiellonii albo wszechobecne na murach, koszulkach i transparentach napisy „Żołnierze Wyklęci”.

Kiedy na scenie TrzyRzeczka wystawiana jest *Golgota Picnic*⁴¹, środowiska narodowe rzucają w Gawła i Dulkowskiego epitetem, który w Polsce z jakiegoś powodu ciągle stanowi silne piętno: „Żydzi”.

– Pod TrzyRzeczce przyszło tysiąc osób. Najbardziej kuriozalne było to, że kiedy nasza koleżanka zaczęła grać na skrzypcach *Ave Maria*, by uspokoić panujące pod teatrem nastroje, to pojawiły się komentarze, że gra żydowską muzykę – opowiada Dulkowski. – Kiedy w rozmowach z białostoczanami mówiłem, że siedzibą teatru jest żydowski dom, to słyszałem: „Niech pan nie mówi, że żydowski. To już jest polski dom”. I wie pan co? Jak patrzyłem na ten tłum zachęcający do ataków na Marsz Równości, to myślałem, że znów wybija ten zdeptany, zepchnięty do piwnicy grzech pierworodny.

– Jaki?

– Że chodzimy po nie swoich ulicach, mieszkamy w nie swoich domach, że wielu z nas zrobiło coś, żeby właściciele tych domów i ulic zwyczajnie zniknęli.

Dzisiaj, mówi Dulkowski, Żydzi i osoby LGBT to dla Polaków tacy sami „obcy”.

– Jednych obcych dopiero co stąd wyrzuciliśmy, a nagle pojawiają się nowi. Ten ultrakonserwatyzm służy temu, żeby pewnych rzeczy nie

pamiętać, bo każda zmiana jest potencjalnym zagrożeniem – podsumowuje.

A z zagrożeniem trzeba walczyć.

– Po *Golgocie*... przyszli do nas policjanci z informacją, że ludzie mogą chcieć nas podpalić. Że nie są to żadne wygłupy. Zostawili dwóch policjantów po cywilu do ciągłej obserwacji teatru.

Policjanci przez miesiąc siedzą w samochodzie pod siedzibą TrzyRzecz. Dulkowski śpi w teatrze z gaśnicą pod łóżkiem, pod ręką ma linę. W razie czego ucieknie po niej przez okno.

Twórcy teatru są dla miejskiej tkanki jak ciało obce.

– Najczęstsze pytanie do mnie i do Rafała: skąd jesteśmy? Bo przyjechaliśmy z zewnątrz, nie byliśmy „swoi” – mówi Dulkowski. – W każdym przemówieniu Adama Andruszkiewicza [działacza Młodzieży Wszechpolskiej z Podlasia, później polityka PiS; więcej o nim w dalszej części rozdziału – przyp. MS] pojawiały się słowa, że „przyjechali skądś i chcą nam mówić, jak mamy żyć”. Bo tam każdy jest „stamtąd”. Ważne jest, kto za tobą stoi, do jakiego klanu należysz.

RAJD

W reakcji na podpalenia mieszkań uchodźców w 2013 roku głos zabiera ówczesny minister spraw wewnętrznych Bartłomiej Sienkiewicz z Platformy Obywatelskiej: „Jedno mogę powiedzieć, jeśli chodzi o środowiska skinheadowskie: idziemy po was”. Ta zapowiedź dla jednych stanie się powodem do drwin – bo według nich minister nie robi w tej kwestii wiele, dla drugich jest niczym wypowiedzenie wojny.

Jeśli wierzyć policyjnym statystykom, po słowach ministra sporo się zmienia. W komendzie wojewódzkiej powstaje Zespół do spraw Przeciwdziałania Aktom Ksenofobii i Rasizmu. Działania: tworzenie i kolportowanie ulotek wśród obcokrajowców, w tym zagranicznych

studentów, uruchomienie specjalnej linii telefonicznej dla ofiar nienawiści, szkolenie policjantów z reagowania na zgłoszenia przestępstw z nienawiści, warsztaty dla dzieci, młodzieży i studentów oraz rozmowy z nauczycielami i opiekunami w ośrodkach dla uchodźców. Tematy: edukacja międzykulturowa i przeciwdziałanie nietolerancji. Efekt? „Mieszkańcy Białegostoku częściej zgłaszają przestępstwa z nienawiści. Policja sprawniej i szybciej rejestruje czyny zabronione i odpowiednio je kwalifikuje” – czytamy w raporcie.

Statystyka rzeczywiście się zmienia, lecz mieszkańcy, których nienawiść dotyka bezpośrednio, nie czują się w Białymstoku bezpieczniejsi.

W 2011 roku ustanowiony zostaje Narodowy Dzień Pamięci Żołnierzy Wyklętych. Każdego 1 marca w kilku miastach w Polsce odbywają się uroczystości pod Grobami Nieznanego Żołnierza, msze święte i marsze. W Białymstoku marsz organizuje Młodzież Wszechpolska. Skanduje: „Tylko Polska narodowa!”.

Kilkadziesiąt kilometrów od stolicy Podlasia odbywa się Podlaski Rajd Śladami Żołnierzy 5. Wileńskiej Brygady Armii Krajowej, w którym oprócz młodzieży biorą też udział radykałowie z Narodowej Hajnowki – związanej z ONR grupy nacjonalistów. Przynoszą transparenty z symbolem czaszki inspirowanym mundurami Waffen SS i z wizerunkiem Romualda Rajsa pseudonim Bury, jednego z najsłynniejszych „wyklętych”. Bury jest niczym półbóg dla podlaskich narodowców, którzy wolą nie pamiętać, że partyzant był odpowiedzialny za pacyfikację białoruskich prawosławnych wsi – z rąk jego lub jego ludzi zginęło tam kilkadziesiąt osób.

Marsz ku czci Rajsa odbywa się co roku. Do miasteczka u bram Puszczy Białowieskiej zjeżdżają się najważniejsze narodowe organizacje z regionu. W 2020 roku skandują: „Nie czerwona, nie tęczowa, tylko Polska narodowa”, „Jedna Polska chrześcijańska”, „Bury, Bury, nasz bohater”.

Maszerują mimo sprzeciwu mieszkańców i radnych. Ci pierwsi organizują spotkanie w spalonej przez ludzi Burego wsi Zaleszany, ci drudzy co roku ostro krytykują organizację marszu, między innymi tak: „Bury nie jest naszym bohaterem i nigdy nim nie będzie! Stawianie go za wzór i głoszenie haseł »Bury – mój bohater« jest prowokacją, której nie można akceptować. Naszymi bohaterami zostaną niewinnie zamordowani mieszkańcy, którym tym stanowiskiem oddajemy należny im hołd”⁴².

Wśród podlaskich narodowców wybija się Dawid P. z Narodowej Hajnówki. Podczas marszu w 2019 roku za swoją działalność zostaje odznaczony pamiątkowym medalem z okazji siedemdziesięciopięciolecia Narodowych Sił Zbrojnych. Odznaczenie dostaje razem z siostrą Barbarą, również aktywną w środowisku. Całym wydarzeniem kieruje Piotr Rybak, drobny przedsiębiorca spod Wrocławia, antysemita, organizator spotkania nacjonalistów w byłym obozie koncentracyjnym Auschwitz-Birkenau, skazany za spalenie kukły Żyda na wrocławskim Rynku w 2015 roku.

Ze środowiska białostockich nacjonalistów wywodzi się też urodzony w Grajewie Adam Andruszkiewicz, w czasach rządów PiS-u przez dwa lata sekretarz stanu w Ministerstwie Cyfryzacji, dziś odpowiedzialny za tę samą działkę w Kancelarii Prezesa Rady Ministrów. W notce biograficznej na rządowej stronie nie znajdziemy informacji, że w młodości należał do Młodzieży Wszechpolskiej i Ruchu Narodowego.

To właśnie Andruszkiewicz jest jednym z najbardziej aktywnych krytyków TrzyRzecz. W 2014 roku uczestniczy w proteście przeciwko spektaklowi *Golgota Picnic* w teatrze Gawła i Dulcowskiego. „Będziemy bronić naszych wartości, wartości chrześcijańskich, cywilizacji łacińskiej. Uważamy, że nie powinno być zgody na obrażanie nas z tego względu, że jesteśmy katolikami” – mówi.

ZŁO

Z czasem Gawęł i Dulkowski przestają być jedynie twórcami – zostają działaczami. Teraz o Polsce i Białymstoku opowiadają nie tylko przez sztukę, ale także przez warsztaty, wystąpienia publiczne i pozwy sądowe. Zakładają Ośrodek Monitorowania Zachowań Rasistowskich i Ksenofobicznych.

Cel pierwszej ważnej akcji wydaje się naturalny: „Zamaluj zło” ma promować usuwanie rasistowskich symboli z przestrzeni publicznej. Gawęł i Dulkowski tworzą stronę internetową, za której pośrednictwem zaczynają zbierać informacje o przypadkach ataków o charakterze rasistowskim. Niektóre zgłaszają do prokuratury.

Białostocki prokurator Dawid Roszkowski nie wszczyna postępowania w sprawie namalowanej na murze swastyki, uzasadniając, że może być ona interpretowana jako mitologiczny „symbol szczęścia”. Gawęł i Dulkowski upubliczniają to uzasadnienie, a prokurator generalny robi kontrolę w białostockiej prokuraturze, która wykazuje liczne nieprawidłowości. Do dymisji podaje się szef prokuratury, zaczynają się postępowania dyscyplinarne wobec prokuratorów.

To wtedy – zdaniem Gawęła i Dulkowskiego – zaczynają się ich problemy z organami ścigania.

W 2014 roku na wniosek Narodowego Odrodzenia Polski inspekcja budowlana zamyka scenę Teatru TrzyRzeczce w Białymstoku.

– Znaleźli kruczek prawny, problem, który można było rozwiązać w pięć minut – mówi Dulkowski. – Jednak nie było takiej woli ze strony urzędu miasta. Nie mając dotacji i nie mogąc wystawiać spektakli, teatr zaczął gonić w piętke.

W atmosferze niechęci i nacisków wiosną 2015 roku Gawęł i Dulkowski przenoszą działalność do Warszawy, w stolicy urządzają nową scenę TrzyRzeczka oraz siedzibę ośrodka.

Kiedy spotykam się z nimi po raz pierwszy wiosną 2017 roku, na Gawle ciąży już nieprawomocny wyrok czterech lat pozbawienia wolności za niegospodarność w fundacji i kolejne zarzuty: sfałszowania podpisu na wekslu sprzed dziesięciu lat. Za to grozi mu dwadzieścia pięć lat więzienia. Działacz jest przekonany, że padł ofiarą zemsty ludzi, którym nadepnął na odcisk. Kiedy rozmawiamy, nie wie, jaka będzie jego przyszłość. Liczy się z wizją długoletniego więzienia⁴³. Ostatecznie sąd skáže go na dwa lata pozbawienia wolności za przestępstwa gospodarcze w 2019 roku. Wtedy wyjedzie z rodziną do Norwegii, gdzie jesienią 2020 roku – po szczegółowej procedurze sprawdzającej przed norweskim sądem – dostanie azyl polityczny.

SPRINT

Konrad Dulkowski:

– Za panem wisi kartka z napisem: „Zajebimy was, kurwy”. Znaleźliśmy ją na naszych drzwiach. Powiesiliśmy w biurze, ot tak, na pamiątkę. Podobnych sytuacji było więcej. Kiedyś przed naszą siedzibą czekało na mnie trzech typów w kominiarkach. Tego dnia spotkaliśmy się z wolontariuszami. Po spotkaniu, kiedy byłem już kawałek drogi od biura, zadzwonił do mnie jeden z wolontariuszy, który wyszedł wcześniej, i mówi: „Uważaj, bo tam się kręcą kolesie w kominiarkach. Próbowali mnie zaczepić”. I w tym momencie ich zobaczyłem. Postanowiłem wrócić, zamknąć drzwi na klucz i zadzwonić po policję, ale oni mnie zauważyli. Zaczęli biec w moją stronę, wykrzykując różne niecenzuralne słowa. Drzwi udało mi się zamknąć w ostatniej chwili. Zaczęli w nie walić, kopać.

Zadzwońiem na policję, patrol miał za chwilę podjechać. Kolesie w kominiarkach odeszli i wtedy wyszedłem. Zaczepiłem ich: „Panowie, poczekajcie”, a oni znów sprint do mnie. Chodziło o to, żeby ich trochę przytrzymać, zanim przyjedzie policja. Jak tylko zobaczyli radiowozy, od razu uciekli.

Nie ma miesiąca, by Ośrodek Monitorowania Zachowań Rasistowskich i Ksenofobicznych nie informował w swoich mediach społecznościowych o akcie oskarżenia, który złożył do prokuratury, lub wyroku, który zapadł w sądzie. Dulkowski i Gawęł walczą z mową nienawiści w mediach, internecie i na ulicach polskich miast. Wszystkie przypadki skrzętnie odnotowują, dokumentują, a potem stają do bitwy: o to, żeby na podstawie ich doniesienia prokurator wszczął postępowanie. Co w ostatnich latach nie jest takie oczywiste.

W 2016 roku przez Białystok maszeruje ONR, który w stolicy Podlasia świętuje osiemdziesiątą drugą rocznicę powstania organizacji. Niedługo później do Prokuratury Okręgowej w Białymstoku wpływa doniesienie o popełnieniu przestępstwa. Rafał Gawęł relacjonuje, że podczas marszu skandowano nawołujące do przemocy hasła, w tym: „A na drzewach zamiast liści będą wisieć syjoniści”. Tłumaczy, że jego babka jest z pochodzenia Żydówką, a on sam „czuje się syjonistą”. Zaczyna się urzędowa batalia: prokuratura kilka razy odmawia wszczęcia postępowania, Gawęł składa zażalenia. Sprawa trafia do sądu po kilku latach.

Na ławie oskarżonych zasiada siedmiu ONR-owców. Każdy z nich zostaje oskarżony o to, że „podczas zgromadzenia publicznego z okazji osiemdziesiątej drugiej rocznicy utworzenia ONR stosował w stosunku do grupy osób pochodzenia żydowskiego, w tym pokrzywdzonego Rafała Gawęła, groźby bezprawne poprzez kierowanie okrzyków o treści »A na

drzewach zamiast liści będą wisieć syjoniści», czym publicznie nawoływał do nienawiści na tle narodowościowym”.

Nacjonaliści zaprzeczają, by takie hasła w ogóle padały. Do akt trafiają jednak policyjne nagrania, na których wyraźnie słychać skandowane słowa i widać twarze wykrzykujących je osób. W procesie skazanych zostaje dwóch członków ONR-u – na rok więzienia i grzywnę oraz na sześć miesięcy w zawieszeniu na dwa lata i grzywnę. Sprawa kończy się po pięciu latach.

– Jej przebieg był absurdalny – mówi Dulkowski. – Wiadomo było, że nagrania z marszu są w Białymstoku. Prokuratura z Żoliborza kontaktowała się z białostocką w tej sprawie, chciała, żeby jej przysłać wszystkie nośniki, ale Białystok ośmiokrotnie odmawiał. Sędzia nakazał wydanie tych nagrań, a wtedy okazało się, że płyty uległy uszkodzeniu. W końcu sędzia się wkurzył, nakazał laboratorium policyjnemu odtworzenie tych płyt. I co? Na nagraniach był całutki marsz – oprócz tych dziesięciu minut, kiedy pada to najgorsze hasło. W końcu jednak udało się znaleźć film, na którym widać, kto je skanduje.

W procesie ONR-owców najważniejsze są nie tyle wyroki, ile uzasadnienie wygłoszone przez sędziego Sławomira Cilulkę. Sędzia podkreśla, iż „nie sposób stwierdzić, że to personalnie pod adresem Rafała Gawła wykrzykiwano hasło, które legło u podstaw oskarżenia”, ale „było ono wyraźnie kierowane pod adresem społeczności żydowskiej, a poczucia przynależności do niej Gawłowi nie można odmówić”. Dodaje również, że działacze ONR-u od lat „balansowali na granicy prawa, stosując niedookreśloność”, a ważny jest kontekst, w jakim to hasło zostało wykrzyczane. Antysemicka mowa nienawiści – argumentuje – nie może być traktowana w kategoriach wolności wypowiedzi. Sędzia krytykuje też białostockich prokuratorów za „niestaranność w ocenie materiału

dowodowego, niezrozumiałą z punktu logiki ich ocenę” i powoływanie się na ocenę biegłego, który w ogóle nie przyjrzał się hasłu „A na drzewach zamiast liści będą wisieć syjoniści”.

Dla Dulkowskiego postawa prokuratury to nie przypadek, raczej smutna reguła, bo nie tylko białostocki urząd odrzuca zawiadomienia składane przez jego ośrodek.

– Kiedy prokuratorzy zauważyli, że za każdym razem składamy zażalenia na odmowę wszczęcia postępowania, zmienili taktykę i wszczynają sprawy tylko po to, żeby za chwilę je umorzyć – mówi.

Jego zdaniem wynika to z systemu, w którym prokurator okręgowy lub regionalny podlega generalnemu – a tym jest minister sprawiedliwości Zbigniew Ziobro. Bliskość prawicowej władzy z narodowcami (przypomnijmy: w Marszu Niepodległości w 2021 roku z Robertem Bąkiewiczem szli politycy Zjednoczonej Prawicy) powoduje, że prokuratorzy w całej Polsce nie chcą lub nie mogą działać wbrew „politycznej linii”.

ELEKTORAT

– Kiedy służby wzięły się za rozpracowywanie nazioli z Białegostoku, to musiały tu przysłać ekipę z Warszawy. Ci zgłosili się do nas. Zanim po minucie posłaliśmy ich na drzewo, zdążyliśmy zapytać: „Dlaczego nie zgłosicie się do lokalnej policji?”. Oni na to: „W Białymstoku nikomu nie możemy ufać” – opowiada mi działacz ruchu antyfaszystowskiego proszący o anonimowość.

Skrajnych prawicowców śledzi od kilkadziesiąt lat. Zaczynał w latach dziewięćdziesiątych, kiedy areną starć Antify z subkulturą skinheadów była przede wszystkim ulica; kilka blizn na ciele przypomina

mu o tamtych czasach. Działa do dziś, ale nie wchodzi już w bezpośrednią konfrontację.

– Najgorzej, kiedy narodowcy mają nad sobą parasol ochronny. Białystok jest przykładem na to, co się dzieje, gdy naziolska bojówka ma wsparcie władzy – mówi. – Dawniej były to kontakty w lokalnych strukturach policyjnych, sądach, partiach politycznych. Oznacza to dostęp do sporej kasy, ale też to, że sprawy są umarzane albo ktoś dostaje cynk, że „coś się dzieje” i trzeba uważać. Gość z Blood and Honour w Białymstoku ma dobrze prosperującą firmę, wykonującą usługi dla jednej z miejskich instytucji. Wysoko postawiony pracownik sądu jeździł z kibolami Jagiellonii na wyjazdowe mecze.

Zdaniem mojego rozmówcy władza w Białymstoku do tego stopnia przyryka oko na wybryki narodowców, że czasem nie dostrzega nawet rozlewu krwi.

– Kolesi od nas zaatakowano maczetami w środku miasta, w biały dzień. Zostali pocięci, ledwo przeżyli – opowiada działacz Antify. – A później okazało się, że ustawiona w tym miejscu policyjna kamera niczego wtedy nie nagrywała. Wszystko się działo sto pięćdziesiąt metrów od głównego komisariatu...

Skąd jego zdaniem trwająca latami indolencja w zwalczaniu prawicowych ekstremistów?

– Bywa, że to krótkowzroczne myślenie konserwatywnych polityków, którym się wydaje, że narodowcy są także ich elektoratem, więc może warto ich „kontrolować”, dopuszczając do władzy, pieniędzy i wpływów. Najczęściej się jednak okazuje, że wcale ich kontrolować nie mogą. Nie chcę używać argumentów ostatecznych, ale w latach trzydziestych niemieccy konserwatyści też uważali, że mogą Hitlerem sterować, a wyszło, jak wyszło. U nas jest to samo, tylko w mniejszej skali. Kiedy

pytałem lokalnych polityków: „Dlaczego wyście tych ludzi do siebie dopuścili?“, mówili: „Bo myśleliśmy, że złagodnieją”.

WZROK

Konrad Dulkowski do Białegostoku wraca rzadko, widzi jednak, że w mieście trochę się zmienia.

– Zniknęły przynajmniej te swastyki z murów. Kiedy dziesięć lat temu się tam przeprowadziliśmy, były ich setki. Tak wiele, że ludzie przyzwyczaili się do ich widoku, przestali je zauważać. Żeby to zmienić, potrzebni byli tacy jak my, z zewnątrz.

W Warszawie chodzi na Marsze Niepodległości – zawsze w kominiarce i czarnej, niewyróżniającej się kurtce. Nie musi. Ale chodzi.

– Bo po pierwsze, prowadzę ośrodek i wydaje mi się, że na pewne zło nie można przemykać oczu. A po drugie, kiedyś byłem reporterem, który zawsze jechał tam, gdzie nikt inny nie chciał pojechać. Na demonstracjach byłem w samym środku, zawsze chciałem mieć najlepsze nagranie. Jak robiłem reportaż o gościach uzależnionych od adrenaliny, to przypiąłem sobie mikrofon i skoczyłem na linie z wieżowca na Grochowie. Już tak mam. Chcę mieć wieści z pierwszej ręki.

Jest na marszu w 2020 roku, kiedy do ostrych starć z policją dochodzi między innymi w bramie prowadzącej do empiku przy trasie pochodu. W mediach społecznościowych wydarzenie zostanie nazwane ironicznie „bitwą o empik”. Pokazywane później przez polskie media zdjęcia i filmy, które z bliska ukazują awanturę, są autorstwa Konrada Dulkowskiego.

– Stałem z tymi najbardziej agresywnymi, tam buzowało od samego początku – opowiada. – Oni mieli w dupie te przemówienia. Padały hasła „jebać psy”, było mnóstwo naćpanych, pijanych gości. Niektórzy byli tak nawaleni, że koledzy musieli ich trzymać. Oni tylko szukali dymu.

W stronę policji poleciały butelki, potem była bitwa pod empikiem. To jest paradoksalne, bo parę dni wcześniej na rondzie de Gaulle'a narodowcy zaatakowali Strajk Kobiet, rzucali petardy, walili pałkami teleskopowymi i źle się to dla nich skończyło, ale niczego się nie nauczyli. Poprzedniego roku miałem taką sytuację, po której myślałem, że już więcej na marsz nie pójdę. Byłem na rondzie de Gaulle'a wśród narodowców, w masce, i nagle pewien antysemita zerknął na mnie, stanął i zaczął się gapić. Zimny pot popłynął mi po plecach, bo wiedziałem, że jeśli on mnie rozpozna, to mnie tutaj zatłuką. Ale popatrzył i poszedł dalej, chyba nie był pewien. To był gość, który został skazany z naszego powodu, dzięki działalności ośrodka.

Twierdzi, że choć w Białymstoku wiele udało się przepracować, demony ciągle się tu odradzają. Tak jak w 2019 roku podczas Marszu Równości.

– Tego dnia byłem na placu Uniwersyteckim dwie godziny przed startem – pamięta Dulkowski. – Widziałem zbierających się narodowców, niektóre gęby rozpoznawałem. Ci ludzie się tam kręcili, a ja czułem, że w powietrzu wisi coś niedobrego. Właśnie odbywał się ślub bliskiej mi osoby, więc wyjechałem, ale cały czas byłem w kontakcie z naszymi obserwatorami.

Nie umie się dobrze bawić na weselu. Co chwilę wychodzi z telefonem, sprawdza SMS-y i serwisy informacyjne.

– Obserwatorzy mówili, że dojdzie do pogromu, że naziolę biją ludzi i to wygląda jak łapanki. Na czele grupy, która atakowała Marsz Równości, stał koleś o ksywce Dragon, człowiek z gangu neonazistowskiego rozbitego przez Centralne Biuro Śledcze – mówi Dulkowski.

Aktualnie przed sądem w Białymstoku toczy się proces o udział w grupie przestępczej czerpiącej korzyści z sutenerstwa, ale też

propagującej faszystowski ustrój państwa. Czołowym oskarżonym jest Tomasz P., czyli właśnie Dragon.

Co najbardziej przeraziło Dulковского?

– Że była tam grupa brutalnych ludzi, którzy rzucali kamieniami, bili, a tuż za nimi stał wielotysięczny tłum zwykłych, „porządnych” obywateli, którzy wrzeszczeli, żeby „zajebać pedałów”. Zagrzewali. To tak jak w nazistowskich Niemczech: nie wszyscy byli w SS, ale SS mogło działać dlatego, że byli ci zwykli, „porządni” Niemcy, którzy w imię wzniosłych ideałów popierali nazizm. Albo przynajmniej odwracali od niego wzrok.

PRYZSTANEK DRUGI

Tramwaj rusza równo o trzynastej. Wyjeżdża z zajezdni, mija dworce, place Dominikański i Jana Pawła II, Podwalem okrąży Stare Miasto. Jest niedziela, lato, wrocławianie patrzą i z niedowierzaniem kręcą głowami – na niebieskiej blasze pojazdu ktoś wywiesił krzyż celtycki i napis „Biała siła”.

Tramwaj został wynajęty przez wrocławskich narodowców. Działacze Narodowego Odrodzenia Polski mają ze sobą megafon i skandują z pojazdu hasło: „Raz sierpem, raz młotem czerwoną hołotę!”. Rzecznik miejskiej spółki nie kryje zaskoczenia: „Nie przewidzieliśmy takiego wypadku. Motorniczy nie wiedział, jak zareagować”. Jest sierpień 2012 roku.

Mija rok. Uniwersytet Wrocławski organizuje wykład otwarty wybitnego socjologa profesora Zygmunta Baumana. Uczelnia spodziewa się tłumu chętnych. 18 czerwca profesor Jacek Przygodzki odbiera e-mail od Dawida G. z Narodowego Odrodzenia Polski (pisownia oryginalna):

„22 czerwca na Uniwersytecie Wrocławskim ma odbyć się wykład niejakiego Zygmunta Baumana – żołnierza bolszewickiego NKWD, bandyckiego Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego, agitatora – oficera

politycznego Ludowego Wojska Polskiego, donosiciela Informacji Wojskowej. Skoro Uniwersytet zaprasza to nie mamy wyjścia – iść trzeba. Wybieramy się zatem na wykład tego osobnika, aby dać wyraz naszemu sprzeciwowi. Protestujemy przeciwko zapraszaniu na państwową uczelnię – czyli utrzymywaną z naszych podatków – człowieka, którego przeszłość w komunistycznym aparacie terroru skreślać powinna całkowicie z życia publicznego na zawsze”.

To opinia. Fakty klarownie przedstawił między innymi Artur Domosławski w swojej monumentalnej biografii Baumana pod tytułem *Wygnaniec*, która pokazuje, że wojskowa kariera Baumana wynikała z połączenia wielu skomplikowanych okoliczności życiowych, w tym doświadczeń z polskim antysemityzmem. Późniejszy socjolog w komunistycznej jednostce skupiał się głównie na politycznych pogadankach dla szeregowych (sam święcie wierzył w komunizm), a w walkach, w których ginęli cywile, nie uczestniczył.

Narodowcy niuansami się nie interesują. Skrzykują się w mediach społecznościowych. Na Facebooku podają instrukcje (pisownia oryginalna): „Zbieramy się wszyscy BARDZO PUNKTUALNIE o godzinie 15:15 pod wydziałem Prawa, Administracji i Ekonomii Uniwersytetu, czyli na skrzyżowaniu ulicy Kuźnicznej i Uniwersyteckiej. Wszyscy razem wchodzimy na otwarty dla wszystkich wykład Baumana... Pamiętajcie! Jeżeli ktoś zapyta Was, dlaczego stoicie pod budynkiem (np. milicja) odpowiadacie zgodnie z prawdą, że przyszlście na otwarty wykład Baumana. Nikt nie może Wam zabronić oczekiwania na imprezę na publicznym chodniku (...)”.

Policja ma kilka dni, by dobrze się przygotować. Na filmiku nagrany przez kogoś telefonem komórkowym widać, że zajścia na uniwersytecie policjanci obserwują od początku do końca. Kontrolują chętnych do wejścia

na salę, na której ma przemawiać Bauman, mają kamery i mikrofony skierowane na publiczność. Wszystko nagrywają. Nagrania posłużą jako materiał dowodowy przed sądem.

22 czerwca 2013 roku równo o piętnastej trzydzieści profesor Bauman wchodzi na scenę i siada za pulpitem. Przedstawia go prezydent miasta Rafał Dutkiewicz. Mówi, że Bauman jest „jego gościem i gościem Wrocławia”. Wtedy rozlegają się krzyki i gwizdy.

Z tylnych rzędów audytorium podnosi się spory tłum mężczyzn w ciemnych koszulkach. Na jednej z nich widnieje hasło: „Lepiej być martwym niż czerwonym”. Mężczyźni mają też transparenty: „Raz sierpem, raz młotem czerwoną hołotę”, i emblematy w barwach klubu Śląsk Wrocław. Buczą, gwizdzą, unoszą ręce z zaciśniętymi pięściami i w stylu stadionowym zaczynają skandować rytmiczne: „Wy-pier-dalaj!”.

Zygmunt Bauman przez chwilę nerwowo się uśmiecha. Potem zapada się w fotelu i zrezygnowany podpira ręką czoło, patrząc na narodowców pomieszanych z kibolami. W końcu wstaje, chce wyjść. Scena trwa blisko piętnaście minut. Dopiero wtedy agresorzy opuszczają audytorium.

Jak ustalą dziennikarze wrocławskiej „Gazety Wyborczej”, sygnał do podniesienia okrzyków jako pierwszy daje Dawid G., wieloletni działacz Narodowego Odrodzenia Polski. Liczną reprezentację kiboli zapewnia Roman Zieliński, pseudokibic Śląska Wrocław i autor książki *Jak pokochałem Adolfa Hitlera*.

Na ławie oskarżonych zasiada dwudziestu trzech z około osiemdziesięciu narodowców, którzy pojawili się w sali wykładowej. Najmłodszy ma osiemnaście lat, najstarszy – Zieliński – pięćdziesiąt dwa.

Zanim zacznie się proces, ślą do sądu pisma. Bronią się, tłumaczą. „Moje zachowanie nie było wybrykiem – pisze jeden. – Podyktowane było wolą wyrażenia sprzeciwu i protestu wobec zaproszenia i umożliwienia

swobodnej wypowiedzi Zygmuntowi Baumanowi, tj. osobie wyznającej zbrodniczą ideologię komunistyczną, biorącej udział w utrwalaniu zbrodniczego systemu komunizmu w Polsce”. Jego działanie – wyjaśnia – miało „motyw ideowo-polityczny”. Protest został zorganizowany przez „legalną partię NOP” i środowisko kibiców, które pielęgnuje „polski patriotyzm i pamięć o polskiej historii”.

Pisma z identycznie brzmiącymi fragmentami przysyłają do sądu kolejni oskarżeni.

„Nie byłem zainteresowany rozróbą ani tanią sensacją” – pisze inny narodowiec. Twierdzi, że jego pradziadek był „weteranem Armii Andersa”, „uczestnikiem walk pod Monte Cassino”, wywiezionym na Syberię przez „ludzi pokroju Baumana”. Oskarżony „nie jest bandytą, chuliganem czy faszystą”, ale „młodym patriotą, który w czasie prywatnym oddaje honorowo krew, robi paczki dla kombatanatów i angażuje się w sprzątanie grobów ludzi zamordowanych przez komunistów”.

Wstawia się za nimi były działacz Solidarności, dziś mieszkający w Niemczech. W długim liście do prowadzącego sprawę sędziego pisze w imieniu „internowanych i wyrzuconych z Polski”. Ostrzega, że oskarżenie narodowców to „ostatni przestępczy wybryk” sędziego, a takich sędziów w przyszłości trzeba „pozbawiać prawa do wykonywania zawodu”. „Gdyby był pan Polakiem – pisze – to postawiłby pan przed obliczem Temidy nie tych patriotycznych młodych Polaków, ale pana Dutkiewicza, rektora wrocławskiej uczelni, wrocławską policję, a przede wszystkim zbrodniarza Zygmunta Baumana”.

W maju 2014 roku sąd skazuje dziesiętnastu narodowców – większość na grzywnę, a niektórych na karę aresztu (w grudniu ostatecznie jednego uniewinni, a kary aresztu zamieni również na grzywny). Po ogłoszeniu

wyroku zgromadzeni na sali koledzy skazanych skandują: „Precz z komuną”.

ODZYSKANE

Dolny Śląsk to kolejny region, w którym narodowcy przez lata czują się mocni. Jak to możliwe, że w miejscu wyrastającym z tyłu kultur i tradycji tak silni stali się ci, którzy tę różnorodność chcieliby wymazać?

Przemysław Witkowski we Wrocławiu się urodził i wiele lat mieszkał. Miasto i region zna od podszewki.

– Ludzie, którzy po wojnie zamieszkiwali tę część Polski, byli ludźmi wykorzenionymi z tradycji dworsko-klerykalnej. Kiedy tu przybyli, zostali ze sobą przemieszani, a jednocześnie zderzyli się z innym poziomem technologicznym, dużo wyższym niż w dawnym zaborze rosyjskim. Chłop z Wołynia pojawiał się nagle w miejscu, gdzie widział kanalizację, dobre drogi, sprzęt rolniczy, a do tego ogromne poniemieckie budowle; to musiało robić na nim wielkie wrażenie. Z jednej strony nosił w sobie głęboko zakorzeniony ludowy antysemityzm, skierowany przeciwko Żydowi karczmarzowi albo kupcowi, z drugiej – w naturalny sposób ulegał fascynacji wszystkim tym, co zostawili po sobie wyjeżdżający stąd Niemcy – mówi Witkowski, doktor nauk humanistycznych w zakresie nauk o polityce, specjalista od bezpieczeństwa oraz od ruchów i grup radykalnych, lewicowych i prawicowych.

Dla tygodnika „Polityka” w jednym z artykułów z cyklu *Brunatny Dolny Śląsk* pisze: „Dolny Śląsk to serce tzw. ziem odzyskanych, które po 1945 r. i prawie 600 latach dominacji niemczyzny znalazły się w granicach Polski. Autochtoni zostali wysiedleni, a na ich miejsce przybyli osadnicy z zachodniej Ukrainy, Poznańskiego i centralnej Polski. Po raz pierwszy od czasów piastowskich polska granica biegła wzdłuż Odry i Nysy Łużyckiej,

ale spod świeżej farby raz po raz wychodziły napisy szwabachą. Architektura, urbanistyka, pomniki, wszystko mówiło o odmienności tych ziem od reszty kraju”⁴⁴.

Osadnicy potrzebują nowej lokalnej tożsamości. Wymyślają ją rządzący Polską komuniści: mają to być tradycje piastowskie i prasnawiańskie. „Odbudowywano miasta ze zniszczeń wojennych, rekonstruuując starówki wedle średniowiecznych wzorów, dodatkowo wzbogacając oficjalny przekaz o antyklerykalizm i akceptację dla symboliki pogańskiej, co pozwalało tworzyć wspólnotę na niekatolickich podstawach” – pisze Witkowski. I dalej: „Da się poprowadzić prostą linię od carskiego panslawizmu, przez stalinowski kongres słowiański z 1941 r. i jego narodowy komunizm – ideę socjalizmu w jednym kraju, eksperymenty Gomułki z unarodowieniem ustroju PRL, szczególnie szumnie na zachodzie i północy kraju obchodzone rocznice propagandowe – po neopogańskich skinheadów. Jeśli dodamy do tego peerelowską germanofobię i antysemityzm, otrzymamy niezwykle żyzną dla neofaszyzmu glebę”.

Zdaniem pewnego działacza społecznego, z którym spotykam się we Wrocławiu, przyczyna siły narodowców jest jedna: wieloletnie przyzwolenie na nienawiść i przymykanie oka na działalność nabierających rozmachu ekstremistów.

– Czyli to samo, co było przyczyną rozwoju nacjonalizmu w innych miastach. Nikt z tym nic nie robił albo jeśli robił, to mało – mówi.

Sam pierwszy raz do Wrocławia trafił dwadzieścia lat temu.

– Do dziś mam taką awersję, że jak jest jakiś mecz na stadionie, to wolę siedzieć w domu lub chodzić drugą stroną miasta. Pamiętam, że gdy na początku lat dwutysięcznych jeździłem do Wrocławia autobusem z małej miejscowości, na przystanku w Świebodzicach codziennie wsiadał

czarnoskóry mężczyzna i cały autobus się za nim odwracał. Za każdym razem.

PODRYGI

Przez wiele lat kronikarzem działań skrajnej prawicy na Dolnym Śląsku jest dziennikarz Jacek Harłukowicz, kiedyś we wrocławskiej „Gazecie Wyborczej”, dziś w portalu Onet. To dzięki jego artykułom wiemy, że narodowcy we Wrocławiu i okolicach czują się szczególnie silni. Przez wiele lat napadali na obcokrajowców, bili czarnoskórych studentów na ulicach, w parkach i tramwajach, ganiłi długowłosych licealistów. Profanowali żydowskie cmentarze, przed synagogami wykrzykiwali obrzydliwe antysemickie hasła. Nie oszczędzali nawet bezdomnych, których nachodzili nocami w ich kryjówkach i okładali kijami bejsbolowymi. Jednocześnie doskonale odnajdywali się w międzynarodowych strukturach i ściśle współpracowali między innymi z neonazistami z zagranicy.

Szczególnie nie lubili mieszkańców squatów.

Wielu z nich to anarchiści. Sprzeciwiają się faszyzmowi, przychodzą na manifestacje prawicowych radykałów, próbują je blokować. Niektórzy zaprawieni w ulicznych walkach stawiają czoła skinom. Czasem wygrywają, czasem nie są w stanie odpowiedzieć, zwłaszcza jeśli w ruch idą koktajle Mołotowa.

11 listopada 2012 roku wrocławscy narodowcy czują się zagrani do walki. Prosto z Marszu Patriotów kierują się na ulicę Na Grobli. Tu w jednej z kamienic mieści się squat Wagenburg. Napastników jest kilkadziesiąt. Rzucają w pustostany własnoręcznie zrobionymi ładunkami wybuchowymi. Jednego ze squattersów łapią i dotkliwie biją – chłopak trafia do szpitala w ciężkim stanie. To wtedy lider Narodowego

Odrodzenia Polski Adam Gmurczyk napisze na Facebooku: „Jako człowiek – dziękuję im za to. Nie ustawajcie!”.

– Lider NOP-u jest moim zdaniem niezwykle egocentryczną, narcystyczną i niekompetentną osobą. Jako przywódca jest fatalny – mówi Przemysław Witkowski. – Nakręca tych swoich biednych mięśniaków do różnych, często agresywnych akcji, a potem chowa głowę w piasek. Wykład Baumana, pobicie squatersów, akcje przeciw Romom – oni to wszystko robili, a jak przychodziło co do czego, to Gmurczyk nie odbierał telefonu i udawał, że ludzi nie zna. Wiele osób się na niego za to poobrażało. Dzisiaj jego partia jest praktycznie martwa. Miewa podrygi, jakieś demonstracje, drukuje ulotki, jednak nie ma już większego znaczenia.

BARAKI

Celem ataków radykałów stają się mieszkający we Wrocławiu i na obrzeżach miasta Romowie.

– Początek? Wiosna 2013 roku. Wcześniej we Wrocławiu nie byłem specjalnie zaangażowany, byłem blisko środowiska „Krytyki Politycznej”. Razem z osobami z ruchu lokatorskiego, antyfaszystowskiego, lokalnymi działaczami lewicowymi organizowaliśmy demonstracje, pisaliśmy teksty, rozmawialiśmy z ludźmi – mówi Maciej Mandelt z wrocławskiego Stowarzyszenia na rzecz Integracji Społeczeństwa Wielokulturowego „Nomada”, człowiek, który na pracy społecznej w środowisku Romów spędził lata.

Siedzimy w kawiarni w centrum Wrocławia.

– Kiedy pierwszy raz trafiłem „na baraki”, jak Romowie mówili wtedy o koczowiskach, byłem totalnie nieświadomy, czego mogę się spodziewać. Tak niewiele wiedziałem o Romach. Przy ulicy Kamieńskiego we

Wrocławiu, w miejscu dawnych ogródków działkowych, Romowie zbudowali swoje osiedle. Działała tam stworzona przez Nomadę nieformalna szkoła dla romskich dzieci. Edukatorzy zabierały je z baraków i popołudniami organizowały im zajęcia wprowadzające do materiału, bardzo wstępne. Z innymi wolontariuszami, wolontariuszkami odbierałem dzieci i jechaliśmy autobusem miejskim do szkoły. Tam asystowałem edukatorom i pomagałem dzieciakom. Robiliśmy ulubione kanapki: z margaryną i świeżym ogórkiem, do tego bardzo krótko zaparzana herbata w dzbanku z bardzo dużą ilością cukru. Po zajęciach odwoziliśmy dzieciaki do domów i tam opowiadaliśmy rodzicom, jak było w szkole. Tak poznawałem dorosłych. W tym samym czasie Wrocław wytoczył społeczności z Kamieńskiego proces. Pozwał ją o to, że nielegalnie zajmuje ziemię.

Ratusz przed sądem argumentuje, że chodzi przede wszystkim o prawo własności – do ziemi, którą Romowie nielegalnie zajmują. Według Nomady to systemowa dyskryminacja, wpisanie się w coraz powszechniejszy wówczas w Europie nieludzki trend wysiedlania romskich osad. Próba wyrzucenia ludzi, którzy i tak w życiu nie mają nic poza skleconymi z niczego barakami.

– Dzień i noc nie wychodziliśmy albo z biura, albo z koczowiska. Tam na miejscu tłumaczyliśmy ludziom, o co chodzi w ich sprawie. Zależało nam na tym, żeby to wiedzieli – opowiada Maciej Mandelt. – Udało nam się zmobilizować dużo organizacji i wspierających środowisk, zbieraliśmy podpisy pod protestem, masę godzin spędziliśmy z dziennikarzami, którym staraliśmy się tłumaczyć romską kulturę, historię i sytuację tej mniejszości. Były też rozmowy z władzami miasta, bo to my reprezentowaliśmy romską społeczność. Rozdmuchaliśmy ogień. I trzeba było ten ogień utrzymać.

Miasto wyznacza termin: Romowie mają opuścić koczowisko do 9 kwietnia 2013 roku.

Wtedy we Wrocławiu znowu zaczyna się tlić ogień nienawiści. Na stronie internetowej Nacjonalista.pl pojawia się tekst pod tytułem *Ostateczne rozwiązanie problemu cygańskich koczowisk?*.

„Problem nielegalnych imigrantów, którego cygańskie koczowiska są jednym z przejawów, musi być ostatecznie rozwiązany na poziomie ogólnoeuropejskim w sposób humanitarny i zgodny z porządkiem prawnym. Nie można pozwolić, żeby społeczny i antynarodowy element stanowił obciążenie (żebractwo, przestępczość, zakłócanie spokoju) dla rdzennej ludności” – pisze anonimowy autor.

Ktoś rozpusza plotkę, że ponieważ Romowie mieszkają w koczowiskach nieopodal Odry, rzecze grozi zatrucie, a mieszkańcom epidemia. Miejska legenda ma swój cel: w mieście, w którym ciągle żyją ludzie pamiętający epidemię ospy z 1963 roku, wywołać strach i niechęć.

Nieznani sprawcy próbują podpalić romskie baraki zamieszkiwane przez całe rodziny.

Pod sklepem spożywczym na Kamieńskiego kilku mężczyzn atakuje szesnastoletniego Roma. „Brudasio, Cyganie, spierdalaj stąd!” – krzyczą.

Rasizm objawia się też inaczej: przez zakodowane w głowach uprzedzenia. Staje się rasizmem systemowym.

– Jeden z urzędów we Wrocławiu przysyłał mieszkańcom koczowiska pisma w języku polskim. Tłumaczyliśmy, że ci ludzie urzędowego polskiego nie rozumieją – opowiada Maciej Mandelt. – I co zrobił urząd? Wydrukował te same pisma, tym samym urzędniczym polskim, ale... dużą czcionką.

Kiedy prezydent Wrocławia Rafał Dutkiewicz w końcu ogłasza, że proces wysiedlania zostanie wstrzymany, swój apel publikuje Narodowe

Odrodzenie Polski: „My, wrocławianie, nie godzimy się na sponsorowanie tych, którzy powinni być z naszego miasta i kraju zgodnie z prawem usunięci. Domagamy się od władz miasta, by buldożerami usunęły cygańskie obozowisko. Domagamy się od policji, by zgodnie z nakazami prawa użyła swoich zmotoryzowanych taborów (na co dzień używanych do transportowania przeciwników politycznych i znieawidzonych kibiców) do odwiezienia imigrantów do najbliższej granicy państwa. Żadnych nielegalnych imigrantów, żadnych slumsów. Wrocław musi być wolny!”⁴⁵.

Następuje przełom. Ratusz robi krok w tył.

– Dostaliśmy wiadomość, że urzędnicy ten pozew wycofają – mówi Mandelt. – Tymczasem we Wrocławiu zmieniła się władza. Rada miasta przygotowała miejski program, którego celem było wyciągnięcie Romów z koczowiska, przeniesienie ich do mieszkań komunalnych i włączenie w miejską tkankę. Program ma swoje wady, ale i tak dużo udało się zrobić: romskie dzieci chodzą do szkół, dorośli pracują. To spory skok. A pamiętajmy, że mieszkańcy Kamińskiego to sto pięćdziesiąt, może dwieście osób, w większości niepiszących i nieczytających, wykluczonych społecznie i ekonomicznie. Dziś coraz lepiej się we Wrocławiu odnajdują. Koczowisko zostało zlikwidowane cztery lata po wytoczeniu sprawy. Dopiero wtedy wyprowadzili się z niego ostatni mieszkańcy.

Na polityczno-urzędniczej przepychance o przyszłość Romów próbuje zyskać ktoś jeszcze.

Na scenie politycznej pojawia się nowa partia. Ludzie związani w przeszłości z Młodzieżą Wszechpolską i Obozem Narodowo-Radykalnym zakładają Ruch Narodowy. Prezesem zostaje Robert Winnicki. Startuje we Wrocławiu w wyborach samorządowych w 2014 roku.

– Pamiętam, że jak Winnicki kandydował na prezydenta miasta, to narodowcy urządzili pod koczowiskiem konferencję prasową – wspomina

Mandelt. – My w tym czasie byliśmy z Romami na koczowisku. Żeby ich strzec, czuwać nad sytuacją. Dla nich to były bardzo duże emocje, bo poczuli, że narodowcy chcą się z nimi konfrontować. To był pierwszy raz, kiedy w polityce tak wyraźnie została użyta antyimigrancka narracja, wtedy jeszcze w kampanii przed wyborami samorządowymi.

Po kilku fizycznych atakach na Romów w małopolskim Andrychowie do miasteczka przyjeżdża Robert Winnicki. Jego przemówienia słucha tłumek narodowców. Chwilę później wszyscy skandują: „Cyganie raus!”.

– Pamiętam rok 2015, uchodźcy idą do Europy, a my we Wrocławiu mamy ataki na obywateli Indii, bo wyglądają „podejrzanie”. Atakowani są też Romowie, Ukraińcy – opowiada Maciej Mandelt. – Zmienia się również internet, tu hejt przychodzi z różnych stron i ludzie pozwalają sobie na więcej. Między innymi dlatego do hejtowanych dołącza środowisko osób LGBT, do których niechęć się nakręca. Przez to, co mówią politycy, ten hejt rezonuje i na społecznych „dołach” działa znacznie, znacznie dłużej.

KSIĄDZ

Na Rynku Głównym we Wrocławiu atmosfera jest piknikowa: sklepy z pamiątkami, puby, restauracje, uliczni muzycy. Jest też ktoś, kto tę atmosferę bardzo chce popsuć.

Były ksiądz katolicki Jacek Międlar w jednej ręce trzyma mikrofon, wykrzykuje, że „mordu w Jedwabnem dokonali nie Polacy, ale Niemcy”, a opowieść o winie Polaków jest wytworem „przedsiębiorstwa Holocaust”. W drugiej ręce trzyma swoją książkę *Moja walka o prawdę*. Tytuł to ewidentne nawiązanie do innego dzieła, które skrajny nacjonalizm wynosił do rangi obiektu religijnego kultu – *Mojej walki Adolfa Hitlera*.

Międlarowi towarzyszy inny narodowiec, dzielający jego antysemickie poglądy: Piotr Rybak, ten sam, który kilka lat wcześniej

urządził w mieście happening ze spalenia kukły Żyda.

Obaj są z Wrocławiem związani od lat. Chodzą w organizowanych tu marszach z okazji Święta Niepodległości. Były ksiądz występuje na wiecach nacjonalistów, wykrzykuje ze sceny najbardziej obrzydliwe antysemitki tezy. O członkach dolnośląskiego ONR-u mówi: „moje owieczki”.

Na rok przed publicznym spaleniem kukły Żyda Rybak zyskuje lokalną sławę z zupełnie innego powodu. Staje się bohaterem filmiku, na którym wyrzuca swoje żale wobec prezydenta miasta Rafała Dutkiewicza. Jak się okaże, firma Rybaka brała udział w budowaniu wrocławskiego stadionu. Przedsiębiorca twierdził, że zlecająca mu pracę spółka się z nim nie rozliczyła, przez co stracił „dwa miliony złotych”, a przez ciężące na nim długi nie miał z czego płacić podatków, co doprowadziło do skazania go przez sąd na karę grzywny. „Niech pan się ze mną spotka, panie prezydencie! Pracowałem, miałem stu pięćdziesięciu ludzi na stadionie. (...) Oszukano mnie na dwa miliony złotych. Moja córka do końca życia będzie spłacała długi stadionowe. Jak pan się z tym czuje, panie prezydencie?” – krzyczy do zaskoczonego Dutkiewicza. Przez cytujący jego słowa portal wPolityce.pl nazywany jest liderem „Ogólnonarodowego Ruchu Oburzonych Polaków”.

Źródłem wszelkiego zła stają się dla niego Żydzi. „Od dwudziestu siedmiu lat najwyższe stanowiska zajmowali Żydzi i do jakiej sytuacji doprowadzili ten kraj? Ten wyrok to hańba i naplucie narodowi polskiemu w twarz. Jeśli nacja żydowska tak się boi, to mają swoje państwo i mogą wyjechać do Izraela!” – krzyczy po ogłoszeniu wyroku dziesięć miesięcy więzienia za swój „happening”. Na płocie swojej posesji pod Wrocławiem wywiesza baner z napisem: „Dom polski – zakaz wstępu Żydom, komuchom oraz wszystkim złodziejom i zdrajcom Polski”.

Z kolei Jacek Międlar to przyjezdny – pochodzi z rzeszowskiego blokowiska. W swojej książce zachwyca się latami dziewięćdziesiątymi, „złotym czasem subkultur”, kiedy to na osiedlach pełno było „brudasów” i „skinheadów”. Twierdzi, że jako dziecko niewiele z ich rywalizacji rozumiał, natomiast później dodaje: „anarchiści swoim wyglądem graniczącym z brakiem higieny po prostu odrażali”. Duży wpływ ma na niego dziadek, wojenny weteran i patriota. Chłopak z podziwem patrzy też na siłę i braterstwo kibiców – w końcu Rzeszów to w pierwszej dekadzie dwudziestego pierwszego wieku miasto podzielone między kiboli Resovii i Stali, dwóch klubów sportowych. W seminarium jest podobno pilnym i przykładowym klerykiem. Dużo się modli i boleje nad moralnym zepsuciem zwykłych ludzi oraz stanu duchownego. Wszędzie widzi homoseksualistów, a Wrocław, do którego trafia na pierwszą parafię, nazywa „wylęgarnią homoksięży”.

Czas spędzony we Wrocławiu staje się dla niego przełomowy. Czy wpływ na to mają konflikty z lokalnymi księżmi? Ile w Międlarze narodowego wzmożenia, a ile frustracji, która szuka ujścia? W książce skarży się na rzecznika wrocławskiej kurii, który krytykuje jego działalność. Na proboszcza, który „rzadko bywa w parafii”. Na wyznaczonych przez kurię wizytatorów, którzy próbują jakoś nad księdzem narodowcem zapanować.

Wtedy właśnie młody wikary i katecheta z gimnazjum z patrioty staje się zażartym narodowcem. We Wrocławiu po raz pierwszy styka się z działaczami ONR-u. Spotkanie to uznaje za działanie sił najwyższych, jakby sam nie miał na nic wpływu, tylko poddawał się woli Bożej. „Zrobili na mnie naprawdę dobre wrażenie – pisze o narodowcach. – Bogu złożyłem dziękczynienie za ten wyraźny znak. Kończcie, a otworzą wam (Mt 7, 7). Kołatałem i Bóg mi otworzył ścieżkę, o której – prawdę mówiąc –

wcześniej nie myślałem. Wiedziałem, że pracując z tym środowiskiem, mogę narazić się na kłopoty, ale woła Boża była dla mnie wołą Bożą, bez względu na to, czy przekracza ona moją wyobraźnię, czy też nie”⁴⁶.

Zaczyna prowadzić blog, publikuje na nim swoje kazania. Z czasem stają się coraz bardziej radykalne, a w roli negatywnych bohaterów coraz częściej występuje wróg Międlara numer jeden: Żydzi. Zaraz po nich są homoseksualiści, muzułmanie i lewacy.

W 2015 roku we Wrocławiu spotyka się z nim dziennikarz „Tygodnika Powszechnego” Błażej Strzelczyk. Pyta księdza narodowca, jak wyobraża sobie „Wielką Polskę Katolicką”, którą zapowiada w swoich homiliach. „To Polska pod rządami Jezusa Chrystusa, w której nie będzie miejsca na ideologię gender i teorie homoseksualistów i w której będą wprowadzone ustawy zgodne z nauką Kościoła katolickiego – pisze Strzelczyk. – Narodowcy krzyczą »zakaz pedałowania«, dopytuję więc, czy gej będzie mógł żyć w tej Polsce. Ks. Jacek mówi, że gej przede wszystkim powinien modlić się, żeby przestać być gejem”⁴⁷.

Jesienią 2015 roku ciągle słyhać echa antyimigranckiej kampanii. Międlar ma wystąpić na wiecu organizowanym przez wrocławskich narodowców. Scenę – z przyczepy ciężarówki – zapewnia Piotr Rybak. Stremowanemu księdzu podoba się to, co widzi i słyszy. „Podwinąłem sutannę i w kibicowskim stylu wykrzychałem: Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! – pisze w swojej książce. – Tysiące męskich gardeł odpowiedziało trzykrotnie: Na wieki wieków. Amen”. Skanduje: „Ewangelia, a nie Koran!”.

Doświadczenie jest tak silne, że potem tej samej akceptacji ze strony kiboli i narodowców, tego samego brzmienia ich „męskich gardeł” będzie szukał wszędzie tam, dokąd trafi.

Za swoje nienawistne wypowiedzi w kościele i na wiecach zostaje przeniesiony do innej parafii, na Podhale. Tam też od razu dogaduje się z ONR-em. W Białymstoku odprawia mszę z okazji osiemdziesiątej drugiej rocznicy powstania organizacji. Uroczystości skończą się zarzutami i wyrokami dla narodowców zagrzewanych do akcji przez księdza narodowca, który chwilę wcześniej w białostockiej katedrze grzmi: „Zero tolerancji dla tchórzostwa, zero tolerancji dla żydowskiej bierności prowadzącej do zniewolenia. Zero tolerancji dla ogarniętej nowotworem złośliwym Polski i Europy. Ten nowotwór wymaga chemioterapii”⁴⁸.

Po krótkim czasie spędzonym na Podhalu i po zakazie wypowiedzi nałożonym na niego przez przełożonych Międlar podejmuje decyzję o odejściu z kapłaństwa. Zakłada portal internetowy, publikuje filmiki na YouTube – ciągle pełne nienawiści do Żydów, osób LGBT i „lewactwa”. W 2018 roku zostaje skazany za znieważenie posłanki Joanny Scheuring-Wielgus, a rok później zatrzymany przez ABW w związku z podejrzeniem głoszenia nienawiści. Wciąż pojawia się publicznie w towarzystwie Piotra Rybaka. Mimo rzekomych krzywd, których tam zaznał, na miejsce świeckiego życia wybiera Dolny Śląsk. Mieszka podobno w małej miejscowości pod Wrocławiem.

HAŃBA

W 2016 roku prezydent Rafał Dutkiewicz odpowiada na pytania internautów podczas tak zwanego tweetupu – spotkania online z użytkownikami Twittera. Pytany o narodowców, odpowiada bez ogródek: „Nienawidzę pieprzonych nacjonalistów”.

Dwa lata później zakazuje marszu z okazji Święta Niepodległości. Robi to w porozumieniu z wybranym już wtedy prezydentem elektem Jackiem Sutrykiem (wcześniej pełnomocnikiem do spraw społecznych). Decyzję

odrzuca sąd, który uznaje, że każdy ma prawo do demonstrowania swoich poglądów. Rok później urzędujący już prezydent Sutryk ponownie zakazuje przemarszu. Dutkiewicz przy tej okazji komentuje: „Rzeczą straszną i obrzydliwą jest, że wielkie polskie święto jest przez warcholskich nacjonalistów używane i nadużywane w taki sposób. To jest straszną hańbą”.

Tego samego roku Sutryk tworzy w ratuszu nowe stanowisko: doradcy społecznego do spraw tolerancji i przeciwdziałania ksenofobii. Zostaje nim lewicowy radny Bartłomiej Ciążyński. „Silnikiem Wrocławia była i jest różnorodność oraz otwartość. Dlatego chcemy ją chronić i pogłębiać. Zwalczać wszelkie przejawy wykluczenia, ksenofobii czy rasizmu”⁴⁹ – mówi.

Pytam Ciążyńskiego, dlaczego jego zdaniem środowiska narodowe we Wrocławiu przez lata czuły się pewnie i swobodnie.

– Przez lata unikano wzięcia za to odpowiedzialności – odpowiada. – Sam wielokrotnie usłyszałem, że demonstracji nacjonalistów nie można przerywać, bo będzie bijatyka, bo poleje się krew i że to nie jest robota urzędu, tylko policjantów, bo to oni są od pilnowania porządku. Tymczasem my, urzędnicy, jesteśmy od kreowania wizerunku miasta. Chcemy, żeby było tolerancyjne, otwarte, i mamy narzędzia prawne, żeby na to wpływać.

– A może te środowiska czuły się mocne, bo miały poparcie ulicy, zwykłych mieszkańców?

– Pięknie opisała to Olga Tokarczuk, która mówiła, że to miasto odbudowane przez migrantów, więc jego fundamentem jest otwartość. I uważam, że w ogromnej większości mieszkańcy Wrocławia też chcą, żeby było to miasto kosmopolityczne, europejskie, otwarte. Tę ideę zaburzały bardzo poważne ekscesy. Środowiska skrajnej prawicy czy

neofaszystowskie nie miały się czego bać, bo wszystko uchodziło im płazem.

Przyznaje: spalenie kukły Żyda przez Piotra Rybaka „rozślawiło” Wrocław na cały świat. Relacje pojawiały się od CNN po Al-Dżazirę. Trzeba było działać.

– Poprzednie władze Wrocławia z prezydentem Dutkiewiczem, który jest absolutnym antyfaszystą i przeciwnikiem skrajnej prawicy, też podkreślały taką potrzebę, ale za tymi słowami nie szły żadne twarde działania – mówi Ciążyński. – Kiedy prezydentem został Jacek Sutryk, poszedłem do niego i powiedziałem, że rzecz trzeba nazwać po imieniu. Że nienawiści trzeba przeciwdziałać bardzo stanowczo i twardo, ale stosować narzędzia, które są „w prawie”. Po trzech latach od objęcia urzędu śmiem twierdzić, że Wrocław nie jest już w tym miejscu, w którym był wtedy. Nasze działania były na tyle skuteczne, że środowisko narodowców zostało bardzo mocno ograniczone, wręcz zmarginalizowane. Dowodem jest bardzo skromny marsz w 2019 roku, organizowany przez Jacka Międlara, na który przyszło kilkaset osób. Wcześniej przez lata było to dziesięć, dwadzieścia tysięcy ludzi. Coś się stało.

– Co?

– Pierwszym krokiem było powołanie doradcy do spraw tolerancji i przeciwdziałania ksenofobii, następnym – wdrożenie moich pomysłów w życie. Przetestowaliśmy je w marcu 2019 roku. Ustawa mówi, że delegat miasta ma prawo przerwać zgromadzenie, jeśli popełniane jest na nim przestępstwo, czyn zabroniony lub jeśli zgromadzenie stanowi zagrożenie zdrowia lub życia mieszkańców. Samorządy niechętnie sięgają po ten instrument. My działamy inaczej: kiedy istnieje podejrzenie popełnienia przestępstwa, na przykład głoszenia nienawiści, reagujemy. Dwa ostrzeżenia i rozwiązanie manifestacji.

Przykład: 1 marca 2019 roku, Narodowy Dzień Pamięci Żołnierzy Wyklętych.

– Jacek Międlar chciał działać tak, jak robił to już dziesiątki razy we Wrocławiu: podeptać zdjęcie Michnika, powiedzieć: „Polska to nie Polin”, krzyknąć, że „żydowscy komuniści gorsi niż naziści”, i tak dalej – opowiada Ciążyński. – Wszystkiemu przyglądamy się my: delegat miasta, radca prawny z urzędu i ja. Stoimy, oni nas prowokują, ze sceny nawołują do uczestników, żeby zrobili nam jakąś krzywdę. Ale my stoimy dalej. Kiedy robi się niebezpiecznie, reagujemy. Wtedy, 1 marca 2019 roku, manifestacja Międlara została przerwana po godzinie. Na czym polegała zmiana? Na tym, że wyraźnie powiedzieliśmy: urząd miejski weźmie na siebie podjęcie tej decyzji, reakcję. I tak się stało. Po naszej interwencji do akcji wkroczyli policjanci.

W następnych miesiącach sytuacja powtarza się kilka razy, przy różnych okazjach. Wysłannicy ratusza znowu są na miejscu. Narodowcy krzyczą, że to zamach na demokrację, „Żydzi atakują”, „Ciążyński komunista”, urzędnicy zgłaszają więc podejrzenie popełnienia przestępstwa. Wkraczają policjanci, zaczynają spisywać ludzi, otaczają tłum kordonem. W Święto Niepodległości 2019 roku razem z Międlarem jest kilkuset kiboli. Po pierwszym ostrzeżeniu urzędników odpalają race. Policja interweniuje już po dwudziestu minutach od rozpoczęcia demonstracji, w ruch idą armatki wodne.

– Ważne jest też to, że nasze działania widzą zwykli mieszkańcy Wrocławia – mówi Ciążyński. – Przez lata na te marsze przychodziły rodziny z dziećmi, które chciały zmanifestować patriotyzm, ale jedyną ofertą, jaką dostawały, był Międlar. W 2019 roku ludzie zobaczyli, że wiece Międlara to nie jest cywilizowane manifestowanie patriotyzmu, tylko

zadyma. A udział w niej wiąże się, mówiąc brzydko, z możliwością dostania w mordę.

Narodowcy jeszcze długo nie mogą się pogodzić z postawą miasta. Na kilku budynkach pojawiają się nienawistne napisy. „Nieznani sprawcy” wymalowują krzyż celtycki i hasło „zajebać lewaka” na siedzibie stowarzyszenia Nowe Nadodrze. „Śmierć lewackim kurwom. Zajebimy was, szabesgoje” – taki napis znajdują rano przy wejściu do swojego biura działacze Nomady. Napis „zajebać feministki” pojawia się na szybie siedziby Ośrodka Działań Artystycznych „Firlej”, w którym odbywała się impreza po zakończeniu wrocławskiej Manify. Robert Chmielewski, animator kultury kierujący ośrodkiem, mówi wtedy Przemysławowi Witkowskiemu: „Te napisy i celtyki mają nam powiedzieć – wiemy o waszej działalności, mamy na was oko”.

PIRAMIDA

– Tutejsza skrajna prawica to środowisko liczne, ale bardzo podzielone, na wiele różnych, często bardzo dziwnych bytów – tłumaczy Przemysław Witkowski. – Szukają sobie ludzi gdzieś pod Wrocławiem: Oława, Świdnica, Dzierżoniów, Bielawa, kiedyś jeszcze Jawor. W samym Wrocławiu mają niewielkie poparcie. W końcu nie rządzi tu Międlar, tylko prezydent Sutryk, który ma kotka Wrocka, uprawia jogging i jest miłym, fajnym „prezydentem z Instagrama”.

– Wrocław się zmienia, wrocławianie się zmieniają. Coraz więcej przypadków ataków z nienawiści spotyka się z reakcją zwykłych ludzi: w autobusie, w tramwaju – mówi mi pewien lokalny działacz społeczny. – Mamy świadomość, że takie przypadki będą się zdarzać, wszystkich nie da się wyeliminować, ale to od nas zależy, czy będziemy na nie reagować czy nie. Ja mam takie poczucie, że z każdym cyklem warsztatów

antydiskryminacyjnych wypuszczamy w świat kolejne osoby, które będą zmieniać Wrocław razem z nami. W ostatniej edycji mieliśmy dwadzieścia miejsc, a zgłoszeń przyszło sześćdziesiąt. Dwie trzecie od nauczycieli. To bardzo budujące.

Na warsztatach organizujące je stowarzyszenie tłumaczy, jak i dlaczego powstają stereotypy oraz uprzedzenia, czym jest dyskryminacja i jak ją zwalczać w najbliższym otoczeniu, na przykład w szkole, jak zauważać i reagować na mowę nienawiści, a także jak nie pozwalać na przemoc. Zaprasza przedstawicieli różnych narodów i kultur, którzy opowiadają o swoich zwyczajach, kuchni, religii, muzyce, o historii swojego kraju.

Działania organizacji pozarządowych wspiera samorząd. Przykładem takiego działania był projekt stowarzyszenia UP-DATE „Żywa biblioteka”. Tak jak w tradycyjnej bibliotece wypożycza się książkę, tak w „Żywej bibliotece” można było spotkać osoby reprezentujące różne zawody, grupy etniczne, religie i orientacje seksualne. I rozmawiać – zadawać im pytania, słuchać, czytać człowieka jak książkę, a przez to lepiej rozumieć geja, lesbijkę, muzułmanina, ale też księdza i katechetkę.

– Wrocław naprawdę kładzie bardzo mocny nacisk na to, żeby nienawiść eliminować z życia publicznego – wyjaśnia działacz z Wrocławia. – Te programy rzeczywiście działają. Świetnie działa na przykład program prowadzony przez Wrocławskie Centrum Integracji, w ramach którego osoby skazane zamalowują symbole nienawiści na terenie miasta. Nienawistne, dyskryminujące napisy może zgłosić każdy mieszkaniec. Sam mam to dobrze przećwiczone. Mamy takie miejsce koło dworca, w którym co jakiś czas pojawia się napis „White Power” i krzyż celtycki. Zgłaszam, napis zostaje zamalowany, a potem znowu się pojawia.

Podkreśla, jak ważne jest, żeby takie symbole zniknęły z murów miasta. Dlaczego?

– Bo znieczulica może prowadzić do realnej przemocy – uważa. – Podczas warsztatów tłumaczymy, dlaczego te symbole są złe, pokazujemy tło historyczne. Robimy to na przykładzie piramidy nienawiści, która pokazuje, do czego ta symbolika, ten język może doprowadzić, jeśli w porę go nie zlikwidujemy.

Chodzi o koncepcję piramidy nienawiści autorstwa amerykańskiego psychologa Gordona Allporta, uznawanego za ojca psychologii osobowości. Allport skonstruował swój model na podstawie wiedzy o postępowaniu Niemców wobec Żydów w trakcie drugiej wojny światowej. Wyodrębnił pięć etapów nienawiści. Pierwszy to mowa nienawiści skierowana wobec wybranej grupy lub grup. Drugi to celowe i systematyczne unikanie. Trzeci to bezpośrednie akty dyskryminacji i wykluczenie. Czwarty to przemoc fizyczna, a piąty – eksterminacja.

– Wszyscy posługujemy się stereotypami. Wszyscy szufladkujemy informacje, które do nas docierają. Ale to, co z tymi informacjami zrobimy, jest ważne. Czy staramy się je zweryfikować, czy przyjmujemy i generalizujemy. Najwięcej uprzedzeń bierze się z niewiedzy – mówi aktywista. – Kilka lat temu zorganizowaliśmy w Wałbrzychu warsztaty dotyczące islamu. Prowadził je nasz kolega muzułmanin. W Europie trwał właśnie kryzys uchodźczy. Po wszystkim dwie panie koło pięćdziesiątki powiedziały, że właśnie poprzestawialiśmy im świat.

LIGHT

– Problemem nie jest to, że zbiera się kilkaset osób i krzyczy: „Bij pedała!”, lecz to, że w jednym rządzie może stać lider lokalnego neonazistowskiego gangu kiboli, który kontroluje przemysł papierosów, bramki w dyskotekach i prostytutkę, oraz lokalni prawicowi politycy – mówi Przemysław Witkowski.

Ludzie są zirytowani sytuacją życiową, wizją wykluczenia, kompletnym brakiem wiary, że mogą być kimś innym niż szarą masą, i dlatego będą się radykalizować. W lewo, w prawo, religijnie. Albo uwierzą w teorie spiskowe. My, zdaniem politologa, powinniśmy się zająć czymś innym: powiązaniem skrajnych środowisk z lokalną elitą.

Kiedy proszę go o przykłady, wylicza: ojciec jest profesorem dużego uniwersytetu i znanym antysemitą, a syn jedną z podpór organizacji Krew i Honor w Polsce. Brat pewnego neonazisty był radnym prawicowej partii w sejmiku wojewódzkim. Podobnie radną była matka jednego z bardziej radykalnych narodowców.

Faszyzm zyskuje w społeczeństwie masową popularność, kiedy istnieje silna lewica, której takie ruchy się przeciwstawiają w imię obrony narodu czy własności prywatnej – uważa Witkowski.

– A kiedy lewica jest praktycznie martwa, tak jak obecnie w całej Europie, trudno mówić o realnym faszyzmie. Prawdziwym problemem jest co innego. To, że prawicowe partie głównego nurtu skręcają coraz ostrzej w prawo, bo część poglądów faszystowskich, ale w „wersji *light*”, jest dla nich bardzo korzystna. Do tego potrzebne im są organizacje radykalnie nacjonalistyczne, które spełniają funkcję „ideologicznych silników” wytwarzających opis świata.

– Jak one działają? – pytam.

– Mam chyba jedną z większych na świecie kolekcji skinheadowskich, neonazistowskich zinów z lat dziewięćdziesiątych i wczesnych dwutysięcznych. I wiesz co? Coraz więcej tematów, które się w nich pojawiały, ląduje dziś w agendzie partii prawicowych: PiS-u, Solidarnej Polski i Konfederacji. Żołnierze wyklęci, antykomunizm podniesiony do poziomu religii, gloryfikacja kolaborantów Hitlera, bo przecież „walczyli z komuną”, a komuna była gorsza niż nazizm. Duże partie poszukują dla

siebie nowej ideologii, więc zasysają tę dostarczoną przez neofaszystowskie „ideologiczne silniki”: gazety, organizacje, stowarzyszenia, które produkują określony opis świata, mówią, jak jest i jak powinno być. Skrajna prawica przyswoiła lekcję z Gramsciego, włoskiego komunisty, który stworzył kategorię hegemonii kulturowej. Jak ją zdobyć? Działać w sferze chmury wartości i pojęć, mozolnie budując społeczną zgodę lub niezgodę na pewne myślenie, koncepcje lub procesy.

– A prościej?

– Narodowcy myślą: dobra, nie możemy przejąć władzy demokratycznie, bo ludzie nie chcą na nas głosować. Nasze odwołania do wielkiej białej Trzeciej Rzeszy też się jakoś nie podobają. To co możemy zrobić? Zamiast „apartheid” mówić „separatyzm rasowy”, zamiast „nacjonalistyczny” – „tożsamościowy”, czyli zmienić język, nie zmieniając poglądów. Tak żeby ludzie pomyśleli, że w sumie to jesteśmy całkiem spoko. Nie będziemy już chodzić we flyersach z celtykami, nie będziemy hajlować na demonstracjach. Włożymy trochę inne ubrania, ale będziemy mówić to samo. Mimo że nacjonaści nie mają władzy formalnej, wymyślają koncepcje, które władza w lajtowej formie próbuje wprowadzać.

Pytam, dlaczego według niego to niebezpieczne.

– Bo to tak, jakby wpuszczać wilki do psiarni i liczyć, że psy je zdominują – odpowiada. – Nie, to wilki zawsze wygrają rywalizację o prym w stadzie.

Dawid G., uczestnik ataku na wykład Baumaną, pracuje dziś jako fotograf sportowy. Na swojej stronie publikuje zdjęcia z meczów koszykówki, siatkówki, piłki nożnej. Widać, że ma do tego talent. Do wydarzeń sprzed lat nie chce wracać. „Z mediami rozmawiałem chętnie, również o tamtej akcji, ale wtedy, kiedy się tym zajmowałem. No, spóźnił się Pan o wiele lat” – odpisuje mi w mailu. Twierdzi, że w NOP-ie już nie

działa, z polityki wycofał się sześć, może siedem lat temu. Teraz zajmuje się czym innym.

Zaglądam na jego konto na Twitterze. W oczy od razu rzuca się zdjęcie winylowej płyty z grafiką skinheada ukrzyżowanego niczym Jezus Chrystus.

Na płycie jest podpis: „SKINS 1999”.

PRYZSTANEK TRZECI

Płot jest koloru zielono-rdzawego⁵⁰. Za płotem mężczyźni: młodzi, ubrani sportowo, bojowo nastawieni, kierują w stronę idących środkowy palec. Krzyczą nieskładnie, jeden przez drugiego: „Wypierdalać!”, „Pedały!”. Łatwo mogliby ten płot przeskoczyć, ale nie chcą, ograniczają się do krzyku. Za plecami mają jasnogórski park.

Po drugiej stronie płotu jest deptak, którym idzie Marsz Równości. Odpowiada hasłem „Kolorowa Częstochowa”. Maszerujący na ramionach mają wieńce we wszystkich kolorach tęczy. Trasa wiedzie spod Jasnej Góry, przez centrum miasta i z powrotem do klasztoru.

Tego dnia po dwóch stronach zielonego ogrodzenia spotykają się dwie Polski. Dlaczego jedna na Jasnej Górze czuje się jak w domu, a druga jak nieproszony gość?

W marcu 2019 roku do Częstochowy przyjeżdżają nacjonaści. Pod Jasną Górą protestują przeciwko temu ludzie ze stowarzyszenia Demokratyczna RP. Uczestniczą w pielgrzymkach narodowców i kibiców, dokumentują wszystko, co się dzieje. Nie chcą pod klasztorem nacjonalistycznych haseł, dlatego protestują, chociaż nikt im tego nie ułatwia. „Jeśli ruszycie palcem, to was stąd wyniesiemy” – miał im powiedzieć jeden z policjantów zabezpieczających pielgrzymkę narodowców. Rok wcześniej napisali list do ojca Mariana Waligóry,

apelując, by „klasztor był miejscem wolnym od piewców nienawiści, ksenofobii i rasizmu”. Przeor odpowiedział, że problemu nie ma, a pielgrzymka ma charakter modlitewny.

Przedstawicielka stowarzyszenia godzi się na spotkanie, bo chce opowiedzieć o Jasnej Górze, która kiedyś była dla niej, a teraz się na nią zamyka. I o swojej historii, która niedługo znajdzie dramatyczne zakończenie.

– W salach klasztornych odbywają się zamknięte spotkania i wykłady specjalnie dla narodowców – opowiada. – Paulini mówią, że każdego przyjmują tak samo, ale trzeba usłyszeć, z jaką nabożnością wymieniani są z funkcji wszyscy liderzy organizacji narodowych, żeby zrozumieć, jaki naprawdę mają do nich stosunek. Idź na Jasną Górę, rozejrzyj się. Zobacysz wszystko na własne oczy.

Czerwiec 2019 roku. W Częstochowie odbywa się Marsz Równości. Jest niedziela, trochę pada, ale atmosfera jest gorąca. Przy trasie ustawiają się narodowcy, kibole i zwykli uliczni chuligani. Nazywają się „kontrmanifestantami”. Skandują: „Pedofile, lesby, geje, cała Polska z was się śmieje!”, „Pedały, wypierdalać!”. Rzucają jajkami, szyszkami, czym popadnie. Podobno rzadko trafiają.

Michał, uczestnik marszu, zostaje zaatakowany – jak mówi – przez grupę „bojówkarzy”. Jednego rozpoznaje: to ten sam, który rok wcześniej publicznie hajlował. Ktoś próbuje Michała dusić, ale udaje mu się wyrwać. Przeciwnicy marszu zaatakują go jeszcze raz, tym razem po powrocie na Jasną Górę.

Narodowcy śledzą przebieg marszu od początku. Kiedy odsłonięty zostaje obraz „tęczowej Matki Boskiej”, wpadają we wściekłość. Ruszają na osłaniający marsz kordon policji, chcą się przedrzeć. Lecą kamienie.

W końcu policjanci rozpylają gaz łzawiący. Obrywają najmniej winni: dzieci, z którymi rodzice narodowcy przyszli blokować marsz.

Organizatorzy mają pretensje do funkcjonariuszy, że nie reagowali w porę.

– Nacjonaliści byli proszeni o zejście z trasy legalnego marszu, a usuwani dopiero po zaatakowaniu policji, która wcześniej pozostawała bierna – mówi organizator marszu.

Uczestnicy marszu uznają, że są już przyzwyczajeni do wyzwisk.

– Przy muzyce nie było ich nawet zbyt słychać – zapewniają. – Wbrew sprawozdaniom policji blokujących nie było tylu ilu nas.

KAZANIE

Marsz Równości transmitowały ogólnopolskie telewizje, żeby jednak zobaczyć, jak na co dzień wygląda życie na Jasnej Górze, trzeba przyjechać wtedy, gdy wozy transmisyjne stąd znikną.

Do Częstochowy, jak co roku, właśnie dotarli maturzyści. Zbijają się w grupki, szepczą, sprawdzają wibrujące smartfony. Za chwilę wysłuchają kazania. Ksiądz Roman Kneblewski powie, że to z nimi są moce boskie, dla nich jest światło prawdy, potęga Bożej miłości, moc łaski oraz że Polska właśnie zmartwychwstaje, zrzuca kajdany niewoli. Kiedy mówi o „diabelskiej ideologii gender”, drobna nastolatka z okularami na nosie odwraca się do koleżanek i z grymasem komentuje: „Seriooo?!”. Spora grupa nastolatków przepycha się do wyjścia, nie po to tu przyjechali.

Jasna Góra to nie klasztor pierwszy z brzegu, tylko dom generalny paulinów sprowadzonych w czternastym wieku z klasztoru pod Budą na Węgrzech. W porównaniu z innymi jest to niewielki zakon – na świecie liczy około pięciuset członków, w Polsce około trzystu (dla porównania: jezuitów jest u nas ponad sześciuset, a na świecie szesnaście–siedemnaście

tysięcy). Początkowo był zakonem kontemplacyjnym i pustelniczym, z biegiem czasu coraz bardziej otwierał się na świat zewnętrzny.

Formacja paulińska ma klasyczną, wywodzącą się sprzed wielu wieków specyfikę. Nadal ważną częścią życia paulinów jest kontemplacja, ale dziś dochodzi do tego także działalność apostolska na czele ze sprawowaniem sakramentu pokuty. W Polsce działalność paulinów skupiła się na dbaniu o sanktuarium, jedno z najważniejszych w Europie, przez co znaczenie zakonu jest dużo większe niż na przykład we Włoszech, gdzie paulini są niemal nieznani.

Zakonnicy powinni żyć ubogo i pracowicie. Gospodarze Jasnej Góry mają swoje media, organizują Paulińskie Dni Młodych, Pauliniadę (konkurs wiedzy o zakonie), prowadzą wideokomentarze do Ewangelii na własnym kanale YouTube, założyli zespół muzyczny. Tylko w 2018 roku – według danych biura prasowego paulinów – Jasną Górę odwiedziło około czterech milionów trzystu tysięcy pielgrzymów. Dla porównania: sanktuarium maryjne w Fatimie do połowy 2018 roku odwiedziło trzysta tysięcy pielgrzymów mniej, a w Lourdes liczba ta od lat spada i w 2018 roku wyniosła tylko czterysta pięćdziesiąt tysięcy.

Do cudownego obrazu Matki Bożej w zeszłym roku przybywali między innymi rolnicy, motocykliści, nauczyciele, górnicy, anonimowi alkoholicy, koła różańcowe. Najliczniejsza była pielgrzymka Rodziny Radia Maryja. Paulini powtarzają: Jasna Góra jest politycznie neutralna, otwarta na wszystkich. Przecież w 2014 roku podczas corocznych dożynek do rolników przemawiał ówczesny prezydent Bronisław Komorski, a po zmianie na tym stanowisku przyjechał tam Andrzej Duda.

Mimo tych zapewnień wydaje się jednak, że od kilku lat Jasna Góra udziela głosu tylko jednej stronie. Z ambony co roku przemawia ojciec Tadeusz Rydzyk. Podczas pielgrzymki Rodziny Radia Maryja premier

Morawiecki mówił, że „przeciwnicy robią podkop pod Polskę, pod nasze wartości, podkop pod rodzinę”.

Ksiądz sympatyzujący z „Tygodnikiem Powszechnym” nie ma wątpliwości: przez dużą część kleru Jasna Góra uważana jest za serce Kościoła. A na sercu, mówi, najlepiej widać, jakie choroby trapią cały organizm.

WOJSKO

Przez kilka lat to nie Wrocław, Białystok czy Zakopane, ale właśnie Częstochowa jest mekką narodowców.

W marcu 2019 roku „pielgrzymka środowisk narodowych” na Jasną Górę odbywa się już szósty raz. Przyjeżdża półtora tysiąca osób związanych z Ruchem Narodowym, Młodzieżą Wszechpolską, Obozem Narodowo-Radykalnym i Związkiem Żołnierzy Narodowych Sił Zbrojnych. Podczas uroczystej mszy homilię wygłasza ksiądz Henryk Grządko. Mówi, że „pod znakiem tęczowej flagi próbuje się okraść nas z wartości wewnętrznych, takich jak prawda, miłość, życie ludzkie, rodzina”, że „nie ma pozwolenia dla samowoli, bałwochwalstwa”, a „tolerancja nie jest najwyższą wartością”. Wzywa narodowców do obrony tradycyjnych wartości, podkreśla, że są oni „cennym środowiskiem, dlatego tak atakowanym”. Słuchają w ciszy. Przyjechali tu w imię wyższych wartości, w imię Polski. „Matko Boża, bądź natchnieniem i umocnieniem wszystkich obrońców naszej ojczyzny. Amen” – kończy kazanie ksiądz Grządko.

Jadę do Częstochowy, by dla tygodnika „Polityka” poszukać odpowiedzi na pytanie, dlaczego Jasna Góra tak chętnie przyjmuje u siebie narodowców.

Pani z kawiarni przy Domu Pielgrzyma, kiedy zobaczyła ich pochód, pomyślała sobie: „To nie przystoi, nie w takim świętym miejscu”, ale nie

odważyła się wypowiedzieć tego na głos. W sumie wszyscy już zdążyli się przyzwyczaić. Podobne marsze odbywają się tu kilka razy w roku. Miasto patrzy, patrzą pielgrzymi. Nie wiedzą, jak to nazwać, i – tak jak starsza pani, z którą rozmawiam – trochę się boją.

Te pielgrzymki w Częstochowie to temat rozmów przy obiedzie po niedzielnej mszy.

– Od narodowców, którzy maszerowali na Jasną Górę, biła władza, siła, jakby do klasztoru wkraczało wojsko – mówią świadkowie tych wydarzeń.

Dlaczego narodowcy tu są? Jeśli ich zapytać, powiedzą, że na pewno nie dla polityki. Idą do „kochanej Matki”, „a kochana Matka” nikogo nie odrzuca.

Na przykład Konrad z Warszawy już na kilka dni przed pielgrzymką czuje radość:

– Bo znów mogę odwiedzić Matkę Boską i zawierzyć jej siebie, moich bliskich oraz ojczyznę.

Wspomina ostatni pobyt na Jasnej Górze: apel na błoniach, mszę świętą, akademię w Auli Ojca Kordeckiego i wieczorny przemarsz z pochodniami. Jedyne niesmak wiąże się z paniami z KOD-u, Obywateli RP czy demokratów.pl, które przyszły, żeby obserwować. Tylko że zamiast się modlić, jak on i jego koledzy narodowcy, cały czas „siedziały w telefonach”. To dowód – uważa Konrad – że Kościół jako taki mają „w głębokim poważaniu”.

Z kolei Mateusz z Młodzieży Wszechpolskiej tego dnia jest jak zawsze zapracowany. W drodze na Jasną Górę, w autokarze, zdarza mu się odsypiać zarwaną noc. W tym roku odpowiada za rejestrację wideo i sprzedaż kubków, książek, pamiątek. Obowiązuje strój nienaganny. Wyróżnikiem pozostaje mieczyk Chrobrego: u mężczyzn przypięty do klapy marynarki, obecny też na flagach. Flagi są przez paulinów

dozwolone, tak jak szaliki w klubowych barwach podczas pielgrzymki kibiców. A pochodnie? Race? To nic złego, to tylko oprawa.

– Udział w pielgrzymce to mój obowiązek jako członka Młodzieży Wszechpolskiej – mówi Mateusz. – To jedno z dwóch najważniejszych wydarzeń w roku, oprócz Marszu Niepodległości.

Co znaczy obowiązek? Młodzież Wszechpolska jest organizacją hierarchiczną, słuchanie przełożonych jest niezbędne. Dla prawdziwego narodowca najważniejsza powinna być wiara, tłumaczy Mateusz, katolicyzm moralnym kompasem. Wierzy, że jesteśmy częścią większego planu, że na tej ziemi jesteśmy tylko trybikami.

– Dlatego naszym zadaniem jest nawracanie innych – dodaje.

Według niego w dzisiejszych czasach nie ma innego „wskaźnika moralnego” poza wiarą, a dwa kolejne ważne aspekty to naród i działania społeczne. Twierdzi, że nazywanie siebie narodowcem i siedzenie na kanapie się wykluczają. Zastój jest zabójczy, trzeba się poświęcać dla wyższego dobra. A jeśli mówienie o narodzie będzie się komuś kojarzyć z wykluczeniem kogoś? Jeśli, przykładowo, ktoś nagle znalazłby się na Sybirze, gdzie spotka ludzi różnych grup etnicznych, to w sposób naturalny bliżej będzie mu do swoich, do podobnych. W Polsce imigrant może sobie żyć, o ile będzie płacił podatki, założy rodzinę.

– Wiem, że krąży mit, że na Jasnej Górze jesteśmy VIP-ami, ale to nieprawda. Jesteśmy młodymi ludźmi, którzy pragną pielgrzymować do Matki Boskiej, do naszej Mamy, jak to określa wielu poetów. Paulini mają do nas taki sam stosunek jak do każdej innej grupy społecznej. Nie jesteśmy wynoszeni na ołtarze – twierdzi Mateusz.

BLIŹNI

Spaceruję po klasztorze w czasie, kiedy jak co roku zjeżdżają do niego maturzyści. W alei Najświętszej Maryi Panny w ławkach siedzą braciszkanie i siostry, walczą z podmuchami wiatru, ale uśmiechnięci. O nacjonalistach pod cudownym obrazem nie chcą rozmawiać.

– Proszę stąd odejść – sugerują uprzejmie, a potem podrywają się i ruszają w górę.

W alei można dobrze zjeść i wypić, kupić kwiaty, kosmetyki, bilet do kina i doładować telefon. Ma się wrażenie, że ta ulica nie żyje życiem Jasnej Góry, a szerokie przejście dla pieszych od klasztoru tylko ją oddziela. To tutaj słyszę od częstochowian, że Jasna Góra jest dla miasta kłopotem – ściąga narodowców i kiboli z racami, sprawia, że cała Częstochowa kojarzona jest właśnie z nimi. A niewiele daje w zamian.

W bazylice do komunii ustawiają się kolejki. Maturzyści siedzą w ławkach albo na dziedzińcu chronią się od wiatru. Chłopakom nie chce się ruszyć z miejsca, obeszlili klasztor dookoła, a jeszcze chcieliby do bankomatu.

– Tam nie idźcie, tam nic nie ma – radzą kolegom, wskazując na Wieczernik.

Kilka metrów dalej wisi informacja o powołaniach do zakonu paulinów. Numer telefonu, strona internetowa i adnotacja, że dążeniem paulinów jest niesienie w świat nauki Chrystusa. Tyle że paulini nie chcą o tym rozmawiać. Nie chcą odpowiedzieć na pytanie, czy w hasłach narodowców na Jasnej Górze był Chrystus.

Biuro prasowe, zapytane o hasła dotyczące wieszania komunistów, nie odpowiada. Ojciec Michał Legan, paulin, doktor teologii, wykładowca Uniwersytetu Papieskiego im. Jana Pawła II w Krakowie, nie chce się powtarzać. Wszystko powiedział już podczas jednego z paneli dyskusyjnych. Wysyła nagranie. Słucham.

„Na jakiej podstawie kustosz Jasnej Góry albo przeor miałyby do organizatorów jakiegokolwiek pielgrzymki powiedzieć: was nie wpuścimy, wam sali do waszego spotkania nie damy? Byłbym pierwszym, który by na kapitule domu gardłował przeciwko temu”.

Annie Dąbrowskiej, dziennikarce z Częstochowy, prezes Katolickiego Stowarzyszenia Dziennikarzy, słowa księdza Grządki o tolerancji nie przeszkadzają. „Nic w nich teologicznie niestosownego nie widzę, wszak tolerancja nie jest dogmatem – pisze mi w mailu. – Za czasów mojej młodości słowo to nie było jeszcze tak popularne, a mimo to nie mieliśmy z tolerancją i nie mamy do dziś żadnego problemu, bo wystarcza nam przykazanie miłości bliźniego i podstawowy w religii katolickiej nakaz szacunku dla każdego człowieka”.

BANER

Rozmawiam z mieszkanką Częstochowy, która protestowała przeciw pielgrzymce narodowców. W młodości miała w klasztorze swoje ulubione miejsca: tam gdzie jest cicho, gdzie można się skupić.

– Po zajęciach w liceum plastycznym lubiłam się tam zaszyć i... po prostu medytować. Ale dziś już nie wiem, czy wtedy byłam tam szczególnie mile widziana – mówi mi, kiedy spotykamy się w jednej z częstochowskich kawiarni.

Pochodzi z katolickiej rodziny. W niedzielę obowiązkowa msza, regularna spowiedź, ksiądz jako postać, na którą patrzy się z szacunkiem. Religijność we wczesnych latach nie polegała na zadawaniu pytań, mnożeniu wątpliwości, poszukiwaniu. Polegała na przyjmowaniu Kościoła takim, jaki był.

Ale na czystym obrazie pojawiają się rysy.

– Mój znajomy był kucharzem na Jasnej Górze – opowiada moja rozmówczyni. – Jedzenie było wyższej klasy. Zdecydowano, by resztki wydawać bezdomnym. Ci zaczęli się schodzić masowo, a że żyli na ulicy, byli brudni, chorzy i śmierdzący. W końcu w klasztorze postanowiono, że resztki tego wspaniałego jedzenia trafią do kanału. Byłam bardzo młoda, kiedy usłyszałam tę historię. Uderzyło mnie to. Dotąd wydawało mi się, że klasztor to życie w ascezie.

Potem jest choroba mamy i kolejne zderzenie z rzeczywistością.

– Mama marzyła o ostatniej spowiedzi. Takiej prawdziwej, w konfesjonale – pamięta częstochowianka. – Resztkami sił, opierając się na moim ramieniu, dotarła do kościoła. Chwilę po tym jak zaczęła spowiedź, ksiądz, spoza Jasnej Góry, oznajmił, że musi przerwać, żeby zająć się czymś innym. Wtedy odczułam, jak Kościół może być nieczuły, zamknięty na jednych ludzi, a otwarty na innych. Dzisiaj widzę, że to nie Kościół jest dla wiernych, tylko wierni dla Kościoła.

Jej rozczarowanie bierze się też stąd, że miała szczęście spotykać także dobrych księży. Najważniejszy z nich – proboszcz jednej z częstochowskich parafii – już nie żyje, ale moja rozmówczyni pamięta: nigdy nie mówił o polityce, nie odlatywał w publicystykę, swoje słowa opierał na życiowym doświadczeniu.

– Moja ostatnia spowiedź na Jasnej Górze odbyła się przed pierwszą komunią mojego syna, kilka lat temu – opowiada. – Spowiednik zaczął mnie wypytywać o szczegóły moich stosunków seksualnych. Nie wytrzymałam. Trzasnęłam drzwiczkami konfesjonału i nigdy nie wróciłam. – Dopija herbatę i na chwilę zawiesza głos. Zwierza się z najtrudniejszego. – Chyba byłam naiwna. Zawsze wierzyłam, że w życiu trzeba być otwartym na innego człowieka i że taki jest Kościół. Dzisiaj przekonuję się, że tak nie jest. Dlatego zaczęłam procedurę apostazji. To dla

mnie trudne i bolesne, ale czuję, że muszę to zrobić. Mam syna i nie chciałabym, żeby za dziesięć lat cała Polska wyglądała tak jak na Jasnej Górze.

Sprawdzam, czy u narodowców można znaleźć Jezusa.

– *I don't understand you.* – Kręci głową braciszek, prawdopodobnie z Węgier, który właśnie odwiedza Jasną Górę.

Błogosławi z uśmiechem, życzy wszystkiego dobrego. Na koniec poprawia:

– *Not nationalists. Polish patriots!*

Po mszy maturzyści wylegają na dziedziniec. Ustalają stan faktyczny: przed drogą koniecznie trzeba zjeść i kupić suchy prowiant.

Na błoniach pusto, tylko kilka osób z plecakami. I młoda rodzina z wózkiem, która wyszła na spacer. Robi sobie zdjęcie na tle ogromnego biało-czerwonego baneru z tytułem wystawy na stulecie niepodległości.

Tytuł brzmi: „Tu zawsze byliśmy wolni”.

³⁷ W rozdziale *Mapa nienawiści*, w partiach dotyczących Białegostoku wykorzystuję fragmenty swoich reportaży: *Jestem twoim koszmarem* („Tygodnik Powszechny” 2019, nr 32), *Zapętlony działacz* („Tygodnik Powszechny” 2017, nr 15).

³⁸ Anatol Chomicz, *Katarzyna Sztop-Rutkowska: Im większa bieda, tym mniej tolerancji*, www.poranny.pl, 16 września 2013.

³⁹ Grzegorz Szymanik, *Biała siła, Białystok*, „Duży Format” (dodatek do „Gazety Wyborczej”), 19 września 2013.

⁴⁰ Sztuka brytyjskiej dramaturżki Sarah Kane, po raz pierwszy wystawiona w 2000 roku, już po samobójczej śmierci autorki. *4.48 Psychosis* to studium nad człowiekiem w stanie głębokiej depresji.

41 Sztuka argentyńskiego dramatopisarza Rodrigo Garcí z 2011 roku, będąca krytyką kultu konsumpcji i kondycji współczesnego człowieka. Przedstawia postać Jezusa jako antyspołecznego szaleńca chorego na AIDS.

42 Cytat ze stanowiska radnych miejskich Hajnówki „o zgromadzeniu publicznym dotyczącym upamiętnienia żołnierzy podziemia antykomunistycznego z okazji zbliżającego się Narodowego Dnia Pamięci Żołnierzy Wyklętych” przyjętego w lutym 2020 roku.

43 Stowarzyszenie Rafała Gawła miało zalegać ze spłaceniem zobowiązań zaciągniętych między innymi w funduszu pożyczkowym PAFPIO w 2013 roku (fundusz przez osiemnaście lat działalności udzielił ponad dwóch tysięcy pożyczek blisko siedmiuset organizacjom na łączną kwotę przeszło dwustu milionów złotych).

– Potwierdzam, że w 2013 roku udzieliliśmy pożyczki Stowarzyszeniu Teatralnemu Dom na Młynowej „Teatr TrzyRzecz” – mówi Katarzyna Dąbrowska z PAFPIO. – Brak spłaty należności spowodował wniesienie przez nas do sądu pozwu o zapłatę.

4 grudnia 2014 roku Sąd Rejonowy w Warszawie wydał nakaz zapłaty w postępowaniu nakazowym, zobowiązując stowarzyszenie do zwrotu 73 520,55 złotych wraz z odsetkami. Obecnie komornik sądowy prowadzi, częściowo skuteczną, windykację należności na drodze egzekucji komorniczej.

– Każda organizacja pozarządowa ma zaplanowane działania na określony czas do przodu. Wymaga to stworzenia biznesplanu, również na kilka lat. Składa się on z finansowania prywatnego (jeśli takie jest), różnych dotacji, ale też pożyczek z banków, funduszy pożyczkowych dla NGO-sów i z parabanków. Pożyczki mają pokryć bieżące koszty i mają być spłacone właśnie z prywatnego finansowania oraz dotacji. Tak było w naszym przypadku. Jednak cały plan finansowy zaczął się sypać, gdy odebrano nam dotacje miejskie, a teatr nie miał gdzie wystawiać spektakli – wyjaśnia Rafał Gawęł.

Inną organizacją, której według wyroku sądu miał zalegać Gawęł, jest Fundacja Batorego. Anna Rozicka, dyrektor programu „Obywatele dla Demokracji” w Fundacji Batorego, która przyznała dotację na Ośrodek Monitorowania Zachowań Rasistowskich i Ksenofobicznych, opisuje mi relacje ze stowarzyszeniem Gawła:

– 15 kwietnia 2014 roku, po podpisaniu umowy, została przekazana pierwsza rata dotacji w wysokości 108 000 złotych. Zgodnie z umową stowarzyszenie było zobowiązane do złożenia sprawozdania okresowego do 31 października 2014 roku, po wydatkowaniu co najmniej 70 procent otrzymanych środków. Stowarzyszenie złożyło sprawozdanie

okresowe 20 czerwca 2014 roku (a więc już po dwóch miesiącach), wykazując poniesione wydatki na kwotę 108 889,17 złotych i oczekując przekazania kolejnej raty. Z raty dotacji w wysokości 108 000 złotych 105 500 zostało przekazane spółce Graviti sp. z o.o. założonej przez stowarzyszenie. Pieniądze pobierano z konta projektu i przekazywano spółce gotówką, ratami, po kilka tysięcy, a spółka wystawiała faktury.

Faktury, które zakwestionowała Fundacja Batorego, dotyczyły między innymi płatności za zakup wyposażenia sali konferencyjno-widowiskowej oraz stanowisk biurowych na kwotę 44 500 złotych.

– W trakcie wizyty w Białymstoku gołym okiem było widać, że sprzęty są używane i w nie najlepszym stanie, jednak stowarzyszenie przekonywało nas, że wszystko jest nowe i warte swojej ceny, a źle wygląda, bo piecyk wybuchł i pobrudził sprzęty – mówi Anna Rozicka. – Dokumenty bazowe, o które długo nie mogliśmy się doprosić, wykazały, że spółka kupowała sprzęty na rynku wtórnym, w większości przypadków od jednej osoby, i zapłaciła za nie niecałe 16 500 złotych. Zostało ponad 60 procent „zysku”. Co się z nim stało, nie zdołaliśmy dociec.

Wątpliwości fundacji budziło także płacenie za niewykonane usługi promocyjne na łączną kwotę 41 800 złotych. Anna Rozicka tłumaczy:

– Bywa, że wypłaca się zaliczkę, ale robi się tak na podstawie umowy, która określa wysokość zaliczki i warunki jej zwrotu w przypadku niewykonania usługi. Wystawia się fakturę pro forma, a po wykonaniu usługi właściwą fakturę i podaje się datę wykonania tej usługi. Wystawienie faktury za coś, czego się nie zrobiło, i płacenie za coś, czego się nie otrzymało, to, delikatnie mówiąc, naganna praktyka.

W rozmowie ze mną Rafał Gaweł wskazuje, że nigdy nie doszło do „przepuszczania” pieniędzy z dotacji Fundacji Batorego przez jego „prywatną spółkę”. Po pierwsze, jak tłumaczy, spółka nie jest jego, ale jest w stu procentach własnością stowarzyszenia. Po drugie, spółka wykonywała usługi dla stowarzyszenia po preferencyjnych cenach, a więc – mówi – była to znaczna oszczędność. Gaweł twierdzi, że spółka Graviti nie osiągała z tej działalności żadnych „zysków”, które miałyby zachowywać dla siebie. Próbuje mi to wytłumaczyć na przykładzie:

– Koszt wydrukowania plakatu przez agencję reklamową dla organizacji pozarządowej to dziesięć złotych. Dlaczego? Bo przedsiębiorcy, słysząc o zleceniu finansowanym z dotacji, podwyższają stawki o kilkaset procent. Co więc robimy? Zlecamy druk plakatu spółce Graviti, która zrobi to za, powiedzmy, pięć złotych od sztuki. Według nas to ogromna oszczędność. Powinniśmy być za to docenieni. Ale dzisiaj wiemy już, że nie

powinniśmy tak bardzo się starać, żeby zaoszczędzić środki z dotacji. Wtedy nikt by nam niczego nie zarzucił. Współpracujemy z wieloma instytucjami, firmami, osobami prywatnymi i niemal zawsze ich komentarz brzmi tak: organizacje pozarządowe są niedofinansowane, nie mają budżetów, ale pracują dla idei, z którą się identyfikujemy, więc zrobimy wam poniżej kosztów.

44 Przemysław Witkowski, *Brunatny Dolny Śląsk. O czym jest ten serial* (odc. 2), <https://www.polityka.pl/tygodnikpolityka/kraj/2119681,1,brunatny-dolny-slask-o-czym-jest-ten-serial-odc-2.read> (dostęp: 20 czerwca 2023).

45 NOP: *Niech władze oddają Cyganom swoje własne domy*, www.nacjonalista.pl, 19 kwietnia 2013.

46 Jacek Międlar, *Moja walka o prawdę. Wyznania byłego księdza*, Wrocław 2018, s. 171.

47 Błażej Strzelczyk, *Ksiądz Jacek od narodowców*, „Tygodnik Powszechny” 2015, nr 48.

48 Cyt. za notką biograficzną na Frontstory.pl: <https://frontstory.pl/index/miedlar-jacek/> (dostęp: 3 lipca 2023).

49 *Radny Ciężyński zajmie się tolerancją i przeciwdziałaniem ksenofobii*, „Gazeta Wrocławska”, 4 lutego 2019.

50 W rozdziale *Mapa nienawiści*, w partiach dotyczących Jasnej Góry wykorzystuję fragmenty swojego reportażu *Polskie wojny na Jasnej Górze*, „Polityka” 2019, nr 26.

SYNOWIE NARODU

CZĘŚĆ PIERWSZA. EMOCJE

Sala wypełnia się ludźmi, wolnych krzeseł brak. Scena jeszcze pusta, po obu jej stronach czerwone banery z orłem białym i godłem nowej partii. Nad sceną ekran, a na nim obraz z kamery skierowanej na publiczność: w zbliżeniach wąsaci mężczyźni.

„Witajcie, synowie i córki wielkiego, wolnego narodu! – woła Robert Winnicki. – Tworzymy społeczno-polityczną, nieumundurowaną armię, która w Polsce ma przywrócić porządek”.

Wróg? Wiadomo: lewactwo.

„Tę ideologiczną agresję musimy odeprzeć, tak jak odpychaliśmy bolszewizm i komunizm – mówi Winnicki. – Albo my, albo oni. To jest wojna!”

„Nastał początek nowej ery – głosi ze sceny centrum konferencyjnego w Warszawie Przemysław Holoher, kierownik główny Obozu Narodowo-Radykalnego. – Żyje w nas duch Bolesława Chrobrego!”

Tak powstaje Ruch Narodowy. Tworzą go ludzie z ONR-u i Młodzieży Wszechpolskiej, jest też kilku polityków z większym sejmowym doświadczeniem w Zjednoczeniu Chrześcijańsko-Narodowym i Lidze Polskich Rodzin. W tej układance najważniejsi są Robert Winnicki,

Krzysztof Bosak i Przemysław Holoher. Ci pierwsi związani są z Młodzieżą Wszechpolską – to wieloletni organizatorzy Marszów Niepodległości, z doświadczeniem w dużej polityce albo na jej zapleczu.

Na nowy polityczny twór z ciekawością rzucają się media, a doświadczeni w kontaktach z dziennikarzami narodowcy nie stronią od wywiadów.

„Poglądy patriotyczne wyniosłem z domu. W tym duchu zostałem wychowany. Potem w liceum zetknąłem się z Młodzieżą Wszechpolską, największą w tym czasie organizacją eurosceptyczną. Spędziłem tam fantastyczny czas”⁵¹ – mówi Onetowi Krzysztof Bosak.

Podobną modelową historią dzieli się z reporterem Robert Winnicki.

„Moje poglądy kształtowały się od najwcześniejszych lat w domu, wśród opowieści rodzinnych, książek, jak choćby Sienkiewiczowska trylogia, zamiłowania do historii” – opowiada. Jako nastolatek podobno się buntował, ale nie wobec rodziców ani nauczycieli: wkurzało go działanie NATO i „makdonaldyzacja polskiej kultury”⁵².

Z Wojciechem, anonimowym działaczem Ruchu, spotyka się w 2013 roku reporter dziennika „Polska The Times”. Chłopak ma dwadzieścia dwa lata, pochodzi ze Szczecina, studiuje architekturę na Politechnice Warszawskiej. W liceum znał homoseksualistów i Żydów, ale – notuje dziennikarz – „wcale mu to nie przeszkadzało”. Wychował się w rodzinie niespecjalnie patriotycznej, sam zainteresował się historią i polityką. „Nie jestem patriotą, bo rajcują mnie narodowe barwy czy godło – mówi Wojciech. – W tym momencie zakładam firmę i chcę odnieść w życiu sukces. A umożliwić mi to może kraj, który będzie sprawny i nie obciążony zaszłością PRL”⁵³.

Tylko trzy lata starszy od szeregowego działacza Wojtka jest Przemysław Holoher, jeden z filarów Ruchu Narodowego. „Złamaliśmy

systemowi kark, ale ten system jeszcze oddycha – woła na Marszu Niepodległości. – Musimy go dobić i zakopać!” Mimo młodego wieku ma już rodzinę, dzieci, pracuje w finansach i ubezpieczeniach. W środowisku narodowców działa razem z żoną. „Anię Holocher feministki powinny wziąć na sztandary. Za jej zaangażowanie i niezwykłą aktywność nie tylko na odcinku domowym, ale i społecznym”⁵⁴ – mówi Malwinie Dziedzic z „Polityki” narodowiec Artur Zawisza.

Małżeństwo jest przed reporterką zadziwiająco szczere. Anna mówi, że zgwałcona matka, która dokonuje aborcji, popełnia jeszcze większą zbrodnię niż sam gwałciciel. Żona narodowca organizuje wystawy abortowanych płodów, a lekarzy usuwających ciążę porównuje do Hitlera. Męża – jak wyznaje – poznała na zebraniu ONR-u. Wydał jej się bardzo poważny, „wzbudzał respekt”. Wtedy Przemysław tworzył już struktury organizacji na Śląsku, skąd oboje pochodzą. On miał piętnaście lat, kiedy zainteresował się ideą narodową. Dzięki koledze. „Podrzucał mi różne książki przedwojennych ideologów, lubiłem też słuchać popularnego wtedy zespołu Szwadron 97, którego przekaz napełnił mnie miłością do ojczyzny” – przyznaje.

W kawałku *Godzina śmierci* Szwadron 97 śpiewa:

Ciągle w pamięci życia wolności ślad
Każdy salut za naród i kraj.

W *Obcym* dostaje się Żydom:

Zwykły motłoch napłynął do kraju
Dzikich zachowań innych obyczajów
Zapomnieli, kto panem ich jest
Przypomnę wam, zawsze polski szef
Sami nie daliby sobie rady,
Ktoś lokajem musiał być
Ja wiem kto dokonał zdrady

Gwiazda Dawida okrywa im pysk.

Być może to właśnie zbyt wylewność doprowadza Holochera do upadku, a Ruch Narodowy – nad polityczną przepaść. We wrześniu 2013 roku portal WikiLeaks publikuje sześćset dziewięćdziesiąt stron zapisów prywatnych rozmów Holochera z komunikatora internetowego. W nich kierownik ONR-u odsłania się jeszcze bardziej (pisownia oryginalna):

4 marca 2013 – „teraz lewactwo bedize napierdalane”, „trzeba podburzyć lud do agresji”, „jutro sklece jakiś tekst, nawołujący do tepienia przejawów lewactwa w każdym aspekcie”, „powołamy ochotniczą straż narodową”, „i damy info że na jednym ze squatów ukrywa się seryjny gwałciciel i pedofil”, „choć pewnie i tak dużo tam takich”.

10 marca 2013 – „Chodź sobie skompletujemy takie całe umundurowanie grupy specjalnej”, „i w 6 osob beidzemy wpadac lewakom na chate”, „udawac aresztowania”, „a potem ich mordowac”.

W jednej z wiadomości pozdrawia rozmówcę liczbą „88”. Ósemki odpowiadają literom H.H., od „*Heil Hitler!*”.

Kilka dni po publikacji Holocher rezygnuje ze stanowiska członka Rady Decyzyjnej Ruchu Narodowego. „Cała moja 10-letnia działalność dla ruchu narodowego podyktowana była troską o organizacje, którym przewodziłem lub które wspierałem, co nie oznacza, że nie popełniłem w tym czasie błędów i uchybień. Ludzie są tylko ludźmi” – pisze w oświadczeniu.

Dziś Holocher prezesuje fundacji Magna Polonia. Jej głównym celem „jest dobro narodu i państwa polskiego, a także Kościoła katolickiego”. Prowadzi stronę internetową, kanał na YouTube i wydawnictwo, które w 2022 roku opublikowało książkę *Poznaj Żyda!* Teodora Jeske-Choińskiego. „Od sześciu wieków gnieździ się to plemię pasożytnicze na naszej skórze, ssie nasz pot, naszą krew” – pisze w niej autor,

a wydawnictwo Holochera zamieszcza na okładce szesnaście obrazków: każdy przedstawia obrzydliwy, stereotypowy wizerunek Żyda.

Chciałem zadać Holocherowi kilka pytań o przeszłość i teraźniejszość. Nie zgodził się na rozmowę.

PASOŻYTY

W 2014 roku Ruch Narodowy wystawia swoich kandydatów w wyborach do europarlamentu i polskich samorządów. W żadnej z dwóch elekcji nie zdobywa mandatu. Rok później dogaduje się z rosnącym w siłę Kukiz'15 i z jego list startuje do sejmu. Kampania jest bezwzględna i brutalna, choć głównie dla tych, którzy w przeciwieństwie do polityków nie mogą się bronić.

Jarosław Kaczyński, prezes partii Prawo i Sprawiedliwość, podczas spotkania z wyborcami mówi, że zbliżający się z południa uchodźcy mogą przynieść do Polski „cholere, dyzenterię, pasożyty, pierwotniaki”⁵⁵.

Skojarzenia mają być jasne, same mają się narzucać.

Europa zмага się właśnie z największym w najnowszych dziejach kryzysem uchodźczym. Mieszkańcy państw Bliskiego Wschodu i północnej Afryki uciekają ze swoich ojczyzn w poszukiwaniu lepszego losu. W Syrii trwa wyniszczająca wojna domowa, Libia nie potrafi się podnieść po brutalnej rewolucji i obaleniu dyktatora Muammara Kaddafiego, tysiące ludzi uciekają z rządzonej przez nieludzki reżim Erytrei.

Z jednej strony bomby i karabiny, z drugiej pogarszająca się sytuacja ekonomiczna – wszystko to sprawia, że całe rodziny pakują walizki, zamykają za sobą drzwi i ruszają w nieznaną. Wszelkimi możliwymi środkami transportu dostają się do granic. Szczęśliwcy drogę do Europy pokonują lądem, pechowcy wsiadają na łodzie i kutry rybackie. Setki ludzi utoną.

Europa nie jest skora, by przybyszów z biednego Południa witac z otwartymi ramionami. Wznosi mury i ogrodzenia (między innymi na Węgrzech), bezradnie patrzy, jak uchodźcy toną w Morzu Śródziemnym (u brzegów greckiej Lampedusy). Tych, którzy przeżyli, umieszcza w obozach dla uchodźców – w gigantycznych miastach zbudowanych z namiotów i baraków brakuje wszystkiego. Z roku 2014 na 2015 liczba osób ubiegających się o azyl w Unii Europejskiej wzrasta dwukrotnie – z sześciuset dwudziestu sześciu tysięcy do miliona trzystu tysięcy. Ulice europejskich miast zapełniają się namiotami, prowizorycznymi koczowiskami, tworzonymi przez tych, którym udało się tu dotrzeć.

Najwięcej uchodźców, około dwustu tysięcy, trafia do Grecji. Około stu dziesięciu tysięcy szuka schronienia we Włoszech. Europejscy politycy na czele z niemiecką kanclerz Angelą Merkel podkreślają, że dla wszystkich znajdzie się miejsce. Nowym wyzwaniem, jakim jest przyjęcie uchodźców, europejskie państwa mają się zająć solidarnie. Decyzją Komisji Europejskiej do Polski ma trafić ponad dwa tysiące sześciuset uchodźców, a w późniejszym czasie – kolejnych dziewięćset sześćdziesięciu. W sumie niewiele ponad trzy i pół tysiąca.

W porównaniu z tym, ile osób przyjmują największe europejskie państwa, to tyle co nic, ale startujące do sejmu prawicowe partie sięgają po hasła mające wywołać strach, obrzydzenie i nieufność wobec imigrantów. Robią to politycy PiS-u, który pretenduje do objęcia władzy i dociera ze swoim przekazem do wielu milionów wyborców. Ale nie tylko. Antyimigranckiej narracji używają radykalnie prawicowe i „antysystemowe” partie: Kukiz’15 i KORWiN. Z list tej pierwszej do sejmu kandydują członkowie Ruchu Narodowego.

Marsz Niepodległości idzie pod hasłem „Polska dla Polaków, Polacy dla Polski”. „Jest to próba ukazania społecznych nastrojów w czasie

imigracyjnego kryzysu” – mówi wiceprezes Ruchu Narodowego Krzysztof Bosak. Partia organizuje w sejmie konferencję prasową, na której jej przedstawiciele występują z szefem włoskiej neofaszystowskiej partii Forza Nuova. „Imigranci niszczą naszą tkankę społeczną – mówił wcześniej Fiore – co w najbliższej przyszłości będzie miało poważne skutki dla naszej tożsamości”.

Wybory wygrywa PiS, wyprzedzając Platformę Obywatelską. Do sejmu dostaje się też Kukiz'15, a wraz z nim sześcioro działaczy Ruchu Narodowego. W ten sposób historia zatacza koło – narodowcy, nieobecni w sejmie od czasów LPR, wracają na jego korytarze.

W 2015 roku odbywają się też wybory prezydenckie. Oprócz faworytów – przyszłego prezydenta Andrzeja Dudy i aktualnego Bronisława Komorskiego – startuje Marian Kowalski, kandydat Ruchu Narodowego.

Rozdział pierwszy wydanego w 2016 roku wywiadu rzeki Euniki Chojeckiej i Karoliny Małyszki z Kowalskim nie może się zacząć inaczej: na zdjęciu mały Marian, jak na prawdziwego patriotę przystało, pozuje w Zakopanem z białym misiem, w stroju górala i z ciupagą w ręku. Rozpoczynający tę rzewną opowieść akapit też jest modelowy: ojciec Mariana, człowiek z ubogiej rodziny, marzy o tym, by zostać księdzem. Trafia nawet do seminarium, ale z powodu braku pieniędzy naukę musi przerwać. Będąc klerykiem, poznaje samego prymasa Stefana Wyszyńskiego. Następnie życiorys ojca katolika nabiera właściwych już barw biało-czerwonych: Kowalski senior walczy w kampanii wrześniowej i zostaje ranny. Włącza się w partyzantkę, a po wojnie zostaje osadzony w ubeckim więzieniu. O matce Kowalski junior mówi niewiele – tyle tylko, że była córką weterana wojny z bolszewikami i „sięgała po książki historyczne”.

Modelowe dzieciństwo narodowca przechodzi płynnie w modelową młodość. Od używek młody chłopak woli sport – konkretnie podnoszenie ciężarów. Kulturystyka sprawi, że zyska groźny wygląd, u jednych budzący szacunek, u innych – drwiny. Od początku lat osiemdziesiątych jest tak zwanym prywaciarzem – prowadzi sklep. Ważne doświadczenia? Lata osiemdziesiąte i prezent sprawiony przez dziadka antybolszewika: reprodukcja portretu marszałka Józefa Piłsudskiego, którą Marian Kowalski ma podobno do dziś.

Aż do wejścia w politykę pracuje też na bramce w dyskotecce Graffiti. Zostanie oskarżony o pobicie jednego z klientów, ale sąd go uniewinni. Po wyroku (sąd stwierdzi, że pobicia mógł dokonać któryś z innych pracowników klubu) powie, że „sprawiedliwość zwyciężyła”. W książce narzeka, że w czasie kampanii prezydenckiej nie mógł pracować w swoim dotychczasowym zawodzie. „To jest oczywiste, że gdyby na bramce stał kandydat Ruchu Narodowego na prezydenta, znalazłoby się mnóstwo chętnych, żeby wydebić pieniądze za rzekome pobicia”⁵⁶.

W polityce zawsze pod prąd. Na początku lat dziewięćdziesiątych angażuje się w nieznany szerzej Ruch Trzeciej Rzeczypospolitej. Potem przechodzi do świeżej na prawicy Unii Polityki Realnej Janusza Korwin-Mikkego i tu przetrwa najdłużej – siedemnaście lat. Kolejny przystanek to już Obóz Narodowo-Radykalny, do którego dołącza – jak podkreśla – po katastrofie smoleńskiej.

„Zetknęliśmy się z lubelskim ONR-em przy okazji wyborów samorządowych, kiedy to startowałem z koalicyjnej listy PiS-u i UPR-u. Ci nowi narodowcy pomogli mi, sami również kandydowali. To był moment, kiedy ludzie znowu zaczęli ze sobą rozmawiać, zaczęli się spotykać i wszystko zaczęło się znów kręcić. Odrodzone ONR i Młodzież Wszechpolska po odrzuceniu Giertychowskiego garba, czyli z nowymi

ludźmi, porozumiały się i postanowiły zrobić jeden wielki Marsz Niepodległości w Warszawie” – mówi w wywiadzie rzece.

Awansuje szybko i przez jakiś czas jest nawet rzecznikiem prasowym całej organizacji. To wtedy zapada ludziom w pamięć. Kiedy tworzy się Ruch Narodowy, Kowalski wydaje się idealnym kandydatem do zarządu – zostaje wiceprezesem, a już wkrótce kandydatem partii na prezydenta. Jego hasło brzmi: „Silny człowiek na trudne czasy”.

Bierze aktywny udział w antyimigranckiej kampanii. W wywiadzie dla radiowej Jedynki mówi, że sprzeciwia się przyjmowaniu przez Polskę „uchodźców z Afryki”, a państwo powinno się zająć „umacnianiem wschodniej granicy”. „W Brukseli rozgościła się dyktatura ciemniaków. Ci ludzie oderwani od realiów, niewybierani w żadnych demokratycznych wyborach... Nie wiedzą, jak sobie poradzić z problemem, który wiedzieli, jak stworzyć” – stwierdza w czerwcu 2017 roku w programie *Minęła dwudziesta* na antenie TVP Info. Sugeruje też, że wśród uchodźców przybywających do Europy są terroryści: „Kalifat w swoich granicach faktycznie znajduje się gdzie indziej, ale ludzie i organizacje, którzy przyznają się do Państwa Islamskiego, istnieją także w Afryce i w miejscach, z których uchodźcy docierają do Europy”.

Zdobywa siedemdziesiąt siedem tysięcy sześćset głosów, ale jego polityczna pozycja znacząco słabnie. Czołowy w swoim czasie narodowiec zakłada własny Ruch 11 Listopada, szybko jednak z niego wystąpi. W kolejnych wyborach prezydenckich poprze kandydata PiS-u Andrzeja Dudę i odejdzie w cień.

W wywiadzie rzece znowu zaatakuje uchodźców. Stwierdzi, że „najeżdżają Europę”. „Okazuje się, że multi-kulti to fikcja, bo kiedy Europejczyk idzie ze swoją żoną czy dziewczyną na basen, to idą po to, by miło spędzić czas, popływać, a muzułmańscy imigranci mają ochotę te

kobiety gwałcić” – powie, a przeprowadzające wywiad nawet się na to nie zająkną. – „Multi-kulti pokazało, że dwóch cywilizacji pod jednym dachem trzymać się nie da. Bo ktoś będzie ofiarą, a ktoś agresorem. Trzeba stanowczo mówić tę prawdę, żeby ludziom otwierać oczy. Nie można kłamać, że każdemu, kto przybędzie z Afryki czy Bliskiego Wschodu, trzeba współczuć. Skąd wiemy, czy to nie jest bandyta, złodziej, czy nie ucieka wyrzucony przez własną społeczność?”

Według analityków Centrum Badań nad Uprzedzeniami Uniwersytetu Warszawskiego na wynik wyborczy prawicowych polityków w 2015 roku mogły wpłynąć hasła skierowane przeciw uchodźcom. Zjawisko było szczególnie widoczne w grupie osób od osiemnastego do trzydziestego roku życia. „Wyniki te sugerują, że trzy dominujące w tej grupie wiekowej partie prawicowe zbudowały poparcie na obawach przed przyjmowaniem uchodźców i na silnym podkreśleniu tożsamości narodowej oraz lęków antymuzułmańskich, które stały się ważną częścią kampanii wyborczej”⁵⁷ – piszą autorzy raportu z badań.

STRACH

Oddziaływanie antyimigranckiej narracji przekłada się nie tylko na efekt wyborczy. Wielu Polaków zaczyna wierzyć, że uchodźcy naprawdę im zagrażają.

Pewna rodzina z Wrocławia boi się tak bardzo, że przez pewien czas w ogóle nie wychodzi z domu. Dlaczego? Mąż pani Julii jest Hindusem i nosi turban, a ten na polskiej ulicy „źle się kojarzy”. Do ich mieszkania przychodzą policjanci, ostrzegają przed atakami. „W ostatnich tygodniach bardzo nasiliły się ataki rasistowskie w jego kierunku, jest notorycznie obrażany, wyzywany, ludzie bywają agresywni, plują na niego, wytykają palcami i robią zdjęcia bez jego zgody” – pisze pani Julia na Facebooku.

Podkreśla, że mąż „nie jest muzułmaninem, terrorystą czy zagrożeniem dla kraju. Jest wysoko wykształconym człowiekiem, prowadzącym swoją firmę we Wrocławiu. Płaci podatki, zusy i posiada kartę pobytu”.

Jesienią 2015 roku, kiedy kampania wyborcza jest w toku, Centrum Badań nad Uprzedzeniami pyta Polaków o postrzeganie muzułmanów w naszym kraju. Wyniki są niepokojące. Blisko połowa badanych nie chce muzułmanów w swoim najbliższym otoczeniu. Jednocześnie aż 80 procent badanych deklaruje, że... nie zna żadnego muzułmanina. To jednak nie zmienia ich negatywnych uczuć. Co gorsza, najwięcej uprzedzeń widać w młodym pokoleniu.

Sześć lat później kryzys migracyjny bezpośrednio dotknie Polskę. Wtedy do gry znowu wkroczą narodowcy, tym razem zrzeszeni w partii i obecni w sejmie – jako posłowie Konfederacji, do której należy Ruch Narodowy.

Z działaczami Ruchu Narodowego spotykam się w momencie, kiedy na polskiej granicy trwa prawdziwy kryzys uchodźczy.

Latem 2021 roku na granicy z Białorusią zaczynają się gromadzić przybysze z Afganistanu, Iraku, Syrii i północnej Afryki. Pod gołym niebem, w coraz większym zimnie koczują tygodniami całe rodziny. Wolontariusze organizacji pozarządowych alarmują, że sytuacja uchodźców jest coraz trudniejsza, a polskie służby stosują tak zwane pushbacki, czyli „wypchnięcia” migrantów na białoruską stronę granicy. Brakuje wszystkiego, przede wszystkim pomocy medycznej. Na Podlasiu, które zostaje objęte stanem wyjątkowym, spontanicznie organizują się lokalne społeczności. Pomagają uchodźcom doraźnie, ale czasem docierają do nich zbyt późno – wtedy organizują pogrzeby.

Choć wiele wskazuje na to, że kryzys został sprowokowany lub wręcz wywołany przez autorytarne władze Białorusi, w pewnym momencie

wymyka się on polskim władzom z rąk. Sytuacja natychmiast staje się tematem politycznym. Na granicy pojawiają się politycy koalicji rządzącej, zapewniając, że nad wszystkim panują, a jednocześnie zapowiadają budowę muru zagradzającego uchodźcom drogę do Polski. Ministrowie rządu zwołują konferencję prasową, na której pokazują obsceniczne nagrania ściągnięte rzekomo z telefonów migrantów z granicy i mające ich skompromitować w oczach Polaków.

Do gry wchodzi też narodowcy. Krzysztof Bosak w jednym z wywiadów mówi: „Z doniesień medialnych i badań na temat przestępczości wśród cudzoziemców w państwach zachodnich wiemy, że Afgańczycy ponadprzeciętnie popełniali przestępstwa seksualne i z wykorzystaniem przemocy. Pomysł otwarcia granic dla Afgańczyków uważam za groźny – należy go odrzucić”⁵⁸. Popiera pomysł budowy na granicy ogrodzenia z drutem kolczastym: „Jeśli jest skuteczny, znaczy, że jest dobry”.

WYCZUCIE

Wspinam się po krętych schodach warszawskiej kamienicy. Na odrapanych z farby ścianach siatka wulgarnych napisów i nieudolnego graffiti. W drzwiach jednego z mieszkań, w mieszczącej się tutaj siedzibie Ruchu Narodowego, wita mnie jeden z najważniejszych polityków tej partii, członek zarządu głównego. To on w 2018 roku odpowiada za kampanijny wizerunek Krzysztofa Bosaka, kandydata na prezydenta Zielonej Góry. Rok później kieruje jego sztabem podczas wyborów do europarlamentu, a dwa lata później – w kampanii na prezydenta kraju.

Rozmawiamy w dużym, jasnym, prawie pustym pokoju z oknami wychodzącymi na śródmieście. Podłoga skrzypi, niesie się echo, obok

biurka tablica z rozpisany różnymi kolorami planem tygodnia: tutaj post na Facebooku, tutaj wywiad do telewizji.

Działaczy Ruchu Narodowego polityk zna od podszewki. Widzi ich w kulisach na chwilę przed wyjściem na scenę i chwilę po zejściu, w kampanijnym busie i podczas narad w siedzibie partii. Z bliska obserwuje ewolucję: od ulicznych krzykaczy, nieopierzonych rewolucjonistów do zawodowych polityków w dobrze skrojonych garniturach. Podpowiada, co napisać na oficjalnym profilu, co powiedzieć, a czego lepiej nie mówić.

O sobie opowiada, że jest „narodowcem z krwi i kości”, ale „nie rzuca co chwila cytatami sprzed stu lat”. Bo jego zdaniem nacjonalizm to nie „gotowy przepis na wszystko”, to „szkoła myślenia”. Kontekst ma znaczenie, wyjaśnia, a narodowcy do kontekstu muszą się dopasować.

Co to znaczy w praktyce? Z premedytacją nie mówią, że Robert Winnicki jest drugim Romanem Dmowskim. Nie, Winnicki to Winnicki. Dmowski stworzył szkołę myślenia, dał wskazówki, jak myśleć o Polsce, o polskich interesach. Tradycja jest esencją, ale nowoczesność też jest ważna. Starają się uciekać jak najdalej od „antykwaryzmu”.

Bardzo chcieliby też uciec od wizerunku ulicznych zadymiarzy.

Nie ukryją jednak, że Ruch Narodowy narodził się na ulicy. To podczas Marszu Niepodległości z ust przyszłych liderów padła deklaracja o stworzeniu partii. Czołowi działacze ONR-u i Młodzieży Wszechpolskiej weszli do jego zarządu. Wcześniej znani byli z wystąpień na marszach – nie tylko w Warszawie, ale także we Wrocławiu i w Białymstoku.

„Emocja” – mój rozmówca bardzo lubi to słowo. „Emocję” można wyczuć, kiedy pojawia się w społeczeństwie, można ją też wywołać, sprowokować, rozpaść jak ogień. Wtedy „emocja” staje się narzędziem w rękach polityka – sprawnego menedżera ludzkich umysłów. „Emocję”

trzeba umieć wykorzystać, zrobić z niej użytek. Chwilowa utrata czujności i wymknie się z rąk.

Facebookowe profile Konfederacji i Ruchu Narodowego to pod względem zasięgów dwa największe profile polityczne w Polsce. A z czego to wynika? Ludzie wiedzą, że naszych treści nie ma nigdzie indziej, twierdzi narodowiec. Czy wiem, kto jest odbiorcą Ruchu Narodowego na Facebooku? Otóż w dużym stopniu są to kobiety, które często „czują się niebezpiecznie w różnych kontekstach”.

Jakich kontekstach?

Mój rozmówca przecież wie, co było na Zachodzie, wszyscy wiemy, prawda? Tam ofiarami w pierwszej kolejności były kobiety, to one najbardziej bały się wychodzić po zmroku. Polki również chciałyby mieć kogoś, kto zapewni im bezpieczeństwo, a Ruch Narodowy wie, co zaproponować, żeby kobiety śledzące Facebooka to bezpieczeństwo poczuły.

Inny gorący temat, który narodowcy wyciskają medialnie jak cytrynę, to pandemia i szczepienia na COVID-19. Bo to przecież kwestia, którą naprawdę żyją ludzie. Połowa społeczeństwa polskiego nie jest zaszczepiona, a kto nie jest zaszczepiony, ten wie, że za chwilę może mieć z tego tytułu poważne problemy. Dlatego mówią o tym partyjni narodowcy. Mają „dobre wyczucie nastrojów społecznych”. Wiedzą, co ludzi „naprawdę interesuje”.

KREACJA

Przed rokiem 2015 mogli dotrzeć do wyborców tylko na ulicy. Działacz, z którym rozmawiam, ma na to nawet oddzielne określenie: polityka typu „zobaczcie nas”. Potem jednak zmienił się kontekst, a przede wszystkim zmieniła się emocja.

Ludzie zaczęli odczuwać, twierdzi, że polityka Unii Europejskiej odbija się na grubości ich portfeli. Starsza pani, która „w komórce hoduje sobie świnkę”, musi zapłacić pięć tysięcy złotych za tę świnkę, bo „tego chce Unia Europejska”. I coraz więcej ludzi widzi, że Ruch Narodowy – trochę tak jak przed wojną – jest o kilka kroków do przodu. Przewiduje, wyczuwa problemy, wyczuwa emocję.

A co z emocją, która od lat każe narodowcom wyrywać z bruku kostkę i rzucać nią w policjantów? Nie, według polityka takiej emocji u wyborców Konfederacji nie było i nie ma. Jest za to „kreacja” mediów głównego nurtu. Przecież to oczywiste: osoby, których te media kreowały na narodowców, najczęściej nie miały z nimi nic wspólnego. Prawdziwi narodowcy nigdy nie byli tymi, którzy rozwalają Warszawę. Na przykład mój rozmówca w Ruchu Narodowym jest od lat i jego postawa nie zmieniła się ani trochę. Ani się nie radykalizował, ani nie ugrzecznił. Robert Winnicki od wielu lat jest taki sam, Krzysztof Bosak jest taki sam i „nigdy nie byli osobami, na jakie ich kreowano”.

A dlaczego kreowano? Działacz ma gotową odpowiedź: jeśli elektorat boi się jakiegoś polityka, to na niego nie zagłosuje, nawet gdy zgadza się z jego poglądami. W tym przypadku rolę odgrywa emocja strachu.

Lecz nie tylko media kreują obraz narodowców. Jeszcze nie tak dawno robiła to władza. Za rządów Platformy Obywatelskiej, uważa narodowiec, ówczesne służby aktywnie brały udział w intensyfikowaniu działań przemocowych. Nie przez przypadek na trasie marszu nagle znajduje się ileś tam kupek z kamieniami, bo akurat trwa w tym miejscu remont, i to za każdym razem jak jest Marsz Niepodległości. Po co? To jasne: żeby zachęcać, prowokować.

Spalenie budki przy ambasadzie rosyjskiej mój rozmówca też oglądał z bliska. Dziś ma jasność – tłum w tym czasie krzyczał: „Prowokacja!

Prowokacja!”, i narodowcy od razu wiedzieli, co się dzieje i jakie obrazki za chwilę będą sprzedawane w mediach. Jakie? Że to oni tę budkę spalili. A przecież to nie oni, to „prowokatorzy”.

Umiejętność kreowania i zagospodarowania społecznych emocji to tak naprawdę najważniejsza cecha polityka – podkreśla. Nie wystarczy mieć racji – trzeba pobudzić emocję i odpowiednio ją wykorzystać, a na tym polityk Ruchu się zna. Prowadził w życiu kilka firm, zajmował się marketingiem, ma też doświadczenie w mediach społecznościowych – słowem: wie, jak sprzedaje się produkt.

W 2018 roku narodowcy dogadują się z Grzegorzem Braunem – byłym kandydatem na prezydenta – i partią Janusza Korwin-Mikkego. Powstaje Konfederacja (w 2019 roku zarejestrowana oficjalnie jako Konfederacja Wolność i Niepodległość), skrajnie prawicowa partia z ambicjami wejścia do sejmu, w której swoje miejsce mają liberałowie gospodarczy, zaprzysięgli wrogowie LGBT i zwolennicy wyjścia Polski z Unii Europejskiej.

Co ich łączy? Emocja antysystemowa, emocja społecznego protestu – wylicza działacz. Bo niektórzy twierdzą, że na Konfederację głosują na przykład zamożni przedsiębiorcy, a to nieprawda. Konfederacja to alternatywa dla tych, którzy chcą coś zmienić, którzy nie zgadzają się na rzeczywistość. Narodowiec wiedział to już wtedy. Wiedział, że to emocja ekonomiczna, ale też emocja niezgody na kwestie kulturowe. Była też emocja antyunijna.

Ludzie widzieli, że z pieniędzy unijnych można mieć w mieście aquapark, ale jeśli na ten aquapark będzie trzeba wydawać sto tysięcy złotych rocznie, to po kilku latach może się okazać, że inwestycja jest na minusie, czyż nie? Silna jest też niezgoda na wtłaczanie w nieprzygotowanych na to Polaków zachodnich konceptów kulturowych.

Jakich konceptów? Mój rozmówca wiele lat mieszkał za granicą. Widział, jak wielu emigrantów wraca do Polski ze stratą finansową. Robili to, chociaż wiedzieli, że tutaj nigdy nie zarobią takich pieniędzy. A dlaczego wracali? Bo nie chcieli się zgodzić na to, jak tam wygląda kultura, instytucja rodziny. Przykładowo w Norwegii państwo jest wobec rodziny „bardzo opresyjne”. To dla Polaka jest absolutnie niespotykane. Polak, który się z tym zderza, czuje się „jak w matriksie”.

A gdy polityk zobaczył, że idzie ta emocja antyunijna, stwierdził, że Konfederacja to projekt, który ma szansę się udać. Uda się na pewno.

NARZĘDZIE

O innych „emocjach” opowiada mi Aleksander Kowaliński, lat dwadzieścia osiem, prezes Ruchu Narodowego w Warszawie i sekretarz partii na całe województwo mazowieckie. W jednej z warszawskich kawiarni odbywamy dłuższą rozmowę, podczas której mówi mi o „emocji anti-LGBT”.

– Chodzi o różne koncepcje lewicowe, w tym szeroki ruch społeczno-polityczny określany jako LGBT – uściśla. – On niesie ze sobą zmianę poglądu na rodzinę czy w ogóle na relacje społeczne. Temu staramy się sprzeciwić, blokować to, choć na płaszczyźnie interpersonalnej, to znaczy między jednym człowiekiem a drugim, żadnej nienawiści nie ma.

– Homoseksualista może być nacjonalistą? – pytam.

– Może, bo bycie narodowcem to postawa polityczna. Homoseksualista może być w Ruchu Narodowym pod pewnym warunkiem: że nie występuje na Paradzie Równości.

– A to dlaczego?

– Bo uważamy ją za manifestację postulatów, które uderzają w naród. Trudno byłoby pogodzić bycie członkiem Ruchu Narodowego z uczestnictwem w takich wydarzeniach. Trudno byłoby też pogodzić

agitowanie za postawami LGBT i za postulatami narodowymi, bo one są przeciwstawne. Tutaj byłby jednak konflikt.

Już podczas autoryzacji swoich wypowiedzi Kowaliński jest nieco bardziej szczery. „Brzmi to tak, jakby nieuczestniczenie w Paradzie Równości było jedynym warunkiem stawianym przed homoseksualistą, który chciałby dołączyć do RN. Tak nie jest. Nie jest akceptowalne popieranie postulatów ruchu LGBT. Statut RN nakłada na członków ponadto obowiązek »przykładnego, obywatelskiego i moralnego postępowania w życiu publicznym i prywatnym« – jako partia katolicka uznajemy relacje homoseksualne za głęboko niemoralne, dlatego taki kandydat musiałby postępować w tej materii w zgodzie z katolicką nauką społeczną” – pisze w mailu.

Jednak konflikt to coś, co marketingowo świetnie się sprawdza.

Prominentnego działacza RN, z którym rozmawiam w siedzibie partii, pytam, czy wie, że tego typu antyunijna narracja w końcu doprowadzi do poplexitu.

Tak, odpowiada, zawsze uważał to za dobre, że jest taka platforma i tego typu treści są „słyszalne”. Wcześniej nie było na polskiej scenie autentycznych polityków, którzy naprawdę chcieliby tego, o czym mówią, czyli na przykład poplexitu. Sam miał w tyle głowy, że Ruch Narodowy „pracuje” nad wyjściem Polski z Unii Europejskiej. Może stanie się to za lat dwadzieścia, pięćdziesiąt. Ale się stanie.

Dlaczego Ruch Narodowy postuluje poplexit?

Żeby „uchronić polską suwerenność i byt państwowy”. Jeśli to się nie uda, przyjdzie dzień, że wszystkie kompetencje państwa polskiego będą w Brukseli, Strasburgu, a Polski jako państwa nie będzie. A członkowie ruchu uważają, że w polityce państwowej i międzynarodowej zachowanie suwerenności jest rzeczą najważniejszą. Nawet gdyby poplexit ekonomicznie

się nie opłacał, ważniejsze będzie opuszczenie Unii Europejskiej, żeby tę niepodległość zachować. „Państwo jest narzędziem narodu” – twierdzi mój rozmówca.

GRZECHY

Nie wszystkim narodowcom Ruch Narodowy się podoba. Ich główny zarzut to... zbyt mały radykalizm.

Narodowiec 1:

– Ruch Narodowy? Jestem krytyczny. Ta partia to brak własnego programu, kapitulacja ideowa wobec liberałów i świrów od Janusza Korwin-Mikkego i Grzegorza Brauna, populizm. I dwa najcięższe grzechy: prorosyjskość i szowinizm antyukraiński.

Narodowiec 2:

– Wejście do Konfederacji uważam za błąd. Bo po pierwsze, zrobili to za wcześnie, co osłabiło ich rozwój. Jakby zaczęli sami kilka lat później, dzisiaj mieliby siedem–osiem procent. A po drugie, jak masz radykalny ruch społeczny, to oczekujesz od jego przedstawicieli radykalnego głosu. A jest taki? No, nie jest.

Narodowiec 1:

– Teraz wyszły na wierzch wszystkie grzechy formacji narodowców tego typu: brak radykalizmu społecznego, zachowawczość, analfabetyzm polityczny. No bo być rozgrywanym przez Korwina, to... panie, bądźmy poważni. Do tego kunktatorstwo i zakażenie idei narodowej neoliberalnymi bzdurami.

Narodowiec 2:

– Kiedyś mi podpadli. Jak był ten słynny reportaż TVN-u o „urodzinach Hitlera”, to Ruch Narodowy chciał kombinować przy artykule 256 kodeksu

karnego. Ich pomysł był zupełnie kuriozalny: wynikało z niego, że polskich narodowców do więzienia powysyła, finalnie, nie kto inny tylko Ruch Narodowy. A teraz? Życzę im, żeby wprowadzili do sejmu piętnastu posłów, żeby mogli mieć swój własny klub, żeby mogli samodzielnie występować z inicjatywami ustawodawczymi. Wtedy będziemy ich mogli naprawdę ocenić.

KWIATY

W Ruchu Narodowym panuje troska, by „koterii i personalnych zagrywek nie było”, bo „to po prostu rozbija organizację”, a organizacja działa „na rzecz wspólnych celów”. Jeśli jednak się pojawiają, rolą zarządu jest ich wyjaśnienie i załagodzenie, a gdy wśród członków zdarzają się „przypadki beznadziejne”, współpracę trzeba zakończyć.

Polacy są narodem dumnym, nie potrzebują ściągać sobie obcych wzorców, mają swoje, tłumaczy prezes Ruchu Narodowego w Warszawie. Jakie? Na przykład te w sprawie przyjmowania uchodźców. O ile w latach 2014–2016 chodziło o zagrożenie masowym napływem ludności z Afryki i krajów muzułmańskich, o tyle teraz Polska ma problem z imigracją z innej strony: rzecz jasna, zza wschodniej granicy.

Dlaczego zaraz „problem”? Bo ci ludzie, mówi Aleksander Kowaliński, „przynoszą inną kulturę” i ona niekoniecznie będzie kompatybilna z kulturą w Polsce. Drugi problem jest taki, że jeśli się dobrze nie zasymilują, nie przyjmą kultury polskiej za swoją i nie zaczną w sferze politycznej funkcjonować jak Polacy, to pojawią się problemy związane z ich obywatelstwem. I nagle duże grupy będą głosować inaczej, upatrywać innych celów – i to będzie powtórka z Drugiej Rzeczypospolitej, bo wtedy było dużo odrębnych mniejszości narodowych, które kosztem Polski chciały wywalczyć dla siebie jak najlepsze warunki.

Przykład? Kowaliński wyjaśnia: państwo ukraińskie jest zbudowane na sentymencie antypolskim. Ukraińcy budują swoją tożsamość na takich postaciach jak hetman Chmielnicki, który walczył z Polską. Albo Bandera. Osoby powiązane z ruchem banderowskim są uznawane za bohaterów narodowych, mają pomniki, ich imiona nadaje się różnym placówkom publicznym. Ludzie myślą „w kontrze do Polski”.

Dlatego Aleksander zorganizował akcję „Kwiaty Wołynia” – razem z innymi działaczami chodził po Warszawie i rozdawał przechodniom kwiaty lnu mające „przypominać o wydarzeniach na Wołyniu i w Małopolsce Wschodniej”.

O Wołyniu chętnie przypomina też ten, który w Konfederacji zbudował sobie ostatnio bardzo silną pozycję. To Grzegorz Braun, były reżyser i publicysta, a dzisiaj czołowy narodowiec, katolicki fundamentalista. W okresie pandemii COVID-19 wspierał antyszczepionkowe ruchy, po wybuchu wojny w Ukrainie skupił się na rozpowszechnianiu antyukraińskiej propagandy, w tym popularnego na Twitterze hasła „Stop ukrainizacji Polski”. Jego występy szeroko i z entuzjazmem relacjonowały prokremlowskie media w Rosji, w tym telewizyjny kanał Rossija 1.

Władze Konfederacji i Ruchu Narodowego nigdy się od działalności Brauna nie odcięły.

GRA

Jeden z liderów RN, z którym spotykam się w Warszawie, uważa, że w społeczeństwie nadal dominuje „emocja antyimigrancka”. Po wykładzie o marketingu politycznym już wiemy – wytrawny polityk na taką emocję rzuci się jak pies na kość. Teraz uspokaja: my nie chcemy eskalować, nawoływać do przemocy. Narodowcom jest to „absolutnie obce”, dlatego

nie zainicjowali akcji „stop uchodźcom”, tylko akcję „Bezpieczne Granice”.

Jednak sprawa z uchodźcami jest nieco bardziej skomplikowana. Wielu z nich nie mieści się w ogóle w definicji uchodźcy – to po pierwsze, podkreśla narodowiec. Po drugie, wielu Polaków żyło na Zachodzie i wie, jak polityka otwartości wygląda tam w praktyce. Jak? Spieszy wyjaśnić: jeździł do pracy we Włoszech na początku lat dwutysięcznych, w czasach kiedy karmiono nas zwiadami o tym, jakie tam wszystko jest fajne i kolorowe. A on spotkał się ze „zjawiskiem gangów marokańskich”, które miały „masowo okradać pola uprawne”. Nie mieściło mu się w głowie, że ktoś przyjeżdża do czyjegoś sadu i za chwilę w tym sadzie nie ma jabłek na drzewach. A przecież nie robią tego Włosi, prawda? Inny przykład? Proszę bardzo: taka Mława to było zagłębienie cygańskiej mniejszości. „Oni wszyscy” po otwarciu granic wyjechali na Zachód: do Francji, do Włoch, na Wyspy Brytyjskie, i nagle mój rozmówca zorientował się, że w Polsce ma bezpieczniej niż w Europie, że u nas wszystko bardziej poukładane i struktura społeczna normalna, tradycyjna. A tam? Jedzie do Danii i okazuje się, że w miasteczku, w którym mieszka, nikt o białej skórze nie wychodzi z domu po zmroku – „szczytem heroizmu” jest wyjście z psem na spacer.

Kiedy zauważam, że ostatni kryzys graniczny jest przede wszystkim kryzysem humanitarnym, a polskie władze wzbraniają się przed wpuszczeniem grupy zziębniętych osób, narodowiec się wzdraga: on naprawdę tym ludziom współczuje, ale nie o to chodzi.

A o co?

O to, żeby przez „nieodpowiedzialne decyzje” nie stworzyć niebezpiecznego precedensu. O to teraz toczy się gra.

CZĘŚĆ DRUGA. DOWODY

Proszę wstać, sąd idzie.

10 lutego 2021 roku o godzinie dziewiątej w Sądzie Rejonowym w Toruniu stawili się:

Maciej R., lat dwadzieścia jeden, niekarany, kawaler, wykształcenie średnie, zawodu wyuczonego brak;

Wojciech Z., lat dwadzieścia pięć, niekarany, kawaler, wykształcenie średnie, zawodu wyuczonego brak;

Filip T., lat dwadzieścia dwa, kawaler, wykształcenie średnie, zawód wyuczony: księgowy,

oskarżeni o to, że:

24 czerwca 2020 roku w Toruniu, w miejscu publicznym, działając w sposób umyślny, okazując rażące lekceważenie porządku prawnego, wspólnie i w porozumieniu dokonali uszkodzenia pojazdu marki Opel, należącego do komitetu wyborczego kandydata na urząd Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej Krzysztofa Bosaka w ten sposób, iż przebili dwie lewe opony pojazdu, czym działali na szkodę komitetu wyborczego kandydata na Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej,

a także o to, że:

poniżyli go w oczach opinii publicznej i narazili na utratę zaufania potrzebnego dla kandydata na Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej w ten sposób, iż przy użyciu czerwonej farby umieścili na pojeździe napis

FASZYSTA.

Nie stawił się pokrzywdzony Krzysztof Bosak, zawiadomiony prawidłowo.

ZNUŻENIE

Czerwiec 2020 roku. W Toruniu popołudnie jest ciepłe, ale pochmurne. Rynek zapełnia się ludźmi. Przeważają młodzi, wypatrują tego, dla którego tu przyszli: kandydata na prezydenta z ramienia Ruchu Narodowego, Krzysztofa Bosaka. W końcu jest, widać go w oddali, idzie. Szeroko uśmiechnięty podchodzi do mikrofonu, zaczyna przemawiać. W tle ma Kopernika, pomnik z brązu.

Pochodzi z Zielonej Góry, rocznik 1982. Wcześniej stawia na polityczną karierę. Do Młodzieży Wszechpolskiej na Dolnym Śląsku wstępuje w roku 2000, a już rok później należy do Ligi Polskich Rodzin. Choć w poglądach nie różni się od kolegów, swoje myśli potrafi opakować w strawną formę. W publicznych wystąpieniach jest grzeczny i opanowany, na tle konkurentów wyróżnia go młodzieńczy wygląd.

Razem z Robertem Winnickim, z którym stanie na czele Ruchu Narodowego, dorastają w cieniu Romana Giertycha. Od szefa LPR uczą się politycznej przebiegłości. Robią wszystko, by uniknąć łatki radykałów – od lat budują wizerunek gorliwych katolików, „młodych zdolnych”, pracowitych polityków, przykładnych mężów i ojców.

W Toruniu Bosak mówi o obniżeniu kwoty wolnej od podatku, żeby ludzie więcej zarabiali i gromadzili kapitał. Publiczność klaszcze, wiwatuje i rozchodzi się do domów.

Gdzieś w tym tłumie są też oni, z wyglądu groźni, chmurni, nieprzystępni. Z wyjaśnień złożonych w sądzie wynika, że to potulni chłopcy, wrażliwi społecznicy.

Filip gotuje dla bezdomnych w inicjatywie Jedzenie Zamiast Bomb – najpierw w Bydgoszczy, potem w Toruniu. Maciej jako wolontariusz w tej samej inicjatywie pracuje w kuchni: obiera warzywa, gotuje, wydaje posiłki potrzebującym. Do żadnej partii nie należy. W Jedzeniu Zamiast Bomb pracuje też Wojtek. Wcześniej był wolontariuszem Monaru, udzielał się

w Stowarzyszeniu „Nigdy Więcej”, organizował turnieje piłkarskie promujące antyrasizm, a kiedy wybuchła pandemia, szył dla ośrodków maseczki ochronne.

Umówili się przez telefon, że spotkają się na Starówce i wymyślą, jaki będzie dalszy plan, bo bardzo nie lubią faszyzmu. Na razie idą na piwo.

Dołączony do sprawy jako dowód zapis z monitoringu pokazuje, jak idą przez miasto, wchodzą do pubu, wychodzą, a potem kierują się do budki z kebabem. Gdy czekają na bułki z mięsem, na ich twarzach maluje się znużenie.

MACHANIE

Przebieg wypadków sąd ustalił jako następujący.

Zbliża się godzina siedemnasta czterdzieści. Do posterunkowego Daniela K. podchodzi dwoje młodych ludzi, którzy mówią, że przy ulicy Kopernika widzieli samochód Krzysztofa Bosaka z przebitymi oponami i napisem „FASZYSTA” na karoserii. Rozbawieni przechodnie robili sobie z samochodem zdjęcia. Posterunkowy znajduje pojazd zaparkowany przy ulicy Kopernika i relacje młodych ludzi uznaje za zgodne ze stanem faktycznym.

Chwilę wcześniej Maciej, Wojciech, Filip i czwarty kolega Jacek (występujący w sprawie jako świadek) piją piwo w pubie. Maciej oświadcza, że idzie się przejść, po piętnastu minutach wraca i mówi: „Mamy to”. Nie wiedząc, co niby mają „mieć”, Jacek na prośbę Wojtka pożycza mu swoją bluzę. Wojtek ją wkłada i razem z Filipem, który wyciąga z plecaka własną bluzę i też się ubiera, wychodzą z pubu, nie odpowiadając na pytanie Jacka: „A po co?”. Wracają po pięciu, może dziesięciu minutach. Maciek pyta: „Jak tam?”, Filip odpowiada: „Wszystko załatwione”. Z toczonej w tym czasie konwersacji świadek Jacek

wnioskuje, że „coś się wydarzyło na placu Rapackiego” (bardzo blisko ulicy Kopernika).

Wtedy Wojtek dodaje coś w stylu: „No to się Krzysiu zdziwi”.

Kamery zainstalowane na toruńskiej Starówce nie zarejestrują momentu przebiccia opon w pojeździe marki Opel ani malowania napisu na karoserii, widać jednak, że oskarżeni Wojciech i Filip kierują się w stronę samochodu zaparkowanego przy ulicy Kopernika, po czym chwilę później wracają, tym razem z kapturami naciągniętymi na głowy. Idący przez miasto oskarżeni w pewnym momencie mijają Krzysztofa Bosaka w towarzystwie innych osób, po czym odwracają się i gwałtownie do kogoś machają. Cel machania: nieustalony.

ZNIEWAŻENIE

Dzień później już wiedzą – szuka ich policja. Rozjeżdżają się do domów, w wiadomościach tekstowych udzielają sobie porad: „Generalnie wyjebane, ale lepiej jakbyś spierdalał”.

Na podstawie monitoringu i relacji świadków policjanci ustalają ksywki, a w końcu nazwiska. Łatwo chłopaków namierzają. Wiedzą, gdzie i kiedy każdy z nich – poruszających się koleją – wysiądzie z pociągu. Zatrzymują na peronach jednego po drugim. Potem jest radiowóz, jazda i dołek, przodem, bokiem, w obiektyw patrz, wyprostuj się, zdjęcia pogładowe potrzebne do akt.

Te same znużone twarze, miesiąc później.

Podczas przesłuchań chłopcy do niczego się nie przyznają. Maciej zarzuty uważa za absurdalne. Wszyscy podają jako osobę kontaktową tego samego toruńskiego adwokata. Dostają zakaz opuszczania kraju i dozór: muszą się stawiać na policji kilka razy w tygodniu.

W piśmie do sądu adwokat pisze, że nie ulega wątpliwości, iż chłopcy dopuścili się przebicia opon, czym działali na szkodę komitetu wyborczego kandydata Krzysztofa Bosaka.

Jednak określenie „faszysta” – wyjaśnia – nie mogło „zniesławić, a w szczególności poniżyć” Krzysztofa Bosaka w opinii publicznej, ponieważ „w tej właśnie opinii poseł może pozostawać znany jako dzielący tego typu poglądy”. Na dowód załącza wydruk wpisów z Facebooka sprzed kilku lat, gdzie Bosak pisze, że zrobił sobie test poglądów politycznych i jeśli chodzi o wyniki, to „niespodzianki nie było” – wynik testu brzmi: faszyzm.

Argumentację obrońcy odrzuca prokuratura. Bosak w piśmie skierowanym do Komendy Miejskiej Policji w Toruniu podkreśla, że napisem „faszysta” czuje się znieważony, i prosi o to, by sprawą zajęły się organy ścigania. Zadaniem sądu jest więc nie tylko ustalenie przebiegu wypadków, ale także rozstrzygnięcie, czy słowo wypisane farbą na pojeździe marki Opel znieważa pokrzywdzonego, czy też pokrzywdzonego można uznać za faszystę.

W historii polskiego sądownictwa i historii ruchu narodowego jest to przypadek bez precedensu.

ZEZNANIE 1

Oskarżony Wojciech Z. proszony jest o powstanie.

Pouczony o prawie do odmowy składania wyjaśnień oskarżony oświadcza, że przyznaje się do pierwszego z zarzucanych mu czynów, czyli przebicia opon w aucie komitetu wyborczego kandydata na prezydenta Krzysztofa Bosaka. I wyjaśnia, co następuje:

Przez tę całą kampanię wyborczą niepotrzebnie zareagował impulsywnie i dokonał tego czynu. Uważa, że kampania pana Bosaka była

pełna nienawiści ukierunkowanej na osoby LGBT, emigrantów ze Wschodu, w późniejszym okresie na strajkujące kobiety. Nie przyznaje się do drugiego z zarzucanych mu czynów, bo uważa, że pan Bosak jest faszystą. Spray był zwykły, kupiony w Castoramie, nie był niezmywalny ani żrący. To, co Wojciech zrobił, było czymś w rodzaju manifestu. Śledzi politykę i robił to, zanim wykonał rzeczony napis. Doszedł do wniosku, że Bosak to faszysta – przez język nienawiści, którym się posługuje.

Pouczony o prawie do odmowy składania wyjaśnień oskarżony Filip T. oświadcza, że interesuje się historią i porównywał program wyborczy Bosaka z postulatami Mussoliniego, który był „bezdyskusyjnie faszystą”. Można znaleźć między nimi wiele punktów wspólnych, między innymi związanie partii z Kościołem, czego dowodem jest program pana Bosaka „Nowy porządek” i program partii Konfederacja „Piątka Konfederacji”. To samo wynika z traktatów weterańskich (tu oskarżony popełnia błąd, myląc „weterańskie” z „laterańskimi”, ale niepoinformowany o tym fakcie, kontynuuje), które Włochy podpisały w dwudziestoleciu międzywojennym z Watykanem. W jego programie wyborczym podobne są również postulaty w zakresie zmian kompetencji prezydenta, premiera i senatu. Dowodem na te podobieństwa są prace działacza sanacyjnego z międzywojnia Antoniego Periatkiewicza (tu oskarżony popełnia błąd, myląc Periatkiewicza z Peretiatkowiczem, ale niepoinformowany o tym fakcie, kontynuuje). Bosak jest przeciwnikiem aborcji i tak samo jej przeciwnikami byli faszyci. Między innymi włoska grupa Forza Nuova. Ta grupa stworzyła program w ośmiu punktach i jest on podobny do programu Konfederacji również w zakresie stworzenia państwa monokulturowego. W programie wyborczym Bosaka jest hasło o konstytucyjnej ochronie dwóch płci, co Filip uznaje za mowę nienawiści w stosunku do osób LGBT.

ZEZNANIE 2

Do sali proszony jest świadek Krzysztof Bosak, który oświadcza:

Uważa, że sformułowanie „faszysta” go zniesławia. Świadek zabiega o zaufanie społeczeństwa jako polityk, jest posłem na sejm, kandyduje na prezydenta i dlatego nazywanie go faszystą naraża go na utratę zaufania niezbędnego do wykonywania jego funkcji.

Doktrynę faszystów zna „tylko trochę”. Główne idee faszystów opierają się na doktrynie państwa wodzowskiego lub dyktatorskiego, które są mu obce i prowadzą do całkowitego ograniczenia swobód obywatelskich. Poza tym idee faszystowskie są wytworem innych niż polski naród, a on jest polskim patriotą.

Jest katolikiem i kieruje się zasadami katolickiej myśli społecznej, a systemy faszystowskie miały do chrześcijaństwa podejście wrogie albo obojętne.

Jest przywiązany do wolności gospodarczej opartej na własności prywatnej. Systemy faszystowskie z kolei główną rolę w gospodarce przypisywały państwu.

Jest przeciwnikiem idei lewicowych, a zarówno system włoski, jak i niemiecki czerpały z socjalizmu.

Tak, osobiście prowadzi profil na Facebooku i osobiście umieścił na nim wynik testu politycznego, który wskazał faszyzm. Zwraca jednak uwagę, że opatrzył to emotikonem wyrażającym turlanie się ze śmiechu.

Był to dla niego przykład absurdu, prowadzącego się do tego, że poglądy konserwatywne czy narodowe klasyfikowane są jako faszystowskie.

Swój profil traktuje jako miejsce uprawiania publicystyki i „pewien komentarz” do przemian społecznych w kraju. Gdyby już wówczas był posłem czy kandydatem na prezydenta, takiego wyniku testu by nie opublikował. Bo teraz już zabiega o poparcie społeczeństwa.

Nie ma w jego programie postulatu ograniczenia swobód obywatelskich dla osób nieheteronormatywnych. Wszyscy obywatele powinni mieć takie same prawa. Nie widzi jednak interesu społecznego w tym, by ze względu na orientację seksualną danych osób przyznawać im jakieś prawa obywatelskie – mówi oczywiście o związkach partnerskich.

W tym miejscu sąd odczytuje fragmenty artykułu z Newsweek.pl z czerwca 2005 roku, gdzie świadek miał użyć słów „pederastia nie jest normalnością, to zaburzenie”, oraz z „Myśli Polskiej” pod tytułem *Policja broniła pedałów*, gdzie pokrzywdzony miał powiedzieć: „(...) w Warszawie mogliśmy zaobserwować najbardziej jak dotychczas jaskrawy przejaw homorewolucji, której próbuje dokonać pedaska międzynarodówka”.

Bosak komentuje to słowami: „Nie wydaje mi się, że to, co usłyszałem, padło z moich ust, bo ja nie używam języka, który mógłby obrażać osoby homoseksualne. Trudno mi to jednak zweryfikować po tylu latach”.

Zapytany przez obrońcę oskarżonych o definicję narodu, oświadcza, że jest przekonany do kulturowej definicji Narodu (które to słowo obecna na sali protokolantka zapisuje wielką literą).

OPINIA 1

W związku z trudnością w zdefiniowaniu słowa „faszyzm”, a nade wszystko w rozstrzygnięciu, czy poglądy Krzysztofa Bosaka mieszczą się w spektrum poglądów faszystowskich, obrońca oskarżonych składa wniosek o dopuszczenie dowodu w postaci opinii biegłych politologów. Sąd dowód dopuszcza.

Opinię pierwszą na zlecenie obrony przygotowuje profesor politologii. Píše w niej między innymi:

Faszyzm jako ruch polityczny powstał we Włoszech. Po tak zwanym marszu na Rzym, zorganizowanym przez Benito Mussoliniego, stał się nie

tylko obowiązkowym sposobem myślenia elit politycznych, ale też i determinantą organizacji życia państwowego i społecznego.

Jako faszystowskie określały swoje rządy Węgry od 1932 roku. W tym też roku władzę w Niemczech przejęli narodowi socjaliści pod wodzą Adolfa Hitlera, traktujący początkowo przykład włoski jako najbardziej godny naśladowania. Od 1933 roku w Rumunii zwiększa swoje znaczenie Garda de Fier (z rum. Żelazna Gwardia), która stała się jedną z partii rządzących.

Jako państwa parafaszystowskie, zapożyczające wiele z faszyzmu włoskiego, można traktować między innymi powojenną Grecję, Litwę, Jugosławię oraz sanacyjną Polskę. W Polsce międzywojennej istniało kilka organizacji faszystowskich, a ponadto jako faszystowskie lub podobne można potraktować organizacje radykalnie narodowe.

Bosak neguje chęć używania przemocy fizycznej wobec swoich wrogów politycznych oraz traktuje faszyzm międzywojenny jako twór przestarzały, nie można go zatem traktować jako zwolennika faszyzmu epigońskiego, wprost akceptującego poglądy na przykład Mussoliniego. Nigdzie w jego programie nie znajdujemy jednak zanegowania poglądów najbardziej istotnych dla faszyzmu rozumianego szeroko, a więc takiego, który mieści się pomiędzy fundamentalizmem a totalitarną gnozą polityczną, przy bardzo silnym odrzuceniu wartości typowych dla społeczeństwa otwartego, państwa prawa i demokratycznego pluralizmu.

Najważniejszą dla Bosaka wartością jest naród etniczno-kulturowy determinowany przez obrzędowość katolicką.

W programie prezydenckim Bosaka znajduje się bardzo silne wzmocnienie władzy prezydenta, który ma prawo do wetowania ustaw uchwalonych przez sejm składający się z połowy dzisiejszej liczby posłów. Bardzo silnie widoczne są nastroje antyunijne.

W programie dąży się też do wyeliminowania możliwości jakiegokolwiek prawnego regulowania nie tylko sytuacji mniejszości seksualnych, ale i związków partnerskich.

Konkludując (co w tym miejscu profesor podkreśla pogrubioną czcionką): poglądy Krzysztofa Bosaka nie są typowe dla międzywojennego czy epigońskiego powojennego faszyzmu. Można je natomiast zakwalifikować jako należące do bardzo szeroko rozumianego *glamour fascism* – jedwabistego, pięknie wyglądającego na zewnątrz faszyzmu współczesnego.

OPINIA 2

Wobec wniosku prokuratury o nieuznanie opinii profesora jako dowodu w sprawie sąd postanawia dopuścić jako dowód opinię innego biegłego, doktora habilitowanego, profesora Polskiej Akademii Nauk, który stwierdza:

Choć Bosak i jego ugrupowanie nie przekroczyli granicy między postulatami oddzielenia terytorialnego i państwowego ludzi różnych narodów a nawoływaniem do nienawiści, to w dokumentach programowych polityka i Konfederacji (co w tym miejscu biegły podkreśla pogrubioną czcionką) występują elementy charakterystyczne dla szeroko pojętej doktryny politycznej faszyzmu z uwzględnieniem różnych jej nurtów.

Wyrok

Proszę wstać, sąd ogłosi wyrok.

Macieja R. uznaje za niewinnego obu zarzuczanych czynów. Wojciecha Z. i Filipa T. uznaje za winnych przebicia opon w pojeździe marki Opel należącym do komitetu wyborczego kandydata na Prezydenta

Rzeczypospolitej Polskiej Krzysztofa Bosaka. Zasądza nawiązkę w wysokości 1421,99 złotych płatną solidarnie na rzecz komitetu wyborczego oraz po 230 złotych kosztów sądowych na każdego. Wojciecha Z. i Filipa T. uznaje za niewinnych znieważenia kandydata na prezydenta przy pomocy napisu namalowanego na pojeździe marki Opel.

Wyrok w imieniu Rzeczypospolitej Polskiej potwierdza: Wojciech i Filip mogli nazwać Bosaka faszystą.

⁵¹ J. Schwertner, *Ruch Narodowy zademonstrował siłę. Groźba nazizmu czy lepsza Polska?*, www.onet.pl, 17 czerwca 2013.

⁵² Tamże.

⁵³ Jakub Szczepański, *Polscy narodowcy rosną w siłę. Skąd się biorą ludzie zasilający ich szeregi*, www.i.pl, 13 czerwca 2013.

⁵⁴ Malwina Dziejcz, *Wzorowe narodowe małżeństwo*, „Polityka” 2012, nr 48.

⁵⁵ Jarosław Kaczyński *boi się, że uchodźcy sprowadzą zarazę? Tak mówił na wyborczym wiecu*, www.wyborcza.pl, 13 października 2015.

⁵⁶ Marian Kowalski, *Zwierzzenia niedoszłego prezydenta*, rozmawiają Eunika Chojecka, Karolina Małysza, Lublin 2016, s. 67.

⁵⁷ Mikołaj Winiewski, Łukasz Jurczyszyn, Michał Bilewicz, Marta Beneda, *Podłoże prawicowych preferencji wyborczych młodych Polaków*, Centrum Badań nad Uprzedzeniami Uniwersytetu Warszawskiego, Warszawa 2015.

⁵⁸ Jakub Oworuszko, Krzysztof Bosak, *Krzysztof Bosak: Pomysł otwarcia granic dla Afgańczyków uważam za groźny – należy go odrzucić*, www.wydarzenia.interia.pl, 19 sierpnia 2021.

ZBLIŻENIE CZWARTE

REKRUTER

– Halo, słucham.

– Dzień dobry, dzwonię w sprawie zgłoszenia. Wysłał pan do nas formularz zgłoszeniowy.

– A tak. – Dopiero teraz sobie przypominam. – To ja, dzień dobry.

– Skąd pomysł, żeby się do nas zgłosić?

– Wie pan, w różny sposób można działać. Można jeździć na demonstracje, można agitować w mediach społecznościowych, wśród znajomych, ale można też przejść do realnego działania. Trochę się posługuję piórem jako copywriter, to pomyślałem, że w ten sposób się włączę.

– Okej, okej... A jakie pobudki panem kierują? Żeby akurat w naszym środowisku działać, w naszej organizacji?

– Takie jak powiedziałem. Żeby się bardziej zaangażować w tę działalność, w jakiś realny sposób, a nie taki wirtualny... Mam potrzebę przynależności do większej grupy – dodaję.

Milczy. Mruczy coś pod nosem. Cholera, chyba się zorientował.

– Dobra, dobra... Przejdźmy na „kolego”. Bo tak to u nas wygląda w organizacji, że wszyscy się do siebie zwracają *per* „kolego”.

Mam go. Uwierzył. W ogóle nie wyczuł, że ściemniam, a swoich kwestii nauczyłem się wcześniej na pamięć.

– No, więc kolega rozumie, o co chodzi. Chciałbym, żeby kolega mi wytłumaczył, dlaczego Obóz Narodowo-Radykalny.

– Trochę się już orientuję w tej scenie narodowej w Polsce... – odpowiadam. – Do Młodzieży Wszechpolskiej jest za późno, kończę trzydzieści dwa lata. Inne organizacje, że tak powiem... nie czuję związku. A ONR? Prężniej działającej organizacji na tej scenie obecnie nie widzę.

– A skąd kolega czerpie wiedzę? Masz doświadczenie, działałeś, znałeś kogoś?

– Nigdy bezpośrednio. Byłem na Marszu Niepodległości... – Uff, dobrze jest przez chwilę nie kłamać! – No i czytam dużo, głównie zasoby internetowe: „Szturm”, „Politykę Narodową”. Wcześniej „Szczerbiec”, ale to nie moje klimaty. Teraz Media Narodowe śledzę, profil ONR-u na Facebooku.

– Z jakiej dzielnicy jesteś?

– Z Mokotowa.

To prawie prawda. Na Mokotowie mieści się redakcja, w której pracuję.

– Wiesz co, ja wprowadzę cię w to wszystko. Jestem młodszy od ciebie, ale jestem w środowisku od osiemnastego roku życia. Poznałem dużo ludzi, wiem, jak to wygląda, ta działalność nasza organizacyjna. Tak się stało, że wprowadzam osoby do działalności narodowej ogólnie jako takiej. Najważniejsze jest to, żeby każdy ideologiczne podstawy wyłapał, bo potrzebni są dzisiaj idealisci, bardzo. Mamy bezideowe państwo, bezideowe społeczeństwo, straszną degrengoladę. Żeby wytrwać w tym wszystkim, trzeba mieć naprawdę silne podstawy. Żeby nie ulec, nie dać się w tym całym gównie wymieszać... Jak u ciebie jest z Kościołem?

– Dziecko mam ochrzczone...

– I masz żonę?

– Tak.

– I spoko, bardzo dobrze. Tak trzeba robić.

Czym chciałbym się zająć? Kręcę coś, że zgodnie z zawodem – pisaniem, tworzeniem treści, na co rekruter odpowiada:

– Ja cię jeszcze wezmę do innej roboty. Na Facebooku mam taką stronkę [wymienia nazwę], robię szkolenia ze specjalsami, z antyterrorystami. Prowadzę darmowe zajęcia w Warszawie, takie strzeleckie, teraz firmę otwieram, będę w tym działać. Bo to jest kwestia realizowania polskich obowiązków.

Wymienia trzy najważniejsze cechy dobrego działacza: aktywizm, dynamizm, inicjatywa.

– Przykazanie z Legionu Michała Archanioła [pierwotna nazwa rumuńskiej Żelaznej Gwardii – przyp. MS], żeby każdego dnia zapytywać siebie, co jeszcze mogę zrobić dla ojczyzny. No i robić to. Nie patrzeć na innych, tylko robić swoje.

Ma mi wysłać plik z rozpisaną ideologią ONR-u, ale nie wysyła. Po kilku nieudanych próbach umówienia się na spotkanie nasz kontakt się urywa.

Chyba mu na mnie nie zależy.

DZIAŁACZ

Chciał się zabić. Przeżył. Mówi, że to cud. Bóg sprawił, że Michał spadł z krzesła, a z jego szyi zsunął się sznur. Później pomagali mu już tylko ludzie, na początek ten od telefonu: „Pakuj się, Michał, jutro masz samolot”.

Poleciał do Londynu. Kolega pomógł znaleźć pracę i dach nad głową, ale wtedy wybuchła pandemia, praca się skończyła, wszystko się zamknęło. Siedział na dupie, pojawiły się złe myśli. Że jest nikim. Że jest sam. Że nie ma nawet z kimś pójść na piwo. Dzwonił do kumpli z Przeworska, których sprowadził do Anglii, a oni nawet nie odbierali telefonów. Znowu wpadł w dołek, znowu pił i ćpał.

I znowu telefon, i znowu długa rozmowa.

– Z kolegą z ONR-u gadaliśmy cztery godziny. Zadzwoił do ludzi z brygady londyńskiej, odwiedzili mnie, powiedzieli po męsku, nie było użalania: „Jesteś jednym z nas, musimy się wspierać”. Stałem na nogi. Dwa tygodnie później zorganizowaliśmy jakąś wspólną akcję.

Wtedy nie był już w ONR-ze. Kierownik główny pozwolił mu jednak wrócić.

– Wiedział, że odszedłem pod wpływem emocji. Przyjął mnie, bardzo mi pomógł – opowiada Michał Horbaczek. – Niedawno przyznałem się do depresji wszystkim członkom ONR-u. Była uroczystość z okazji naszej rocznicy i koledzy postanowili przyznać mi nagrodę za dotychczasową działalność. Wszedłem na scenę, podziękowałem i powiedziałem, że gdyby nie oni, toby mnie już nie było. Przyznam szczerze, płakałem jak dziecko.

Siedzimy w barze w centrum Warszawy. Horbaczek przyjechał do stolicy na szkolenie dla działaczy z lokalnych organizacji pozarządowych. Sam działa w kilku. Pochodzi z małego Przeworska na Podkarpaciu, blisko granicy z Ukrainą. Tu w 2013 roku założył grupę Przeworscy Patrioci. Potem działał też w grupach kibicowskich i udzielał się charytatywnie. Jeździł do Polaków na Kresach, robił zbiórki dla potrzebujących dzieci.

Przeglądam zdjęcia, które wrzucał kiedyś na Twittera. Niewysoki, ale potężny, łyśa głowa, chmurny wzrok. Marsze, wiece, przemówienia. Na

koszulce kotwica Polski Walczącej, na szaliku hasło „Polski Lwów”. Teraz siedzi naprzeciwko, popija czarną kawę i wcale nie wygląda jak ten radykał z racą w ręku.

Od dzieciństwa mama wpaja mu szacunek do munduru. Dziadka Michał nie pozna, ale szybko dowie się, że służył w armii w czasie drugiej wojny światowej. Po wojnie za pomoc „wyklętym” – jak twierdzi Horbaczek – komuniści trzymali go w rzeszowskich kazamatach. Dziadek i babcia to dla niego wojenni kombatanci z Przeworska, którym po pracy pomaga jego mama. Michał wpada do nich na obiad, oni traktują go jak wnuka. Ojciec pije i bije, a potem bardzo szybko znika. Zostawia po sobie wspomnienie o butelce i sprzączce od paska. To dlatego po latach w Michale odezwie się to zaszczute „wewnętrzne dziecko”.

Kiedyś w subtelności się nie bawił. Na Twitterze pisał o banderowcach, nie podobało mu się, że w Polsce tylu Ukraińców, że tak bardzo się tu panoszą. Był rok 2014, Rosja zajęła Krym, a Michał podał tę informację tak, jakby chciał powiedzieć światu: patrzcie, dobrze się stało.

Teraz go o to pytam. Michał się kryguje.

– Od małego dziecka wiedziałem, że Lwów był kiedyś polski, a dzisiaj nie jest. Zacząłem drażnić. Wiedziałem przecież, że jacyś Polacy tam muszą być. Ale co się z nimi dzieje? O tym się w Polsce w ogóle nie mówiło – opowiada. – Już wtedy wiedziałem, czym był banderyzm. Część rodziny ze strony mamy wymordowali na Wołyniu banderowcy. I wtedy we Lwowie widziałem dużo banderowskich symboli – na ulicach, na murach. Przyznaję: patrzyłem na to z nienawiścią. Dla mnie to była świeża historia.

Twierdzi, że odróżnia banderowców od Ukraińców, że narodowość to jedno, szowinizm to drugie.

– Pojechałem do Lwowa pierwszy raz i się zakochałem – mówi. – Kiedyś na studiach poznałem Ukraińców i zrozumiałem, że oni się

o Banderze uczą w szkołach, że to jest dla nich bohater jak dla nas Piłsudski. Gdy im mówiłem o Wołyniu, łapali się za głowy, wielu mnie przepraszało.

To w Ukrainie, spotykając Polaków z Kresów, o których świat zapomniał, z patrioty staje się nacionalistą.

W drugiej dekadzie naszego wieku narodowcy znajdują przez nikogo niezajętą niszę. Razem z grupami kibiców organizują zbiórki pieniędzy na dary dla Kresowian. Odnajdują polskie rodziny na Litwie, Białorusi i Ukrainie, wożą paczki na święta, robią zdjęcia, pokazują je na Facebooku, zakładają poświęcone Kresowianom strony internetowe. Często towarzyszą im prawicowe media. Ich dziennikarze lubią pokazywać, jak to zamaskowani chłopcy z Marszów Niepodległości, zahartowani na stadionach, potrafią okazać inne, przyjazne oblicze. Nie wspominają jednak, że wielu jeździ tam po to, żeby się wybielić, dobrym uczynkiem zmazać wizerunek chuligana. Odwrócić uwagę od kolejnych stadionowych burd i rzucania brukiem w policjantów. Od wyroków za mowę nienawiści i za pospolite przestępstwa. Od banerów z życzeniami śmierci dla „wrogów ojczyzny”.

– Różne głupoty się w młodości robiło. – Michał trochę kluczy, ucieka od odpowiedzi. – Środowisko było, jakie było, ale dzisiaj jest już inne. Gdyby nie kibice Legii, Lecha, Lechii czy Resovii, to dzisiaj byśmy nie wiedzieli, że we wsi gdzieś pod Lwowem jest polska szkoła i polska parafia.

Na Kresy jeździł, bo nigdzie indziej poza Polską tak dobrze się nie czuł.

– Kiedyś się dowiedzieliśmy, że pod Lwowem mieszka Polka, która działała w konspiracji. Wsiadliśmy w samochód, pojechaliśmy jej szukać – opowiada. – Taksówkarz mówi: „Tak, jakaś baba tam jest, ale czy żyje? Nie wiadomo”. Znaleźliśmy adres i patrzymy: staruszka mieszka w szopie.

Daliśmy jej podstawowe rzeczy, pomodliliśmy się z nią. Powiedziała: „Poczekajcie”. Zniknęła i wróciła za chwilę z workiem ziemniaków i marchewki, może nawet ostatnim z zapasów. „Bez tego was nie wypuszczę”.

– Skoro narodowcy mają tak dobre serca, to dlaczego przerzucają się nienawistnymi hasłami? – pytam Horbaczkę.

Milczy dłuższą chwilę.

– Wiesz, to zależy od człowieka... Ja na przykład mam znajomych totalnych lewaków i rozmawiam z nimi normalnie. Bo próbuję zrozumieć drugiego człowieka.

Jak wielu moich rozmówców Michał ma pretensje, że świat narodowców nie rozumie. To paradoks, który widzę u wielu z nich: krzyczą o Polsce tylko dla Polaków, a sami czują się wykluczeni.

Żali się:

– Przez bycie w ONR-ze kiedyś straciłem robotę. Zawsze marzyłem o pracy w szkole. Kiedy brałem udział w rekrutacji do pracy w szkolnej świetlicy, ktoś przysłał do dyrekcji anonim. Napisał: „Co wy, chcecie pracować z faszystą?”. Innym razem pracowałem w magazynie budowlanym, ktoś wygrzebał zdjęcie ekipy skinów z początków lat dwutysięcznych. Co z tego, że miałem wtedy kilka lat. Szef powiedział: „Dla faszystów nie ma pracy”.

Po latach lokalna gazeta zorganizowała plebiscyt na „osobowość społeczną”. I Horbaczek wygrał.

– To był taki prztyczek w nos przeworskiej władzy. Podszedł do mnie potem jeden radny i zapytał: „Jak to jest? Faszysta dostaje nagrodę?”.

SMS-y na Michała wysyłali kumple z ONR-u.

DZIAŁACZKA

W marcu 2018 roku „Duży Format” publikuje reportaż o polskich nacjonalistkach. Jedną z bohaterek jest pochodząca z Łodzi Marta Niemczyk. W tekście zapewnia, że za Obozem Narodowo-Radykalnym nie tęskni, choć „wspomina z sentymentem”. „Kolega nazwał mnie kiedyś żartobliwie narodową feministką. Tak mi już zostało”⁵⁹ – mówi dziennikarce.

Artykuł wywołuje oburzenie w mediach społecznościowych. Czytelnikom nie podoba się styl, w jakim autorka opowiada o młodych nacjonalistkach. Brakuje im ostrych pytań, retorycznych i merytorycznych kontr, którymi reporterka zbijałaby argumenty rozmówczyń. Wielu twierdzi, że w liberalnych mediach postacie takie jak Marta w ogóle nie powinny mieć głosu. Krytykują też okładkę magazynu, na której jedna z nacjonalistek pozuje z symbolem falangi. Oburzonym przewodzi znany pisarz Jacek Dehnel.

Inni jednak dostrzegają w tekście zalety: próbę zrozumienia zjawiska, od którego wolimy odwracać wzrok. „Słuchajmy nacjonalistów” – apeluje w „Krytyce Politycznej” reporterka i publicystka Kaja Puto. „Czy zamiast odcinać się od »diabolicznych potworów«, nie powinniśmy próbować zrozumieć, dlaczego nacjonalizm rośnie w siłę?” – pyta. W facebookowej dyskusji głos zabiera dziennikarka Ewa Wanat: „To jest o tym, jacy oni są. Mamy fałszować rzeczywistość? To ja proponuję, żeby zakazać w Polsce dziennikarstwa. Od zaraz. Natychmiast. I bez odwołania”.

Trzy lata później Marta siada przy stoliku w kawiarni w centrum Warszawy. Konkretna, rzeczowa, rzadko się uśmiecha.

– Od czasu reportażu sporo się zmieniło – mówi. – Dzisiaj inne problemy są dla mnie ważne.

Jakie? Na przykład kapitalizm. Awansował w hierarchii jej zainteresowań i obecnie jest w ścisłej czołówce, bo według niej określa

naszą pozycję społeczną, kształtuje demografię, przekształca przestrzeń, a nawet język. Podkreśla, że nigdy nie przedstawiała się: „Cześć, jestem Marta, jestem nacjonalistką”, gdyż „nie ma w zwyczaju zaczynać znajomości od ideologii”. Reportaż był o nacjonalistkach, więc „wystąpiła w takiej właśnie roli”. Zapewnia, że wystrzega się wszystkich łątek, jakie mogłyby do niej przylgnąć. Antykapalistka? Nacjonalistka-ekolożka? Dla niej w takim dobieraniu sobie tytułów chodzi tylko o to, by efektywnie sprzedać się publice, najczęściej w internecie.

– Dziś wystarczy odpowiednio uzupełnić swój opis na portalu społecznościowym, by bez większego wysiłku stać się publicystką, aktywistką czy działaczką – mówi i zapewnia, że sama takich definicji unika. – Nie ma sensu rozpoczynać dyskusji od -izmów, bo każdy sam dopowiada sobie ich definicję i prędko okazuje się, że nie ma o czym rozmawiać. Nie mówię o sobie „ekolożka”, bo ekologia to przede wszystkim nauka i wymaga co najmniej studiów, nie tylko wzniosłych haseł. Nie nazywam się publicznie „nacjonalistką” także z innego powodu: bo mój rozmówca, słysząc to słowo, wyobrazi sobie kogoś zupełnie innego niż prawdziwa ja.

Dzisiaj Marta widzi w środowisku narodowców pęknięcia i problemy. Kiedy narodowcy dogadali się z politykami i weszli do sejmu z Kukizem i Korwin-Mikkem, w oczach wielu nacjonalistów „marszowych” stracili autentyczność. Także w oczach Marty.

– Za moich najbardziej aktywnych czasów, w latach 2013–2015, bycie politykiem nie było najlepiej widziane.

Dziś szeregi narodowców zasilają bardzo wyniośli młodzi chłopcy w ładnych garniturach, którzy dla kariery w polityce gotowi są zrobić wszystko.

– Jak patrzę na akcje Ruchu Narodowego, to sobie myślę, że w moich czasach nie było takich ludzi, za przeproszeniem, z kijem w dupie.

Najgorsze jest dla Marty to, że wszyscy oni inspirowani są przez „starszych panów” o ugruntowanej pozycji ekonomicznej, którzy o sytuacji, problemach i marzeniach jej pokolenia wiedzą tyle co nic. Dla niej ważne było doświadczenie, działanie, akcja. Układanie się z partami to nie jej bajka.

Pytam, dlaczego nacjonalizm musi oznaczać fizyczną przemoc i agresję.

– Może, ale nie musi – odpowiada Marta. – Przemoc i agresja towarzyszą konfliktom, a te były zawsze i wcale nie zaczęły się od starć skinów z Antifą. Wiele zależy od tego, czy pierwszych przedstawia się jako agresywnych troglodytów, a drugich jako dzielnych rewolucjonistów. Każdy romantyzuje przemoc, pod warunkiem że jej ofiarą pada przeciwnik. Nie zmienia to faktu, że czasem zostaje tylko przemoc, na przykład w obronie środowiska naturalnego. Ja przetestowałam to już dawno temu. A dzisiaj? Uwierz mi, że ludzie częściej walczą na nakładki profilowe na Facebooku niż na pięści. A przemoc ze strony Antify do masowej wyobraźni już się nie przebija.

Uważa, że „najgorszym, co zdarzyło się środowisku nacjonalistów”, wcale nie są pięści i koktajle Mołotowa, tylko Ruch Narodowy – partia, która weszła do politycznego mainstreamu.

– Pamiętam, że w poszczególnych regionach bardzo wielu działaczy na przykład Młodzieży Wszechpolskiej czy ONR-u było przeciwnych powstawaniu partii Ruch Narodowy, jednak założyciele ten sprzeciw zignorowali – mówi Marta. – Początkowo, gdy Ruch Narodowy był ruchem wyborczym, bardzo ochoczo korzystał z pomocy nas, działaczy regionalnych różnych organizacji. Kiedy potrzebne było zebranie podpisów,

właśnie my wystawaliśmy pod przystankami. Ale kiedy przyszło do dzielenia się stanowiskami, to o nas zapomniano. Nie jest tak, że wszyscy chcieli się na te stanowiska rzucić, ale należało nam się jakieś uznanie, którego nie dostaliśmy. W dużym stopniu dotyczyło to kobiet.

– Trudno się dziwić, nacjoniści nie należą do wrażliwych na sytuację kobiet w tym kraju – mówię.

– Trudno się dziwić, skoro tak wielu z nich to mężczyźni. – Marta odbija piłeczkę. – Deklaratywna wrażliwość lewicowców i liberałów też kończy się z chwilą, gdy kobieta się z nimi nie zgadza. Polowanie na „transfobki” czy podniesienie wieku emerytalnego mają się nijak do potrzeb kobiet w tym kraju. To prawda, że wielu nacjonalistów poświęciło kobiety w ogniu walki ideologicznej, zapominając, że stanowią one połowę narodu, choć w odróżnieniu od liberałów żaden nacjonalista nie życzył mi gwałtu i nie domagał się usunięcia mnie z redakcji, gdy miałam inne zdanie niż on. Zbyt wiele jednak poznałam w naszym ruchu dziewczyn, które miały bardzo dużo do powiedzenia, a dziś o niczym nie decydują. Więcej: nikt nie powiedział im „dziękuję” i to trudno mi zaakceptować.

Pracuje i studiuje: kończy socjologię i antropologię społeczną. W pracy zaliczyła już złe traktowanie, zatrudnienie na śmieciówkach, lęk o to, co będzie za tydzień, miesiąc, rok. Ciągła niepewność i prekaryzacja pracy – to jedno z tych doświadczeń, które łączy ją z całym pokoleniem dzisiejszych dwudziesto- i trzydziestolatków, bez względu na poglądy polityczne.

– Od czego zacząć? Od perspektywy ofiary czy perspektywy oprawcy? – odpowiada na pytanie o doświadczenia zawodowe.

Ofiary, tłumaczy, to ludzie, którzy zgadzają się wzorowo pełnić funkcję taniej siły roboczej.

– Nie mam pretensji o to, że ludzie podejmują pracę. Mam pretensje, jeśli pozwalają na to, by kiepska praca zmieniała ich samych na gorsze.

Ona zdążyła się na takich napatrzeć. Pracują po kilkanaście godzin na dobę, puszczają w niepamięć doświadczenia mobbingu, „produktywność” staje się dla nich niczym bożek, wyrabianie norm w korporacji przypomina normy stalinowskich stachanowców.

Ofiary cierpią po cichu, bo nie mogą lub nie chcą zaprotestować. Narzekają, biadolą, ale z biadolenia nie bierze się bunt. „Nie podoba ci się? Tam są drzwi” – to jedyna forma rozmowy z pracodawcą, do jakiej przywykli pracownicy. Jedyny sposób, żeby zmienić rzeczywistość, to zmienić pracę, mówi Marta. Sama zmieniała ją nieraz. Pracowała na stanowiskach specjalistycznych, które w rzeczywistości niewiele znaczyły i z dnia na dzień mogły być przeniesione do kraju o jeszcze niższych kosztach pracy. Na własnej skórze przekonała się, ile stresu i nerwów kosztuje praca na tak zwanej słuchawce w *contact center*.

W „owczym pędzie” za nieco lepszą pracę, nieco lepszą pensją, kredytem i ratą za samochód przestajemy myśleć niezależnie, twierdzi. I przestajemy się buntować. Jednocześnie w takim systemie „ofiara”, żeby poczuć się kimś wartościowym, lepszym, znaczącym, nieraz sama staje się „oprawcą” – często dla kolegów z biurka obok.

A życie poza pracą?

Kiedyś przeczytała o sobie w internetowym komentarzu, że jak to, studentka psychologii, a „popiera akcję T4”?⁶⁰ Od tego czasu nie lubi za bardzo mówić o życiu prywatnym.

– Swoje zrobili też dziennikarze, których nazwisk nie warto wymieniać, a którzy obok pomówień o neonazizm publikowali moje zdjęcie, nazwę uczelni i miasta, gdzie myśleli, że mieszkam – mówi. – Równie pouczające były życzenia gwałtu i pobicia nadsyłane przez czytelników i czytelniczki

wspomnianego reportażu – tego samego, w którym przyznaję, że korzystałam kiedyś z pomocy placówki dla kobiet. Tropiciele faszyzmu, przeciwnicy stereotypizacji i wykluczenia powinni częściej zerkać w lustro.

Jak zaczynała w środowisku narodowców?

– W wieku nastu lat zaczęłam się interesować historią najnowszą i polityką. Najpierw były rządy PO, pretensje o niedostateczną „europejskość”, wpajanie poczucia wstydu i wmawianie nam, że nasi bliscy wyjeżdżają sprzątać zachodnie toalety, bo chcą, nie dlatego, że muszą.

Pierwsza jej styczność z wczesnym ruchem narodowym to nieistniejąca już organizacja Kobiety dla Narodu.

– To pomysłodawczyni rzadkich w tym środowisku inicjatyw dla kobiet (nie przeciwko feministkom), na przykład akcji informacyjnej „Aby nie dać się oszukać”, skierowanej do Polek wyjeżdżających do pracy za granicę – mówi. – Nie chciałam się jednak ograniczać kryterium płci, bo uważam, że nie funkcjonujemy w społecznej próżni.

Wtedy wśród młodych zaczęła się moda na patriotyzm. Rozrastały się Marsze Niepodległości i narodowe stowarzyszenia. Marta czuła entuzjazm. A potem przyszło rozczarowanie.

– Jeśli na zebraniach ONR-u pojawiał się temat rodziny, to dziewczyny wywoływano do tablicy jako przyszłe matki, nawet jeśli miały po dziesięćnaście lat i żadnego pojęcia o macierzyństwie – opowiada. – Od chłopaków nie oczekiwano równie silnej identyfikacji z rolą ojca. Mnie to raziło. Nie po to przyszedłam do ONR-u, żeby rozdawać przechodniom ciasto w Dzień Kobiet. Marzyły mi się seminaria ze sportów walki, nauka samoobrony dla dziewczyn, ale chętnych wówczas nie było, więc poszłam sama dla siebie. Kilka lat później, w listopadzie 2018 roku, wraz z grupą dziewczyn z różnych środowisk nacjonalistycznych (nie z ONR-u) niosłyśmy nasz własny baner z hasłem „Miejsce kobiety jest w rewolucji”.

Nikt nas z Marszu Niepodległości nie wyrzucił, paru chłopaków się śmiało, jedna pani przekonywała mnie, że „miejsce kobiety jest w domu”. Nie zatrzymywałam jej.

Kilka lat temu zauważyła, że w środowisku nie mówi się o problemie, który coraz mocniej dotyka zwykłych ludzi. Szła do lasu i widziała bezładnie porzucane materiały budowlane, meble, elementy karoserii, sprzęt RTV i AGD.

– Zaczęło się od spontanicznej akcji: z grupą znajomych zorganizowaliśmy zbieranie śmieci w lasach. Tak w skrócie powstała nieformalna grupa Ekolektyw – opowiada. – Dzisiaj sprzątanie śmieci nie jest żadnym wyznacznikiem ekologicznego zaangażowania. Każda duża korporacja organizuje sprzątanie plaż albo lasów z własnych produktów tylko po to, by wrzucić zdjęcia z tego na Instagram i dzięki takiej promocji zwiększyć sprzedaż. Obwinianie rodzin wielodzietnych o ślad węglowy czy wznoszenie haseł: „Zniszcz mi puszę, nie planetę”, niczego nie ocali. Co robię w zamian? Prelekcje o Puszczy Białowieskiej w zakładzie karnym, wolontariat zagraniczny pod okiem specjalistów w dziedzinie biologii konserwatorskiej, wolontariat w ekologicznych gospodarstwach rolnych w Estonii i Czechach, regularne zbieranie śmieci z polskich rezerwatów przyrody. Nie siedzę z założonymi rękoma i nie wyśmiewam młodych aktywistów z Extinction Rebellion. Po prostu wierzę, że zamiast kosmopolitycznej troski o planetę można odczuwać nie mniejszą troskę o ten skrawek ziemi, który nazywa się domem.

O Ekolektywie pisał badacz ekstremizmów Przemysław Witkowski. W swoim tekście ujawnił, że organizacja najpierw nazywała się Greenline Front Poland i nawiązywała do zachodnich ruchów neofaszystowskich. Ideologię, którą swego czasu reprezentowała Marta Niemczyk, Witkowski nazwał „ekofaszyzmem”⁶¹.

KIEROWNIK

Na maturę idzie prosto z oddziału onkologicznego. Nie jest łatwo, bo najpierw chemia, potem leki. Takie, że czasem można tylko leżeć bez ruchu i czekać, aż miną mdłości. Lekarka za nic w świecie nie chce go wypuścić – każda infekcja może przynieść wyrok. W końcu ją przekonuje. Chce pokazać, że da radę, nawet jeśli źle się czuje. Lekarka zgadza się pod warunkiem, że Adrian zrobi wszystko, by nie złapać zakażenia: ze szpitala będzie wychodził rano, pisał egzamin, a potem od razu wracał na oddział.

Adrian Kaczmarkiewicz zjawia się w ONR-ze po doświadczeniu wewnętrznej przemiany. Z imprezowicza, kibola Widzewa i ekonomicznego emigranta, żyjącego od pierwszego do pierwszego, zmienia się w fanatycznie oddanego działacza.

– Kiedy zachorowałem, uświadomiłem sobie, że nie chcę marnować swojego życia. Niby są te wszystkie imprezy, związki z dziewczynami, przygody, ale to życie takie jakby... niemoralne. Pomyślałem, że gdybym teraz umarł, nic bym po sobie nie pozostawił. Nie chciałem tego. Chciałem być zapamiętany z czegoś dobrego – opowiada.

Spotykamy się w Łodzi, gdzie pracuje. Siedzimy w kawiarni w Monopolis – kompleksie biurowców z galeriami sztuki i restauracjami, przekształconym z dawnych fabryk tekstylnych. Od dawna próbowałem się z nim umówić. Udało się po kilkunastu miesiącach.

– Zgodziłem się na rozmowę z panem, bo nie mam nic do ukrycia – mówi.

Na „ty” nie przechodzimy. Formalizm to także jego charakterystyczna cecha.

Wychowuje się w Pabianicach. Mieszka w zaludnionej kamienicy w samym centrum przemysłowego miasteczka.

– W tej kamienicy wszyscy się znali – opowiada. – Jak któryś z dzieciaków wychodził w zimę porzucać kulkami, to zaraz dołączała cała reszta. Jak ktoś z dorosłych potrzebował gotówki, to pożyczał mu sąsiad. Ludzie ze sobą żyli, wiedzieli o sobie dużo, po pracy razem urządzali grille.

Dzisiaj, jak twierdzi, więzi społeczne praktycznie nie istnieją.

– Czasem tam wracam i widzę zmiany. Część mieszkańców wyprowadziła się do Łodzi, Warszawy, inni siedzą zamknięci w czterech ścianach, zero kontaktu sąsiedzkiego. Jest jeszcze paru ludzi, których pamiętam z moich czasów; oni trzymają się ze sobą. Reszta w ogóle się nie angażuje.

Subkultura? Trochę jest „skejtem”, nosi opuszczone spodnie i szerokie bluzy, ale krótko.

– W młodości byłem zafascynowany pierwszym polskim rapem, muzyką drum and bass i trochę techno. Zazwyczaj byłem ubrany normalnie, bez markowych ciuchów, bo żyło nam się skromnie. Marka nie ma dla mnie większego znaczenia – mówi.

W domu nie ma szczególnych tradycji patriotycznych. Gdy w piłkę gra drużyna narodowa, siada się przed telewizorem i kibicuje, gdy przychodzą święta, idzie się do kościoła i odhacza obowiązek. Ale – jak to często u młodych narodowców – we wczesnych latach ważną postacią dla Adriana stają się dziadkowie.

– U mnie była to babcia – opowiada Kaczmarkiewicz. – Pochodziła z małej wioski w centralnej Polsce. Z biednej rodziny, w której ciężko się harowało. Sama w czasie wojny pracowała u Niemca w majątku. Jakoś uchroniła się przed wywózkami w głąb Rzeszy. Wspominała, że za Niemców nie było tak źle, że dobrze ludzi traktowali. Tragedia się zaczęła, jak przyszli Rosjanie.

W młodości nie był taki grzeczny jak dzisiaj. Po przeprowadzce do Łodzi nawiązuje nowe znajomości, zaczyna kibicować. W mieście podzielonym między strefy wpływów kiboli ŁKS-u i Widzewa Kaczmarkiewicz, kibic tego drugiego, nieraz musi oglądać się za siebie.

– We wczesnych latach byłem raczej typem tego słabszego. Dopiero potem, kiedy zacząłem uprawiać sport, nabrałem pewności siebie – opowiada. – Trenowałem zapasy klasyczne. Kiedyś jeden starszy chłopak myślał, że mną pozamiata. Jak zastosowałem na nim suplesa, taki chwyt zapaśniczy, okazało się, że to ja zamiatam nim.

Kibicowanie podnosi mu adrenalinę – Adrian czuje smak krwi.

– Dosłownie: smak krwi w ustach po bójce – mówi. – Nieraz dostałem po głowie, nie tylko na stadionie. Kiedyś w akademiku jacyś ludzie za głośno puszczali muzykę. Zwróciłem im uwagę. Napadli na mnie całą ekipą, zrzucili ze schodów. Trafiłem do szpitala mocno poobijany, ale i tak mi to w głowie nie poprzestawiało. Zmienił mnie dopiero ONR.

Najpierw jednak jest największy przełom, czyli rak i leczenie. Potem matura, znów leczenie i studia, konkretnie dwa fakultety: chemia i geografia. Nie od razu przychodzi wewnętrzna przemiana – jeszcze na studiach Adrianowi zdarza się imprezować, szukać przygód i wrażeń na stadionie. Kolejny etap wiąże się z wyjazdem do pracy do Irlandii, gdzie od lat mieszka jego matka – to kolejne przełomowe doświadczenie.

– Zobaczyłem, jak żyją tam Polacy, i po roku chciałem wracać – opowiada. – Spotykali się, ale tylko po to, żeby pić albo ćpać. Nie mieli innych zajęć, w telewizorach nie odbierali nawet polskiej telewizji, język angielski znali bardzo słabo. Jak tylko wracałem z roboty, zaraz było pukanie do drzwi i wyciąganie na piwo. Jasne, można raz na jakiś czas, ale nie codziennie. Ci ludzie w czwartki dostawali wypłaty, a we wtorek nie mieli pieniędzy. Brali kredyty, żeby kupować alkohol i narkotyki.

Część, jak twierdzi, przyjechała do Irlandii tylko po to, żeby brać socjal.

– Jak się miało trójkę dzieci, dostawało się mieszkanie w Dublinie. Wystarczała jedna pracująca osoba w rodzinie – mówi Kaczmarkiewicz. – W ONR-ze też mamy postulaty społeczne, ale tam socjal wzbudził w ludziach niechęć do rozwoju i chęć wykorzystywania tego, co daje państwo, jak leci. Ja przez ten rok przejechałem Irlandię wzdłuż i wszerz, zwiedzałem, poznałem historię.

Już wtedy nie pałał miłością do rządzących wówczas Polską liberałów.

– To był czas, kiedy Donald Tusk chciał z Polski zrobić zieloną wyspę – mówi. – Okazało się, że zielona wyspa to była, ale w Irlandii, gdzie Polacy masowo wyjeżdżali za pracą.

– Pan też wyjechał – zauważam.

– Ale mnie namówiła mama, która mieszkała tam piętnaście lat.

W Irlandii najbardziej podoba mu się zachód, miejscowości położone nad brzegiem oceanu, gdzie ciągle żywe są „enklawy starych zasad i tradycji”.

– Te stare puby, w których spotykali się Irlandczycy w kaszkietach, gdzie śpiewali tradycyjne pieśni, mówili językiem irlandzkim, chociaż już bardzo pomieszanym z angielskim – u nich widziałem silną więź. Na wschodzie, gdzie leży Dublin, było już inaczej. Tam każdy po robocie wracał do siebie i nic go nie obchodziło. Tam ten kraj zaczął się robić taki jak wszystkie inne.

– To znaczy?

– Uległy wobec tego, co mu się narzuca. Wszyscy tolerancyjni wobec wszystkiego. A kiedyś to był przecież naród buntowników.

W Irlandii jego poglądy dopiero się kształtują. Oglądanie wiecznie zapijaczonych Polaków na emigracji sprawia, że Kaczmarkiewicz wsiada w autobus i wraca do kraju, gdzie jego nacjonalizm dojrzeje.

– Nie chciałem, tak jak oni, spędzić życia na chlaniu i ćpaniu. Miałem wrażenie, że jak tam zostanę, stanę się menelem, a na pewno nie ułożę sobie życia.

Szuka przynależności. Na początku interesuje się Młodzieżą Wszechpolską, bo wszechpolacy „mają fajny mieczyk w logo”.

– W tamtych czasach z internetem było kiepsko, więc chodziłem do mojego chrzestnego albo do kafejek internetowych i czytałem o polskich narodowcach – mówi Adrian. – Wpisałem w wyszukiwarkę hasło „ONR” i pierwsze, co mi wyskoczyło, to tekst, że to „organizacja skrajnie faszystowska”.

– I co?

– I od razu pomyślałem: „O nie, to nie dla mnie”, ale potem spotkałem kogoś z ONR-u, powiedziałem, że w internecie piszą takie rzeczy, a on poradził, żebym przyszedł na spotkanie i sam zobaczył. Poszedłem. To był wykład o polityce Salazara [nacjonalisty i dyktatora Portugalii – przyp. MS]. Kolega wygłaszający wykład robił ciekawe odniesienia do naszej współczesnej rzeczywistości. Była też mowa o różnych charytatywnych akcjach, o zbieraniu pieniędzy na okna dla domu dziecka. Spodobało mi się.

Na początku Kaczmarkiewicz tworzy jednoosobowy oddział ONR-u w Pabianicach. Z czasem dołączają do niego inni. Jest skuteczny, szybko zwraca na siebie uwagę centrali. W tych czasach obozem kieruje Przemysław Holocher, który zrezygnuje z funkcji, gdy portal WikiLeaks opublikuje jego skandaliczne rozmowy z internetowych komunikatorów. Holochera zastępuje Aleksander Krejckant, kompan Kaczmarkiewicza, dzisiaj przedsiębiorca. W 2018 roku po rozłamie w ONR-ze i odejściu Roberta Bąkiewicza ze związaną z nim grupą zarząd proponuje, żeby nowym kierownikiem został Adrian Kaczmarkiewicz.

– Do dzisiaj kontaktuję się z kandydatami, jeśli pochodzą z regionu łódzkiego – mówi. – To ja czytam ich zgłoszenia przysłane przez formularz, ja do nich oddzwaniam, spotykam się z nimi, rozmawiam. Bardzo dużo ludzi chce do nas wstąpić, bo ma jakieś wyobrażenia o ONR-ze, które potem się weryfikują.

– Jakie?

– Przyznaję, sporo osób zgłasza się do nas, bo liczy na jakąś zadymę, awanturę, chce komuś przywalić albo pokrzyczeć na marszu. A tu się okazuje, że trzeba się trochę pouczyć, przeczytać trochę klasycznych lektur. Wielu kandydatów daje sobie spokój. Często też piszą, że ważne jest dla nich hasło „Polska dla Polaków”, ale nie rozumieją jego znaczenia.

– Polska ma być „tylko dla Polaków” – mówię. – Tak to trzeba rozumieć.

– No właśnie nie. W tym hasle chodzi o to, żeby Polacy też mieli prawa w swoim kraju. Nie wszyscy inni, ale właśnie Polacy, z różnych warstw społecznych i różnego pochodzenia. W ONR-ze mamy polskich Tatarów, a więc muzułmanów, w Łodzi aktywnie działa też Włoch, który ani słowa nie mówi po polsku; porozumiewamy się po angielsku.

– Z jakimi jeszcze wyobrażeniami ludzie przychodzą do ONR-u?

– W formularzu jest pytanie, kogo uważają za swój autorytet. I piszą różne głupoty: „Rudolf Hess” na przykład. Ktoś inny napisał „Józef Stalin”.

Podobnie jak w Młodzieży Wszechpolskiej kandydaci na członków ONR-u muszą przejść szkolenie, przeczytać najważniejsze lektury oraz wysłuchać wykładów o historii ruchu, panujących w nim zasadach i głównych postulatach.

W rozmowie ze mną Kaczmarkiewicz przyznaje: w ONR-ze działało wielu skinheadów. Sam osobiście ich zna i zaprzecza, by byli to tak zwani naziskini, wielbiący Hitlera i Trzecią Rzeszę. Gdy zauważam, że przecież

znane są przypadki, kiedy działacze ONR-u publicznie i na prywatnych imprezach hajlowali, odpowiada naokoło:

– Działacze starszego pokolenia są dzisiaj ludźmi wykształconymi, prowadzą własne biznesy. Udzielają się w ONR-ze, ale raczej wspierają, doradzają, na przykład prawnie. Nawet ci, co czytali *Mein Kampf*, mówią, że to jest chłam.

Podobno już nie jest tak jak kiedyś, gdy „młodzieńcze emocje rzucały ich do walk ulicznych”. Kaczmarkiewicz podkreśla, że subkultura skinheadowska była aktywna, lecz lata temu i raczej w stosunku do przeciwników: Antify.

– Jasne, jeszcze jakieś osiem lat temu w Łodzi dochodziło do starć, kiedy spotykały się te skrajności, ale dzisiaj przemoc nie ma sensu. Ilu działaczy za takie sytuacje dostało wyroki? Zawsze mówimy: zastanówcie się, po co wam to.

Lider ONR-u twierdzi również, że ludzie o poglądach nazistowskich to w środowisku narodowców „resztki”, które jednak mają „wpływ na wizerunek”, bo „przez jedną taką osobę niszczy się opinia o całym ruchu”:

– Był u nas jeden taki chłopak, ja byłem jego opiekunem. W pewnym momencie straciłem nad nim kontrolę, nie dopilnowałem... Dotarła do niego grupa neonazistów. Ci ludzie sprali mu mózg. Tak, że nie potrafił normalnie, zdrowo myśleć. Efekt był taki, że w młodym wieku narobił sobie problemów prawnych, wcześniej został ojcem... Do ONR-u wstępu już nie ma.

Opowiadam o dziesiątkach, jeśli nie setkach, profili w mediach społecznościowych, w których narodowcy – także związani z ONR-em, Młodzieżą Wszechpolską lub mniejszymi organizacjami – głoszą nazistowskie poglądy i używają nazistowskiej symboliki. Mówię

o rozdziwieniu między tym, co środowisko narodowców chce o sobie myśleć, a co naprawdę myśli.

– Pewnie są takie poglądy... Każdy z działaczy coś tam w życiu ma – odpowiada Kaczmarkiewicz. – Jednak w organizacji idziemy z linią organizacji. Możesz mieć prywatne zdanie, ale u siebie w domu, w organizacji odstępstw nie ma. Masz się dostosować. Miałeś wolny wybór i wybrałeś ONR. Dołączyłeś do nas, więc masz akceptować nasze poglądy.

– A jeśli „prywatna” miłość do Hitlera wyjdzie na jaw?

– Wtedy zegnamy się z takim człowiekiem.

Kilka razy podkreśla, że przemoc – stosowana także przez ONR – jest „bez sensu”, „nie opłaca się”.

– Różni ludzie i różne środowiska na nas donoszą. Sprawa delegalizacji ONR-u wraca co chwilę. Ostatnio taką sprawę umorzyła prokuratura w Krakowie. Jest ciągła lustracja, policja, prokuratura i sąd sprawdzają nas na wszystkie strony. Każde zachowanie działacza, nawet w życiu osobistym, może się stać powodem do delegalizacji. Jeden człowiek może spowodować, że służby wezmą się za całe środowisko. To, że pójde i dam komuś w mordę, nic nie zmieni. Dostanę wyrok, wypalę się, a nie zrobię nic dobrego dla innych.

To wszystko rachunek zysków i strat, mówię liderowi ONR-u. Co innego spotykane w mediach społecznościowych i często realizowane na ulicach miast fantazje o biciu „pedała, Żyda albo lewaka”. Pokusa, która tkwi w tym środowisku jak tatuaż pod skórą.

– Jeśli siła fizyczna, to tylko do samoobrony – odpowiada w końcu Kaczmarkiewicz.

Na pewno? W 2016 roku działacze ONR-u w Białymstoku skandowali przecież, że „na drzewach zamiast liści będą wisieć syjoniści”, za co kilku z nich dostało prawomocne wyroki. Już rok później w Radomiu, współ

z działaczami Młodzieży Wszechpolskiej, rzucili się z pięściami i kolanami na uczestników demonstracji organizowanej przez Komitet Obrony Demokracji. Ogromną siłę może mieć też słowo. *Brunatna księga* Stowarzyszenia „Nigdy Więcej” pełna jest przykładów słownych ataków działaczy ONR-u na mniejszości seksualne, etniczne i narodowe. Narodowcy spod symbolu białej falangi są zawsze tam, gdzie pojawia się temat uchodźców. „Jebać ciapatych!” – krzyczeli w 2017 roku na ulicach Ełku po zabójstwie młodego Polaka przez pochodzącego z Bliskiego Wschodu pracownika kebabu. „Cała Polska śpiewa z nami, jebać islam maczetami” – skandowali razem z innymi uczestnikami antyimigranckiej demonstracji w Warszawie. A to tylko wybrane przykłady.

I choć zwykle mają pod ręką zgrabne wytłumaczenia swoich działań, od 2021 roku ich przeciwnicy mają mocny argument: wyrok Sądu Najwyższego, który orzekł, że ONR można nazywać „organizacją faszystowską”. „Nawiązujecie do organizacji przedwojennej, która była jawnie organizacją faszystowską, stosujecie te same symbole i nazwy – mówił wcześniej, ogłaszając wyrok pierwszej instancji, sędzia z Elbląga Maciej Rutkiewicz. – Piszecie w deklaracji ideowej, że jesteście przeciwnikami demokracji i że jesteście zwolennikami ustroju hierarchicznego. Cóż to jest ustrój hierarchiczny? To jest właśnie ustrój totalitarny, to dokładnie to samo, tylko inaczej nazwane. Nazywajmy rzeczy po imieniu, a zmienią się w okamgnieniu”.

Częścią ONR-u są Brygady Narodowe powołane do obrony kościołów, czyli „rozszerzona opcja sekcji sportowej”, „forma proobronna, szkoleniowa w sztukach walki i interwencji przy zagrożeniu ze strony Antify”. To „wyszkoleni ludzie, zazwyczaj żołnierze, sportowcy”; znacząca grupa, „budząca respekt na manifestacjach”. Jej członków łatwo rozpoznać: po ciemnym ubiorze i zasłoniętych twarzach.

Do czego tak naprawdę są ONR-owi potrzebni?

– Nie wykorzystujemy ich możliwości do ataków, tylko do obrony naszych ludzi i uczestników naszych wydarzeń – twierdzi Kaczmarkiewicz. – Przez wiele lat pomagali mi prowadzić czoło marszu lub byli w grupie szybkiej interwencji.

Są też grupy od zadań technicznych, promocyjnych, medialnych, szkoleniowych i ideologicznych, odpowiedzialne za referaty, konferencje, debaty, książki naukowe do przeczytania. Bo jak mówi Kaczmarkiewicz: w ONR-ze dobrze się sprawdza „model wojownika-intelektualisty”.

⁵⁹ Magda Ruta, *My, nacjonalistki, czyli kobiety w służbie narodu*, „Duży Format” (dodatek do „Gazety Wyborczej”), 5 marca 2018.

⁶⁰ Program eksterminacji osób chorych psychicznie i cierpiących na niektóre neurologiczne schorzenia (w tym między innymi padaczkę czy zapalenie mózgu) w Trzeciej Rzeszy w latach 1939–1944. Realizowany także na terenach okupowanej Polski.

⁶¹ Przemysław Witkowski, „*Europa będzie biała albo bezludna*”, czyli szturmowcy, www.krytykapolityczna.pl, 30 kwietnia 2019.

TROLLE I TRUTNIE

Onuca – szeroki kawałek materiału do owijania stopy, używany zamiast skarpety.

Ruska onuca – osoba, o której mówiący sądzi, że wykonuje działania propagandowe na rzecz Rosji lub w inny sposób jej sprzyja⁶².

ATAK

Jest początek kwietnia 2022 roku. Krystian Jachacy, sekretarz główny nacjonalistycznej organizacji Praca Polska, przyjeżdża do Łodzi promować swoją książkę. Na Piotrkowskiej rzuca się na niego z pięściami kilku młodych mężczyzn. Później na Twitterze Jachacy pisze, że udało mu się „skutecznie obronić”, a napastnicy „ponieśli koszty ataku”. „Nie zamkniecie nam ust” – dodaje. Kiedy spotkanie autorskie dobiega końca, do sali wpada grupa mężczyzn, prawdopodobnie tych samych, którzy czekali na niego na ulicy. Mają pałki teleskopowe i gaz pieprzowy. Wywracają kilka krzeseł, rozrzucają papiery, rozpylają gaz, organizatorów okładają pałkami (jeden z nich skończy z kilkoma szwami). Awantura trwa chwilę, napastnicy zostają wypchnięci, na miejsce zostaje wezwana policja.

Spotkanie organizuje Klub im. Romana Dmowskiego. Jego prezesem jest narodowiec ze Zgierza, który równo miesiąc wcześniej również został

napadnięty. Mniej więcej w tym samym czasie na drzwiach mieszkania Jachacego grupa mężczyzn malowała napis: „Praca Polska to ruska kurwa”.

RAK

Narodowcy napadają na narodowców. Krzyczą, że niedługo ich „zajebią”, a ci odpowiadają, że atakują ich „banderowcy” albo po prostu „polscy naziści”. W środowisku wrze, po latach spokoju znowu w ruch idą pięści i łokcie. Wszystko dlatego, że opadły maski.

Wczesnym rankiem 24 lutego Rosja napadła Ukrainę. Narodowcy się podzielili: na tych, którzy atak potępiają – także dlatego, że od lat trzymają się z nacjonalistami zza wschodniej granicy, na przykład ze słynnym pułkiem Azow – i tych, którzy Ukraińcom pamiętają wyłącznie rzeź wołyńską, wyzywają ich od banderowców i powtarzając kremlowską propagandę, mówią, że Ukrainę trzeba oczyścić z faszystów.

Ci drudzy nie wzięli się znikąd. Byli tu od lat, choć zwykle nieco w cieniu. Od czasu do czasu organizowali pikiety i demonstracje. Kiedy w 2014 roku Rosja wchłonęła Krym, wyrażali poparcie dla Putina pod jej ambasadą. Robili sobie zdjęcia przy pomnikach poległych czerwonoarmistów, zakładali fora i grupy dyskusyjne, wychwalali politykę prezydenta Rosji. Dziś tworzą specyficzną, wiecowo-internetową bańkę wielbiących go ksenofobów, rasistów, antysemitów i powtarzających pseudonaukowe brednie wyznawców teorii spiskowych. Niektórych można uznać za działających na niewielką skalę agentów wpływu, innych za cyników, którym na zasianiu niepokoju i chaosu zależy równie mocno co na rublach na koncie; jeszcze inni trzymają pod łózkami karabiny, a w garażach ładunki wybuchowe.

To nisza w niszy, podzbiór w zbiorze, ale jednocześnie bardzo głośne i niebezpieczne społecznie zjawisko, które ma swoje realne konsekwencje,

bo bzdury wypisywane na profilach ruskich trolli trafiają nawet do kilku milionów internautów.

Tworzą strony internetowe, telewizje na YouTubie i popularne profile w mediach społecznościowych. Organizują spotkania z „autorytetami”, piszą i wydają książki, intensywnie pracują u podstaw, jakby zamiast na front szykowali się do innej wojny – informacyjnej. Wytworzyli sieć kontaktów, pączkującą strukturę, która rozrasta się jak rak. W mediach brylują przywódcy, znani z twarzy i nazwiska liderzy. To oni podpisują się na dokumentach, rejestrują stowarzyszenia i przyjmują przelewy. Poziom niżej pracują drobni politykierzy, szeregowi działacze aspirujący do wyższych stanowisk, zwykle młodszy pokolenie.

Ci ostatni obeznani są z nowymi mediami, potrafią skusić młodych do lajkowania na Facebooku. Polityki na razie uczą się pod okiem starych mistrzów. Żołnierze na froncie propagandy, pracowite pszczoły w ulu. Uwijają się, tworząc informacyjny hałas.

Zbliź się do ula, a usłyszysz pomruk.

DOLARY, EURO, RUBLE

Jest lato 2014 roku. Rosja zajęła Krym, we wschodnich obwodach Ukrainy trwa konflikt zbrojny. Tam, gdzie nie sięga artyleria, toczy się wojna na słowa.

Aleksander Usowski, z pochodzenia Białorusin, działający w Rosji i w Europie Środkowej historyk, pisarz i publicysta, spotyka się z rosyjskim oligarchą Konstantinem Małofiejewem, jednym z zaufanych ludzi Władimira Putina. Przedstawia mu pomysł na organizację prorosyjskich i antyukraińskich akcji w środkowo-wschodniej Europie. Małofiejew daje zielone światło.

Trudno stwierdzić, czy dla Usowskiego to kwestia idei, czy pomysł na zarobek – może jedno i drugie. Staje się on głównym organizatorem prorosyjskich akcji w Polsce, Czechach i Słowacji, na co dostaje pieniądze bezpośrednio z Kremla. Wiemy to z setek maili i prywatnych wiadomości Usowskiego, do których dostęp zdobywają w marcu 2017 roku ukraińscy hakerzy z grup CyberHunta i Cyber Alliance. Na podstawie tych materiałów działacze organizacji InformNapalm, a potem także polscy dziennikarze odtworzyli cały mikrosystem, w którym Usowski pełnił funkcję pośrednika między Moskwą a wykonawcami: polskimi nacjonalistami.

W przeszłości należał do skrajnie nacjonalistycznej rosyjskiej partii. Sam twierdzi, że w latach dziewięćdziesiątych kontaktował się z Bolesławem Tejkowskim, twórcą nacjonalistycznej Polskiej Wspólnoty Narodowej. Rozmowy w komunikatorach zaczyna czasem słowem *heil*. „Jestem frajerem – żali się w jednej z nich. – Prawie całą kasę włądowałem w sprawę, co prawda kupiłem sobie samochód, lecz w ramach kontraktu. Teraz mam w Polsce, Czechach i Słowacji pracujący jak zegar prorosyjski ruch składający się z ideowych pasjonatów, gotowych choćby jutro iść na barykady – i pusty budżet”.

Stworzony przez niego „ruch pracujący jak zegar” to nastawieni prorosyjsko polscy nacjonaści.

Na konto córki działacza Obozu Wielkiej Polski (aktywnego od 2003, a zarejestrowanego w 2012 roku stowarzyszenia nawiązującego do przedwojennej organizacji o tej nazwie) Wojciecha Wojtulewicz trafiła dwa tysiące dolarów. Chwilę później Wojtulewicz razem z grupką innych działaczy niszczy pomnik żołnierzy Ukraińskiej Powstańczej Armii w Hruszowicach na Podkarpaciu. Wszystko relacjonuje w mediach społecznościowych, żeby przekaz poszedł w świat.

„Ty organizujesz pięciu, sześciu młodych facetów, którzy okleją pomnik UPA fotografiami zabitych dzieci, to wszystko zapisując na kamerę i puszczając na YouTube – ja mówię Moskwie, że jesteś bohaterem, potrafiącym to zrobić. W Moskwie patrzą na efektywność roboty” – pisze do niego (po rosyjsku) Usowski w zhakowanej przez Ukraińców korespondencji. I wylicza: „Wynajęcie autobusu z Warszawy do pomnika – dwieście dolarów, wyżywienie w drodze na pięciu ludzi – dwieście dolarów, fotografie – sto dolarów, wideo i foto – no, niech będzie jeszcze sto. Stówę stróżowi cmentarza, żeby się nie mieszał. Przyjechać trzeba wcześniej rano, o szóstej, żeby było już widno i jeszcze nikogo nie było na cmentarzu. Podeszli, rozkleili fotografie, wszystko utrwalił na fotografii i wideo – i od razu wyjechali. Cała akcja – pięć minut! Choćby jutro wyśle ci sześćset dolarów na ten cel”⁶³.

Prawie dwadzieścia tysięcy euro wędruje między innymi do działaczy OWP, a także do zapomnianej już Samoobrony, prorosyjskiego Związku Słowiańskiego i tworzącej się właśnie prorosyjskiej partii Zmiana. Wszystko na wybory samorządowe, w których wspierani przez Usowskiego (a realnie przez Kreml) narodowcy startują na radnych wojewódzkich.

Dawid Berezicki, prezes OWP, który w 2014 roku mieszka w Norwegii, dostaje od Usowskiego pięćset euro – „na wybory”. Kiedy Białorusin chce mu dosłać kolejny tysiąc, Berezicki obawia się już przelewów ze Wschodu – być może czuje, że ktoś patrzy mu na ręce. Usowski uspokaja i zapewnia, że może mu przekazać gotówkę osobiście w Grodnie. Rok później pisze do innego działacza OWP, Dawida Hudźca: „Dawid, w zeszłym tygodniu byłem w Moskwie. Zapytano mnie, czy można wprowadzić do sejmu dziesięcioro naszych ludzi – żeby stworzyć prorosyjską frakcję. Powiedziałem, że można. We wtorek będzie się decydować kwestia pieniędzy [na wybory – przyp. MS]. Jeżeli zostaną

przydzielone – potrzebujemy ciebie jako kandydata. Jesteś znany w Polsce, ale najważniejsze, że zna cię Ławrow”.

Przez kilka lat pieniądze od Usowskiego dostaje też Mateusz Piskorski, narodowiec, poseł Samoobrony i założyciel partii Zmiana, zatrzymany później pod zarzutami szpiegostwa na rzecz Rosji i Chin. To centralna postać w uniwersum prorosyjskich narodowców. Pochodzi ze Szczecina. W latach dziewięćdziesiątych działa w środowisku neonazistowskich i pogańskich skinheadów. W 2000 roku w towarzystwie hajlujących kolegów ze stowarzyszenia „Niklot” pojawia się na okładce tygodnika „Wprost”. Pismo reklamuje artykuł zająwką: „Hitlerjugend”.

Piskorski wydaje pisemko „Odala”, w którym – jak ujawni Rafał Pankowski – promuje neonazistowskie zespoły muzyczne, cytuje Adolfa Hitlera i neguje Holokaust. W jednym z artykułów autorzy pytają retorycznie: „Jakie inne doktryny, prócz faszyzmu i narodowego socjalizmu, i jakie inne kraje, prócz Italii i Trzeciej Rzeszy, osiągnęły tak wielkie zyski materialne i duchowe w tak krótkim czasie, stawiając czoło tak wielu przeszkodom?”⁶⁴.

Piskorski chce wyjść z niszy, marzy mu się wielka polityka. Wstępuje do szczecińskiego oddziału Stronnictwa Narodowego. Razem z innymi „odalowcami” szuka miejsc na listach różnych partii, w tym nawet Polskiego Stronnictwa Ludowego. W końcu trafia do Samoobrony Andrzeja Leppera, która w życiorysy nie patrzy, a o poglądy nie pyta. Kończy politologię i zaczyna pracę asystenta na Uniwersytecie Szczecińskim. Jest skuteczny. Pnie się w górę w partyjnej hierarchii. Pisze liderom Samoobrony przemówienia, opracowuje dokumenty programowe. W 2004 roku kandyduje do europarlamentu, rok później do sejmu. W wyborach dostaje pięć tysięcy sześćset głosów, a razem z nimi – miejsce na Wiejskiej.

Liderzy partii Samoobrony (współrządzącej wtedy z PiS-em i LPR) na przeszłość Piskorskiego przymykają oko. Nie przeszkadza im jego otwarte poparcie dla wielkiego sąsiada ze Wschodu. Piskorski przez lata opowiada się za „ideą Wielkiej Rosji”. W 2005 roku współorganizuje w Brukseli konferencję „Oś dla pokoju”, w której biorą udział przedstawiciele autorytarnych reżimów z Bliskiego Wschodu, a także Rosji i Białorusi.

„To nie zły sen, to współczesna polska rzeczywistość” – pisze w 2006 roku w magazynie „Nigdy Więcej” Rafał Pankowski, komentując błyskawiczną karierę dawnego nacjonalisty. I zauważa: „W dowolnym demokratycznym kraju neonazistowskie i rasistowskie koneksje młodego polityka przyniosłyby mu nie tylko marginalizację, ale i powszechne potępienie”⁶⁵.

W 2007 roku rząd upada, lecz były poseł Piskorski działa dalej. Rejestruje Europejskie Centrum Analiz Gospodarczych (ECAG), szumnie nazywające się think tankiem, który ma się zajmować geopolityką i na którego konto – jak ujawnią dziennikarze śledczy z międzynarodowej organizacji OCCRP (ang. Organized Crime and Corruption Reporting Project) – trafi dwadzieścia jeden tysięcy euro w ramach procederu prania brudnych pieniędzy z przeżartej korupcją i zdominowanej przez oligarchów Rosji.

W 2014 roku jest jednym z „niezależnych” obserwatorów referendum aneksyjnego na Krymie. Procesowi głosowania nie mogą się przyglądać między innymi niezależni eksperci Organizacji Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie (OBWE), mogą jedynie „zaproszeni” przez władze Rosji działacze, dziennikarze i politycy znani z sympatii wobec Kremla, którzy zgodnie uznają, że referendum było w pełni uczciwe i przejrzyste.

W 2015 roku Piskorski zakłada partię Zmiana. Na krótko przed jej kongresem założycielskim spotyka się z nim reporter Paweł Reszka,

wieloletni korespondent polskich mediów w Moskwie.

„Przedsiębiorcy potracili mnóstwo pieniędzy na wojnie handlowej z Rosją, mają już jej dość. To także, jak sądzę, będzie środowisko, które zainteresuje się naszą inicjatywą” – mówi Piskorski.

„Pomogą w finansowaniu?” – dopytuje Reszka.

„Na razie pieniądze są ze zrzutek ludzi zainteresowanych partią”.

Pytany o finansowanie ze Wschodu (wtedy nie były jeszcze znane ustalenia ukraińskich hakerów w sprawie działalności agenta Usowskiego), Piskorski odpowiada: „Rosja, można w to nie wierzyć, nie daje pieniędzy na żadne inicjatywy w Polsce. Uznali nas za kraj antyrosyjski, stracony. Wolą finansować innych”. Uważa, że nowa partia ma potencjał, bo w Polsce jest silny sentyment antyukraiński wynikający z historii i niemal każda rodzina ma w swoim otoczeniu kogoś, kto ucierpiał z ręki „banderowców”.

Reporter rozmawia też z Marcinem Domagałą, prezesem Europejskiego Centrum Analiz Geopolitycznych. Pyta go, czy czuje się agentem wpływu.

„Nie, ja prezentuję swoje poglądy” – odpowiada Domagała.

„Rusofilskie?” – dopytuje Reszka.

„Jestem raczej zwolennikiem *Realpolitik*. Pytam: co Rosja zrobiła nam złego przez ostatnich 25 lat? Moim zdaniem nic. O Katyniu trzeba rozmawiać, ale trzeba też sprzedawać jabłka”⁶⁶.

W artykule, który razem z Pawłem Reszką piszemy wtedy dla „Tygodnika Powszechnego”, pojawia się też inna ważna postać, wówczas bardzo na czasie. To Bartosz Bekier, student politologii i przewodniczący założonej w 2009 roku neofaszystowskiej Falangi, uczestnik spotkań organizowanych przez Piskorskiego w rządzonej przez reżim Asadów Syrii i kontrolowanym przez rosyjskich separatystów Doniecku. Dawniej członek ONR-u, z którym jednak się skłócił.

Kiedy Rosja zajęła Krym, Bekier jedzie okazać swoje wsparcie. Mówi mi wtedy, że „Doniecką Republikę Ludową” odwiedził „w ramach realizacji szeroko pojętej misji czasopisma internetowego Xportal.pl”, którego jest naczelnym. A jaka to misja? „Dywersyfikacja przekazów medialnych zdominowanych przez jednostronną, euroatlantycką narrację”. Bekier twierdzi, że działań Falangi „nie należy utożsamiać z poparciem dla działań prezydenta Federacji Rosyjskiej”. Falangiści chcą po prostu „przedstawić pewne racje powstańców”, którzy „codziennie ponoszą wielkie ofiary, brakuje im podstawowego ekwipunku i uzbrojenia”, a „większość tego, czym dysponują, to broń zdobyta na wrogu i znaleziona w jego magazynach”.

Mówiąc „powstańcy”, Bekier ma na myśli rebeliantów z samozwańczej republiki z Doniecka. Mówiąc „wróg” – władze Ukrainy i jej wojsko.

Udziela wywiadów polskim i rosyjskim dziennikarzom, którzy przytakują, kiedy mówi, że to Ukraińcy zestrzelili pasażerski samolot nad Donbasem. Chętnie pozuje do zdjęć na tle rebeliantów, w brudnej koszuli i czarnym krawacie, najczęściej z groźną miną i rękami skrzyżowanymi na piersiach.

Na prowadzonej przez Bekiera stronie Xportal, przejętej zresztą od innego środowiska, znajdują teksty poświęcone sytuacji w różnych krajach, a także wywiady ze znanymi osobistościami, między innymi z Denisem Puszylinem, przywódcą samozwańczej Donieckiej Republiki Ludowej, czy neofaszystą Nickiem Griffinem z Brytyjskiej Partii Narodowej. W redakcji serwisu oprócz Bartosza Bekiera zasiada również Adam Danek, aktywny działacz Organizacji Monarchistów Polskich, autor tekstów: *Żydokonserwa i Dlaczego faszyzm?*.

Na pytanie o finansowanie Xportalu Bekier odpowiada, że strona funkcjonuje „na takich samych zasadach jak inne opiniotwórcze

czasopisma internetowe”, a wyjazdy zagraniczne korespondentów portalu są opłacane „z ich własnej kieszeni”.

W 2016 roku Mateusz Piskorski zostaje zatrzymany przez ABW pod zarzutami szpiegostwa. Wychodzi trzy lata później po wpłaceniu dwustu tysięcy złotych poręczenia. Sprawa nadal jest w toku. Dotąd zgromadzono w niej sto osiemdziesiąt cztery tomy akt.

Mimo zarzutów i trwającego procesu Piskorski ciągle działa politycznie – teraz jako publicysta i komentator między innymi „Myśli Polskiej” redagowanej przez Jana Engelgarda, narodowca o prorosyjskich poglądach, autora książki *Wirus rusofobii*.

To przede wszystkim postać Piskorskiego łączy wszystkie inne nisze i podzbiory narodowców wielbiących Putina i hejtujących Ukrainę. Niczym weteran placu boju wypowiada się w mediach młodszych kolegów. Udziela wywiadów kanałowi *Chrobry szlak*. Wypowiadają się tam także przebywający w Donbasie Dawid Hudziec z Obozu Wielkiej Polski i były ksiądz Jacek Międlar, dziś głoszący radykalnie antyukraińskie poglądy. Piskorski jest również gościem internetowej telewizji eMisja.tv. Tę z kolei prowadzi Piotr Korczarowski, kolejny prorosyjski narodowiec i dziennikarz, prezes fundacji Inicjatywa Przeciw Cenzurze.

Już w sierpniu 2016 roku Marcin Rey, bloger śledzący rosyjskie wpływy w Polsce, prześwietlił Korczarowskiego. Przypomniał, że w 2011 roku kandydował on do sejmu z list Samoobrony. Korczarowski jest sekretarzem fundacji Muzycy – Muzykom, której prezesem jest Paweł Ziemiński, szef stowarzyszenia Wierni Polsce Suwerennej, członek Stowarzyszenia Polska – Białoruś i autor listu gratulacyjnego do Aleksandra Łukaszenki po kolejnej reelekcji na fotel prezydenta. Marcin Rey dotarł też do zdjęcia, na którym Korczarowski pozuje z narzeczoną podczas uroczystości w ambasadzie rosyjskiej w Warszawie.

Dzień przed agresją Rosji na Ukrainę Korczarowski publikuje na Facebooku nagranie, w którym nawiązuje do rzezi wołyńskiej: „Jak zaczniecie pieprzyć, że to było dawno, to zapytajcie przynajmniej swoich braci Ukraińców, czy pozwolili chociaż ekshumować te ciała pomordowanych Polaków, bo ja wiem, że nie, i dziś stawia się na Ukrainie pomniki banderowcom, którzy mordowali Polaków. Jeśli to jest wasza forma solidarności z oprawcami, to polecam kontakt z psychologiem, bo to jest gruby syndrom sztokholmski”.

Kilka miesięcy wcześniej siedzi w studiu swojej telewizji i opowiada o życiu, w niczym nie przypominając dumnego prorosyjskiego radykała.

Podobno zawsze marzył o pracy korespondenta wojennego. Zachwycał się reportażami Waldemara Milewicza, Wiktora Batera. W szkole tworzył nieoficjalną gazetkę, drukowaną przez mamę kolegi, bez nadzoru nauczycieli. Potem odkrył YouTube'a i poczuł, że otwierają się przed nim wielkie możliwości. Pierwsze nagrania robił w 2008 roku, jednak przełom nastąpił po katastrofie smoleńskiej.

Zwolennikiem PiS-u nie jest, ale narodowa tragedia go porusza – postanawia o niej mówić w internecie. Wynajmuje salę, na sprzęt zarabia, pracując w Anglii. Sam o sobie mówi „weteran internetu” i dodaje, że jest dumny, bo na rozkręcenie kanału nie wziął kasy od miasta, państwa ani z Unii. Działalność eMisji – jak twierdzi – ma być finansowana wyłącznie z „wpłat od ludzi”. Uważa się za ideowca, romantyka, idealistę. Mógłby wyjechać do stolicy, zrobić karierę „w Polsacie czy TVN-ie”, ale tam musiałby słuchać wydawcy i wpasować się w „linię programową stacji”. A wtedy, mówi, nie czułby się „prawdziwym dziennikarzem”. Nie wyjechał, wolał zostać w Łodzi. Dlaczego? To się chyba wynosi z domu. Jego ojciec za komuny „trzy razy wylatywał z teatrów”, bo mu „podsuwali legitymację partyjną, a on odmawiał” – twierdzi Korczarowski, rocznik

1987. Sam pracował chwilę w korporacjach, na budowie, w drogerii, podpinał ludziom internet. Uznał, że to nie dla niego, bo brakuje mu „korporacyjnego podejścia”, ma „za duże wnętrze, za dużą osobowość, żeby zamknąć go w klatce”.

Wychował się na łódzkiej Dąbrowie, jednym z blokowisk, gdzie żyje się na granicy – między strefami kiboli dwóch rywalizujących ze sobą klubów. Kiedy był mały, patrzył po murach, sprawdzał, na czyjej jest ulicy: Widzewa czy ŁKS-u. W ryj, jak mówi, można było dostać na każdym kroku.

Młodość i dzieciństwo to dla niego „szkoła życia”, bo zakłady pracy w Łodzi – głównie tekstylne – upadają z dnia na dzień i kilkaset tysięcy ludzi zostaje z niczym. Rodzice Korczarowskiego są aktorami, na początku lat dziewięćdziesiątych pracowali w Wytwórni Filmów Fabularnych. Kiedy upada także przemysł filmowy, tracą pracę, a że państwowe teatry już nie przyjmują, zatrudniają się w prywatnych, głównie wyjazdowych – jeżdżą w trasy ze spektaklami po całej Polsce. Piotr prawie rodziców nie widuje.

Wczesne lata go „hartują”, bo koledzy ze szkoły i łódzkiego podwórka potrafią „dowalić”. Chłopaki chodzą z nożami do szkoły, raz ktoś przynosi łańcuch, żeby kogoś pobić. Młody Korczarowski potrafi się odgryźć, nie jest „ofiara” i „tylko raz dzwoni na policję”, bo wie, że jakaś grupa się na niego szykuje. Ma przekichane, bo jako dzieciak zagrał w filmie *Drzewa* – kiepskim horrorze psychologicznym. Twierdzi jednak, że dzieciństwo nie wpłynęło na jego dzisiejsze poglądy. Został narodowcem, bo „poznał ludzi, którzy walczyli w drugiej wojnie światowej”, między innymi Stanisława Skalskiego, polskiego lotnika. Zanim jednak skręcił w prawo, wybrał inny kierunek: maturę z WoS-u idzie pisać w biało-czerwonym krawacie Samoobrony.

„Dokąd idziesz, Polsko? Dokąd idziesz, kraju?” – śpiewa na zlecenie Leppera zespół Ich Troje, a Piotr odnajduje w tych słowach to, co najbardziej go dotyka. Sympatia do Samoobrony w jego politycznym CV to nie przypadek.

To właśnie w partii Andrzeja Leppera karierę robili aktywni do dziś prorosyjscy działacze i politycy, w tym także Mateusz Piskorski. W założonej przez niego partii Zmiana wiceprzewodniczącym był Nabil Malazi, Syryjczyk od lat siedemdziesiątych mieszkający w Polsce, wyznający prorosyjskie (a jednocześnie silnie antysemityczne) poglądy. Malazi udzielał się także w partii Polska Patriotyczna, założonej przez byłych działaczy ugrupowania Leppera.

9 maja 2022 roku Syryjczyk pojawia się pod pomnikiem poległych czerwonoarmistów w Warszawie, gdzie protestują Ukraińcy. Podchodzi do nich i krzyczy: „Co wy tu robicie, tutaj w Polsce, do cholery jasnej?! Co wy tu robicie?! Wracać tam, wracać!”. W szarpaninie – prawdopodobnie z Ukraińcami mieszkającymi w Polsce – zostaje oblanym czerwonym płynem. Później jedna z ukraińskich aktywistek oblewa podobnym płynem ambasadora Rosji składającego pod pomnikiem kwiaty. O wszystkim z zadowoleniem informują zależne od Kremla media.

Korczarowski tłumaczy: przyjacielem jego ojca był reżyser Bohdan Poręba, który założył Zjednoczenie Patriotyczne „Grunwald” i nakręcił wiele polskich filmów wojennych.

Poręba był też – o czym Piotr nie wspomina – związany z Andrzejem Lepperem, którego kampanią wyborczą kierował w 1993 roku. A także z Bolesławem Tejkowskim rekrutującym do swojej partii skinheadów, a potem jeszcze z Polską Patriotyczną. Jego teksty ukazywały się między innymi w prorosyjskiej „Myśli Polskiej”, której komentatorem jest dziś Mateusz Piskorski. Bohdan Poręba zmarł w 2014 roku. Jedno

z przemówień podczas pogrzebu wygłosił nie kto inny jak Piotr Korczarowski.

Pytam go mailowo o stosunek do Rosji i do jej agresji na Ukrainę. Odpowiada pokrętnie, że „nie kibicuje żadnej ze stron”. Nie widzi zagrożenia, że „zaraz tu będą rosyjskie kolumny pancerne”, ale też nie rozumie, dlaczego „tyle ryzykujemy i ponosimy taki koszt zaangażowania po stronie ukraińskiej”. Trwającą wojnę uważa za starcie USA z Rosją „o pozycje wyjściowe do konfliktu z Chinami”. Postuluje, by Polska „zachowywała się jak Niemcy”: od jednych „kupowała paliwo, drugim dostarczała broń i niech się zabijają”. Bo „obie strony są sobie warte”.

Czy uważa się za prorosyjskiego narodowca? Nie, takie opinie go oburzają, bo „był w Rosji na wizie dziennikarskiej, za którą sam zapłacił”, i „przeżył głębokie rozczarowanie”. Nie odpowiada mu mentalność Rosjan, sposób załatwiania interesów, multikulturalizm, bo „w tym Moskwa niczym nie różni się od Brukseli” – „w europejskich stolicach jest masa imigrantów z Afryki i Bliskiego Wschodu, a w Rosji masa imigrantów z Azji”.

Zgadza się, że jego kanał prezentuje antyukraińskie poglądy. W Ukrainie był „wielokrotnie” i uważa ją za „bandyckie państwo, zbudowane na chaosie, bezprawiu, oligarchii, korupcji, arogancji”. Ukraińcy Polaków „nigdy nie przeprosili za Wołyń, nigdy nie czuli się winni”, a Wołyń nie był zbrodnią systemową przeprowadzoną rękami aparatu państwa, tylko „zrywem społecznym”.

Czy to wpisuje się w rosyjską propagandę? Korczarowski „ma to gdzieś” i twierdzi, że nie obchodzi go, „jakimi kartami gra Putin”. Przez niego przemawia „ludzki obowiązek upominania się o przodków” – jego ojciec w 1943 roku „cudem uniknął banderowców”, „dwa razy uciekł spod ich siekier”.

Kilka miesięcy później, 11 listopada 2022 roku, Korczarowski pojawia się na antyukraińskim marszu organizowanym we Wrocławiu przez Jacka Międlara. Były ksiądz zostaje zatrzymany jeszcze w drodze do stolicy Dolnego Śląska, ale zastępują go współpracownicy. Przynoszą transparenty: „Znajdzie się kij na banderowski ryj”, „To jest Polska, nie Ukropolin”. Marsz idzie pod hasłem „Polak w Polsce gospodarzem”.

Przemawia Korczarowski. Przez megafon głosi, że po fali covidu przyszedł do Polski „potop ukraiński”.

MINISTRANT

Inny prorosyjski narodowiec, twórca kanału *Chrobry szlak*, był kiedyś w Młodzieży Wszechpolskiej i Ruchu Narodowym. Kilka lat temu założył Klub im. Romana Dmowskiego, który zorganizuje zakończone pałowaniem i gazowaniem spotkanie z Krystianem Jachacym. Do grona narodowców przyjaznych Rosji wnosi kolejny charakterystyczny dla tego środowiska odcień: antysemityzm.

Na jedno ze spotkań zaprasza Stanisława Michalkiewicza, autora książki *Antysemityzm? Piękna idea!*. Jest rok 2013, 19 kwietnia, rocznica wybuchu powstania w getcie. To zdaniem organizatora przypadek – po prostu chciał, żeby spotkanie było w czwartek albo piątek. Pasował piątek.

Przeciwko spotkaniu z Michalkiewiczem protestują środowiska lewicowe. O wydarzeniu pisze krytycznie łódzka „Gazeta Wyborcza”. Dzisiaj narodowca, który Michalkiewicza zaprosił, „śmieszą” te zarzuty, bo jego zdaniem nie było to spotkanie „*stricte* o Żydach”. A że z człowiekiem uznawanym za antysemitę? Przez kogo uznawanym, przez tego uznawanym, kwituje organizator.

Michalkiewicz przyjeżdża – i robi swoje. Ktoś zadaje mu pytanie o *Protokoły mędrców Syjonu* – fałszywy, spreparowany w czasach carskiej

Rosji tekst ukazujący rzekome plany przejęcia przez Żydów dominacji nad światem. Publicysta odpowiada, że nawet jeśli to fałszywka, „autor musiał być bardzo spostrzegawczy”, i uśmiecha się porozumiewawczo do sali.

Kilkanaście lat wcześniej youtuber nacjonalista jest grzecznym synem nauczyciela. Ojciec nie ma gdzie schować podręczników, ustawia je więc na półkach w pokoju małego syna. „Naturalnie”, jak mówi dzisiaj, przyszły narodowiec bierze książki historyczne dla starszych uczniów i czyta. Pochłania raczej.

Z kolegami z klasy o historii nie rozmawia. Jest typem kujona, prymusa – wysoka średnia, czerwony pasek na świadectwie. Na początku innym to się nawet podoba, jednak kiedy rosną, zaczynają się podśmiewywać. On jest nieśmiały, zamknięty. Przychodzi do szkoły, przetrwa tych kilka godzin i wraca do siebie, do swojego świata, czyli głównie do czytania i oglądania filmów. Naprzeciwko jego bloku jest osiedlowa biblioteka. Przyszły działacz książki wypożycza stosami – także z biblioteki szkolnej.

Rodzice angażują się w politykę. Mama startuje w wyborach z list LPR. Nie dostaje się. Za to Roman Giertych tak. Wszechpolak zostaje ministrem i wprowadza do szkół mundurki. W podstawówce dzieciaki mają nosić granatowe kamizelki.

Normalne życie? Trzeba by najpierw ustalić, co to znaczy „normalne”. Że imprezy, granie w piłkę na podwórku? Nie, do tego go nie ciągnie. Kiedy innym w głowie dziewczyny, on klęka przy ołtarzu i dzwoni dzwoneczkami na podniesienie. Ministrantem jest od pierwszej komunii. Wśród swoich lektur ma także te o religii, historii Kościoła. Ma już swoje sympatie: proboszcz nie jest dla niego autorytetem, bo to liberał i czyta „Tygodnik Powszechny”. W środowisku narodowców, w którym od młodych lat obraca się chłopak, takie sympatie nie przechodzą.

W swojej wierze jest jeszcze bardziej radykalny. W dzieciństwie dużo rozmawiał z dziadkiem i dziadek mu opowiadał, jak to w jego czasach ksiądz mówił po łacinie, stał tyłem do wiernych. Przyszłemu narodowcowi bardzo się to podoba, dlatego dzisiaj chodzi na msze do lefebrystów – Bractwa Kapłańskiego Świętego Piusa X, odłamu katolickich tradycjonalistów odprawiających mszę po łacinie i wyznających zasady sprzed Soboru Watykańskiego II.

Lefebryści mają na bliźnich nieco inny pomysł niż zwykli katolicy. Pomoc potrzebującym? Tylko jeśli należą do naszego „kręgu kulturowego”, twierdzi nacjonalista. Pomoc „obcym” – już nie.

Kara śmierci? Dopuszczalna. Piąte przykazanie? Pewne ustępstwa są. W takim razie czy kat wykonujący egzekucję dostałby u lefebrystów rozgrzeszenie? Krótka chwila zawahania. „Chyba tak”.

Wychodzimy przed kawiarnię, patrzymy na Zgierz, a mój rozmówca tłumaczy, dlaczego „żydowskie lobby” stanowi dla Polski zagrożenie. Mówi coś, że to „bardzo silne środowisko”, że Żydzi „potrafią wywierać duży nacisk, wpływać na opinię publiczną”, że „ciągle podkreślają, jak to u nas jest źle i jakimi to Polacy są antysemitami”. Zaciska szczęki, a potem dodaje podniesionym głosem:

– Tak im źle? Tak im tu niedobrze? Proszę bardzo! Z Warszawy regularnie latają samoloty do Tel Awiwu!

Jakiś czas później pytam go o poglądy na wojnę, Ukrainę i Rosję. Wiadomość na Facebooku odczytuje, ale milczy.

ROBOTNIK

W spisanej w dwudziestu punktach deklaracji ideowej Pracy Polskiej czytamy, że „najwyższą wartością jest Naród”, organizacja popiera „państwo narodowe”, „gospodarkę społeczną”, „powszechność związków

zawodowych”, „odbudowę przemysłu”. Odrzuca za to neoliberalizm i sprzeciwia się „ściągnięciu imigrantów do Polski i Europy”. O poparciu dla mordowania niewinnych cywilów już mowy nie ma.

Dwa dni po agresji Rosji na Ukrainę Krystian Jachacy, sekretarz główny organizacji, pisze na Twitterze, że „na stronach separatystów [z republik »uznanych« przez Rosję tuż przed atakiem na Ukrainę – przyp. MS] pojawiają się nagrania z zajmowania kolejnych miejscowości Donbasu. W wielu miejscach miejscowi Rosjanie witają wkraczające wojska”. Tym samym dwa dni po wysłaniu przez Rosję pierwszych rakiet w kierunku sąsiedniego państwa prezes Pracy Polskiej powtarza oficjalną propagandę Kremla, uzasadniającą użycie siły.

Jachacy, rocznik 1997, wychowuje się w miasteczku pod Warszawą na „osiedlu komunalnym”, ale ma do czynienia z „całym przekrojem społecznym” – „od burmistrza do kolegów w dresach”. Bogaci? Dla niego to oczywiste, że się „nakradli”, bo wie, jak po 1989 roku funkcjonowała polska gospodarka. Od młodości ciągnie go do polityki; jako piętnasto-, szesnastolatek zostaje przewodniczącym młodzieżowej rady miejskiej. O mniej zaradnych od siebie nie zapomina: po zebraniu rady potrafi „posiedzieć wieczorem z chłopakami na osiedlu”, „raz chodzi w marynarce, raz w dresie”. Poglądy narodowe ma „od początku”. Jeszcze jako nastolatek dołącza do ONR-u, zostaje nawet szefem lokalnych struktur, ale szybko się usamodzielnia, zaczyna pracować i widzi, że obóz nie prezentuje „żadnego programu dla ludzi zainteresowanych kwestiami codziennymi”, więc odchodzi.

Dlaczego tak bliska jest mu Rosja i Białoruś? Być może dlatego, że Jachacy uważa się za przedstawiciela „klasy pracowniczej”, a w tej kwestii oba kraje mają pewne tradycje. Mając kilkanaście lat, uznaje, że przedmioty humanistyczne nie zapewnią mu odpowiedniego poziomu życia, że trzeba

ić do pracy. Pracuje jako salowy na umowie śmieciowej, zajmuje się dezynfekcją pomieszczeń w szpitalu. Zarabia dobrze – cztery tysiące na rękę – za to wdycha dużo chemikaliów. Potem robi papiery elektryka, idzie do branży oświetleniowej, zapewnia sobie „podstawy materialne”.

Czy kolegów z pracy stara się przekonać do swoich poglądów? Tak, ale „bardziej na zasadzie przykładu”. Jakiego? Choćby Białorusi. Jachacy popiera białoruską władzę. Dla niego państwo rządzone przez dyktatora stanowi „dobry przykład na to, że transformację można było poprowadzić inaczej”. „Wiele atrybutów państwa można było pozostawić – na przykład w kwestii mieszkań i dbania o potrzebujących”.

A co z agresją Rosji na Ukrainę i pomocą udzielaną Putinowi przez Łukaszenkę? „Polityka zagraniczna to nie jest sport, żeby opowiadać się za jedną albo drugą drużyną” – odpisuje mi Jachacy, kiedy pytam go o stosunek do aktualnej sytuacji. Tłumaczy, że „każdy konflikt międzynarodowy, który przeradza się w otwartą walkę zbrojną” tak blisko naszej granicy, to „zagrożenie dla podstaw bytu społeczno-ekonomicznego dla polskich pracowników”. Dlatego dla niego „nie ma większego znaczenia”, kto wygra militarnie. Ważne, co wygrany „będzie z tego miał”, lub przynajmniej co zrobić, „żeby na tym wszystkim nie stracił”.

Mówi o tworzącym się właśnie „wielobiegunowym układzie globalnym”, w którym Stany Zjednoczone stracą dominującą pozycję. I o tym, że Polska powinna się w tym układzie odnaleźć. Jak? „Polacy muszą przestać ślepo kibicować stronie ukraińskiej, a zacząć wreszcie wyciągać długoterminowe wnioski”. Ubolewa, że po 24 lutego „każdy, kto nie jest zwolennikiem strony ukraińsko-zachodniej”, automatycznie staje się „ruską onucą”, tak jak niechętni noszeniu masek i szczepieniom przeciw COVID-19 byli od razu „antyszczepami, potencjalnymi mordercami”.

Nie zgadza się z opinią, że w swoich mediach prezentuje kremlowską propagandę. Publikowane przez niego treści są jego zdaniem „próbą zbalansowania tego, z czym może się spotkać zwykły polski odbiorca”, „pewną formą otrzeźwienia”. Narodowcy wspierający Ukrainę to dla niego ludzie, którzy marzą o „bezkarności” i „budowie struktur paramilitarnych”. Twierdzi, że „gangów mamy już za dużo, kolejnych nam nie trzeba”.

Latem 2022 roku na kanale *Chrobry szlak* pojawia się wywiad z Jachacym. Lider Pracy Polskiej nawiązuje do tragedii, do której doszło w maju przy warszawskim Nowym Świecie, na oczach wielu przechodniów. Grupa pijanych mężczyzn zaczepiała przechodzące obok kobiety. Uwagę zwrócił im pewien dwudziestodziewięcioletek. Agresorzy wciągnęli go do jednej z bram, pobili i kilka razy dźgnęli nożem. Mimo udzielonej pomocy mężczyzna zmarł.

W mediach społecznościowych od razu pojawiły się głosy, że mordercami są Ukraińcy. Podobną teorię głosi też Jachacy. W jednym z wywiadów twierdzi, że zabójcą jest na pewno „osoba pochodzenia ukraińskiego”. „Pierwszą ofiarą tego ukraińsko-rosyjskiego, a w zasadzie rosyjsko-zachodniego konfliktu jest przypadkowy Polak, który został po prostu zadźgany w bójce” – mówi. I bez zająknięcia dodaje: „W środowiskach banderowskich bardzo popularne jest posługiwanie się nożem, jest to w ich kulturze jak najbardziej dopuszczalne, każdy tam chodzi z nożem, a czasem nawet z ostrą bronią, jest to w końcu państwo upadłe, państwo bezprawia”.

Kilkanaście dni później stołeczna policja publikuje dane i zdjęcia poszukiwanych za zabójstwo przy Nowym Świecie. To trzech młodzi Polacy.

KOLUMNA

O rosyjskich sympatiach polskich narodowców wiemy dziś dużo. Nie tylko dlatego, że z powodu wojny uwaga wszystkich skupiła się na Wschodzie. To głównie zasługa tych, którzy przez całe lata gromadzili wiedzę, poszlaki i twarde dowody, a potem próbowali nas ostrzegać, że kremlowskie wpływy to nie żadna teoria spiskowa – są prawdziwe.

Mrówczą pracę w tej dziedzinie wykonał Marcin Rey, z zawodu tłumacz i przedsiębiorca, po godzinach bloger i twórca facebookowej strony *Rosyjska V kolumna w Polsce*. Swoje posty Rey pisze ze swadą najlepszego publicyisty, starannie wyważając przy tym proporcje między opinią a twardymi faktami, którymi naszpikowany jest każdy akapit.

Kiedy rozmawialiśmy w marcu 2022 roku, wyjaśniał, że kremlowskim speccom od propagandy nie zależy na tym, by do polityki Putina przekonać jak największe rzesze ludzi. Ich prawdziwym celem jest to, by w Polsce pogłębiały się ogromne podziały, by Polacy „skakali sobie do gardeł”. Osłabione w ten sposób społeczeństwo jeszcze łatwiej rozbić.

– Zróbmy sobie małe *political fiction*: pojawia się informacja, że Rosjanie przekroczyli granicę i jadą na Suwałki – mówi mi Rey. – W sytuacji takiego rozdygotania sfery informacyjnej, postprawdy wylewającej się nie tylko z telewizji publicznej państwo nie jest w stanie przekazać konkretnych informacji mobilizacyjnych, na przykład: „Weszli Rosjanie, zgłoś się do najbliższej jednostki”. Będą tacy, którzy w ten komunikat uwierzą, i tacy, którzy zamkną na niego uszy, bo „telewizja kłamie”. Pojawią się tweety typu: „Nie zaciągnę się do PiS-owskiego wojska”. Pewnie powstaną bataliony ochotnicze, ale jak zachowają się wyborcy Konfederacji, jeśli znajdą się w jednym batalionie z ludźmi z KOD-u? Mówimy tu o sytuacji wojny na karabiny i czołgi, tymczasem już teraz w wojnie informacyjnej nie potrafimy się zjednoczyć przeciw jednemu wrogowi.

Dlatego „smutnym panom z Kremla” zależy na tworzeniu w Polsce informacyjnego chaosu, podnoszeniu dymu, w którym gubimy się my – politycznie podzieleni równo na pół.

– Powiem obrazowo: gdzieś w Moskwie siadają sobie panowie socjocybernetycy i decydują, że do podgrzania emocji w Polsce nadaje się na przykład historyczny spór o Wołyń – tłumaczy Rey. – Mają świadomość, że nie dokonają jakiegoś przewrotu prorosyjskiego w Polsce i nie zainstalują tu marionetkowego rządu, nie wywołają w Warszawie prokremlowskiego Majdanu. Nawet tego nie chcą. Zależy im na tym, żeby tutaj wszyscy się kłócili, żeby był bałagan, żeby Polska nie była monolitem. Palą dużo małych ognisk, które powodują, że rośnie temperatura i jest dużo dymu. W tym dymie poruszamy się my. Dwa największe obozy polityczne oskarżają się o prokremlowskość. Jeden uważa, że ten drugi to egzystencjalne zagrożenie, które należy zniszczyć.

Do tworzenia zasłony dymnej potrzebni są zarówno kupieni rublami rosyjscy agenci, jak też drobni „podgrzewacze”, „zakażeni” propagandą zwyczajni obywatele, którzy tę propagandę roznoszą po swoim otoczeniu jak wirus. Finansowanie i prowadzenie w obcym kraju sieci agentów jest kosztowne i pracochłonne. Są inne metody, tłumaczy Rey.

– Choćby polegające na tym, żeby ukąsić ludzi określoną ideologią. Naprowadzać, ale nie prowadzić. Bo prowadzi się agenta, a naprowadza zwykłych ludzi, na przykład dolewając oliwy do ognia w ich bańkach internetowych. Ludzie się od tego zapalają, jak nauczycielka z Sosnowca, która przecież nie mogła działać sama. Na jej stronie hejterskie treści pojawiały się od wczesnego ranka do późnych godzin nocnych. Musiałaby spać po trzy godziny, a posty wrzucać na każdej przerwie między lekcjami. Wyglądało to jak wielka praca zespołowa. Nie twierdzę, że musiała to robić

grupa Rosjan. Nauczycielka mogła generować te wszystkie treści wraz z grupą kolegów myślących o Ukraińcach tak samo jak ona.

AKTYWISTKA

Na przełomie lutego i marca 2022 roku Instytut Badań Internetu i Mediów Społecznościowych (IBIMS) alarmuje: profile używane dotąd do powielania antyszczepionkowych teorii spiskowych teraz stają się zajadłe antyukraińskie.

W zespole dziennikarzy Frontstory.pl też analizujemy te konta. Widzimy, że hejt wobec uchodźców z Ukrainy rozsiewają głównie zwolennicy, a także politycy prawicowej Konfederacji na czele z posłem Grzegorzem Braunem. Postanawiamy sprawdzić, kim są ludzie, którzy pod parasolem prawicowych polityków codziennie zajmują się szczuciem na Ukraińców.

Okazuje się, że za 75 procent dyskusji wokół haseł „nie wspieram Ukrainy”, „to nie nasza wojna” i „ukraińskie ludobójstwo” odpowiada jedna osoba: związana z narodowcami Katarzyna Sokołowska, prezeska Fundacji „Wołyń Pamiętamy”. Treści, które generowała lub udostępniała, mogły dotrzeć nawet do ponad dwóch milionów ośmiuset tysięcy odbiorców. Pisała: „Nie wspieram banderowskiej Ukrainy!!!”, „W jakiej walucie są opłacane owieczki, które za wszelką cenę chcą zakopać temat ukraińskiego ludobójstwa na polskim narodzie?”, „Otwórzcie oczy!!! To nie są uchodźcy wojenni, tylko przesiedleńcy!!!”.

Sokołowska to jedna z mniej znanych, ale bardzo aktywnych osób, które notorycznie i metodycznie rozsiewają w sieci antyukraińską propagandę. Wszystkie od lat związane są ze środowiskiem polskich nacjonalistów, od lat popierają też politykę Rosji. Robią to na masową skalę, dlatego treści, które z siebie wypływają, przesiąkają coraz niżej

i niżej, docierając do zwykłych użytkowników Facebooka, Twittera czy Telegramu.

Cofnijmy się do maja 2017 roku. Pod ambasadą Ukrainy w Warszawie zbierają się uczestnicy kolejnej miesięcznicy wołyńskiej. Głos zabiera też stremowana, drobna brunetka, która w antyukraińskim środowisku zasłynęła z rozsyłania samochodowych naklejek „Wołyń pamiętamy”. Katarzyna Sokołowska przemawia: „Nigdy nie zapomnimy o wyrządzonych nam krzywdach i przyjdzie taki dzień, że władza w naszej ojczyźnie będzie w naszych rękach, i wtedy przekonacie się, Ukraińcy, jaki jest prawdziwy głos Polaków! Tak nam dopomóż Bóg, czołem Wielkiej Polsce!”. Dla tych, którzy jej słuchają, Ukraińcy to wyłącznie banderowcy, a historia Ukrainy to jeden temat: rzeź wołyńska.

Sokołowska mieszka w Opolu. Tu, jak ustalił Marcin Rey, prowadzi najpierw firmę cateringową, a potem – do 2019 roku, kiedy zawiesiła działalność – sklep internetowy z odzieżą patriotyczną. W asortymencie znajdują się głównie koszulki „Polski Lwów” i „Wołyń pamiętamy”. W wywiadzie udzielonym dezinformacyjnemu kanałowi Piotra Korczarowskiego opowiada, że jej rodzina ucierpiała w czasie drugiej wojny światowej na Wołyniu. Około 2017 roku przedsiębiorczyni się radykalizuje i zamienia w antyukraińską aktywistkę.

Nową kartę zaczyna właśnie od wystąpienia w Warszawie w maju 2017 roku. W tym spotkaniu pod ukraińską ambasadą biorą udział między innymi Jerzy Robert Nowak, znany z antysemitkich wypowiedzi w Radiu Maryja, i Eugeniusz Senddecki, narodowiec obecnie pokazujący się na antyszczepionkowych demonstracjach w towarzystwie Nabila Malaziego z prorosyjskiej partii Zmiana. Nad ich głowami powiewają flagi dwóch nacjonalistycznych organizacji: Obozu Wielkiej Polski i Narodowego Świt Polski.

OWP – przypomnijmy – to proputinowskie i antyukraińskie stowarzyszenie nacjonalistów, którego działacze przyjmowali pieniądze od agitatora Aleksandra Usowskiego, a Narodowy Świt (nazwa nawiązuje do greckiej neonazistowskiej partii Złoty Świt), czyli późniejszy Narodowy Front Polski, również obecny w maju 2017 roku pod ambasadą, to z kolei stowarzyszenie, z którym związany jest między innymi działacz OWP Marcin Ż. pseudonim Żółty, człowiek pochodzący z półświatka przestępczego. Żółty podczas wystąpienia nosi opaskę z napisem „Polski Lwów”. Taką samą ma Katarzyna Sokołowska.

Opolanka zaczyna działalność od wyprodukowania czterech tysięcy naklejek z napisem „Wołyń pamiętamy”. W 2018 roku ustawia przy autostradzie A4 billboard upamiętniający rzeź na Wołyniu. Podobne plakaty pojawiają się później w Olsztynie, Wrocławiu i Opolu, mateczniku Sokołowskiej. Skąd ma na to pieniądze? Fundacja „Wołyń Pamiętamy” zbiera je na internetowych zrzutkach.

Sokołowska zbiera też na koncert, który ma odbyć się w 2020 roku w rocznicę rzezi wołyńskiej. Ostatecznie uzyskane w ten sposób ponad dwadzieścia tysięcy złotych przekaże na murale o tematyce wołyńskiej – oficjalnie z powodu pandemii. Cały czas jest aktywna w mediach społecznościowych. Znajduje się w samym centrum antyukraińskiej bańki.

W bańce jest także Jacek Międlar, były ksiądz, dzisiaj narodowiec, którym od kilku lat interesują się polskie służby. W grudniu 2019 roku został zatrzymany przez ABW za „propagowanie faszyzmu lub innego ustroju totalitarnego”. Postawiono mu zarzuty wzywania do nienawiści na tle różnic narodowościowych, etnicznych, rasowych i wyznaniowych oraz stosowania gróźb. Jak pisała wrocławska „Gazeta Wyborcza”, chodziło o wpis na blogu, w którym Międlar wspominał o „Polsce w cieniu żydostwa” i wzywał: „Zbrójm się więc, jak tylko możemy, w broń palną,

organizujemy w szwadronach i komandach, rozpoznawajmy i inwentaryzujemy swoją lokalną V kolumnę, wspierajmy, szkolmy w walce, czytamy i uczymy się – bądźmy nieustraszeni, bezwzględni oraz gotowi na poświęcenie”.

W listopadzie 2019 roku, miesiąc przed zatrzymaniem Jacka Międlara przez ABW, także Katarzyna Sokołowska zostaje wezwana na policję w związku ze swoimi hejterskimi komentarzami na portalach społecznościowych wobec Ukraińców. Przedstawiciele służb (sama Sokołowska mówi o „policji działającej na zlecenie warszawskiej prokuratury”⁶⁷) odwiedzają ją w mieszkaniu. Opolanka przekazuje im wtedy laptop, telefon komórkowy i hasła do kont w mediach społecznościowych. Efektem jest kilkanaście zarzutów szerzenia mowy nienawiści.

Chciałem dowiedzieć się od Sokołowskiej, skąd tak naprawdę bierze się jej nienawiść do Ukraińców, jednak nie odpowiedziała na moje pytania wysłane do niej mailem kilka miesięcy przed oddaniem książki do druku.

INSCENIZATOR

Na celowniku służb jest też Wojciech Olszański, posługujący się pseudonimem Aleksander Jabłonowski, znany prorosyjski narodowiec i antysemita. 11 listopada 2021 roku przyjeżdża do Kalisza. Miejsce nie jest przypadkowe: to właśnie tu w trzynastym wieku podpisano tak zwany statut kaliski, dający przywileje żydowskim mieszkańcom Wielkopolski.

W Święto Niepodległości Olszański wchodzi na scenę ustawioną na Rynku i wśród płonących pochodni razem z Marcinem Osadowskim, współpracownikiem z internetowej Niezależnej Polskiej Telewizji, wygłasza ohydny antysemicką tyradę: „Żydzi w Polsce są panami, a my ich niewolnikami. Żydzi zawsze z okupantem się bratali. Już nigdy Polak

Żydowi nie będzie niewolnikiem. Panowie policjanci, napierdalajcie w naszym imieniu naszych wrogów. Bo to ci sami wrogowie. LGBT-y, pederasty, syjoniści – to są wrogowie Polski. Won z naszego kraju! Do Brukseli!”. Tłum odpowiada: „Śmierć Żydom! Śmierć Żydom!”. Przemawia też Piotr Rybak, przedsiębiorca, który na Rynku we Wrocławiu spalił kukłę Żyda: „Ci polskojęzyczni ludzie pochodzący z Izraela działają przeciwko narodowi polskiemu. I tę hołotę polskojęzyczną, jak w 1968 roku, pogonimy do Izraela!”.

Wszyscy trzej zostaną zatrzymani pod zarzutami głoszenia nienawiści. Olszański wyjdzie po trzech tygodniach i wpłacie poręczenia majątkowego. Ponownie trafi za kraty w styczniu 2022 roku za stosowanie gróźb karalnych, po tym jak podczas antyszczepionkowego wiecu w Bydgoszczy posłom zagrozi śmiercią, a dziennikarzom „rozstrzelaniem”. Z aresztu wyjdzie w maju, ale w listopadzie wróci już do więzienia jako skazany za nawoływanie do przestępstwa.

Olszański, rocznik 1960, to aktor teatralny i filmowy. W latach 1983–1987 występuje na deskach Teatru Narodowego, potem gra epizody między innymi w filmach *Quo vadis* i *1920 Bitwa Warszawska*. Po raz pierwszy robi się o nim głośno, kiedy tuż przed meczem Polska–Rosja na Euro 2012 mówi, że po „zwycięskim dla Rosjan meczu” rosyjscy kibice przyjdą pod hotel fetować swoją drużynę, a to „dobra okazja do pojednania”. W tym samym roku występuje jako uczestnik inscenizacji w sto osiemdziesiątą pierwszą rocznicę bitwy pod Olszynką Grochowską. Potem jako „reżyser” i „inscenizator” pojawia się w studiu programu *Polski punkt widzenia* w TV Trwam. Występuje również w programie artystycznym w ramach obchodów sześćdziesiątych dziewiątych urodzin założyciela Radia Maryja ojca Tadeusza Rydyka, a z okazji zorganizowanej w warszawskim parku

Traugutta rocznicy wybuchu powstania styczniowego recytuje *Przesłanie Pana Cogito* Zbigniewa Herberta.

W 2018 roku Olszański zostaje prezesem Stowarzyszenia Narodowy Front Polski, które wcześniej funkcjonowało pod nazwą Stowarzyszenie Narodowy Świt. Zostało ono założone przez Marka Gralewskiego i Marcina Ż., wówczas jeszcze działacza Obozu Wielkiej Polski – człowieka, który publicznie przyznaje się do odsiadki i związków z gangiem Jerzego W., pseudonim Żaba, częścią gangu pruszkowskiego odpowiedzialną za przemyt narkotyków. Zmiana nazwy stowarzyszenia odbywa się jednocześnie ze zmianą zarządu. Nowy prezes uznawany jest za przedstawiciela środowiska Kamratów (lub Rodaków Kamratów) – sieci nieformalnych grup o charakterze nacjonalistycznym. Ich członkowie, tak jak lider, pokazują się publicznie w strojach przypominających mundury z naszywkami „Śmierć wrogom ojczyzny”. Szczególnie aktywni są w okresie pandemii COVID-19, kiedy wchodzą do punktów sanepidu i domów dziecka, atakują personel – jak przekonują, w proteście przeciw szczepieniu dzieci.

Właściwa kariera Olszańskiego – radykała przebranego w mundur, złorzeczącego „Żydom”, „komuchom”, „pedałom” i „lewactwu” – zaczyna się w 2016 roku, kiedy na kanale eMisja.tv Piotra Korczarowskiego pojawia się z nim wywiad. Olszański przedstawia się wtedy jako „członek Związku Jaszczurczego”. W rzeczywistości ta organizacja już nie istnieje; założona w październiku 1939 roku przez działających w antyhitlerowskim podziemiu narodowców związanych z przedwojennym Obozem Narodowo-Radykalnym, w 1942 roku współtworzyła Narodowe Siły Zbrojne i do końca wojny nie wróciła do starej nazwy.

Nagranie staje się w kręgach prorosyjskich narodowców bardzo popularne, a Olszańskiemu daje status niemal celebrycki. W tym samym

roku radykał pojawia się u Korczarowskiego jeszcze raz i mówi, że „Ukraińcy wyciągają z niebytu banderowskie bestie”. Z czasem zaczyna występować w Niezależnej Polskiej Telewizji, którą tworzy razem z Marcinem Osadowskim. Jego retoryka stanie się jeszcze ostrzejsza, zajadle antysemita i nasycona agresją wobec wszelkich mniejszości.

Od lat popiera Rosję rządzoną przez Putina. Jeszcze w 2015 roku, kiedy Ministerstwo Spraw Zagranicznych nie wyraża zgody na wjazd do Polski przyjaznego Kremlowi gangu motocyklowego Nocne Wilki, Olszański mówi, że to „dmuchanie w wojenne trąby”, „hańba”, oraz sugeruje, że „Amerykanie chcą, żebyśmy bili się z Rosjanami o Ukrainę”. Uważa, że „Krym był i będzie rosyjski”, a podczas spotkania z rosyjskim ambasadorem zachwala narodowca Bolesława Piaseckiego.

W czerwcu 2021 roku pojawia się na Marszu Dmowskiego na ulicach Warszawy. W czarnym mundurze siedzi na koniu i przez megafon przemawia do maszerujących. Ktoś w tłumie niesie rosyjską flagę dużych rozmiarów. Zapytany o to przez reportera „Gazety Wyborczej” uczestnik marszu tłumaczy, że „jest ze słowiańskiego stowarzyszenia” i że „on i jego towarzysze są antyamerykańscy i antynatowscy”.

Po wyjściu z aresztu w maju 2022 roku znowu nagrywa. W jednym z filmików nawołuje, żeby ukraiński rząd „właśnie teraz” przeprosił za rzeź wołyńską, że to „najlepszy moment”. Przyznaje: „Wiadomo, jestem ruską, śmierdzącą onucą”. 11 listopada ma się pojawić na krakowskim kopcu Krakusa, gdzie zwołał wiec Kamratów, ale 1 listopada zostaje zatrzymany i osadzony w areszcie. Jego przyjaciel Marcin Osadowski twierdzi, że Olszański nic nie wiedział o wyroku – sześciu miesiącach pozbawienia wolności za nawoływanie do popełnienia przestępstwa: zabijania polityków. Takich słów Olszański użył podczas wiecu Kamratów w Bydgoszczy.

Osadowski to jego najbliższy współpracownik i partner w wulgarnych streamach w internecie. Wywodzi się ze szczecińskiego środowiska skupionego wokół Janusza Korwin-Mikkego, przez jakiś czas był nawet jego asystentem. Zanim połączył siły z Olszańskim, zajmował się głównie realizacją nagrań wideo i transmisją z wydarzeń sportowych. Podczas wiecu w Krakowie⁶⁸ widać, że nie ma ambicji, by wchodzić w rolę szefa ruchu. Już w pierwszych słowach przypomina o jego zatrzymaniu i skazaniu. Co kilka zdań, niczym refren, podaje hasło: „Wojciech Olszański? Obecny!”, wtrąca anegdoty o przyjacielu: „Jak powiedziała by Wojtek...”. Na scenie rozwieszony jest portret Olszańskiego, na ekranie wyświetlane są wulgarne filmiki z jego udziałem.

Atmosfera na kopcu nie przypomina tej z Wrocławia czy Warszawy. Kamraci skupieni w małych grupkach odpalają grille, pieką kiełbaski, ukradkiem nalewają alkohol do plastikowych kubków. Kamratki w wieku emerytalnym rozkładają turystyczne krzeselka, a na ziemi tacki z ciastem. Tak spędzą całe popołudnie. Część z nich robi sobie zdjęcia z czołowym antyszczepionkowcem Markiem Majchrem, pseudonim Czujny. Jego obecność nie jest przypadkowa – to na antyszczepionkowych protestach zawiązywały się znajomości ludzi, którzy dzisiaj orbitują wokół antysemity, ksenofoba i antyszczepionkowca Olszańskiego. Od kiedy temat pandemii, obostrzeń i szczepionek zszedł na drugi plan, Kamraci spotykają się rzadziej.

Na scenę wychodzą kolejno przedstawiciele poszczególnych miast. Każdy ma do opowiedzenia jakąś historię. Lekarz mówi o rzekomej szkodliwości szczepień, nauczycielka o kulejącym systemie edukacji, ale morał zawsze jest jeden: państwo zabiera wolność, próbuje zakuć w kajdany. Dlatego – nawołuje kamrat z Bydgoszczy, z zawodu lekarz –

trzeba rewolucji, obalenia systemu. Chwilę później tłum skanduje: „Śmierć wrogom ojczyzny!”.

Wrogów ojczyzny jest sporo. Od uchodźców „z krainy na U” (jak dowcipkuje jeden z kamratów), po „chazarów” (w kamrackim żargonie pogardliwe określenie Żydów). Pod samym szczytem kopca ktoś rozkłada baner: „Wołyń '43. Ukraińskie zbrodnie na Polakach”. Drugi, z antysemickim hasłem: „Koszer łapska precz od Kamratów!”, przez kilka godzin trzyma mężczyzna stojący tuż pod sceną. Pojawia się też zwyczajowe hasło „Polska dla Polaków”. W rozmowach w tłumie te same akcenty: Polskę zalewa fala Ukraińców – nie przestrzegają prawa, zabierają pracę i przestrzeń do życia. W pewnym momencie w grupie widać poruszenie: ktoś zauważył niebiesko-żółtą flagę. Szybko się wyjaśnia, że to Kamraci z Górnego Śląska, którego barwy to właśnie niebieski i żółty.

Charakter zgromadzenia jest jasny: na kopcu Krakusa można między innymi kupić książkę Aleksandra Dugina, czołowego kremlowskiego ideologa.

W wystąpieniach Olszański swoich „wrogów” nazywa „szabesgojami”, „chujami”, „skurwielami”, „cuchnącą kloaką”, grozi im „biciem”, „gwałtami”, „eliminowaniem”.

Puste słowa? Zapowiedzi bez pokrycia? Radykałowie nie zawsze poprzestają na słowach. Czasem marzą im się bardzo konkretne czyny.

Pomruk się wzmacnia. Podejdz bliżej, a zostaniesz pokąsany.

ZAMACHOWIEC

O tej porze w Marcinkowie pod Mrągowem cisza jest taka, że piszczy w uszach. Chwilę przed szóstą rano Wojciech K., lat pięćdziesiąt siedem, z zawodu kominiarz, twardo śpi. Bardzo prawdopodobne, że śni mu się prezydent z dziurą postrzałową w głowie, posłowie na szubienicach,

płonący sejm, zgliszcza ministerstw, dymy nad Belwederem, wybuchy, serie z karabinów, bomby, terror.

Również o szóstej sen się kończy, bo Wojciecha K. budzi nagły huk. Funkcjonariusze Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego wpadają do jego domu, gospodarza rzucają na ziemię, zakładają mu kajdanki. Obserwowali go od dłuższego czasu, wiedzą, po kogo przyszli i czego mają szukać.

Wojciech K. to nie tylko kominiarz. To także nacjonalista, który marzy, by polskich polityków ustawić pod ścianą i rozstrzelać. W czerwcu 2016 roku agenci ABW znajdują w jego domu arsenał, którym mógłby obdzielić kilka plutonów.

Oprócz Wojciecha K. w tej samej sprawie oskarżeni zostają trzej inni mężczyźni. Wszyscy związani z tym samym środowiskiem: prorosyjskich nacjonalistów wielbiących Rosję i słowianizm. Wśród oskarżonych jest między innymi Artur Ć., przywódca organizacji Zadružny Krąg Dywizja Słowiańska (ZKDS). Jej działacze utrzymują kontakty z neonazistami z zagranicy, urządzają treningi na strzelnicach i nocne spotkania z pochodniami. Opowiadają się za „braterstwem” narodów słowiańskich, oczywiście pod przewodnictwem Rosji.

W 2016 roku Artur Ć. organizował w Bieszczadach „patrole” wyszukujące imigrantów przekraczających polską granicę (trwał wówczas kryzys uchodźczy). W czasie jednego z takich „patroli”, w pełnym postronnych ludzi barze miał zaatakować kogoś z nożem w ręku. Ma znajomego, Rosjanina mieszkającego w Elblągu. Wspomina o nim w jednej z nagranych przez ABW rozmów – opowiada o współpracy z „advokatem z Kaliningradu” i dodaje: „Wiesz, tu będą kontaktami z Rosjanami, coraz bardziej tymi ruskimi, bardziej wiesz, będą coraz ściślejsze i o takie z poważniejszymi, coś planujemy, wiesz, takie coś poważniejszego coś zrobić”. Współpracuje również z Piotrem S., działaczem partii Zmiana – tej

samej, którą stworzył oskarżony o szpiegostwo Mateusz Piskorski. W rozmowach telefonicznych z innymi działaczami opowiada o „tworzeniu legionów w liczbie pięciu, dziesięciu, piętnastu tysięcy”, po to by „odzyskiwać województwo po województwie”.

Narodowcy z Zadrużnego Kręgu współpracują też z organizacją Rusow zrzeszającą porosyjskich skrajnych nacjonalistów z kilku krajów Europy. Artur Ć., który kupował broń od Wojciecha K., fotografował się z członkami oddziału Rusicz – grupy zmilitaryzowanych neonazistów, związanych z Rusowem, a dziś walczących po stronie Rosji w wojnie z Ukrainą.

Prokurator stawia Wojciechowi K. cztery zarzuty, w tym posiadania broni bez zezwolenia i handlu bronią oraz najcięższy: usiłowania usunięcia przemocą organu konstytucyjnego Rzeczypospolitej Polskiej. Wyrok: cztery lata i osiem miesięcy pozbawienia wolności.

Dowody są silne. Każdy z nich śledczy dokładnie obejrzał i policzył. Są wśród nich stenogramy rozmów telefonicznych, konwersacje w komunikatorach i wpisy na forach internetowych, z których wynika, że narodowcom z Zadrużnego Kręgu marzy się siłowe obalenie ustroju. Rozmawiają o „podrzynaniu gardeł”, „wieszaniu” i „paleniu” „człękokształtnych debili”, stawianiu przed sejmem „szubienic i gilotyn”. Mówią, że nacjonaści tacy jak oni „muszą przetrwać”, żeby móc „strzelać w plecy Kaczyńskim, Macierewiczom i innym”. Wojciech K. w jednej z rozmów tłumaczy Arturowi Ć., że „wystarczy jednej nocy zatłuc ze dwudziestu senatorów”. Według niego konieczne jest tworzenie „składów amunicji, paliwa i broni”, „przygotowywanie koktajli Mołotowa”, bo „to niedługo będzie potrzebne”.

W jego domu i budynku gospodarczym śledczy znajdują dwadzieścia pięć sztuk broni palnej (w tym mechanicznej), ponad dwadzieścia cztery

tysiące sztuk amunicji, w tym szczególnie niebezpiecznej, tłumiki (także wykonane samodzielnie), zapalniki do bomb i kilkadziesiąt kilogramów materiałów, których wybuch mógłby powalić dziesięciopiętrowy wieżowiec.

W jednej z wiadomości Wojciech K. pisze, że przyszedł czas, by uzdrowić naród i policzyć się z wrogami. Zapowiada, że zbliża się „Czas Wielkiego Oczyszczenia”.

62 Oba hasła pochodzą z *Wielkiego słownika języka polskiego* PAN.

63 Kiriłł Miefodijew, *Jak Kreml finansuje polskich radykałów – zadania, wypłaty, raport do Moskwy*, www.informnapalm.pl, 1 marca 2017.

64 Cyt. za: Przemysław Witkowski, *Smarzowski, turbolechici i cień swastyki*, www.krytykapolityczna.pl, 21 października 2021.

65 Rafał Pankowski, *Podpis posła ze swastyką*, magazyn „Nigdy Więcej” 2006, nr 15.

66 Paweł Reszka, Mariusz Sepioło, *Polska kremlowska*, „Tygodnik Powszechny” 2015, nr 7.

67 Julia Dauksza, Mariusz Sepioło, *Pamięć i hejt*, Frontstory.pl, 26 kwietnia 2022.

68 W opisie wiecu Kamratów korzystałem z artykułu (napisanego wspólnie z Julią Daukszą, Karoliną Szmygin i Konradem Szczygłem) *Jak wojna podzieliła narodowców*, opublikowanego na Frontstory.pl 29 listopada 2022.

ZBLIŻENIE PIĄTE

Włączyłeś dyktafon? To dobrze, lepiej, żeby wszystko się nagrało⁶⁹.

W lesie, w którym patrzyliśmy na płonącą swastykę, nasza kamera leżała nieco dalej, w ukryciu, i bardzo się martwiliśmy, czy w ogóle coś się nagra. W pewnym momencie padł pomysł, żebyśmy wszyscy zrobili sobie z tą swastyką zdjęcie. Stanęliśmy razem, jak na wycieczce szkolnej staje się przed pomnikiem. Cyk, cyk, cyk, kilka razy, żeby mieć pewność. Pamiątkowe zdjęcie z urodzin Hitlera.

Dzięki temu Piotr miał pretekst, żeby wyciągnąć telefon. Zamiast opcji „zdjęcie” wybrał „film”. Zrobił kilka bliskich ujęć, w tym płonącej swastyki. Obraz, który zdefiniował ten reportaż i który najbardziej zapadł ludziom w pamięć.

Potem chcieliśmy już wracać, ale wyjście po godzinie mogło wzbudzić ich podejrzenia. I wzbudziło, o tym też ci opowiem.

Zostaliśmy na imprezie do pierwszej w nocy, a kiedy wszystko się skończyło, pożegnaliśmy się i poszliśmy do samochodu. Wsiedliśmy. Dopiero tam po raz pierwszy mogliśmy spokojnie odetchnąć. Nie musieliśmy już nikogo udawać. Spojrzeliśmy na siebie i Piotr powiedział: „Jeszcze nigdy w polskiej telewizji nie było takich zdjęć”.

Wtedy się przestraszyłam.

To był mój pierwszy duży temat. Byłam w stacji researcherką, robiłam dokumentację do reportaży. Bertold⁷⁰ rzucił pomysł, żeby zrobić materiał o środowisku polskich neonazistów. Ja miałam się zająć researchem w internecie, trochę te środowiska poznać. Zrozumieć kody kulturowe, którymi się posługują, muzykę, której słuchają.

Zaczęłam przeczesywać ich media społecznościowe. Przeglądać profile tych ludzi, śledzić, co na nich publikują, co i jakim językiem piszą. Co zobaczyłam? Że więcej tam rytuałów, przedmiotów, symboli niż poważnych dyskusji. Oni pasjonowali się głównie tym, że mogą mieć glany ze swastyką na podeszwie.

Żeby się do nich zbliżyć, stworzyłam fikcyjny profil. Wpisując różne hasła w wyszukiwarce Facebooka, w końcu trafiłam na post, w którym ktoś proponował wycieczkę na koncert w Grodziszczach. Okazał się członkiem stowarzyszenia Duma i Nowoczesność, ale wtedy jeszcze nie było to dla mnie ważne – zależało mi na wejściu na neonazistowską imprezę. Założyłam kolejny fikcyjny profil i skontaktowałam się z tym chłopakiem jako Anna Sokołowska. Odpowiedział, że co prawda nie ma już miejsc w samochodzie, ale jego kolega może mi pomóc. Kolega nazywał się Mateusz S. Później dowiedziałam się, że to Sitas, prezes stowarzyszenia Duma i Nowoczesność⁷¹.

Kluczem okazał się fałszywy profil Anny, bo zamiast stworzyć tożsamość typowego białego mężczyzny o nazistowskich poglądach, wymyśliłam zwykłą, trochę naiwną dziewczynę, której zależało przede wszystkim na imprezie, na dobrej zabawie. Takim wizerunkiem udało mi się ich przekonać.

Prawicowe tygodniki pisały potem, że do organizatorów urodzin Hitlera zgłosiła się jakaś „tajemnicza kobieta”, co miało sugerować, że sami sprowokowaliśmy te wydarzenia, że do nich doprowadziliśmy. „Tajemniczą kobietę” Anię stworzyłam w jeden wieczór na potrzeby kontaktu z Sitasem.

Rozmawialiśmy na komunikatorze i przez telefon. Sitas był trochę inni niż wszyscy ci, których profile wcześniej śledziłam. Posługiwał się specyficznym językiem, mówił, że „wydaje innym rozkazy”, że „jest wodzem”. Wyglądało to tak, jakby Duma i Nowoczesność była spełnieniem jego prywatnego marzenia o byciu przywódcą.

W komentarzach po naszym reportażu pojawiały się słowa, że to wszystko wyglądało jak „scenografia”. Dla Sitas to była scenografia – tyle że w jego prywatnym teatrze. Jemu naprawdę się podobało, że może paradować w mundurze esesmana, rozwiesić w lesie swastykę i kupić w internecie glany ze swastyką na podeszwie. Kiedyś nawet zapytał, czy też bym takie chciała. Odpowiedziałam, że to nie mój rozmiar.

Czy mnie sprawdzał? Czy był nieufny? Nie, był dla mnie miły i sympatyczny. Chyba wziął mnie za naiwną dziewczynę.

Znaleźliśmy grupę neonazistów z Dolnego Śląska, którzy mieli już na koncie wyroki. Wiedzieliśmy, że organizują swoje imprezy, bo pisała o tym choćby wrocławska „Gazeta Wyborcza”. Pomysł był prosty: pójść na taką imprezę z kamerą.

Za pośrednictwem Sitas udało nam się dowiedzieć, gdzie i kiedy wspomniany koncert się odbędzie. Duma i Nowoczesność nie wydawała mi się wtedy interesująca. Myślałam, że to po prostu niszowa grupka ludzi jak wiele innych. Jadąc do Grodziszcz, nie spodziewałam się, że zobaczę tam tłum hajlujących ludzi.

Bertold zaparkował w bezpiecznym miejscu. Razem z operatorem Piotrkim poszliśmy do zwykłej lokalnej świetlicy i kupiliśmy bilety – normalnie, od ludzi, którzy wpuszczali innych do środka. Jak na każdym komercyjnym koncercie. Żadnej konspiracji, każdy mógł wejść.

Spotkałam tam pewną młodą parę. Mieli może po dwadzieścia lat, Niemiec i Czeszka, bardzo w sobie zakochani. Opowiedzieli mi, że poznali się gdzieś w Europie na podobnym koncercie i postanowili przyjechać razem tu, do Polski. Jak widzę umięśnionych panów z wytatuowanymi swastykami i dwoma ósemkami, to mnie to nie dziwi, przecież mogłam się tego spodziewać, ale pięknych młodych ludzi, którzy dla rozrywki jeżdżą po nazistowskich koncertach, gdzie wszyscy, ale to absolutnie wszyscy faceci hajlują? To mnie zmroziło.

Do dzisiaj się nad tym zastanawiam. Dlaczego ci ludzie hajlowali całymi godzinami? Dlaczego robili to tak długo i z taką zaciętością, jakby sprawiało im to przyjemność? Na szczęście ja nie musiałam tego robić, bo kobiety w tym towarzystwie nie hajlują. Mogłam stać, słuchać agresywnej muzyki i patrzeć na reakcje publiczności bez obawy, że zostanę uznana za wroga.

Pamiętam też jednego chłopaka z obsługi technicznej. Przed oczami mam jego burzę czarnych loków na głowie i przerażone oczy, w których było widać, że właśnie zrozumiał, gdzie się znalazł, przy jakim koncercie pracuje. Miałam wtedy ochotę do niego podejść i powiedzieć: „Spokojnie, ja też nie jestem jedną z nich”.

Pytasz, czy na koncercie czułam się zagrożona. Wtedy nie. W reportażu telewizyjnym najważniejszy jest obraz – zależało nam na tym, żeby tych ludzi pokazać, a niekoniecznie nawiązywać z nimi kontakt, bo każda taka

relacja wiąże się z ryzykiem ujawnienia. Dlatego stojąc gdzieś na uboczu i patrząc na innych, czułam się w miarę bezpiecznie. Potem jednak chciałam to środowisko poznawać dalej.

Później, już po urodzinach Hitlera, na zaproszenie Sitas pojechaliśmy jeszcze na festiwal Orle Gniazdo. Tam znowu zobaczyliśmy niemal non stop hajlujący tłum. Na scenie nazistowskie i „patriotyczne” kapele, polskie i zagraniczne. Wokalistka zespołu ze Szczecina krzyczała ze sceny, żeby Donalda Tuska „zajebać nożem”. Wtedy już chyba niewiele mogło mnie zdziwić.

Po koncercie w Grodziszczu Sitas od czasu do czasu zapraszał mnie na inne imprezy. Pisał na przykład, że jedzie do Czech albo do Francji, i pytał, czy chcę się zabrać. Nie reagowałam, ale pewnego dnia przyszło zaproszenie na urodziny Hitlera.

To była prosta grafika z informacją, że „z powodu złej pogody” wydarzenie odbędzie się nie w prawdziwy dzień urodzin Hitlera, ale tydzień później.

Jak zobaczyliśmy ten plakat, to już wiedzieliśmy, że musimy tam pojechać.

Dlaczego Sitas mnie zaprosił? Nie wiem. Może z rozmowy telefonicznej zapamiętał miłą, śmiejącą się często dziewczynę? Z materiałów śledztwa wynika, że na urodziny zaproszono w sumie około osiemdziesięciu osób, możliwe więc, że wysyłał zaproszenia do wszystkich, których jego zdaniem mogło to zainteresować. Ania była właśnie kimś takim.

Z operatorem Piotrkiem umówiliśmy się tak, że to ja będę tą „zaangażowaną”, która zna się na „patriotycznej” muzyce i bywa na koncertach, a on będzie po prostu moim chłopakiem. Na miejscu okazało

się, że musi być odwrotnie. Ci ludzie jakoś naturalnie uznali, że to facet jest neonazistą, a ja – jakąś tam dziewczyną, którą przyprowadził.

Odezwała się we mnie żyłka reporterki. Chciałam z nimi rozmawiać, podpytywać ich, ale oni mnie ignorowali. O tym, jak Żydzi i imigranci są odpowiedzialni za całe zło tego świata, woleli rozmawiać z Piotrkim, bo to przecież facet – to z nim należało poruszać poważne tematy. I muszę przyznać, że Piotrek świetnie wywiązał się z tej roli. Potrafił z nimi rozmawiać tak, że niczego nie podejrzewali.

Ale po kolei. Najpierw umawiam się z Sitasem na spotkanie w Wodzisławiu Śląskim. Kiedy prawie jesteśmy na miejscu, dzwoni i mówi, że mamy się kierować do hotelu gdzieś na skraju lasu. Myślę sobie: pewnie impreza będzie w hotelu. Dojeżdżamy, Sitas mówi, żeby zaparkować obok hotelu i iść przed siebie leśną dróżką. Rozmawiam z nim jeszcze kilka razy, tłumaczy, gdzie mamy skręcić. W końcu dochodzimy do wzgórza w głębi lasu i widzimy, jak kilka osób zbija z desek swastykę. Obok ktoś inny rozkłada „ołtarzyk” z popiersiem Hitlera, księgę pamiątkową, miód pitny, którym Sitas chce wznieść uroczysty toast. I śpiewniki z niemieckimi pieśniami z czasów Trzeciej Rzeszy, zapisanymi fonetycznie.

Witamy się, przedstawiam Piotrka. Sitas przebiera się w mundur esesmana, ktoś inny wkłada mundur oficera Wehrmachtu. Wtedy Sitas wznosi toast – ku chwale Hitlera. Bierzemy śpiewniki i śpiewamy.

Sitas przemawia: „Kilka słów o Adolfie Hitlerze. Jeden z najlepszych strategów, dowódców i umysłów naszych czasów. Miał wizję zjednoczenia narodu, wizję opartą na dumie, honorze i lojalności (...). Był prawdziwym dżentelmenem, kobiety się nim fascynowały, a dzieci kochały (...). Był bardzo przyzwoitym człowiekiem, nigdy nie przeklinał i nie pozwalał na

złe zachowanie (...). NSDAP pod przywództwem Hitlera propagowała wartości rodzinne, macierzyństwo, ojcostwo, szacunek i honor”.

Oklaski, „*sieg heil!*”, a potem alkohol i zabawa. Normalna impreza z kiełbaskami nad ogniskiem. My z tyłu głowy ciągle mamy myśl, żeby to wszystko jakoś nagrać, udokumentować. Kamerę położyliśmy nieco z boku, żeby nikt jej nie zauważył, ale oni zaczynają się fotografować z płonąca swastyką i hajlować na jej tle i wtedy Piotrek przytomnie mówi: „Ania, ustaw się z nimi”. Wyciąga swój telefon i robi film ze swastyką i nazistowskimi pozdrowieniami.

To trwa może minutę. Dzięki Piotrkowi zdobywamy ujęcia, które zapadną ludziom w pamięć.

Jest też tort ze swastyką. Elementy czerwone i białe wykonane są ze słodkiego lukru, a sam znak – z wafelków oblanych czekoladą. Jakaś dziewczyna mówi: „Jak ktoś chce się uraczyć swastyką, to teraz jest ten czas”.

Alkoholu jest dużo i języki się rozwiązują. W rozmowach padają typowe dla takiego środowiska inwektywy pod adresem „światowego żydostwa”, imigrantów, lewaków i tak dalej. Opowieści o tym, jak to gnębią ich służby, chociaż wydaje mi się, że gdyby gnębiły naprawdę, taka impreza nie doszłaby do skutku.

Czy mówili o życiu? Wiesz, to ciekawe. Tam były też ich żony i partnerki i to one mówiły o małżeństwie, o dzieciach, domach, przedszkolach. One towarzyszą mężczyznom w trakcie ich leśnych przebieranek, przy czym tak naprawdę wcale się nie angażują. Stoją z boku i rozkładają na stole przekąski. Tak poznałam żonę Sitasa, normalną kobietę, której mąż ma takie „dziwne hobby”, że zamiast chodzić na piwo z kumplami, lubi włożyć mundur SS. Powiedziała mi, że właśnie mają kryzys w związku, że próbują nad nim pracować i że ona to robi głównie

dla swoich dzieci. I może taka leśna impreza jest dla niej trochę męcząca, ale „wiesz, Aniu, już taki mąż mi się trafił”.

Potem w prawicowych mediach pojawiały się zarzuty, że nie wycofaliśmy się stamtąd wcześniej, że uczestniczyliśmy w tej imprezie tak jak wszyscy inni. Ale prawda jest taka, że po godzinie chcieliśmy już wracać i przez to niektórzy z organizatorów zaczęli być podejrzliwi. Oboje poczuliśmy, że lepiej będzie, jeśli posiedzimy tam do końca.

Rozmawiali głównie z Piotrkim, więc dowiedział się o nich więcej niż ja. Dla niego ich radykalizm wziął się z pewnego społecznego wykluczenia. Byli górnikami, ciężko pracowali, ledwie wiązali koniec z końcem, nie mieli perspektyw. I ta frustracja doprowadziła ich do tej ideologii. Mnie jednak wydaje się, że my – w dużym mieście, w otwartym, postępowym środowisku – trochę nadużywamy tej kliszy. Zakładamy, że jeśli ktoś całym sobą oddaje się jakiejś ideologii, to na pewno pochodzi z trudnego środowiska i było mu w życiu ciężko. Patrzymy na tych ludzi jak na dzieci zagubione we mgle.

Ja widziałam w nich zbyt dużo czystej przemocy. Zbyt często słyszałam, kogo to trzeba pozabijać, unicestwić. Mam wrażenie, że ludziom z nazistowskich koncertów i z Dumy i Nowoczesności po prostu imponowała przemoc. Że dla nich ideologia nie była narzędziem do wyjaśniania świata, lecz czymś, co dawało im przyzwolenie do stosowania przemocy w życiu.

W pewnym momencie palnęłam głupotę. Oni piekli na ognisku kiełbaski, a ja powiedziałam, że „jestem wegetarianką, a to w sumie tak jak Hitler”. Wtedy jeden z nich stał się agresywny. Okazało się, że nie powinnam czegoś takiego mówić, bo w jego mniemaniu nie można mieć

nazistowskich sympatii i nie jeść mięsa. Potem przyznałam, że jestem ateistką, i to też wzbudziło oburzenie, bo większość z nich była katolikami.

Ten agresywny chłopak zaczął mnie wypytywać: „Kim ty w ogóle jesteś?”, „Co ty tutaj robisz?”, „Piszesz tu książkę czy raport dla ABW?”. Teraz dokładnie nie pamiętam, ale wtedy chyba nic nie odpowiedziałam. Wydawało mi się, że zaprzeczanie tylko pogorszy sytuację. Przybrałam pozę typu „koleś, jesteś pijany, odczep się”. Wtedy inni wzięli mnie w obronę: „Daj spokój, dziewczyna jest w porządku. Odpuść jej”. Kiedy powiedziałam, że studiuje prawo, i ten agresor znowu zaczął się mnie czepiać, odezwał się Sitas: „Uspokój się, bo może kiedyś Ania będzie bronić przed sądem takich jak my”.

A potem Sitas nas polubił. Zaczął zapraszać na wspólne wakacje albo na piknik u niego w domu. Chyba uznał, że jesteśmy z Piotrkiem bardzo w porządku.

Czy ja go polubiłam?

[*chwila ciszy*]

Nie. Bo dla mnie to był ktoś, kto urządził teatrzyk – głównie na swoją cześć. Nie znam się na psychologii, ale to, co zrobił, było inne niż to, co się działo na koncertach. Koncerty to dla tych ludzi doświadczenie grupowe – łączy ich muzyka i nienawiść do innych, a Duma i Nowoczesność oraz urodziny Hitlera to przedsięwzięcia jednego człowieka. To on był wodzem, to on wydawał rozkazy, to on był najważniejszy. Był reżyserem i odtwórcą głównej roli. Myślę, że w całym tym jego nacjonalizmie chodziło wyłącznie o niego. Impreza na cześć Hitlera tak naprawdę była imprezą na cześć Sitas.

Dobrze wiesz, w tej robocie bywa tak, że poznajesz człowieka, spędzasz z nim dużo czasu i zwyczajnie zaczynasz go lubić. Bez względu na to, jakie ma poglądy. Widzisz w nim jakieś ludzkie cechy, jakiś ludzki pierwiastek, który czyni go podobnym do ciebie. Nawet jeśli w czasie wolnym przebiera się za hitlerowca. Jednak kogoś, kto tak jak Sitas czuje satysfakcję z dyrygowania ludźmi, nie dało się polubić.

Czy się bałam? Nie. Trzymałam się myśli, że tu, w Warszawie, nikt mnie nie znajdzie, mój telefon nie jest publicznie dostępny, nikt nie zna mojego adresu, nie stanie mi się nic złego, że jestem bezpieczna.

Kiedy reportaż pojawił się na antenie, pomyślałam, że właśnie teraz połowa Polski obśmiewa jakichś dziwnych ludzi ze Śląska, którzy żyją w dużo gorszych warunkach od nich i przez to chodzą do lasu przebierać się za nazistów. Że ta swastyka na torcie właśnie staje się memem, powodem do żarcików z biednej i niewykształconej Polski B, której imponuje Adolf Hilter. I że nikt nie zastanawia się nad tym, kiedy i w jaki sposób zawiódł system, skoro urodziny Hiltera w lesie pod Wodzisławiem w ogóle mogły się wydarzyć. Przecież Sitas miał już wcześniej sprawę karną za mowę nienawiści, interweniował wtedy wysoki urzędnik Ministerstwa Sprawiedliwości.

W stowarzyszeniu Duma i Nowoczesność, którym Sitas kierował, wiceprzewodniczącym był Jacek Lanuszny, asystent posła Ruchu Narodowego Roberta Winnickiego, wtedy kandydat tej partii do sejmiku województwa i do senatu. Przez lata było wiadomo, że środowisko narodowe przenika się ze środowiskiem neonazistowskim i przestępczym, a jednocześnie polska władza flirtuje ze środowiskiem narodowym, udzielając mu wsparcia finansowego i politycznego. I my tego państwa nie

oskarżamy o to, że od dziesięciu lat odbywają się takie imprezy jak w Grodziszczu? Nie wskazujemy błędów systemu, który musiał zawieść na całej linii, skoro ktoś w lesie może sobie hajlować przed swastyką? Mnie się wydawało, że jak pokazemy w reportażu festiwal Orle Gniazdo, organizowany przez ludzi związanych z Ruchem Narodowym, będzie to bardziej szokujące niż ta słynna swastyka. Ale nie. Woleliśmy się śmiać z „pajaca w mundurze SS”.

Po naszym reportażu do programów publicystycznych nadal zapraszano polityków Ruchu Narodowego, z którym związany był działacz Dumy i Nowoczesności. Robert Winnicki nadal pojawiał się w telewizji. Nie pamiętam, żeby ktoś z kolegów dziennikarzy zapytał go, jak to możliwe, że Jacek Lanuszny, współorganizator Orlego Gniazda, był kandydatem Ruchu Narodowego na posła.

Wtedy zrozumiałam – duża część społeczeństwa woli myśleć, że generalnie Polska jest fajna, że to państwo europejskie i nowoczesne, tylko w pewnym momencie „coś się zepsuło” i zaczął rządzić PiS. I wcale nie chcę przyznać, że to samo państwo przez lata nie potrafiło sobie poradzić z problemem radykalizmu. Ta diagnoza wcale nie jest wygodna ani dla prawicy, ani dla przeciętnego widza TVN-u, zadowolonego z życia przedstawiciela klasy średniej. Wygodniej jest myśleć, że „my” jesteśmy tą lepszą, demokratyczną częścią społeczeństwa, a gdzieś tam istnieją jacyś „dzicy”, fanatyczni, straszni ludzie.

W mojej byłej stacji też nie było głębszej dyskusji. Nikt nie powiedział jasno, że zawinił system i ci ludzie są „produktami” tego błędu. Przeciwnie, w pracy zdarzało mi się słyszeć głosy niczym z jakiegoś prawicowego forum: że urodziny Hitlera to pewnie nasza ustawka.

Pytasz, co zdecydowało o tym, że znalazłam się po zupełnie przeciwnej stronie niż Sitas.

To jest cholernie trudne pytanie... Wychowałam się w Warszawie. Zawsze miałam komfort finansowy, ale... Znowu krążymy wokół tezy, że w życiu człowieka musiało stać się coś złego, żeby skreślił w stronę radykalizmu, a wcale nie musi tak być. To uproszczenie.

Moją idolką była Oriana Fallaci. Zaczytywałam się w jej książkach. Przeczytałam też *Wściekłość i dumę*, esej napisany w reakcji na zamachy terrorystyczne 11 września, który dzisiaj można odczytywać jako nienawistny, wręcz rasistowski. Miałam wtedy piętnaście, szesnaście lat i... ja jej poglądy po prostu bezdyskusyjnie przyjąłam. Czytałam o Mediolanie, który przez imigrantów „zmienia się w piekło”, a my jesteśmy niczym Rzymianie odpierający najazd barbarzyńców, i robiło to na mnie ogromne wrażenie. To pisała moja idolka, a w tym wieku z idolami się nie dyskutuje.

Potem rozmawiałam z koleżanką z klasy, której tata jest Tatarem i muzułmaninem. Z przejęciem opowiedziałam jej, co przeczytałam u Fallacci, a ona na to: „Mojemu tacie byłoby bardzo przykro, gdyby to usłyszał”. I wtedy zrozumiałam.

Miałam jakąś własną wizję dziejów, myślałam, że rozumiałam świat i wiem, jak potoczy się historia – i zderzyłam się z prostym, brutalnym faktem, że czyjemuś tacie może to zrobić przykrość. Może właśnie tego zderzenia zabrakło w życiu ludzi z naszego reportażu.

Po emisji stało się coś jeszcze. Te wszystkie wiadomości spływające na maila i w prywatnych wiadomościach. Gratulacje? Słowa wsparcia, otuchy? Coś ty, przeciwnie. Napisali do mnie ludzie, którym się nie spodobało, jak „na zewnątrz” pokazałam nasz kraj. A ja myślałam, że właśnie o to chodzi

w dziennikarstwie: nawet jeśli prawda o twoim kraju jest zła i brudna, to należy ją pokazać. Teraz się uśmiecham, ale wtedy nie było mi do śmiechu.

Bo ktoś napisał, że powinno mi się ogolić głowę na zero jak Żydówkom w czasie wojny.

69 Anna Sobolewska, bohaterka tego rozdziału i współautorka reportażu *Polscy neonaziści* wyemitowanego w *Superwizjerze TVN*, dziś pracuje jako freelancerka. Nie zajmuje się już skrajną prawicą.

70 Bertold Kittel – wielokrotnie nagradzany dziennikarz śledczy.

71 Mateusz S. pseudonim Sitas stanął wraz z sześcioma innymi działaczami Dumy i Nowoczesności przed sądem za propagowanie nazizmu. Latem 2019 roku mówił tak: „Nie muszę się z tego nikomu tłumaczyć. Fascynuje mnie Trzecia Rzesza. To jedno z moich zainteresowań. Po prostu podoba mi się cała otoczka związana z tym ruchem, wielkie marsze, symbolika i okrzyki, porządne mundury i odznaczenia. Może to się wydawać sprzeczne z moją narodową działalnością, ale mam do tego prawo”.

OD AUTORA

Z narodowcami opisanymi w tej książce spotykałem się od maja 2021 do listopada 2022 roku. Z każdym rozmawiałem długo, czasem po kilka godzin. Rozmowy z wieloma trwały dalej w mailach i internetowych komunikatorach.

Każdemu dałem możliwość autoryzacji. Prawie wszyscy z niej skorzystali – wprowadzili drobne poprawki, w większości nie zmieniając sensu opowieści ani nie przeinaczając faktów. Jeśli poprawka zbyt daleko odbiegała od słów, które faktycznie padły podczas wywiadu, rozmawialiśmy o tym ponownie.

Kilku rozmówcom zmieniłem imiona. Większość występuje pod prawdziwymi.

Wszystko, o czym mówili, poddawałem weryfikacji – jeśli nie w bezpośredniej rozmowie, to przed nią lub tuż po niej, podczas pisania.

Robię tyle, ile w mojej mocy, by prezentowane przez bohaterów treści weryfikować. Dlatego rozmawiam także z tymi, którzy radykałami zajmują się zawodowo: jako socjologowie, psychologowie i działacze społeczni. Tymi, którzy na narodowców patrzą z chłodnym dystansem.

Wiele osób z mojego środowiska twierdzi, że z nacjonalistami nie można rozmawiać, bo od wartości, które wyznają, jest blisko do jeszcze bardziej radykalnych, zbrodniczych ideologii. Wielu sądzi, że radykałom

nie można oddawać głosu – i kropka. Ja mimo wszystko ciągle uważam, że dziennikarz powinien próbować zrozumieć. A żeby zrozumieć, czasem musi odejść od biurka i wybrać się w podróż do obcego, nieznanego świata. Nawet jeśli tym światem rządzą zasady, których nie akceptujemy i z którymi się głęboko nie zgadzamy. Wszystko po to, żeby wiedzieć.

Narodowcy są obok nas. To, że zasłonimy oczy, nie sprawi, że znikną.

Spis treści

Okładka

Karta tytułowa

Karta redakcyjna

BÓJCIE SIĘ

ZBLIŻENIE PIERWSZE

NA STOLICĘ

ZBLIŻENIE DRUGIE

WYKŁĘCI

ZBLIŻENIE TRZECIE

MAPA NIENAWIŚCI

SYNOWIE NARODU

ZBLIŻENIE CZWARTE

TROLLE I TRUTNIE

ZBLIŻENIE PIĄTE

OD AUTORA